



*Jordan Riek*

PERCY JACKSONI BOGOWIE OLIMPIJSCY  
TOM 1 ZŁODZIEJ  
PIORUNA

# SPIS TREŚCI

1. Jak przez przypadek wyparowałem nauczycielkę matematyki
2. Trzy starszki robią na drutach skarpety śmierci
3. Grover niespodziewanie gubi spodnie
4. Marna uczy mnie walki z bykami
5. Partyjka z koniem
6. Najwyższy władca Łazienki
7. Mój obiad idzie z dymem
8. Zdobywcy sztandaru
9. Otrzymuję zadanie
10. Jak skasowałem całkiem porządny autobus
11. Odwiedziny w Centrum Krasnali Ogrodowych
12. Pudel udziela nam rady
13. Rzucam się w objęcia śmierci
14. Poszukiwany Percy Jackson
15. Bóg funduje nam cheeseburgery
16. Uwolnić zebę
17. Kupujemy łóżko wodne
18. Annabeth tresuje psa
19. W pewnym sensie dowiadujemy się prawdy
20. Pojedynek z rąbnętym kuzynem
21. Wyrównuję rachunki
22. Wypełnienie przepowiedni

## ROZDZIAŁ I

### JAK PRZEZ PRZYPADEK WYPAROWAŁEM NAUCZYCIELKĘ MATEMATYKI

Wiesz co, ja wcale nie chciałem być osoba półkrwi .

Jeśli czytasz te słowa, bo myślisz, że możesz być taki jak ja, to dam ci dobrą radę: zamknij natychmiast tę książkę, Uwierz w każde kłamstwo, jakie opowiedzieli ci mama i tato na temat twoich urodzin, i postaraj się zwyczajnie przeżyć życie.

Niebezpiecznie jest być istotą półkrwi. Strasznie. Zwykle na końcu ginie się w jakiś paskudny i bolesny sposób.

Jeśli jesteś zwykłym dzieckiem, które czyta tę książkę jako kolejną powieść przygodową, to super. Czytaj sobie do woli. Zazdroszczę ci przekonania, że nic takiego nigdy się naprawdę nie wydarzyło.

Ale jeśli rozpoznasz się na jej kartach - jeśli poczujesz, że jej słowa coś w tobie poruszyły - natychmiast ją odłóż, Możesz być jednym z nas. A wystarczy, że się tego dowiesz... Wtedy to już tylko kwestia czasu, kiedy oni też to wyczują i przyjdą po dębie.

Nie mów wtedy, cię nie ostrzegałem.

Nazywam się Percy Jackson. Mam dwanaście lat. Jeszcze kilka miesięcy temu byłem uczniem Yancy Academy, prywatnej szkoły z internatem dla dzieci z problemami, znajdującej się na północy stanu Nowy Jork.

Czy ja jestem dzieckiem z problemami ?

Taa. Można tak powiedzieć.

Mógłbym zacząć od dowolnego momentu w swoim krótkim i nieszczęsnym życiu, żeby to wykazać, ale prawdziwe kłopoty zaczęły się w maju, kiedy nasza szósta klasa wybrała się na wycieczkę na Manhattan... Dwadzieścia ośmiu szurniętych dzieciaków i dwoje nauczycieli jechało żółtym autobusem szkolnym do Metropolitan Museum of Art, żeby obejrzeć starożytne greckie i rzymskie różności.

Wiem, wiem - to brzmi jak wyrafinowana tortura.. Większość wycieczek z Yancy była torturą. Ale tym razem wyjazd zorganizował pan Brunner, nauczyciel łaciny, więc zapowiadało się nieco lepiej.

Pan Brunner to taki facet w średnim wieku, który porusza się na elektrycznym wózku. Ma przerzedzone włosy i rzadką brodę, nosi wyświechtaną tweedową marynarkę, która wiecznie zalatuje kawa. Wcale nie wygląda na równego gościa, ale opowiada mnóstwo historyjek i żartów, no i często gra z nami na lekcjach. A poza tym ma świetną kolekcję rzymskiej broni i dzięki temu na jego lekcjach nigdy nie zasypiam.

Miałem więc nadzieję, że ta wycieczka nie będzie taka straszna. A przynajmniej, że nie narobić sobie kłopotów. Ludzie, ale się myliłem!

Bo sprawa jest taka, że na wycieczkach zawsze zdarzają mi się dziwne przygody. Na przykład, kiedy ze szkołą, do której chodziłem w piątej klasie, pojechaliśmy na pole bitwy pod Saratogą i miałem ten wypadek z armatą z czasów wojny o niepodległość. Wcale nic wycelowałem jej w szkolny autobus, ale oczywiście i tak mnie wyrzucili. A wcześniej, kiedy zwiedzaliśmy zaplecze rekinarium ze szkołą, do której chodziłem w czwartej klasie, przypadkiem wcisnąłem niewłaściwą dźwignię na kładce i cała grupa wylądowała w wodzie. A jeszcze wcześniej... Dobra, wystarczy.

Na tej wycieczce postanowiłem być grzeczny. Przez całą drogę do miasta starałam się nic nie pobić z Nancy Bobofit - piegowatą, rudowłosą kleptomanką, która rzucała okruciami kanapki z masłem orzechowym i keczupem w głowę Growera, mojego najlepszego kumpla.

Grover był modelową łajzą. Nie dość, że chudy, to jeszcze na dodatek płakał, kiedy coś mu nie wychodziło. Musiał chyba powtarzać parę klas, bo jako jedyny szóstoklasista zaczynał mieć pryszcze i nawet początki delikatnego zarostu na brodzie. A do tego był kaleką. Miał papieraek zwalniający go na resztę życia z wuefu, ponieważ coś mu się działo z mięśniami w nogach. Chodził dziwacznie, jakby każdy krok był dla niego bolesny, ale to były tylko pozory. Trzeba było go widzieć, jak biegł, kiedy w stołówce podali tortille.

W każdym razie Nancy Bobofit rzucała w niego kawałkami kanapki, które przyklejały się do jego kręconych ciemnych włosów. Wiedziała, że nic jej nie mogłem zrobić. I tak byłem już na warunku. Dyrektor zagroził mi śmiercią przez zawieszenie w prawach ucznia, jeśli cokolwiek złego, żenującego albo choć z lekką rozrywkowego zdarzy się na tej wycieczce.

- Zabiję ją - mruknąłem.

Grover usiłował mnie uspokoić.

- Nie przejmuj się, lubię masło orzechowe.

Uchylił się przed kolejną porcją drugiego śniadania Nancy

- Dość tego. - Zacząłem się podnosić, ale Grant ściągnął mnie z powrotem na siedzenie.

- Już masz warunek - przypomniał mi - Wiesz, kto będzie na celowniku, jeśli cokolwiek się stanie.

Jak teraz na to patrzę, żałuję, że jednak nie dołożyłem Nancy Bobofit. Zawieszenie w prawach ucznia to pikuś w porównaniu z tym, w co miałem się wpakować.

Pan Brunner oprowadzał nas po muzeum. Jechał przed nami na swoim wózku, prowadząc grupę przez wielkie sale w których głoś odbijał się echem. Mijaliśmy

marmurowe posagi i szklane gabloty pełne bardzo starych czarno -czerwonych naczyń.

Naprawdę byłem w szoku, że te garnki przetrwały dwa czy trzy tysiące lat.

Zebrał nas w końcu wokół wysokiego na cztery metry kamiennego słupa, na którego szczycie siedział wielki sfinks, i powiedział, że była to *stela* (czyli nagrobek) dziewczyny w naszym wieku. Opowiadał o płaskorzeźbach na tej sali. Staralem się słuchać tego, co mówił, bo było to W sumie interesuje, ale wszyscy dookoła gadali, a jak tylko mówiłem im, żeby się zamknęli, to druga nauczycielka, pani Doods, groziła mi palcem.

Pani Dodds uczyła matmy. Przyjechała z Georga była niska i zawsze nosiła czarna skórzaną kurtkę, mimo że miała już pięćdziesiątkę. I wyglądała tak wrednie, że nie zdziwiłbym się, gdyby marzyła o rozjechaniu szkolnych szafek harleyem. Pojawiła się w Yancy w połowie roku, kiedy poprzednia matematyczka dostała załamania nerwowego.

Pani Dodds pokochała Nancy Bobofit od pierwszego wejrzenia, we mnie zaś widziała diabelskie nasienie. Wskazywała na mnie swoim zakrzywionym palcem, a gdy mówiła, "mój drogi" tym swoim słodkim tonem, to już wiedziałem, że przez miesiąc będę zostawał karnie po lekcjach.

Pewnego razu, kiedy kazała nu do pomocy wymazywać odpowiedzi ze starych ćwiczeń matematycznych, oznajmiłem Groverowi, że moim zdaniem pani Dodds nie jest człowiekiem. Popatrzy! ni mnie ze śmiertelną powagą i odpowiedział:

- Masz całkowitą rację.

Pan Brunner dalej gadał o greckich nagrobkach. W końcu, kiedy Nancy Bobofit wyraziła się na temat nagiego gościa na steli nie wytrzymałem.

- Zamkniesz się wreszcie?- zapytałem. Wyszło ni to trochę za głośno.

Cała klasa ryknęła śmiechem. Pan Brunner przerwał opowieść.

- Panie Jackson - powiedział - czyżbyś miał jakieś uwagi? Wiedziałem, że jestem purpurowy.

- Nie, proszę pana - odpowiedziałem. Pan Brunner wskazał na jedną z rzeźb.

- Może zatem powiesz nam, co przedstawia ten relief? Spojrzałem na rzeźbę i poczułem ulgę, ponieważ akurat to rozpoznałem.

- To Kronos pożerający swoje dzieci, prawda?

- Tak - powiedział pan Brunner, najwyraźniej nie usatysfakcjonowany. - A robił tak dlatego, że...?

- No...- - zacząłem grzebać w pamięci. - Kronos był królem bogów i ...

- Bogów? - spytał pan Brunner.

- Tytanów - poprawiłem się. - I on nie ufał swoim dzieciom, które były bogami. Więc, no, Kronos je zjadał, tak? Ale jego żona ukryła Zeusa, jak był niemowlęciem, i dała zamiast tego Kronosowi do połknięcia kamień- A potem Zeus, kiedy dorósł, to tak wykołował swojego tatę, czyli Kronosa, że zmusił go do wyplucia reszty rodzeństwa...

- Bueee !- jęknęła jedna ze stojących za mną dziewczyn.

- ...a potem była wielka wojna między bogami a tytanami -ciągnąłem -i bogowie wygrali.

Klasa chichotała.

- Jakby się to miało na cokolwiek przydać w życiu. Jakby w kwestionariuszach rekrutacyjnych zadawali pytanie: „Wyjaśnij, dlaczego Kronos zjadał swoje dzieci” - mruknęła tuż za mną Nancy Bobofit do swojej kumpeli.

- A proszę mi powiedzieć, panie Jackson - pytał dalej Brunner - dlaczego, parafrazując celne pytanie panny Bobofit, ta wiedza może się przydać w życiu?

- Zatopiony - mruknął Grover.

- Zamknij się - syknęła Nancy, a jej twarz była teraz jeszcze bardziej czerwona niż włosy.

Przynajmniej Nancy też się oberwało. Ze wszystkich nauczycieli tylko panu Brunnerowi udawało się przyłapać ją na odzywkach. Miał słuch godny szpiega.

Myślałem nad jego pytaniem, ale w końcu wzruszyłem ramionami.

- Nie wiem, proszę pana.

-No cóż - Pan Brunner był zawiedziony - pół punktu, panie Jackson. Zeus nakarmił Kronosa mieszanką musztardy i wina, co sprawiło, że zwrócił pozostałe pięcioro dzieci które oczywiście, będąc nieśmiertelnymi bogami, żyły i rozwijały się w żołądku tytana niestrawione. Bogowie pokonali swojego ojca, pokroili go na kawałki jego własnym sierpem i wrzucili szczątki Tartaru. najciemniejszej części Podziemnej Krainy. Tym optymistycznym akcentem na razie kończę, pora na drugie śniadanie. Pani Dodds. czy może pani wyprowadzić nas na zewnątrz?

Klasa ruszyła ku wyjściu: dziewczyny trzymając się za żołądki, chłopaki przepychając się i zachowując jak kretyni.

Grover i ja już mieliśmy pójść za nimi, kiedy odezwał się pan Brunner.

-Panie Jackson.

Wiedziałem, że tego nie uniknę.

Powiedziałem Groverowi, żeby poszedł sam i zwróciłem się do Pana Brunnera.

- Słucham, proszę pana.

Spojrzenie pana Brunnera należało do tych niedających spokoju - poważne, brązowe oczy, które mogły mieć tysiąc lat i widziały chyba wszystko.

- Musisz się nauczyć odpowiedzi na moje pytanie - oznajmił.

- O tytanów?

- O życie. I do czego może przydać się wiedza.

- Aha.

- To, czego cię uczę - powiedział - jest śmiertelnie ważne. I mam nadzieję, że tak to potraktujesz. Będę od Ciebie wymagał pełnego zaangażowania, Percy Jacksonie.

Miałem ochotę się zezłościć, facet na zbyt wiele sobie pozwalał. To znaczy - jasne, w sumie te jego konkursy były fajne, ubierał się w rzymską zbroję, krzyczał "Hejże!" i wymachując mieczem, kazał nam, uzbrojonym tylko w kredę, biegać do tablicy i wyliczać wszystkich znanych Greków i Rzymian, którzy kiedykolwiek żyli, wraz z imionami rodziców i bogami, których czcili. Problem polegał na tym, że pan Brunner chciał, żebym był równie dobry jak inni, mimo że mam dysleksję, kłopoty z koncentracją i nigdy nie dostałem oceny lepszej niż trójka. gorzej: nie tylko równie dobry, według niego miałem być lepszy. a ja po prostu nie byłem w stanie zapamiętać tych wszystkich imion i faktów, nie mówiąc już o ich poprawnym napisaniu.

Wymruczałem coś o tym, że się postaram, a pan Brunner tymczasem spojrział na stele takim wzrokiem, jakby pamiętał pogrzeb tej dziewczyny.

Po czym kazał mi wyjść na zewnątrz i zjeść drugie śniadanie.

Klasa zebrała się na frontowych schodach muzeum, skąd można obserwować ruch pieszych na Piątej Alei.

Na niebie zbierało się na potężną burzę. Nigdy nie widziałem tak czarnych chmur w mieście. Pomyślałem, że to pewnie globalne ocieplenie albo coś w tym rodzaju, bo pogoda w całym stanie Nowy Jork była od świąt dziwaczna. Mieliśmy

wielkie burze śnieżne, powodzie i pożary wywołane przez uderzenie pioruna. Nie zdziwiłbym się, gdyby tym razem miał to być nadciągający huragan. Nikt poza mną nie zwracał na to uwagi. Kilku chłopaków rzucało okruszkami w gołębie. Nancy Bobofit usiłowała zwałować coś z torebki jakiejś kobiety, a pani Dodds jak zwykle niczego nie zauważyła.

Siedliśmy z Groverem na obmurowaniu fontanny, z dala od reszty klasy. Mieliśmy nadzieję, że jeśli tak zrobimy, to nikt się nie domysli, że jesteśmy z tej szkoły - szkoły dla potłuczonych cieniasów, którzy nigdzie indziej nie daliby sobie rady.

- Masz zostać po szkole? - spytał Grover.

- Nie - odpowiedziałem. - Brunner by mi nie kazał. Tylko jeszcze mógłby mi czasem odpuścić. Wiesz... Nie jestem geniuszem.

Grover przez chwilę nic nie mówił. W końcu, jak już uznałem, że wygłosi mi jakiś głęboko filozoficzny komentarz na pocieszenie, powiedział:

-Dasz mi jabłko? Nie byłem szczególnie głodny, więc mu dałem.

Przyglądałem się sznurowi taksówek sunących Piątą Aleją i myślałem o mieszkaniu mojej mamy, które było całkiem niedaleko. Nie widziałem jej od świąt. Miałem straszną ochotę wskoczyć do taksówki i pojechać do domu. Mama przytuliłaby mnie i cieszyłaby się, że jestem, ale byłaby też zawiedziona. Odesłałaby mnie natychmiast z powrotem do Yancy, przypominając mi przy okazji, że powinienem się starać mimo że jest to moja szósta szkoła w ciągu sześciu lat i zapewne i tak z niej wylecę. A ja nie mógłbym wytrzymać tego jej smutnego spojrzenia.

Pan Brunner zatrzymał swój wózek przy podjeździe dla niepełnosprawnych. Jadł selera, czytając jakąś powieść w wydaniu kieszonkowym. Za pleców wystawał mu czerwony parasol, co upodabniało jego wózek; do kawiarnianego stolika na kółkach. Miałem właśnie odwinąć drugie śniadanie, kiedy przede mną pojawiła się Nancy Bobofit wraz ze swoimi brzydkimi przyjaciółkami -podejrzewałem, że znudziły jej się próby okradania turystów - i rzuciła Groverowi na kolana nadgryzioną kanapkę.

-Oj. - Wytrzeszczyła do mnie te swoje krzywe zęby. Jej piegi były pomarańczowe, jakby ktoś spryskał ją sokiem z marchwi.

Usiłowałem zachować spokój. Szkolny psycholog powtarzał mi wiele razy, że powinienem policzyć do dziesięciu, żeby "nie dać się ponieść nerwom". Ale byłem tak wściekły, że mój mózg się wyłączył. W uszach słyszałem ryk fal.

Nie przypominam sobie, żebym jej dotknął, ale następne, co kojarzę, to że Nancy siedziała na tyłku w fontannie, wrzeszcząc "Percy mnie popchnął"

Przed nami natychmiast zmaterializowała się pani Dodds.

Koledzy szeptali:

- Widziałeś...?

- ... woda...

- jakby ją chwyciła...

Nie miałem pojęcia, o czym mówili. Wiedziałem tylko, że właśnie znów wpakowałem się w kłopoty.

Gdy tylko pani Dodds upewniła się, że biedna muła Nancy jest cała i zdrowa, i jak już obiecała jej nową koszulkę z muzealnego sklepu z pamiątkami itd... itd... zwróciła tle do mnie. W jej oczach zapłonął triumfalny płomień, jakbym zrobił coś, na co czekała przez cały semestr.

- Mój drogi...

- Wiem - odburknąłem. - Miesiąc wymazywania ćwiczeń.- Nie powinienem był tego mówić.

- Pójdiesz ze mną- oznajmiła pani Dodds.

- Proszę pani! - krzyknął nagle Grover.

- To ja. To ja, ją popchnąłem.

Gapilem się na niego całkiem zaskoczony. Nie mogłem uwierzyć, że postanowił mnie kryć. Grover śmiertelnie bał się pani Dodds.

Obrzuciła go takim sparzeniem, że jego pokryty nędznym zarostem podbródek zadrżał.

- Nie sądzę, panie Underwood - odrzekła.

-Ale...

- Ty zostaniesz tutaj. Grover posłał mi rozpaczliwe spojrzenie.

- Spoko, chłopie - powiedziałem - Staraleś się.

- Mój drogi - warknęła, do mnie pani Dodds - Bardzo proszę.

Nancy Bobofit parsknęła pogardliwie. Odpowiedziałem wyćwiczonym spojrzeniem "i tak cię dopadnę" spod przymrużonych powiek. Następnie odwróciłem się do pani Dodds, ale jej już przy mnie, nie było. Stała w bramie muzeum, na szczycie schodów, machając na mnie niecierpliwie ręką.

Jak ona znalazła się tam tak szybko?

Mojemu mózgowi zdarza się czasem przysnąć na moment i chwilę później zdaję sobie sprawę, że czegoś nie zauważyłem -jak gdyby kawałek układanki zniknął z wszechświata, pozostawiając mnie ze wzrokiem wlepionym w puste miejsce. Psycholog szkolny powiedział mi że to objaw ADHD: mózg błędnie interpretuje pewne rzeczy.

Nie byłem tego taki pewny.

Poszedłem za panią Dodds.

W połowie schodów zerknąłem przez ramię na Grovera. Był blady, przebiegł wzrokiem ode mnie do pana Brunnera, jakby chciał zwrócić jego uwagę na to, co się dzieje, ale pan Brunner nie odrywał się od swojej powieści.

Pani Dodds tymczasem znikła znowu. Była już we wnętrzu budynku, na końcu holu wejściowego.

Okej, pomyślałem. Zamierza zmusić mnie, żebym kupił Nancy nową koszulkę w sklepie muzealnym. Ale najwyraźniej miała inny plan.

Ciągnęła mnie w głąb muzeum. Kiedy wreszcie ją dogoniłem, byliśmy znów w galerii grecko-rzymskiej. Poza nami nikogo tam nie było.

Paru Dodds stała z założonymi rękami przed wielkim marmurowym fryzem przedstawiającym greckich bogów. Z jej gardła dobiegał dziwaczny dźwięk, coś jakby warczenie.

Nawet i bez tego byłem podenerwowany. Dziwnie jest być sam na sam z nauczycielem, zwłaszcza z panią Dodds. W dodatku spoglądała na ten fryz tak, jakby chciała obrócić go w pył...

- Sprawiasz nam kłopoty, mój drogi - powiedziała.

Postawiłem na najbezpieczniejszą, kartę.

- Tak, proszę pani - odpowiedziałem.

Poprawiła mankiety skórzanej kurtki.

-Naprawdę myślałeś, że ci się upiecze?

W jej oczach czaiło się już nie szaleństwo, ale czyste zło.

Jest nauczycielką, myślałem nerwowo. Nic może mi zrobić krzywdy.

-Będę... będę się starał, proszę pani - wymamrotałem Budynkiem wstrząsnął grzmot.

- Nie jesteśmy głupi, Percy Jacksonie - odpada pani Dodds. - Prędzej czy później i tak byśmy cię znaleźli. Przyznaj się, a masz szansę złagodzić swoje cierpienia.

Nie miałem pojęcia, o czym ona mówiła. Przychodziło mi do głowy, że ktoś z nauczycieli musiał znaleźć nielegalny zapas cukierków, którymi handlowałem w sypialni w internacie. A może wykryli, że ściągnąłem wypracowanie o *Przygodach Tomka Sawyera* z Internetu, nie czytając książki i chcą mi teraz odebrać ocenę. Albo, co gorsza każą mi to przeczytać.

-No słucham...— zażądała odpowiedzi.

-Nie mam...

- Twój czas się skończył - krzyknęła.

I wtedy zaczęły się dziać naprawdę dziwne rzeczy. Jej oczy rozżarzyły się jak węgielki na grillu. Palce wydłużyły się, przemieniając w szpony. Kurtka rozpostarła się w wielkie skórzaste skrzydła. Pani Dodds nie była człowiekiem. Była pomarszczoną wiedźmą ze skrzydłami nietoperza, pazurami i pyskiem pełnym żółtych kłów i właśnie zamierzała rozerwać mnie na strzępy. Zaczęły się dziać rzeczy jeszcze dziwniejsze. Pan Brunner, który jeszcze przed chwilą czytał przed muzeum, wjechał wózkami w drzwi galerii, trzymając w ręce długopis.

- Hajże, Percy! - krzyknął i wyrzucił długopis w powietrze.

Pani Dodds rzuciła się na mnie. Uskoczyłem z wrzaskiem i poczułem, że pazury rozcinają powietrze tuż koło mojego ucha. Chwyciłem lecący długopis, ale gdy tylko go dotknąłem, przestał być długopisem. Stał się mieczem - brązowym mieczem, którego pan Brunner zawsze używał podczas konkursów.

Pani Dodds zwróciła na mnie swój morderczy wzrok. Kolana się pode mną ugiwały. Ręce drżały mi tak, że nie upuściłem miecza.

- Giń, mój drogi! - Warknęła pani Dodda. I rzuciła się na mnie.

Poczułem śmiertelne przerażenie. Mogłem zrobić tylko jedno: zamachnąłem się mieczem. Ostrze dosięgło jej ramienia i przeszło przez ciało tak lekko, jakby była z wody. Sssss!

Pani Dodds rozsypała się jak zamek z piasku w wentylatorze. Ekspłodowała żółtym pyłem, wyparowała na miejscu, pozostawiając po sobie jedynie zapach siarki, cuchnący skrzek i zimny podmuch zła w powietrzu, jakby tych dwoje żarzących się czerwonych oczu nadal na mnie patrzyło. Byłem sam. W ręce trzymałem długopis. Pana Brunnera nie było nigdzie widać. W galerii nie było nikogo oprócz mnie.

Ręce wciąż mi drżały. W moim śniadaniu musiały się jakoś znaleźć magiczne grzybki czy coś w rym rodzaju. A może to wszystko mi się przyśniło? Wyszedłem na zewnątrz. Zaczynało padać.

Grover siedział przy fontannie, trzymając nad głową plan muzeum. Nancy Bobofit stała zmoknięta po kąpieli w fontannie. szepcząc coś do swoich brzydkich przyjaciółek.

- Mam nadzieję, że pani Kerr sprząła ci tyłek - powiedziała na mój widok.

- Kto? - zapytałem.

- Nauczycielka. A kto?!

Zamrugałem oczami. Nie mieliśmy nauczycielki nazwiskiem Kerr. Zapytałem Nancy, o kim mówi. Ale ona tylko przewróciła oczami i poszła sobie. Zapytałem Grovera, gdzie podziała się pani Dodds.

- Kto? - zapytał Croyer.

Ale zawahał się, zanim zadał to pytanie, i nie patrzył mi prosto w oczy, więc uznałem, że coś zmyśla.

- Bardzo zabawne - powiedziałem - Pytam poważnie. Nad nami rozległ się grzmot.

Zobaczyłem, że pan Brunner siedzi pod swoim czerwonym parasolem, czytając książkę, jakby wcale nie ruszył się z miejsca.

Podszedłem do niego.

Spojrzał na mnie lekko roztargnionym wzrokiem.

-Ach, to chyba mój długopis. Następnym razem proszę brać ze sobą własne przybory do pisania, panie Jackson.

Oddałem panu Brunnerowi jego długopis. Nie zdawałem sobie nawet sprawy, że nadal trzymałem go w ręce.

- Proszę pana... - powiedziałem. - Gdzie jest pani Dodds?

Spojrzał na mnie nierozumiejącym wzrokiem.

-Kto?

-Druga nauczycielka, pani Dodds. Od matematyki.

Zmarszczył czoło i wyprostował się na wózk. Miał lekko zaniepokojony wyraz twarzy.

- Percy, na tej wycieczce nie ma żadnej pani Dodds. O ile wiem, w Yancy nigdy nie uczyła żadna pani Dodds. Czy ty się dobrze czujesz?

## ROZDZIAŁ II

### TRZY STARUSZKI ROBIĄ NA DRUTACH SKARPETY ŚMIERCI

Przyzwyczałem się już, że czasem zdarza mi się coś dziwnego - zazwyczaj kończyło się to szybko. Ale halucynacje na okrągło to było już zbyt wiele. Przez resztę roku cała szkoła jakby uwzięła się, żeby płatać mi figle. Uczniowie zachowywali się tak, jakby naprawdę wierzyli, że pani Kerr - energiczna blondynka, którą zobaczyłem pierwszy raz w życiu, kiedy wsiadła z nami do autobusu na koniec wycieczki - uczyła nas matematyki od świąt.

Co jakiś czas napomykałem w rozmowach o pani Dodds, żeby ich przyłapać, ale oni tylko gapili się na mnie, jakbym był psychiczny.

W końcu prawie im uwierzyłem, że pani Dodds nigdy nie istniała. Prawie.

Tylko Grover nie był w stanie mnie oszukać. Kiedy wymawiałem przy nim nazwisko Dodds, wahał się, po czym stwierdzał, że nikogo takiego nie było. Ale ja wiedziałem, że kłamie.

Co się działo. Co się stało w muzeum.

Nie miałem wiele czasu na rozmyślanie o tym za dnia, ale kiedy w nocy śniła mi się pani Dodds ze szponami i skórzastymi skrzydłami, budziłem się zlany potem. Na dodatek pogoda dalej wirowała, co nie poprawiało mi nastroju.

Jednej nocy burza wywaliła okno w naszej sypialni.

Kilka dni później największe tornado, jakie kiedykolwiek widziano w dolinie rzeki Hudson, zatrzymało się zaledwie osiemdziesiąt kilometrów od Yancy Academy.

Jednym ze zdarzeń, które omawialiśmy na wiedzy o społeczeństwie, była niezwykle wysoka liczba powodowanych przez nagłe szkwały wypadków małych samolotów nad Atlantykiem.

Przez większość czasu byłem marudny i poirytowany. Moje oceny spadły z dopuszczających na niedostateczne. Coraz częściej tłukłem się z Nancy Bobofit i jej przyjaciółkami. Na prawie każdej lekcji wylatywałem na korytarz.

W końcu nie wytrzymałem, kiedy nasz nauczyciel angielskiego, pan Nicoll, zapytał po raz milionowy, czemu jestem zbyt leniwy, żeby uczyć się do dyktand. Nazwałem go starym opojem. Nie byłem całkiem pewny, co to znaczy, ale niezłe brzmiało.

W następnym tygodniu dyrektor wysłał do mojej mamy oficjalny list, powiadamiający ją, że w przyszłym roku mogę nie wracać do Yancy Academy.

*Świetnie, pomyślałem. Doskonale.*

Tęskniłem za domem

Chciałem mieszkać z mamą w naszym małym mieszkanku na Upper East Side, nawet gdyby oznaczało to, że będę chodził do państwowej szkoły i musiał wytrzymać mojego beznadziejnego ojczyma i jego durne partyjki pokera.

A jednak... wiedziałem, że za paroma rzeczami w Yancy będę tęsknił. Za lasem widocznym przez okno sypialni, za płynącą w oddali rzeką Hudson, za zapachem sosen. Będzie mi brakowało Grovera, który pomimo wszystkich swoich dziwactw był dobrym kumplem. Martwiłem się, jak on przeżyje następny rok beze mnie. Wiedziałem też, że będę tęsknił za lekcjami łaciny - za wariackimi konkursami pana Brunnera i za jego wiarą w to, że na coś mnie stać.

Kiedy zaczęły się egzaminy, uczyłem się wyłącznie do testu z łaciny. Nie zapomniałem tego, co powiedział mi pan Brunner: że ten przedmiot to dla mnie kwestia życia i śmierci. Nie wiedziałem dlaczego, ale jakoś zacząłem mu wierzyć.

Wieczorem przed egzaminem byłem tak zniechęcony, że cisnąłem podręcznikiem do greckiej mitologii przez całą długość sypialni. Słowa zaczęły wypływać z pomiędzy kartek, krążyć wokół mojej głowy, a litery zataczały ósemki, jakby jeździły na łyżwach.

Nijak nie byłem w stanie zapamiętać, czym różni się Chejron od Charona, a Polidektes od Polideukesa. A odmiana czasowników łacińskich? Masakra.

Krążyłem po pokoju, czując się tak, jakbym miał mrówki pod koszulą. Przypomniałem sobie poważny wyraz twarzy pana Brunnera, jego tysiącletnie oczy.

- Będę od ciebie wymagał pełnego zaangażowania, Percy Jacksonie.

Wzięłem głęboki oddech. Podniosłem książkę do mitologii.

Nigdy wcześniej nie prosiłem nauczyciela o pomoc. Może jeśli porozmawiam z panem Brunnerem, da mi jakieś wskazówki. A przynajmniej będę mógł przeprosić za wielką, grubą jedynekę, którą dostanę na jego egzaminie. Przed odejściem z Yancy Academy chciałem dać mu do zrozumienia, że się starałem.

Zszedłem na dół, w kierunku gabinetów nauczycieli. W większości z nich panowała ciemność, ale drzwi pokoju pana Brunnera były uchylone, a dobywająca się z nich smuga światła padała na korytarz.

Byłem o trzy kroki od klamki, kiedy usłyszałem dochodzące ze środka głosy. Pan Brunner zadał jakieś pytanie. A głos zdecydowanie należący do Grovera odpowiedział:

- ...niepokój o Percy'ego, proszę pana.

Zamarłem.

Rzadko zdarza mi się podsłuchiwać, ale już widzę, jak ktokolwiek się od tego powstrzymuje, kiedy słyszy swojego najlepszego kumpla obgadującego go z dorosłym.

Podkradłem się bliżej.

- ... sam w lecie - mówił Grover. - To znaczy, jedna z Łaskawych w szkole!

Teraz, kiedy mamy już pewność, a oni też wiedzą...

- Jeśli zaczniemy go poganiać, tylko pogorszymy sprawę - odpowiedział pan Brunner. - Chłopiec musi jeszcze dojrzeć.

- Możemy nie mieć na to czasu. Letnie przesilenie to ostateczny termin...

- To będzie musiało rozegrać się bez niego, Grover. Dajmy mu cieszyć się niewiedzą, póki może.

- Ależ on już ją widział, proszę pana...

- Wybryk wyobraźni - upierał się pan Brunner. - Mgła rzucona na uczniów i nauczycieli powinna wystarczyć, żeby go o tym przekonać.

- Nie mogę... nie mogę znów zawieść. - Głos Grovera był nabrzmiąły od emocji.

- Wie pan, co to oznacza.

- Nie zawiodłeś, Grover - odparł łagodnie pan Brunner. - To ja powinienem był się domyślić, kim ona jest. Teraz naszym jedynym zmartwieniem będzie utrzymanie Percy'ego przy życiu do jesieni...

Książka do mitologii wypadła mi z rąk i uderzyła z hukiem o podłogę.

Pan Brunner zamilkł.

Serce waliło mi jak młotem. Podniosłem książkę i pobiegłem w głąb korytarza.

Za szybą w drzwiach gabinetu Brunnera przemknął cień kogoś znacznie wyższego niż mój poruszający się na wózku nauczyciel. Ten ktoś trzymał w ręce jakiś przedmiot, który podejrzenie przypominał łuk.

Otworzyłem najbliższe drzwi i wsunąłem się do środka.

Chwilę później usłyszałem powolne klap - klap - klap, jakby ktoś szedł na owiniętych w szmaty drewnianych klockach, a potem coś jak węszenie zwierzęcia pod drzwiami, za którymi się schowałem. Wielki, ciemny kształt zatrzymał się na moment za szybą, po czym ruszył dalej.

Poczułem spływającą po karku kropelkę potu. Gdzieś

w korytarzu rozległ się głos pana Brunnera.

- Nic nie ma - mruknął. - Od zimowego przesilenia mam zszargane nerwy.

- Ja też - potaknął Grover. - Ale przysięgłbym...

- Wracaj do sypialni - powiedział mu pan Brunner. - Jutro czekają nas ciężkie egzaminy.

- Wolę o tym nie myśleć.

Światło w gabinecie pana Brunnera zgasło.

Czekałem w ciemności, a czas rozciągał się w wieczność. W końcu wymknąłem się na korytarz i pobiegłem z powrotem do sypialni.

Grover leżał na swoim łóżku jak gdyby nigdy nic, czytając notatki do egzaminu z łaciny.

- Hej - powiedział, spoglądając na mnie zaczerwienionymi oczami. - Nauczyłeś się na test?

Nie odpowiedziałem.

- Wyglądasz okropnie. - Zmarszczył brwi. - Wszystko gra?

- Jestem... trochę zmęczony.

Odwróciłem się do niego, żeby nie widział mojego wyrazu twarzy, i zacząłem się przebierać w piżamę. Nie rozumiałem nic z tego, co usłyszałem na dole. Bardzo chciałem wierzyć, że tylko mi się to przyśniło.

Jedno było pewne: Grover i pan Brunner rozmawiali o mnie za moimi plecami. I uważali, że grozi mi jakieś niebezpieczeństwo.

Następnego popołudnia, kiedy wychodziłem z trzygodzinnego egzaminu z łaciny, a przed oczami przepływały mi wszystkie te greckie i rzymskie imiona, w których zrobiłem błędy, pan Brunner wezwał mnie z powrotem do sali.

Przez chwilę bałem się, że dowiedział się o tym, że podsłuchiwałem go poprzedniego wieczoru, ale nie wyglądało na to.

- Percy - powiedział. - Nie przejmuj się tym, że wylatujesz z Yancy. To... to wyjdzie ci tylko na dobre.

Jego ton był łagodny, ale słowa i tak wprawiły mnie w zakłopotanie. Mimo że mówił cicho, uczniowie piszący jeszcze test mogli go usłyszeć. Nancy Bobofit wykrzywiła się do mnie, śląc szydercze całuski.

- Tak, proszę pana - wymamrotałem.

- Chodzi o to... - Pan Brunner przetaczał swój wózek w przód i w tył, jakby nie był pewny, co powinien powiedzieć. - To miejsce nie jest odpowiednie dla ciebie. To była tylko kwestia czasu.

Poczułem, że oczy mnie pieką.

Oto mój ulubiony nauczyciel przy całej klasie oznajmił mi, że się nie nadaję. Po tym, jak przez cały rok powtarzał, że we mnie wierzy, teraz usłyszałem, że i tak bym wyleciał.

- W porządku - powiedziałem drżącym głosem.

- Nie, nie - zaprzeczył pan Brunner. - Źle się wyraziłem. Chciałem powiedzieć, że... ty nie jesteś normalnym dzieckiem, Percy. Nie ma w ty nic...

- Dziękuję - palnąłem. - Dziękuję panu bardzo za przypomnienie.

- Percy...

Ale ja już wybiegłem z sali.

W ostatnim dniu roku szkolnego pakowałem moje rzeczy do walizki. Chłopaki dookoła żartowali, opowiadając sobie o wakacyjnych planach. Jeden z nich wybierał się w góry do Szwajcarii. Inny miał przez miesiąc pływać po Karaibach. Wszyscy byli trudną młodzieżą jak ja, ale *bogatą* trudną młodzieżą. Ich ojcowie kierowali firmami, byli ambasadorami albo wielkimi gwiazdami. A ja byłem nikim, tak jak każdy w mojej rodzinie.

Zapytali mnie, jakie mam plany na lato, więc odpowiedziałem, że wracam do miasta.

Nie powiedziałem im, że muszę znaleźć pracę na lato - będę wyprowadzał psy albo sprzedawał prenumeraty czasopism - a cały wolny czas poświęcę na zamartwianie się, gdzie pójdę jesienią do szkoły.

- No - powiedział jeden z nich. - To super.

Po czym wrócili do swojej rozmowy, jakbym wcale nie istniał.

Jedyną osobą, z którą bałem się *żegnać*, był Grover, ale, jak się okazało, nie musiałem. Grover miał bilet na ten sam co ja autobus na Manhattan, więc znów zmierzaliśmy w stronę miasta.

Przez całą podróż Grover rozglądał się nerwowo po autobusie, obserwując innych pasażerów. Uświadomiłem sobie, że on zawsze stawał się nerwowy i niespokojny, ilekroć wyjeżdżaliśmy z Yancy, jakby spodziewał się czegoś złego. Dawniej podejrzewałem, że boi się docinków. Ale kto miałby się z niego śmiać w autobusie dalekobieżnym?

W końcu nie wytrzymałem.

- Wypatrujesz Łaskawych? - spytałem.

Grover omal nie spadł z siedzenia.

- Co masz na myśli?

Przyznałem się do tego, że podsłuchałem jego rozmowę z panem Brennerem wieczorem przed egzaminem.

Grover zamrugnął oczami.

- Co usłyszałeś?

- Nie no... niewiele. Co to znaczy ostateczny termin w letnie przesilenie?

Wzdrygnął się.

- Słuchaj, Percy... Po prostu się o ciebie martwiłem, rozumiesz? Znaczący, wiesz, te opowieści o demonicznej matematyce...

- Grover...

-I mówiłem panu Brunnerowi, że może jesteś zestresowany albo coś, bo przecież nie było nikogo takiego jak pani Dodds i...

- Kiepski z ciebie kłamca, Grover.

Jego uszy poczerwieniały.

Sięgnął do kieszonki koszuli i wyciągnął z niej zabrudzoną wizytówkę

- Weź to, dobrze? Jakbyś mnie potrzebował w lecie.

Wizytówka wypisana była fantazyjną czcionką, która dla moich dyslektycznych oczu stanowiła torturę, ale w końcu udało mi się odczytać coś w tym rodzaju :

Grover Underwood  
Strażnik  
Wzgórze Herosów Long  
Island, Nowy Jork  
(800)009-0009

- Co, Wzgórze He...

- Nie wymawiaj głośno! - krzyknął. - To mój... no... adres na lato.

Serce stanęło mi w gardle. Grover miał letni dom. Nigdy nie brałem pod uwagę, że jego rodzina może być równie bogata jak innych uczniów Yancy.

- Dobra - odpowiedziałem ponuro. - To na wypadek, gdybym chciał cię odwiedzić w twojej rezydencji?

Potaknął.

- Albo... albo gdybyś mnie potrzebował.

- Po co miałbym cię potrzebować?

Wypadło to bardziej szorstko, niż zamierzałem.

Grover zaczerwienił się aż po jabłko Adama.

- Słuchaj, Percy, prawda jest taka, że ja... ja tak jakby mam się tobą opiekować.

Wlepiłem w niego wzrok.

To przecież ja przez cały rok pakowałem się w bójkę, żeby chronić go przed klasowymi osiłkami. Zamartwiałem się na śmierć, wyobrażając sobie, że jak mnie nie będzie w przyszłym roku, to w końcu go pobiją. A teraz on gada tak, jakby to on bronił mnie.

- Grover - powiedziałem - przed czym ty masz mnie chronić?

Pod kołami rozległ się paskudny zgrzyt. Z tablicy rozdzielczej uniósł się czarny dym i cały autobus wypełnił się smrodem zgniłych jajek. Kierowca zaklął i zjechał na pobocze autostrady.

Przez kilka minut grzebał w silniku, po czym oznajmił, że wszyscy muszą wysiąść.

Grover i ja wygramoliliśmy się z autobusu wraz z innymi pasażerami.

Znajdowaliśmy się na kompletnym pustkowiu - w miejscu, którego się nie zauważa, dopóki samochód czy autobus się tam nie zepsuje. Po naszej stronie autostrady nie było nic poza klonami i śmieciami wyrzucanymi z przejeżdżających samochodów. Po drugiej stronie, oddzielona od nas czterema pasami asfaltu, stała staroświecka budka z owocami, lśniąc w upalnym popołudniowym słońcu.

Owoce wyglądały zachęcająco: wielkie sterty krwistoczerwonych czereśni i jabłek, orzechy włoskie i morele, a w wypełnionej lodem staroświeckiej miednicy na nóżkach stały dzbanki z cydrem.

Nie widziałem klientów, tylko trzy stare damy w bujanych fotelach ustawionych pod klonem, robiące na drutach parę największych skarpet, jakie w życiu widziałem. Znaczący się te skarpety były wielkości swetrów, ale najwyraźniej były skarpetami.

Staruszka po prawej robiła jedną z nich, staruszka po lewej - drugą. A ta pośrodku trzymała na kolanach ogromny kosz z wściekle niebieską przedzą. Wszystkie trzy wyglądały bardzo staro: miały blade twarze, pomarszczone jak suszona śliwka, srebrne włosy związane z tyłu głowy białymi wstążkami, chude ramiona wystające spod sukni z bielonego płótna. A najdziwniejsze było to, że patrzyły chyba prosto na mnie.

Zerknąłem na Grovera, żeby coś na ten temat powiedzieć, i zobaczyłem, że krew odpłynęła z jego twarzy. Nozdrza mu drgały.

- Grover? - spytałem. - Ej, chłopie...

- Powiedz mi, że nie patrzą na ciebie. Nie patrzą, prawda?

- Owszem. Niesamowite, co? Myślisz, że te skarpety będą na mnie pasowały?

Stara kobieta siedząca w środku wzięła do ręki wielkie nożyce - złotosrebrne, o ostrzach długich jak sekator. Usłyszałem, że Grover wstrzymuje oddech.

- Wsiadamy do autobusu - powiedział. - Chodź.

- Co? - zaprotestowałem. - Ugotujemy się w środku.

- Wsiadaj! - Otworzył na siłę drzwi i wspiął się do środka, ale ja zatrzymałem się na zewnątrz.

Siedzące po drugiej stronie autostrady staruszki wciąż się we mnie wpatrywały. Ta środkowa przecięła nić i mógłbym przysiąc, że usłyszałem to cich pomimo czteropasmowego ruchu. Jej dwie towarzyszki zwinęły wściekle niebieskie skarpety, a ja dalej się zastanawiałem, dla kogo mogły je robić: Wielkiej Stopy czy Godzili.

Z tyłu autobusu kierowca wykręcił spory kawałek dymiącego metalu spod pokrywy silnika. Autobus zadrżał i silnik zaczął pracować prawidłowo.

Pasażerowie wydali okrzyk radości.

- Tak trzymać! - zawołał kierowca, uderzając w bok autobusu czapką. - Wszyscy na pokład!

Kiedy ruszyliśmy poczułem dreszcze, jakbym właśnie złapał gripę. Grover wyglądał niewiele lepiej. Trząśnięcie, aż szczękały mu zęby.

- Grover?

- No?

- Co ty przede mną ukrywasz?

Otarł czoło krótkim rękawem koszulki.

- Percy... co widziałeś w tej budce z owocami?

- Masz na myśli te staruszki? O co z nimi chodzi? One nie są jak... pani Dodds, prawda?

Wyraz jego twarzy był nieodgadniony, ale odniosłem wrażenie, że kobiety z budki z owocami były czymś znacznie, znacznie gorszym niż pani Dodds.

- Powiedz mi, co widziałeś - powtórzył Grover.

- Ta w środku wzięła nożyce i przecięła nić.

Zamknął oczy i wykonał palcami gest, który wyglądał nieco jak przeżegnanie się, ale niezupełnie. Było to coś innego, coś jakby... starszego.

- Widziałeś, jak przecinają nić?

- Tak. Bo co? - Ale mówiąc te słowa, wiedziałem, że chodzi o coś ważnego.

- To nie dzieje się naprawdę - wymamrotał Grover i zaczął ssać kciuk. - Nie chcę, żeby było tak jak poprzednio.

- Co poprzednio?

- Zawsze w szóstej. Nigdy nie wychodzą poza szóstą.

- Grover - powiedziałem, ponieważ tym razem naprawdę zacząłem się bać. - O czym ty mówisz?

- Pozwól, że cię odprowadzę do domu z dworca. Obiecasz? Wydawało mi się to trochę dziwnym żądaniem, ale zgodziłem się.

- To jakiś przesąd czy coś? - spytałem.

Nie odpowiedział.

- Grover... to przecięcie nici. Czy to oznacza, że ktoś umrze?

Spojrzał na mnie posepnie, jakby już się zastanawiał, jakie kwiaty wybrać na mój pogrzeb.

### **ROZDZIAŁ III**

#### **GROVER NIESPODZIEWANIE GUBI SPODNIE**

Muszę się przyznać: uciekłem Groverowi na dworcu autobusowym. Wiem, wiem. Uprzejme to nie było, ale po prostu spanikowałem kiedy tak patrzył na mnie i mruczał pod nosem "Dlaczego tak jest zawsze?" i "Dlaczego zawsze w szóstej klasie?".

Grover miał pewną przypadłość: ilekroć się martwił, nawalał mu pęcherz. Nie zdziwiło mnie więc, że gdy tylko wysiedliśmy z autobusu, kazał mi obiecać, że na niego zaczekam, a sam ruszył prosto do toalety. Zamiast czekać, wziąłem moją walizkę, wymknąłem się na zewnątrz i złapałem pierwszą taksówkę jadącą w kierunku domu.

- Skrzyżowanie wschodniej Sto Czwartej i Pierwszej - rzuciłem taksówkarzowi.

Słówko o mojej mamie, zanim ją przedstawię.

Nazywa się Sally Jackson i jest najwspanialszym człowiekiem pod słońcem, co tylko potwierdza moją teorię, że najwspanialszy ludzie mają największego pecha. Jej rodzice zginęli w katastrofie lotniczej, kiedy miała pięć lat, a wychowywał ją wujek, który miał ją w nosie. Chciała zostać pisarką, więc przez całą szkołę średnią pracowała, żeby zarobić na studia na uczelni, gdzie mieliby dobre zajęcia z pisarstwa. Nagle okazało się, że wujek ma raka, więc opuściła szkołę tuż przed maturą, żeby się nim zająć. Kiedy zmarł, została bez pieniędzy, bez rodziny i bez dyplomu.

*Jedyną co zdarzyło jej się dobrego w życiu, to spotkanie z moim tatą.*

Tak naprawdę to go nie pamiętam; tylko coś w rodzaju ciepłego blasku, może jakiś cień uśmiechu. Mama nie lubi o nim mówić, ponieważ robi się jej wtedy smutno. I nie ma żadnych jego zdjęć.

Bo oni nie byli małżeństwem. Powiedziała mi, że był kimś ważnym i bogatym i że trzymali swój związek w sekrecie. A pewnego dnia on popłynął w jakąś ważną podróż przez Atlantyk i nigdy nie wrócił.

Zaginał na morzu, powiedziała mama. Nie umarł. Zaginał na morzu.

Pracowała w różnych dziwnych miejscach i chodziła do wieczorowej szkoły, żeby zrobić maturę, a poza tym wychowywała mnie samotnie. Nigdy nie narzekała, nigdy się nie wściekała. Nigdy. Ale wiem, że nie miała ze mną łatwego życia.

W końcu wyszła za mąż za Gabe'a Ugliano, który wydawał się miły przez pierwsze trzydzieści sekund naszej znajomości, po czym pokazał prawdziwą twarz świra pierwszej klasy. Kiedy byłem mały przeżywałem go Śmierdzielem. Przykro mi, ale to prawda. Gość cuchnął jak spleśniała pizza zawinięta w spodenki gimnastyczne.

We dwojkę naprawdę dawaliśmy mamie w kość. To, jak śmierdził Gabe ją traktował, to jacy byliśmy dla siebie wzajemnie, dobra, mój powrót do domu to niezły przykład.

Wszedłem do naszego niewielkiego mieszkania, mając nadzieję, że mama wróciła już z pracy. Ale w pokoju siedział Śmierdziel Gabe, grając w pokera ze swoimi kolesiami. W telewizji leciał na pełny regulator jakiś program rozrywkowy. Cały dywan był zasypany chipsami i puszkami po piwie.

Gabe ledwie podniósł wzrok i rzucił, nie wyjmując cygara z ust:

- O, jesteś.

- Gdzie mama?

- W pracy - odpowiedział. - Masz jakąś kasę?

Właśnie o to chodzi. śadnego " Witaj w domu" "Miło cię widzieć", "Jak tam ostatnie pół roku?

Gabe przytył. Wyglądał jak mors bez kłów w ciuchach z taniej odzieży. Na głowie zostały mu może trzy włosy, wszystkie za-czesane w poprzek łysiny, jakby to miało mu coś pomóc na urodę.

Prowadził sklep z elektroniką w Queens, ale większość czasu spędzał w domu. Nie wiem, jakim cudem jeszcze go nie wywalili. Zajmował się wyłącznie odbieraniem wypłaty i wydawaniem jej na cygara, od których dymu robiło mi się słabo, oraz oczywiście na piwo. Zawsze piwo.. Ilekroć zjawiałem się w domu, spodziewał się, że dofinansuję jego pokerową pulę. Nazywał to naszym "męskim sekretem". Co oznaczało, że jeśli powiem mamie, pobije mnie do nieprzytomności.

- Nie mam gotówki - odpowiedziałem. Uniósł jedną z grubych brwi.

Gabe miał nosa do pomiędzy jak pies gończy, co było o tyle dziwne, że nie powinien nic czuć w smrodzie, który sam wytwarzał

- Jechałeś taksówką, z dworca autobusowego - oznajmił. - Zapłaciłeś pewnie dwudziestką. No to masz sześć albo siedem doliców reszty. Jak ktoś chce mieszkać pod tym dachem, to powinien się dokładać. Mam rację Eddie? Eddie, dozorca budynku, spojrzął na mnie z cieniem współczucia.

- daj spokój, Gabe - powiedział. - Dzieciak właśnie wrócił do domu.

- Mam rację? - powtórzył Gabe.

Eddie wbił wzrok w swoją miskę z precelkami. Pozostali dwaj faceci zgodnie beknęli.

- Dobra - powiedziałem. Wyciągnąłem zwitek dolarów z portfela i rzuciłem na stół. - Mam nadzieję, że przegrasz.

- Przyszło Twoje świadectwo, mądralo! - krzyknął za mną - Na twoim miejscu nie zadzierałbym tak nosa.

Zatrzasnąłem drzwi do mojego pokoju, który tak naprawdę nie był moim pokojem. W ciągu roku szkolnego był "pracownią" Gabe'a. Oczywiście nad niczym tam nie pracował, co najwyżej przeglądał stare czasopisma o samochodach. Uwielbiał za to wciskać wszystkie swoje ubrania do szafy, stawiać brudne buty na parapecie i robić wszystko, żeby pokój cuchnął jego paskudną wodą toaletową, cygarami i nieświeżym piwem.

Rzuciłem walizkę na łóżko. Nareszcie w domu.

Smród Gabe'a był niemal gorszy od koszmarów o pani Dodds i dźwięku, jaki wydały nożyce staruszki od owoców, kiedy przecinała nić.

Ale kiedy o nich pomyślałem, poczułem, że uginają się pode mną kolana. Przypomniałem sobie przerażony wzrok Grovera - i to, że obiecałem dać się odwieźć do domu. Nagle przeszył mnie dreszcz. Miałem wrażenie, że ktoś - coś - szuka mnie teraz, może nawet wspina się właśnie po schodach, wysuwając długie, potworne szpony.

Wtedy usłyszałem głos mamy.

-Percy?

Otwarte drzwi do pokoju i wszystkie moje lęki znikły.

Wystarczyło, żeby mama weszła do pokoju, a od razu poczułem się lepiej. Jej oczy błyszczą i zmieniają kolor w zależności od oświetlenia. Jej uśmiech jest ciepły jak porządna pierzyna. W jej brązowych włosach widać kilka srebrnych nitok, ale nigdy nie wydała mi się stara. Kiedy na mnie patrzy, to jest tak, jakby widziała we mnie tylko dobre rzeczy, a nigdy złe. Nigdy nie słyszałem, żeby podniosła głos albo była dla kogoś niemila. Nawet dla mnie czy Gabe'a.

- Och, Percy. - Przytuliła mnie mocno. - Oczom nie wierzę. Ależ urosłeś od świąt!

Jej czerwono - biało - niebieska firmowa sukienka pachniała najlepszymi rzeczami na świecie: czekoladą, lukrem i całą resztą słodczy, które sprzedawała w cukierni na Grand Central. Przyniosła mi wielką torbę " darmowych próbek" - jak zawsze kiedy wracałem do domu.

Siedliśmy razem na łóżku . Kiedy zabrałem się za kwaskowate jagodowe pałeczki, przebiegła dłonią po moich włosach i zaczęła wypytywać o wszystko, o czym nie pisałem w listach. Nawet nie wspomniała o tym, że zostałem wylany. Sprawiała wrażenie jakby wcale się tym nie przejmowała. Tylko czy wszystko u mnie w porządku? Czy jej synek dobrze się miewa?

Powiedziałem jej, że mnie udusi i żeby przestała i tak dalej, ale tak naprawdę w głębi serca byłem bardzo , bardzo szczęśliwy , że ją widzę.

Z drugiego pokoju dobiegł ryk Gabe'a.

- Hej, Sally ... Co z tą zupą fasolową, co?

Zacisnąłem zęby.

Moja mama jest najmiłą kobietą na świecie. Powinna być żoną milionera, a nie takiego świra jak Gabe.

Ze względu na nią starałem się emanować optymizmem w kwestii moich ostatnich dni w Yancy Academy. Powiedziałem jej, że wyrzucenie nie zdołowało mnie bardzo. Tym razem wytrzymałem prawie rok. Zyskałem nowych przyjaciół. Nieźle mi szło z łaciny. A prawdę mówiąc, bójkę wcale nie były aż takie straszne, jak je opisywał

dyrektor. Lubiłem Yancy Academy. Naprawdę.. Przedstawiłem ten rok tak pozytywnie, że niemal sam w to wszystko wierzyłem. Wspomnienie Grovera i pana Brunnera całkiem mnie rozłożyło. Nawet Nancy Bobofit nagle przestała być taka straszna.

Aż do wycieczki do muzeum ....

- Co się stało? - spytała mama. Świdrowała mnie wzrokiem usiłując przejrzeć moje tajemnice. - Czy coś cię przestraszyło?

- Nie, mammo.

Nie chciałem kłamać. Chciałem opowiedzieć jej o pani Dodds i trzech starszuchach z przedzą, ale pomyślałem , że głupio to zabrzmiałoby.

Zacisnęła usta. Wiedziała, że coś przed nią ukrywam, ale nie naciskała.

- Przygotowałam dla ciebie niespodziankę - powiedziała - Jedziemy na plażę.

Otworzyłem szeroko oczy.

- Do Montauk?

- Na trzy dni ... ten sam domek.

- Kiedy?

Uśmiechnęła się..

- Jak tylko się przebiorę.

Nie mogłem w to uwierzyć. Mama i ja nie byliśmy w Montauk od dwóch lat, bo Gabe twierdził, że nie mamy dość pieniędzy.

Gabe pojawił się w drzwiach.

- Gdzie zupa fasolowa, Sally? Nie słyszałaś mnie?

Miałem ochotę walnąć go pięścią w twarz, ale napotkałem wzrok mamy i zrozumiałem, że proponuje układ: bądź przez chwilę grzeczny dla Gabe'a. Dopóki ona nie będzie gotowa do wyjazdu do Montauk. Wtedy się stąd zabierzemy.

- Właśnie po nią szłam, kochanie - odpowiedziała . - Rozmawialiśmy o wycieczce.

Gabe zmrużył oczy.

- Wycieczce? Ty serio o tym myślisz?

- Wiedziałem - mruknąłem - Nie pozwoli nam jechać.

- Oczywiście, że pozwoli - odparła spokojnie mama. - Twój ojczym jedynie martwi się o pieniądze. To wszystko. Poza tym - dodała - Gabriel dostanie coś więcej niż

zupę fasolową. Zrobię mu mnóstwo pyszności na cały weekend. Cuacamole, sos śmietanowy. Pełen zestaw.

Gabe złagodniał nieco, - A więc ta kasa na wycieczkę ... to z tego, co masz na ubrania, tak?

- Tak kochanie - odpowiedziała moja mama.

- I nie będziesz jeździć nigdzie moim samochodem poza dojazdem tam i z powrotem.

- Będziemy bardzo ostrożni.

Podrapał się w podwójny podbródek.

- Może jeśli pospieszysz się z tą zupą ... I może jeśli dzieciak przeprosi z to, że przeszkodził mi w rozgrywce.

Może jeśli kopnę cię tam, gdzie boli, pomyślałem. Aż będziesz śpiewał sopranem przez cały tydzień.

Ale oczy mamy ostrzegły mnie, że nie powinienem go złościć.

Po co ona męczyła się z tym facetem? Miałem ochotę krzyknąć. Dlaczego ją obchodziło, co on sobie pomyśli.

- Przepraszam - wymamrotałem. - Bardzo mi przykro, że przeszkodziłem ci w twojej arcyważnej partii pokera. Wracaj do niej natychmiast, proszę.

Gabe zmrużył oczy. Jego mózdzek usiłował zapewne wykryć ślady sarkazmu w mojej wypowiedzi.

- Dobra, niech będzie - uznał.

I wrócił do swojej gry.

- Dziękuję, Percy - powiedziała mama - Jak już będziemy w Montauk, porozmawiamy o tym ... o wszystkim, o czym zapomniałeś mi powiedzieć, dobrze?

Przez chwilę miałem wrażenie, że dostrzegłem w jej oczach niepokój - ten sam, który widziałem u Grovera podczas podróży autobusem - jakby mama również wyczuwała ten dziwny chłód w powietrzu.

Ale na jej twarz powrócił uśmiech, uznałem więc, że mi się wydawało. Zmierzwiała mi włosy i poszła do kuchni, przygotowywać jedzenie dla Gabe'a.

Godzinę później byliśmy gotowi do wyjazdu.

Gabe przerwał partię pokera, żeby popatrzeć jak znoszę bagaż mamy do samochodu. Przez cały czas marudził i narzekał, że będzie musiał radzić sobie bez jej gotowania - i co gorsza, bez swojego camuro rocznik 1978 - przez cały weekend.

- Nie chcę widzieć ani rysy na tym samochodzie, mądralo - ostrzegł mnie, kiedy ładowałem do bagażnika ostatnią torbę. - Ani zadrapania.

Tak jakbym to ja miał prowadzić. Przecież miałem dopiero dwanaście lat. Ale dla Gabe'a było to bez znaczenia. Gdyby mewa narobiła na lakier, to i tak byłaby moja wina.

Patrząc jak wraca chwiejnym krokiem do domu, poczułem taka wściekłość, że zrobiłem coś, czego nie umiałem wyjaśnić. Kiedy mój ojczym doszedł do drzwi, powtórzyłem ten gest, który Grover wykonał w autobusie - jakiś znak odganiający zło, szponiasta ręka na moim sercu i odpychający gest w kierunku Gabe'a. Drzwi zatrzasnęły się tak mocno, że uderzyły go po tyłku i rzuciły nim na klatkę schodową, jakby był kulą armatnią. Może to była wina wiatru, a może coś się zepsuło w zawiasach - nie czekałem, żeby się dowiedzieć.

Wsiadłem do samochodu i powiedziałem mamie, żeby dodała gazu.

Nasz domek znajdował się na południowym brzegu, daleko od czubka Long Island. Było to pomalowane na pastelowe kolory niewielkie pudełko ze splewiałymi firankami, do połowy zasypany przez wydmy. W pościeli zawsze był piasek, w szafach pająki, a morze zazwyczaj było za zimne, żeby popływać.

Kochałem to miejsce.

Jeździliśmy tam, odkąd byłem całkiem mały. A mama jeszcze dawniej. Nigdy mi tego wprost nie mówiła, ale wiedziałem, że ta plaża ma dla niej specjalne znaczenie. To właśnie tam spotkała mojego tatę.

Kiedy dojeżdżaliśmy do Montauk, mama jakby młodziła, z jej twarzy znikaly lata zmartwień i pracy. A jej oczy przybierały barwę morza.

Dojechaliśmy o zachodzie słońca, otwarliśmy okna i zabraliśmy się jak zwykle za sprzątanie. Potem przeszliśmy się po plaży, karmiąc mewy niebieskimi chrupkami kukurydzianymi, pogryzając przy tym niebieskie galaretki, niebieskie ciagutki i wszystkie inne darmowe próbki, które mama przyniosła z pracy. Chyba powinienem wyjaśnić, o co chodzi z tym niebieskim jedzeniem.

Otóż Gabe powiedział kiedyś mojej mamie, że coś takiego nie istnieje. Pokłócili się, co wtedy wydawało się nieważne. Ale od tego czasu mama uparła się, żeby za wszelką cenę jeść niebieskie rzeczy. Piekla niebieskie torty na urodziny. Robiła koktajle jagodowe. Kupowała niebieskie chrupki kukurydziane i przynosiła ze sklepu wszystkie niebieskie cukierki. To - wraz z zachowaniem panieńskiego nazwiska Jackson, zamiast nazywać się panią Ugliano - stanowiło dowód, że Gabe nie pożarł jej całkowicie. Podobnie jak ja, mama miała w sobie buntowniczą żyłkę.

Kiedy zrobiło się ciemno, rozpaliliśmy ognisko. Upiekliśmy hot-dogi i pianki. Mama opowiadała mi o swoim dzieciństwie, zanim dziadkowie zginęli w katastrofie. Mówiła mi o książkach, które chciałyby kiedyś napisać - gdy będzie miała dość pieniędzy, żeby rzucić pracę w cukierni.

W końcu nabrałem odwagi, żeby spytać o to co zawsze nurtowało mnie w Montrauk - o mojego ojca. Oczy mamy zaszyły mgłą. Spodziewałem się, że usłyszę to co zawsze, ale mogłem tego słuchać bez końca.

- On był dobry, Percy - powiedziała. - Wysoki, przystojny i potężny. Ale też łagodny. To po nim masz czarne włosy i zielone oczy, wiesz?

Wyłowiała niebieską galaretkę z torby z cukierkami.

- Chciałabym, żeby cię zobaczył, Percy. Byłby z ciebie taki dumny.

Zastanawiałem się, jak mogła coś takiego powiedzieć. Co było we mnie takiego wspaniałego? Dyslektyczny, nadpobudliwy chłopak z trójkowym świadectwem, wywalony ze szkoły po raz szósty w ciągu sześciu lat.

- Ile miałem lat? - zapytałem. - To znaczy - kiedy on odszedł?

Spoglądała w płomienie.

- Był ze mną tylko przez jedno lato, Percy. Tu na tej plaży. W tym domku.

- ale przecież ... znał mnie jako niemowlę.

- Nie, kochanie. Wiedział, że spodziewam się dziecka, ale nigdy cię nie widział. Musiał odejść, zanim się urodziłeś.

Usiłowałem pogodzić to ze wspomnieniami ..., czegoś związanego z ojcem. Ciepłej poświaty. Uśmiechu.

Zawsze zakładałem, że znał mnie jako małe dziecko. Mama nigdy nie powiedziała tego wprost, ale wydawało mi się, że tak musiało być. A teraz usłyszałem, że nigdy mnie nie widział ...

Poczułem złość na ojca. Może to głupie, ale miałem mu za złe, że udał się w tę podróż przez ocean i że nie miał dość odwagi, żeby ożenić się z mamą. Opuścił nas i teraz byliśmy skazani na Śmierdziela.

- Odeślesz mnie znowu z domu? - spytałem. - Do następnej szkoły z internatem?

Wyciągnęła z ognia piankę.

- Nie wiem, kochanie. - Mówiła to z trudem. - Myślę ... myślę, że trzeba będzie coś zrobić.

- Nie chcesz mieć mnie przy sobie? - I od razu pożałowałem tych słów. W

oczach mamy wezbrały łzy. Wzięła mnie za rękę i mocno ścisnęła.

- Och, Percy, nie. Ja ... ja muszę, kochanie. Dla twojego dobra.

Muszę Cię odesłać.

Jej słowa przypomniały mi to co powiedział pan Brunner, że najlepiej dla mnie będzie jak opuszczę Yancy.

- Bo nie jestem normalny - powiedziałem.

- Mówisz to tak, jakby to było coś złego, Percy. Ale nie zdajesz sobie sprawy, jaki jesteś ważny. Myślałam, że Yancy będzie wystarczająco daleko. Myślałam, że wreszcie będziesz bezpieczny.

- Bezpieczny?

Spojrzała mi prosto w oczy, a mnie przemknęły przez myśli wspomnienia wszystkich dziwnych, przerażających rzeczy, które mi się kiedykolwiek przytrafiły, a o których wolałbym zapomnieć.

W trzeciej klasie mężczyzna w czarnym płaszczu obserwował mnie na szkolnym boisku. Nauczyciele zagrozili wezwaniem policji, więc odszedł, pomrukując pod nosem, ale nikt mi nie uwierzył, kiedy powiedziałem, że pod szerokim rondem jego kapelusza widziałem tylko jedno oko, na dodatek na samym środku czoła.

A przedtem - jedno z pierwszych wspomnień. Byłem jeszcze w przedszkolu i nauczycielka przypadkiem położyła mnie na drzemkę na łóżku, do którego wślizgnął się wąż. Mama wrzasnęła kiedy przyszła po mnie, a ja bawiłem się zwiotczalym zewłokiem gada, którego jakimś cudem zdołałem udusić pulchnymi dziecięcymi rączkami.

W każdej szkole działo się coś przyprawiającego o dreszcz, coś niebezpiecznego i musiałem się przenosić. Wiedziałem, że powinienem powiedzieć mamie o staruszkach z budki z owocami i pani Dodds w muzeum, i o moich dziwnych zwidach, że mieczem starłem nauczycielkę matematyki na proch. Ale jakoś nie mogłem się do tego zmusić. Miałem dziwne przeczucie, że to wyzwanie zakończy nasz pobyt w Montauk, a tego nie chciałem.

- Próbowałam mieć Cię jak najbliżej - powiedziała mama. - Mówili mi, że to błąd. Ale została jedna możliwość, miejsce w które chciał Cię wysłać twój ojciec. A ja ... ja po prostu nie potrafię tego zrobić.

- Ojciec chciał, żebym poszedł do szkoły specjalnej?

- Nie do szkoły - odparła łagodnie. - Na obóz letni.

W głowie mi wirowało. Dlaczego mój ojciec - który nie zaczekał nawet na moje narodziny - miałby mówić mamie cokolwiek o jakimś obozie letnim? A skoro ważne, czemu wcześniej nic o tym nie wspomniała?

- Przepraszam Percy - powiedziała, zauważając moje spojrzenie. - Ale nie potrafię o tym mówić. Ja ... ja nie jestem w stanie cię tam posłać. To może oznaczać, że pożegnamy się na zawsze.

- Na zawsze? Ale przecież to tylko obóz letni ...

Odwróciła twarz w kierunku ognia, a ja widziałem po jej minie, że jeśli zadam jeszcze jedno pytanie, rozpłacze się.

Tej nocy miałem bardzo wyrazisty sen.

Na plaży szalał sztorm, a dwoje pięknych zwierząt: biały koń i złoty orzeł, usiłowało się pozabijać wzajemnie na samym brzegu wody. Orzeł spadał z góry i wbijał wielkie szpony w głowę konia. Rumak wierzgał i kopał orła po skrzydłach. Spod ziemi drżące od ich uderzeń, rozbrzmiewał straszliwy chichot, zagrzewający zwierzęta do walki.

Biegłem ku nim wiedząc, że muszę je powstrzymać zanim się pozabijają, ale biegłem jakby w zwolnionym tempie. Wiedziałem, że nie zdążę na czas. Zobaczyłem jak orzeł nurkuje w powietrzu, celując dziobem w wielkie oczy konia i wrzasnąłem.

Nie!

I obudziłem się, podskakując w łóżku.

Na zewnątrz rzeczywiście zrobiła się burza i to taka, która łamie drzewa i rozwała domy. Na plaży nie było ani konia, ani orła, tylko wysokie na sześć metrów fale, uderzające w wydmy niczym ostrzał artyleryjski, i jasność jak za dnia od przecinających niebo błyskawic.

Mama obudziła się przy następnym grzmocie. Usiadła z otwartymi szeroko oczami i powiedziała.

- Huragan.

Wiedziałem, że to niemożliwe. Na Long Island tak wczesnym latem nigdy nie ma huraganów. Ale ocean najwyraźniej o tym zapomniał. Ponad rykiem wiatru słyszałem dalekie wycie: wściekły, udreńczony dźwięk, od którego jeżyły mi się włosy na głowie.

A następnie jakiś hałas znacznie bliżej, jakby ktoś walił drewnianym młotem w piasek. I rozpaczliwy głos - ktoś wrzeszczał, waląc pięściami o drzwi naszego domku.

Mama wyskoczyła z łóżka w koszuli nocnej i odryglowała drzwi. Na progu stał Grover na tle smug deszczu. Choć ... nie całkiem Grover.

- Szukałem Cię przez całą noc - jęknął. - Co ty sobie myślisz?

Mama spojrzała na mnie z przerażeniem. - ale nie przestraszył jej Grover, tylko powód jego wizyty.

- Percy - powiedziała, przekrzykując ulewny deszcz. - Co się stało w szkole? Czego mi nie powiedziałaś?

Stałem jak zamurowany, wpatrując się w Grovera. Nie byłem w stanie pojąć tego, co miałem przed oczami.

- *O Zeu kai alloi theoi!* - krzyknął. - To jest zaraz za mną! Czy ty jej nic nie powiedziałaś?

Zbyt byłem zaszokowany, żeby zarejestrować, że właśnie zaklął po starogrecku, a ja go bez trudu zrozumiałem. Zbyt byłem zaszokowany, żeby zastanawiać się, jak Grover się tu dostał sam w środku nocy. Wszystko dlatego, że nie miał na sobie spodni ... a tam, gdzie powinny być jego nogi ... jego nogi ...

Mama rzuciła mi poważne spojrzenie i odezwała się tonem, którego nigdy wcześniej u niej nie słyszałem.

Percy, powiedz mi co się dzieje.

Wydukałem coś o staruszkach przy budce z owocami i o pani Dodds, a mama wpatrywała się we mnie śmiertelnie błada w rozbłyskach błyskawic.

Chwyliła torebkę, rzuciła we mnie nieprzemakalną kurtkę i powiedziała:

- Wsiadać do samochodu! Obaj. Już!

Grover pobiegł w kierunku auta - ale tak naprawdę wcale nie biegł, potrząsając włochatym tyłkiem, i nagle zrozumiałem na czym polegał jego problem z mięśniami. Zrozumiałem też, dlaczego był w stanie szybko biegać, ale kulał chodząc.

Ponieważ tam, gdzie powinny być jego stopy, stóp nie było. Były tam rozdwojone kopyta.

## **ROZDZIAŁ IV**

### **MAMA UCZY MNIE WALKI Z BYKAMI**

Przedzierał się Przez ciemne wiejskie drogi po nocy. Wiatr walił wściekle w nasz samochód. Deszcz zalewał szybę. Nie miałem pojęcia, jak mama widzi cokolwiek w tych warunkach, ale nie zdejmowała nogi z gazu.

Za każdym razem kiedy błyskawica rozcinała niebo, zerkałem na siedzącego koło mnie na tylnym siedzeniu Grovera i zastanawiałem się, czy to ja zwariowałem, czy też on miał na sobie portki z włochatego dywanu. Ale nie, zapach przypominał mi przedszkolne wycieczki do małego zoo - wełna pachnąca lanoliną Zapach zmokniętego zwierzęcia na farmie.

- A więc ty i moja mama... znacie się? - To było jedyne, co przyszło mi do głowy.

Oczy Grovera powędrowały do wstecznego lusterka, choć fakt za nami nic jechał.

- Niezupełnie - odparł. - To znaczy nigdy się osobiście nie spotkaliśmy. Ale ona wiedziała, że nad tobą czuwałem.

- Czuwałaś?

- Sprawdzalem, co sie dzieje. Upewnialem sie, ze wszystko w porzadku. Ale nie udawalem twojego przyjaciela - dodal szybko. - Jestem twoim przyjacielem.

- Yyy... a czym wlasnie poza tym jestes?

- To teraz niewazne

- Niewazne? Od pasa w dol moj najlepszy kumpel jest oslem...

Grover wydal z siebie ostre, gardlowe *Bee-ee-ee!*

Juz dawniej zdarzalo mi sie slyszec ten dzwiek, ale myslalem, ze to nerwowy smiech. Teraz uswiadomilem sobie, ze

przypomina raczej pelne irytacji beczenie.

- Kozlem? - krzyknal.

- Co?

- Jestem kozlem od pasa w dol.

- Mowiles, ze niewazne. - *Bee-ee-ee!* Niektorzy satyrowie roznieiliby cię na kopytach za taka obrazę.

- Niech... zaraz. Satyrowie. Masz na myśli... tych z mitów pana Brunnera?

- Czy te staruszki w budce z owocami byly *mitem*. Percy? Albo pani Dodds?

- Przyznajesz wiec, ze pani Dodds istniala.

- Oczywiscie.

- Dlaczego wiec...

- Im mniej wiesz, tym mniej potworow przyciagasz - odpowiedzial Grover, jakby bylo to calkiem oczywiste. - Nałożyliśmy Mgłę na ludzkie oczy. Mieliśmy nadzieję, że uznasz Łaskawą za wytwór własnej wyobraźni. Ale - to nic nie dało. Zaczęłeś sobie uświadamiać, kim jesteś.

- Kim... czekaj o czym ty mówisz? Niesamowity ryk odezwał się znów za nami, tym razem bliżej. Cokolwiek nas goniło, nie zgubiło tropu.

- Percy - odezwała się mama - jest dużo do wyjaśnienia, ale mamy mało czasu. Musimy najpierw zawieźć cię w bezpieczne miejsce.

- Jak to bezpieczne? Kto mnie goni?

- Eee, nikt taki - powiedzial Grover. najwyrazniej wciaz dotkniety ta uwaga o osle.

- To tylko Pan Umarlych i kilku z jego najbardziej krwiozerczych slug.

- Gover - Przepraszam pani Jackson. Czy mogłaby pani jechać szybciej.

Usiłowałem objąć umysłem wszystko, co się działo, ale nie byłem w stanie. Wiedziałem, że to nie sen. Nie mam bujnej wyobraźni. Nie byłbym w stanie wymyślić czegoś aż tak dziwnego.

Mama skręciła w lewo. Wjechaliśmy w węższą drogę, przemykając obok pogrążonych w ciemności farm, porośniętych lasem wzgórz oraz białych płotów z tabliczkami „Zapraszamy na truskawki”.

- Dokąd jedziemy? - spytałem

- Na ten letni obóz, o którym ci mówiłam - W głosie mamy wyczuwałem napięcie: usiłowała stłumić strach ze względu na mnie. - Tam chciał cię wysłać twój ojciec.

- A ty nie chciałaś. Kochanie, proszę - powiedziała błagalnie mama - Już i tak jest mi ciężko. Spróbuj to zrozumieć. Jesteś w niebezpieczeństwie.

- Dlatego, że stare baby przecięły nić.

- To nie były jakieś stare baby - odparł Grover. - To Mojry. Zdajesz sobie sprawę, co to oznacza? To, że się przed tobą pojawiły? Robią tak tylko wtedy, kiedy masz... kiedy ktoś ma umrzeć.

- Ej. Powiedziałaś „masz”.

- Nie. Powiedziałem "ktoś ma".

- Ale miałeś na myśli "masz". Jak "ty masz".

- Miałem na myśli "masz" jak „ktoś ma”. Nie, że "ty" - ty

- Chłopcy! - skarciła nas mama.

Skręciła kierownicę ostro w prawo i dostrzegłem zarys postaci, którą w ten sposób wymięła - ciemny, niewyraźny kształt w strugach deszczu.

- Co to było? - spytałem.

- Jesteśmy prawie na miejscu - powiedziała mama, nie zwracając uwagi na moje pytanie. - Jeszcze półtora kilometra.

Proszę. Proszę. Proszę.

Nie miałem pojęcia, gdzie miało być to *na miejscu*, ale rozglądałem się niecierpliwie, marząc tylko o tym, żebyśmy już tam dojechali.

Na zewnątrz nie było nic oprócz deszczu i ciemności - typowy nijaki krajobraz okolicy czubka Long Island. Pomyślałem o pani Dodds i tej chwili, kiedy zmieniła się w stwora z ostrymi kłami i skórzastymi skrzydłami. Poczulem, że robi mi się słabo ponieważ. Ona rzeczywiście nie była człowiekiem. I chciała mnie zabić.

Pomyślałem nagle o panu Brunnerze... o mieczu, który mi rzucił. Zanim zdążyłem o to zapytać Grovera, poczułem, że przechodzą mnie ciarki. Ujrzałem oślepiający błysk, usłyszałem rozdzierające *bum!* i nasz samochód eksplodował.

Pamiętam uczucie nieważkości, jakbym jednocześnie był zgniatany, prażony i polewany wodą z węża ogrodowego.

Odkleiłem głowę od tyłu siedzenia kierowcy.

- Au- jęknąłem.

- Percy! - krzyknęła mama

Usiłowałem otrząsnąć się z otępienia. Nie umarłem. Samochód wcale nie eksplodował. Wpadliśmy do rowu. Drzwiczki po stronie pasażera wbiły się w błoto. Dach pękł niczym skorupka jajka i do środka samochodu wlewał się deszcz.

Błyskawica. To było jedyne wyjaśnienie. Uderzyła i zepchnęła nas z drogi. Obok mnie na tylnym siedzeniu leżał wielki, nieruchomy worek.

- Grover!

Osunął się na bok, a z kącika ust spływała mu strużka krwi. Potrząsnąłem nim za włochate biodro, myśląc: Nie! Nawet jeśli jesteś w połowie bydłem, to i tak jesteś moim najlepszym kumplem i nie chce, żebyś umarł!

Kiedy Grover ryknął . "Jeść"- wiedziałem, że jest nadzieja.

- Percy - powiedziała mama - musimy... - Głos jej zadrżał.

Obejrzałem się za siebie. W rozbłysku błyskawicy, przez opryskana błotem tylna szybę dostrzegłem na poboczu jakąś stąpającą ciężko w naszym kierunku postać. Na sam jej widok dostałem gęsiej skórki. Był to ciemny zarys wielkiego faceta, jakby futbolisty, który trzymał nad głową koc. Górna połowa jego ciała była zwałista i jakby rozmyta. Podniesione ręce sprawiały, że wyglądał, jakby miał rogi. Przełknąłem z trudem ślinę.

-Kto to...?

- Percy- powiedziała mama ze śmiertelną powagą. - Wsiadaj. Napała na drzwiczki po stronie kierowcy, ale były całkiem zablokowane w błocie. Spróbowałem ruszyć moje. Też bezskutecznie. Spojrzałem w desperacji na dziurę w dachu. Można by się przez nią wydostać, gdyby brzegi nie były rozżarzone i nie dymiły.

- Od strony pasażera! - zawołała mama. - Percy- musisz biec. Widzisz to wielkie drzewo?

-Co?

Kolejna błyskawica i przez dymiącą dziurę w dachu dostrzegłem to drzewo: ogromną sosnę wielkości świątecznej choinki na trawniku przed Białym Domem, rosnącą na szczycie najbliższego wzgórza.

- To granica posiadłości - powiedziała mama. - Ze wzgórza zobaczysz wielką farmę w dolinie. Biegnij i nie oglądaj się za siebie. Wołaj o pomoc. Nie zatrzymuj się, dopóki nie dobiegniesz do drzwi.

- Mamo, ty też wysiadaj.

Zwróciła pobladałą twarz w kierunku oceanu, a w jej oczach pojawił się smutek.

-Nie! - krzyknąłem. - Idziesz ze mną. I pomóż mi podnieść

Grovera.

- Jeść! - jęknął Grover, tym razem nieco głodniej.

Mężczyzna z kocem na głowie zmierzał ku nam, postępując i chrząkając. Kiedy się zbliżył, przekonałem się, że nie trzymał koca nad głową, ponieważ jego ręce - wielkie, mięsiste łapsko - zwisały się po obu stronach jego ciała. I nie było żadnego koca. To oznaczało, że ta niewyraźna zwalista masa, za wielka żeby być jego głową... była jego głową. A to, co wyglądało jak rogi...

-On nie szuka żadnego z nas - powiedziała mama.- On chce ciebie. Poza tym nie jest w stanie przekroczyć granicy posiadłości.

-Ale...

-Nie mamy czasu, Percy. Idź. Proszę.

Wściekłem się wtedy; na mamę, na kozła Crovera, na to rogate coś, co zdążyło ku nam powoli i z rozmysłem, niczym byk.

Przełazem nad Groverem i otwarłem drzwi prosto w ulewny deszcz.

- Idziemy razem. Ty też wysiądź.

- Powiedziałam ci...

- Mamo? Nie zostawię cię. Pomóż mi z Groverem.

Nie czekałem na jej odpowiedź. Wygramoliłem się na zewnątrz, ciągnąc za sobą Grovera. Był zaskakująco lekki, ale byłbym w stanie wlec go daleko bez pomocy. Zarzuciliśmy sobie rękę Grovera i na ramiona i ruszyliśmy w kierunku wzgórza, brnąc w wysokie; nad kolana w mokrej trawie. Zerknąłem do tyłu i po raz pierwszy zobaczyłem potwora wyraźniej.

Miał spokojnie dwa metry z hakiem, a jego ręce i nogi wyglądały jak z reklamy siłowni - mocno zarysowane bicepsy, tricepsy i jeszcze parę innych cepsów, wszystkie twarde jak piłka do tenisa pod skórą pokrytą siatką żył. Nie miał na sobie żadnego ubrania oprócz gaci - serio, klasycznych, śnieżnobiałych gaci! - co wyglądałoby śmiesznie, gdyby nie przerażających tors i łeb. Szorstka brązowa sierść zaczynała się w okolicy pępka i gęstniała na piersi. Kark był jedną masą mięśni i futra, z której wyrastała głowa zakończona pyskiem (długości mojej ręki) wilgotnych

nozdrzach z błyszczącym mosiężnym kółkiem, okrutnych czarnych oczach i rogach: potwornych czarno -białych rogach, ostrzejszych niż wszystko, co dotąd widziałem.

Oczywiście rozpoznałem tego potwora. Występował w jednej z pierwszych historyjek, które opowiadał nam pan Brunner. Ale przecież, on nie mógł być prawdziwy. Zamrugałem, usiłując coś dojrzeć poprzez deszcz.

-To przecież...

-Syn Pazyfae - dokończyła mama. - Szkoda, że nie wiedziałam jak bardzo chcą cię zabić.

-Ale to Mi...

-Nie wymawiaj jego imienia - ostrzegła mnie. - Imiona mają moc.

Sosna była wciąż bardzo daleko... -co najmniej sto metrów przed nami i w górę.

Obejrzałem się znowu.

Bykołak nachylał się nad samochodem, zaglądając w okna... nie, niezupełnie zaglądając. Wyglądało to raczej jak węszenie, obwąchiwanie. Zastanawiałem się, po co mu to, skoro jesteśmy zaledwie jakieś piętnaście metrów od niego.

- Jeść... jęknął Grover.

- Ciii - szepnąłem - Mamo, co on robi? Nie widzi nas?

- Ma bardzo słaby wzrok i słuch - odrzekła - Kieruje się węchem. Ale za chwilę znajdzie nasz trop.

Jakby na zawołanie bykołak wydał ryk wściekłości. Chwytał samochód Gabr'a za rozdarty dach, aż zawieszenie zaczęło trzeszczeć i zgrzytać. Uniósł samochód nad głowę i cisnął nim o drogę. Wrak uderzył w mokry asfalt i przejechał około kilometra krzesząc iskry, zanim się zatrzymał. Wtedy wybuchnął bak. "Ani zadrapania", zabrzmiał mi w uszach głos Gabe'a.

- Percy - powiedziała mama. -Jak nas zauważy, zacznij atakować. Wyczekaj jak najdłużej, a potem uskocz mu z drogi dokładnie w bok. Podczas szarży ma problemy ze zmianą kierunku. Rozumiesz?

- Skąd to wszystko wiesz?

- Spodziewałam się ataku od dawna. Powinnam była to przewidzieć. Byłam samolubna, chcąc zatrzymać cię przy sobie.

- Zatrzymać przy sobie? Przecież...

Kolejny wściekły ryk i bykołak ruszył w górę wzgórza. Wyczuł nas.

Sosna była zaledwie kilka metrów dalej, ale zbocze wzgórza robiło się coraz bardziej strome i śliskie, a Grover nie tracił na wadze.

Bykołak zbliżał się. Dzieliło nas od niego kilka sekund. Mama musiała być wyczerpana, ale objęła Grovera.

- Uciekaj, Percy! Musimy się rozdzielić! Pamiętaj, co ci powiedziałam.

Nie chciałem się rozdzielać, ale czułem, że ona ma rację - to była nasza jedyna szansa. Skoczyłem w lewo, odwróciłem się i zobaczyłem, że potwór pędzi za mną jego czarne oczy płonęły nienawiścią. Cuchnął zgniłym mięsem.

Pochylił łeb i zaszarżował, celując tymi ostrymi jak szpilki rogami prosto w moją pierś.

Strach popychał mnie do ucieczki, ale na nic by się to nie zdało. Nijak nie zdołałbym prześcignąć tego potwora. Stałem więc w miejscu i w ostatniej chwili odskoczyłem w bok.

Bykołak przemknął obok mnie jak pociąg towarowy, po czym wściekle ryknął z zawodu i obrócił się, ale tym razem skierował się w stronę mamy, która kładła właśnie Grovera na trawie.

Dotarliśmy na szczyt wzgórza. Po jego drugiej stronie rozciągała się dolina, tak jak mówiła mama, a światła farmy rzucały w ulewie żółtawą poświatę. Ale dom był niemal kilometr od nas. Nie mieliśmy szans tam dobiec.

Bykołak parsknął, ryjąc ziemię nogą. Wpatrywał się w moją mamę, która schodziła powoli po zboczu, z powrotem w kierunku drogi, usiłując odciągnąć potwora od Grovera.

- Biegnij Percy! - zawołała. Ja nie dam już rady. Biegnij!

Ale ja stałem w miejscu, skamieniały ze strachu, patrząc, jak potwór rzuca się w pogoń za nią. Usiłowała zrobić uskok, tak jak mi podpowiedziała, ale potwór też się czegoś nauczył. Szybkim ruchem wyciągnął rękę i chwycił ją za kark, kiedy usiłowała odskoczyć. Uniósł ją w górę, a ona cały czas się wrywała, wierzgała i wymachiwała pięściami.

- Mamo!

Zdołała spojrzeć mi w oczy i wykrztusić ostatnie słowo:

- Uciekaj!

W tej samej chwili potwór z wściekłym rykiem zacisnął palce na szyi mojej mamy, która rozplynęła się przed moimi oczami w światło, w migotliwy złoty kształt, jakby była tylko hologramem. Światło rozbłysło oślepiająco i... znikło.

- Nie!

Gniew zastąpił strach. Poczulem w ciele nową moc - ten sam przyływ energii co wtedy, kiedy pani Dodds wypuściła szpony.

Bykołak kierował się w stronę leżącego bezwładnie na trawie Grovera. Potwór pochylił się, obwąchując mojego najlepszego kumpla. Jakby zamierzał podnieść go w górę i również zmusić do rozplynięcia się.

Nie mogłem do tego dopuścić.

Zdjąłem czerwoną nieprzemakalną kurtkę.

- Ej! - wrzasnąłem powiewając kurtką i podbiegając do potwora z boku. - Ej, durniu! Kotlecie!

- Raaaarrrrr! - Potwór zwrócił się ku mnie, potrząsając mięsistymi pięściami.

Miałem pomysł - głupi ale lepszy niż żaden. Oparłem się plecami o wielką sosnę i powiewałem czerwoną kurtką przed oczami bykołaka. Zakładając, że uskoczę w ostatniej chwili. Ale nie udało się.

Szarżował za szybko, wyciągając ręce tak, żebym nie miał się wymknąć. Czas zwolnił bieg.

Poczułem napięcie w mięśniach nóg, Nie byłem w stanie zrobić uniku w bok, skoczyłem więc do góry, odbiłem się od głowy potwora, wykorzystując ją jak trampolinę, obróciłem się w powietrzu i wylądowałem na jego karku.

Jak to zrobiłem? Nie miałem czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Ułamek sekundy później łeb potwora uderzył w pień drzewa. a wstrząs omal nie pozbawił mnie wszystkich zębów. Bykołak zatoczył się, usiłując zrzucić mnie z karku. Zacisnąłem dłonie na jego rogach, żeby nie spaść.

Pioruny i błyskawice wciąż waliły mocno. Deszcz zalewał mi oczy. Smród zgniłego mięsa palił w nosie. Potwór skakał i potrząsał karkiem jak byk no rodeo. Mógłby po prostu oprzeć się o drzewo i zrobić ze mnie placek, ale zacząłem sobie właśnie uświadamiać, że to coś ma tylko jeden bieg: naprzód.

Grover tymczasem pojękiwał w trawie. Chciałem do niego krzyknąć, żeby się zamknął, ale gdybym otworzył usta, mógłbym jedynie odgryźć sobie język, zwłaszcza jak miotało mną na wszystkie strony.

- Jeść! - stęknął Grover.

Bykołak zakręcił w jego kierunku, ryjąc znów nogą ziemię, gotując się do kolejnego ataku. Myślałam o tym, jak wycisnąć życie z mojej mamy, sprawił, że znikła w rozbłysku światła, i poczułem, że w wściekłość wypełnia mnie niczym wysokooktynowe paliwo.

Zacisnąłem obie dłonie na jednym z rogów i pociągnąłem w tył z całej siły. Potwór wyprężył się, wydał ryk zaskoczenia, po czym - *trzask!*

Wrzasnął i wyrzucił mnie w powietrze. Wylądowałem na plecach w trawie. Kiedy potwór przepruł obok mnie, wbiłem złamany róg w jego bok, dokładnie poniżej pokrytych włochatą skórą żeber.

Zawył z bólu, machnął rękami, chwytając się za piers, po czym zaczął się rozpląwać -nie jak moja mama. w błysk złotego światła, ale w rozsypujący się piasek, porywany przez wiatr, zupełnie tak pani Dodds, kiedy wybuchła.

Potwór zniknął.

Deszcz ustał. Burza jeszcze szalała, ale już tylko w oddali. Śmierdziałem jak obora, kolana mi drżały. Miałem wrażenie, że za chwilę pęknie mi głowa. Byłem słaby, przerażony i zrozpaczony. Właśnie przed chwilą musiałem patrzeć, jak znika moja mama. Miałem ochotę położyć się na ziemi i płakać, ale Grover wciąż potrzebował mojej pomocy, więc uniosłem go i powlokłem się w dół zbocza, w kierunku światła farmy. Płakałem, wołałem mamę, ale nie puszczałem Grovera. Nie zamierzałem go opuścić.

Zapamiętałem jeszcze, jak upadam na drewnianej werandzie, widząc nad sobą wiatrak pod sufitem i ćmy krążące wokół złotego światła, i poważne twarze wyglądającego znajomo brodatego mężczyzny oraz ładnej dziewczyny, które jasne włosy układały się w loki jak u jakiejś księżniczki. Oboje wpatrywali się we mnie i dziewczyna powiedziała:

- To on. To musi być on.

- Ciszej, Annabeth - odparł mężczyzna. - Jest przytomny. Wnieśmy go do środka.

## ROZDZIAŁ V

### PARTYJKA Z KONIEM

Miałem dziwaczne sny pełne zwierząt gospodarskich. Większość z nich usiłowała mnie zabić. Pozostałe domagały się jedzenia.

Musiałem się kilka razy budzić, ale to, co słyszałem i widziałem, nie miało sensu, więc po prostu odpływałem z powrotem. Pamiętam, że leżałem na miękkim łóżku i ktoś karmił mnie łyżeczką czymś, co smakowało jak popcorn z masłem, ale było budyniem.

Dziewczyna z kręconymi jasnymi włosami nachylała się nade mną i uśmiechała pod nosem, ocierając to, co spadło mi na brodę.

- Co się stanie w letnie przesilenie? - spytała, gdy tylko zobaczyła, że mam otwarte oczy.

- Co? - zdołałem wykrztusić.

Rozejrzała się wokół, jakby bała się, że ktoś podsłucha.

- Co się dzieje? Co zostało skradzione? Zostało nam tylko kilki tygodni!

- Przepraszam - wymamrotałem. - Nie...

Ktoś zapukał do drzwi i dziewczyna natychmiast wepchnęła mi do ust pełną łyżkę budyniu.

Kiedy obudziłem się znowu, nie było jej.

W kącie pokoju stał na straży potężnie zbudowany jasnowłosy koleś, wyglądający jakby się urwał ze *Słonecznego patrolu*. Miał niebieskie oczy - co najmniej tuzin - na policzkach, czole i grzbietach dłoni.

Kiedy w końcu naprawdę odzyskałem przytomność, moje otoczenie nie wyglądało już pod żadnym względem dziwacznie - poza tym, że było znacznie ładniejsze od wszystkiego, do czego przywykłem. Siedziałem na leżaku na wielkiej werandzie, spoglądając poprzez łąkę na rysujące się w oddali wzgórza. Lekki wiaterek niósł z sobą zapach truskawek. Nogi miałem przykryte kocem, pod głową poduszkę.

Wszystko to było wspaniałe, tylko miałem wrażenie, jakby w ustach zagnieździł mi się skorpion. Język był suchy i paskudny, no i bolały mnie wszystkie zęby.

Na stojącym obok stoliku stała wysoka szklanka z jakimś napojem. Wyglądał jak zmrożony sok jabłkowy z zieloną słomką i papierową parasolką wetkniętą w wisienkę.

Byłem tak słaby, że omal nie upuściłem szklanki, gdy tylko udało mi się zacisnąć na niej palce.

- Ostrożnie - odezwał się znajomy głos.

Grover opierał się o poręcz werandy. Wyglądał jakby nie spał od tygodnia. Pod pachą trzymał pudełko na buty. Miał na sobie niebieskie dżinsy, tenisówki nad kostkę i jaskrawo-pomarańczową koszulkę z napisem OBÓZ HEROSÓW. Stary, dobry Grover.

śaden tam kozłonóg.

Może więc śniły mi się koszmary. Może z mamą wszystko w porządku. Jesteśmy na wakacjach i z jakiegoś powodu zatrzymaliśmy się w tym wielkim domu. i...

- Uratowałeś mi życie - powiedział Grover. - Więc... jedyne, co mogłem zrobić... wróciłem na wzgórze. Pomyślałem, że może będziesz chciał to zatrzymać...

Pełnym szacunku gestem położył mi pudełko po butach na kolanach.

W środku znajdował się czarno-biały krowi róg, którego podstawa wyraźnie wyglądała na wyłamana, a sam koniuszek był pobrudzony zaschniętą krwią. Więc to nie był tylko koszmarny sen.

- Minotaur - powiedziałem.

- Ekhem, Percy, to nie jest najlepszy pomysł...

- Tak go nazywają w greckich mitach, prawda? - przerwałem mu. - Minotaur. Pół człowiek, pół byk.

Grover przeniósł ciężar z jednej nogi na drugą, wyraźnie zakłopotany.

- Byłeś nieprzytomny przez dwa dni. Co pamiętasz?

- Mamę. Czy ona...?

Spuścił wzrok.

Spojrzałem na łąkę. Były tam zagajniki, kręty strumyk, grządki z truskawkami pod błękitnym niebem. Dolinę otaczały łagodne pagórki, a najwyższym z nich, dokładnie na wprost nas, był ten z wielką sosną na szczycie. Nawet ona wyglądała pięknie w promieniach słońca.

Mama nie żyła. Cały świat powinien być czarny i zimny. Nic nie powinno wyglądać ładnie.

- Tak mi przykro - pociągnął nosem Grover. - Jestem nieudacznikiem. Jestem... jestem najgorszym satyrem na świecie.

Jęknął i tupnął nogą tak mocno, że spadła. To znaczy tenisówka spadła. Jej wnętrze - z wyjątkiem dziury o kształcie kopyta - było wypełnione gąbką.

- Na Styks! - mruknął.

Przez jasne niebo przetoczył się grzmot.

Patrząc, jak Grover trzusi się, żeby wepchnąć kopyto z powrotem w tę protezę stopy, uznałem, że trzeba się z tym wreszcie pogodzić.

Mój kumpel był satyrem. Mógłbym się założyć, że gdybym zgolił mu te kędzierzawe brązowe włosy, znalazłbym na jego głowie małe różki. Byłem jednak za bardzo pogrążony w rozpacz, żeby przejmować się istnieniem satyrów, a nawet minotaurów. Ale to znaczyło, że moja mama rzeczywiście rozpułyła się w złote światło.

Byłem sam na świecie. Sierota. Będę musiał zamieszkać ze... Śmierdzielem Gabem? Nie. To wykluczone. Wolałbym żyć na ulicy. Albo udać, że mam siedemnaście lat, i wstąpić do wojska. Wszystko, tylko nie to.

Grover nadal pociągał nosem. Biedaczysko - biedny kozioł, satyr czy co tam - wyglądał, jakby spodziewał się lania.

- To nie twoja wina - powiedziałem.

- Owszem. Miałem za zadanie cię chronić.

- Czy moja mama prosiła cię, żebyś mnie chronił?

- Nie. Ale to jest moja praca. Jestem strażnikiem. A w każdym razie... byłem.
- Ale dlaczego... - Nagle poczułem się słabo i świat zawirował mi przed oczami.
- Nie przemęczaj się - powiedział Grover. - Masz.

Podał mi szklanę, podtrzymał ją i nakierował słomkę do moich ust.

Pierwszy łyk był szokiem, bo oczekiwałem smaku soku jabłkowego. Ale to nie był sok. To były ciasteczka w czekoladzie. Płynne ciasteczka. I to nie były jakie, tylko ciasteczka w niebieskiej polewie domowej roboty mojej mamy, maślane, gorące, z wciąż półpłynną polewą. Napilem się i poczułem, jak w moje ciało wstępuje energia, ciepło i dobry nastrój. Smutek nie znikł, ale czułem się tak, jakby mama właśnie pogłaskała mnie po policzku, dała cukierka tak jak wtedy, gdy byłem mały, i zapewniła, że wszystko będzie dobrze.

Nawet się nie zorientowałem, jak opróżniłem całą szklanę. Wpatrywałem się w nią, całkowicie pewny, że właśnie wypilem ciepły napój, a tym czasem kostki lodu nawet nie stopniały.

- Dobrze było? - spytał Grover.

Potaknąłem.

- Jak smakowało? - w jego głosie pobrzmiwała taka tęsknota, że poczułem się winny.

- Przepraszam - powiedziałem. - Powinienem był dać ci skosztować.

Wybałuszył na mnie oczy.

- Nie! Nie to miałem na myśli. Po prostu... byłem ciekawy.

- Jak ciasteczka w czekoladzie - odparłem. - Mojej mamy. Domowe.

Westchnął.

- I jak się teraz czujesz?

- Jakbym był w stanie pobić rekord świata w rzucie Nancy Bobofit.

- Doskonale - powiedział. - Doskonale. Myślę, że nie powinieneś ryzykować kolejnej porcji.

- Co masz na myśli?

Zabrał mi szybko pustą szklanę, jakby była odbezpieczoną bombą, i postawił ją na stoliku.

- Chodź. Chejron i Pan D. czekają.

Weranda obiegała cały dom.

Nogi miałem wciąż dość słabe, zwłaszcza jak na tak długi spacer. Grover zaproponował, że poniesie róg Minotaura, ale mu nie pozwoliłem. Zbyt wielką cenę zapłaciłem za tę pamiątkę. Nie zamierzałem nikomu jej oddawać.

Kiedy doszliśmy na tył domu, zatkało mnie.

Musieliśmy znajdować się na północnym brzegu Long Island, ponieważ po tej stronie dolina ciągnęła się aż do morza, które połyskiwało o jakieś półtora kilometra od nas. A tego, co widziałem pomiędzy domem a oceanem, po prostu nie byłem w stanie w pełni zarejestrować zmysłami.

Krajobraz wypełniały budynki jakby prosto przeniesione z książki o starożytności - pawilony wsparte na kolumnach, odeon, okrągła arena - tyle tylko, że wyglądały na całkiem nowe, a ich białe kolumny lśniły w słońcu. Niedaleko od nas grupka nastolatków i satyrów grała w siatkówkę na piaszczystym boisku. Po niewielkim jeziorku pływały kajaki.

Dzieciaki w pomarańczowych koszulkach, takich, jaką miał Grover, goniły się między domkami w lesie. Inni strzelali z łuku do celu. Jeszcze inni jeździli konno po leśnych ścieżkach i, jeśli mnie oczy nie myliły, część koni miała skrzydła.

Na końcu werandy dwaj mężczyźni siedzieli naprzeciwko siebie przy stoliku do kart.

Jasnowłosa dziewczyna, która karmiła mnie budyniem o smaku popcornu, opierała się o balustradę koło nich.

Człowiek naprzeciwko mnie był niewysoki, ale tłuściutki. Miał czerwony nos, wielkie załzawione oczy i kręcone włosy tak czarne, że niemal fioletowe. Wyglądał jak z tych obrazków z małymi aniołkami - jak to one się nazywają? Hemoglobinki? Nie, cherubinki. Ten gość przypominał cherubinka, który dorastał w slumsach.

Ubrany był w hawajską koszulę w tygrysi wzór i pasowałby doskonale do pokerowego stolika Gabe'a. Miałem jednak wrażenie, że byłby w stanie ograć nawet mojego ojczyma.

- To pan D. - mruknął do mnie Grover. - Dyrektor obozu. Bądź dla niego uprzejmy. Dziewczyna to Annabeth Chase. To tylko uczestniczka obozu, ale jest tu dłużej niż ktokolwiek inny. A Chejrona już znasz...

Wskazał na gościa, który siedział tyłem do mnie.

Najpierw uświadomiłem sobie, że siedzi na wózku. Następnie rozpoznałem tweedową marynarkę, przerzedzone brązowe włosy i postrzępioną bródkę.

- Pan Brunner! - krzyknąłem.

Mój nauczyciel łaciny odwrócił się do mnie z uśmiechem. W jego oczach czaił się ten łobuzerski ogień, który pojawiał się w nich na przykład wtedy, gdy wszystkie poprawne odpowiedzi w teście wyboru były pod B.

- Miło cię widzieć, Percy - powiedział. - Będziemy mogli zagrać na pełne talie.

Wskazał mi krzesło na prawo od Pana D., który spojrzał na mnie zaczerwienionymi oczami i westchnął głęboko.

- Och, obawiam się, że muszę to powiedzieć. Witaj na Obozie Herosów. Tyle. I nie spodziewaj się, że miło mi cię poznać.

- Yyy... dziękuję. - Odsunąłem się nieco od niego, ponieważ jeśli życie z Gabem nauczyło mnie czegokolwiek, to oceny, kiedy dorosły pociągał z kielicha. A jeśli Pan D. stronił od alkoholu, to ja byłem satyrem.

- Annabeth? - Pan Brunner zawołał jasnowłosą dziewczynę.

Podeszła i pan Brunner nas przedstawił.

- Ta młoda dama opiekowała się tobą w chorobie, Percy. Annabeth, kochanie, możesz powiadomić innych o przybyciu Percy'ego? Na razie zamieszka w domku numer jedenaście.

- Jasne, Chejronie - odpowiedziała Annabeth.

Była mniej więcej moim wieku, może tylko trochę wyższa i zdecydowanie lepiej zbudowana. Z mocną opalenizną i jasnymi lokami wyglądała niemal jak serialowi dziewczyna z Kalifornii, ale oczy burzyły ten obraz. Były zdumiewająco szare, jak chmury burzowe; ładne, ale też nieco przerażające. Jakby ich właścicielka przez cały czas zastanawiała się, jak mnie pokonać w walce.

Zerknęła na róg, który trzymałem, i na mnie. Wyobrażałem sobie, że zaraz powie: *Zabiłeś Minotaura!* Albo: *Jesteś niesamowity!* Albo coś w tym rodzaju. Ona jednak powiedziała co innego:

- Ślinisz się przez sen.

Po czym popędziła przez łąkę, a jej jasne włosy powiewały za nią.

- Ekhem - odezwałem się, marząc tylko o tym, żeby zmienić temat. - Pan tu pracuje, panie Brunner?

- Tylko nie „panie Brunner” - powiedział były pan Brunner. - To był pseudonim. Możesz nazywać mnie Chejronem.

- Dobrze. - W całkowitym zmieszaniu spojrzałem na dyrektora. A Pan D. - czy to coś oznacza?

Pan D. przestał tasować karty i rzucił mi takie spojrzenie, jakbym właśnie głośno beknął.

- Młody człowieku, imiona to poważna sprawa. Nie należy rzucać nimi na lewo i prawo bez potrzeby.

- Och. Oczywiście. Przepraszam.

- Muszę przyznać, Percy - wtrącił się Chejron - Brunner- cieszę się, że żyjesz. Dawno już nie udzielałem indywidualnych lekcji potencjalnemu uczestnikowi obozu. Byłoby mi przykro, gdyby miało się okazać, że zmarnowałem ten czas.

- Indywidualnych lekcji?

- Pracowałem w Yancy Academy specjalnie dla ciebie. W większości szkół mamy oczywiście satyrów, żeby mieli na wszystko oko. Ale Grover skontaktował się ze mną, jak tylko cię spotkał. Wyczuł, że jesteś specjalny, więc postanowiłem udać się do tej szkoły. Musiałem przekonać poprzedniego nauczyciela, że... że potrzebuje urlopu.

Usiłowałem przywołać w pamięci początek roku szkolnego. Miałem wrażenie, że było to wieki temu, ale jak przez mgłę przypomiinałem sobie, że w pierwszym tygodniu w Yancy mieliśmy łacinę z kimś innym. A potem ten ktoś znikł bez wyjaśnienia i pojawił się pan Brunner.

- Przyjechał pan do Yancy tylko po to, żeby mnie uczyć? - spytałem.

Chejron potaknął.

- Szczerze mówiąc, na początku wcale nie byłem co do ciebie pewny.

Skontaktowaliśmy się z twoją mamą, powiadomiliśmy ją, że mamy cię na oku na wypadek, gdybyś był gotowy na Obóz Herosów. Ale musiałeś się jeszcze bardzo dużo nauczyć. W każdym razie dotarłeś tu żywy, a to zawsze jest pierwszy test.

- Grover - wtrącił się niecierpliwie Pan D. - zagrasz czy nie?

- Oczywiście, proszę pana! - Grover trząsł się, siadając na czwartym krześle, i nie rozumiałem, dlaczego tak bał się małego pękatego kolesia w hawajskiej koszuli w tygrysie pręgi.

- A ty umiesz grać w remika? - Pan D. spojrzał na mnie spode łba.

- Obawiam się, że nie - odpowiedziałem.

- Obawiam się, że nie, proszę pana.

- Proszę pana - powtórzyłem, czując, że coraz mniej lubię dyrektora obozu.

- Dobra - oznajmił - jeśli nie liczyć walk gladiatorów i Pac-Mana, jest to najwspanialsza gra, jaką wymyśliła ludzkość. Wydawałoby się, że wszyscy cywilizowani młodzieńcy powinni znać jej reguły.

- Jestem pewny, że chłopak się nauczy - odparł Chejron.

- Proszę - odezwałem się - możecie mi powiedzieć, co to za miejsce? I co ja tu

robię? Panie Brun... Chejronie... dlaczego przyjechał pan do Yancy Academy, żeby mnie uczyć?

Pan D. parsknął.

- Też sobie zadaję to pytanie.

Dyrektor obozu rozdał karty. Grover wzdrygał się za każdym razem, kiedy dostawał swoją.

Chejron uśmiechnął się do mnie pocieszająco, zupełnie jak na lekcjach łaciny, jakby chciał mi powiedzieć, że niezależnie od ocen i tak *jestem* jego ulubieńcem. I oczekuje ode mnie poprawnej odpowiedzi.

- Percy - powiedział - czy twoja mama nic ci nie mówiła?

- Mówiła... - Przypomniałem sobie jej smutne oczy wpatrzone w morze. - Powiedziała mi, że boi się mnie tu przysyłać, mimo że chciał tego mój ojciec. Powiedziała, że jak raz się tu znajdę, to pewnie nigdy się nie wydostanę. A ona chciała mnie mieć przy sobie.

- Typowe - wtrącił Pan D. - Dlatego właśnie zazwyczaj giną. Młody człowieku, wykładasz czy nie?

- Śe co? - spytałem.

Niecierpliwie streścił mi zasady gry, więc zacząłem zbierać kolor.

- Obawiam się, że trzeba ci będzie dużo wyjaśnić - powiedział Chejron. - Nasz film instruktażowy to może być za mało.

- Program wstępny? - spytałem.

- Nie - oznajmił Chejron. - Dobra, Percy. Wiesz już, że twój przyjaciel Grover jest satyrem. Wiesz - wskazał na róg leżący w pudełku po butach - że zabiłeś Minotaura. To nie byle co, chłopcze. Być może natomiast nie wiesz, że w twoim życiu działają potężne siły. Bogowie... potęgi, które nazywasz greckimi bogami, są jak najbardziej prawdziwe.

Gapilem się na moich towarzyszy przy stoliku. Czekałem na jakiś krzyk protestu, ale rozległ się jedynie wrzask Pana D.

- O! Joker! Ha, ha! - Zagdakał, wyłożył karty i zapisał sobie punkty.

- Panie D. - odezwał się nieśmiało Grover - skoro nie je pan tej puszki, czy mógłbym ją wziąć?

- Co? Ach, jasne.

Grover odgryzł kawałek pustej aluminiowej puszki po dietetycznej coli i żuł go żałośnie.

- Przepraszam - zwróciłem się do Chejrona. - Więc mówi pan, że istnieje coś takiego jak Bóg.

- Chwila, chwila - odpowiedział Chejron. - Bóg - przez duże B, Bóg. To zupełnie inna sprawa. Nie będziemy się zajmować metafizyką.

- Metafizyką? Przecież właśnie mówił pan...

- Ach, o bogach, liczba mnoga, potężne istoty odpowiedzialne za siły natury i ludzkie czyny: nieśmiertelni Olimpijczycy. To zupełnie inna sprawa.

- Inna?

- Całkowicie. Bogowie, o których rozmawialiśmy na lekcjach łaciny.

- Zeus - powiedziałem. - Hera. Apollo. Ma pan na myśli tych wszystkich?

Znów w oddali rozległ się grzmot pomimo bezchmurnego nieba.

- Młody człowieku - powiedział Pan D. - Na twoim miejscu naprawdę nie rzucałbym tych imion na wiatr.

- Ale to tylko opowieści - odparłem. - To znaczy... mity... które wyjaśniają błyskawice i pory roku, i tak dalej. Ludzie w to wierzyli, zanim powstała nauka.

- Nauka! - zadrwił Pan D. - powiedz no mi, Perseuszu Jacksonie - wzdrygnąłem się, słysząc swoje pełne imię, którego nigdy nikomu nie zdradziłem - co pomyślą ludzie o twojej „nauce” za dwa tysiące lat? - ciągnął Pan D. - Hmm? Nazwą ją prymitywnymi bredniami. Ot co. Och, jak ja kocham śmiertelników - są całkowicie pozbawieni perspektywy. Wydaje im się, że tyyye osiągnęli. A jak to jest naprawdę, Chejronie? Spójrz na tego chłopaka i powiedz mi.

Nie czułem sympatii do Pana D., ale w tym, jak nazwał mnie śmiertelnikiem, było coś, co sugerowało, że... on sam nim nie był. Wystarczyło, żeby ścisnąć mnie za gardło oraz wyjaśnić, czemu Grover tak pilnie wpatruje się w swoje karty, żuje puszkę po coli i trzyma głowę na kłódce.

- Percy - powiedział Chejron - możesz w to wierzyć lub nie, ale fakt jest taki: *nieśmiertelny* znaczy nieśmiertelny. Możesz sobie wyobrazić kogoś, kto nigdy nie umiera? Nigdy się nie starzeje? Istnieje, tak jak ty teraz, przez cały czas?

Miałem ochotę odpowiedzieć bez zastanowienia, że całkiem nieźle to brzmi, ale coś w tonie Chejrona mnie powstrzymało.

- To znaczy, niezależnie od tego, czy ludzie w niego wierzą, czy nie? - zapytałem.

- Właśnie - potaknął Chejron. - jakbyś się czuł na miejscu bogów, gdyby nazywano cię mitem, starą bajką służącą do wyjaśnienia, skąd biorą się błyskawice? Jakbyś się czuł, Perseuszu Jacksonie, gdybym ci powiedział, że pewnego dnia ludzie nazwą ciebie mitem, wymyślonym po to, żeby wyjaśnić, jak mali chłopcy radzą sobie ze stratą matki?

Serce waliło mi jak młotem. Z jakichś powodów usiłował wyprowadzić mnie z równowagi, ale nie zamierzałem mu na to pozwolić.

- Nie podobałoby mi się to - odpowiedziałem. - Ale i tak nie wierzę w bogów.  
- Lepiej uwierz - mruknął Pan D. - Zanim któryś z nich spali cię na popiół.  
- Pro... proszę - odezwał się Grover - proszę pana. On właśnie stracił matkę. Jest w szoku.

- A poza tym miał również szczęście - odparł zrzędlawie Pan D., wyrzucając kartę. - Jak dla mnie wystarczy, że skazali mnie na tę okropną pracę z dziećmi, które nawet nie wierzą!

Machnął ręką i na stole pojawił się puchar - jakby słońce pochyliło się na moment i utkało szkło z powietrza. Puchar nappełnił się sam czerwonym winem. Szczeka mi opadła, ale Chejron nawet nie drgnął.

- Panie D. - rzekł ostrzegawczo - zakaz.

Pan D. spojrział na wino z udawanym zaskoczeniem.

- Niech mnie. - Podniósł oczy ku niebu i wrzasnął. - Stare nawyki! Przepraszam!

Kolejny grzmot.

Pan D. machnął ponownie ręką i puchar z winem zamienił się w nową puszkę dietetycznej coli. Westchnął żałośnie, otworzył puszkę i wrócił do kart.

Chejron mrugnął do mnie porozumiewawczo.

- Pan D. obraził jakiś czas temu swojego ojca, interesując się leśną nimfą, którabyła zakazana.

- Leśną nimfą - powtórzyłem, nie mogąc oderwać wzroku od coli, która jakby przybyła tu z kosmosu.

- Owszem - przyznał Pan D. - Ojciec uwielbia mnie karać. Najpierw prohibicja. Koszmar! Potworna dekada! Potem... no, ona była naprawdę ładna, nie mogłem się powstrzymać... w każdym razie za drugim razem zesłał mnie tutaj. Wzgórze Herosów. Obóz letni dla takich łobuzów jak ty. „Postaraj się poprawić” - powiedział. - „Pracuj z młodzieżą, zamiast rozrywać ją na strzępy”. Ha! Co za niesprawiedliwość.

Pan D. mówił jak sześciolatek, jak obrażone dziecko.

- A... - wyjąkałem - pana ojcem jest...

- *Di immortales*, Chejronie! - wykrzyknął Pan D. - Myślałem, że nauczyłeś go przynajmniej podstaw. Moim ojcem jest oczywiście Zeus.

Przebiegłem w pamięci imiona zaczynające się na D w greckiej mitologii. Wino. Tygrysia skóra. Ci najwyraźniej pracujący tu satyrowie. Zachowanie Grovera, jakby Pan D. był jego panem.

- Jest pan Dionizosem - powiedziałem. - Bogiem wina.

Pan D. przewrócił oczami.

- Jak się teraz mówi, Grover? Czy dzieciaki mówią „no, raczej!”?

- Ta... tak, Panie D.

- No to, Percy Jacksonie: raczej jestem! A myślałeś, że kim - Afrodytą?

- Jest pan bogiem.

- Owszem, dziecko.

- Bogiem, Pan.

Odwrócił się i wbił we mnie wzrok, a ja dostrzegłem w jego oczach coś jak ciemny ogień: sugestię, że ten marudny, pękaty człowieczek pokazuje mi zaledwie małą cząstkę swojej prawdziwej natury. Ujrzałem wizję winorośli duszącej na śmierć niedowiarków i pijanych wojowników w szale bitewnym, usłyszałem krzyki żeglarzy, których ręce zmieniały się w płetwy, a twarze wydłużały w pyski delfinów.

Wiedziałem, że jeśli doprowadzę Pana D. do ostateczności, to pokaże mi znacznie gorsze rzeczy. Wprawi mnie w obłęd, który zapewni mi resztę życia w kaftanie bezpieczeństwa i pokoju bez klamek.

- Masz ochotę poddać mnie próbie, dziecko? - spytał cicho.

- Nie. Nie, proszę pana.

Płomień przygasł nieco. Pan D. spojrzął w karty.

- Chyba wygrałem.

- Niezupełnie, Panie D. - odparł Chejron. Wyłożył cztery króle i podliczył punkty. - To ja wygrałem.

Miałem wrażenie, że Pan D. wyparuje Chejrona wraz z jego wózkiem, ale on tylko westchnął pod nosem, jakby przywykł do przegrywania z nauczycielem łaciny. Wstał, a Grover podniósł się jak na komendę.

- Jestem zmęczony - oznajmił Pan D. - Prześpię się chyba przed wieczornymi śpiewami. Ale najpierw, Groverze, musimy porozmawiać - znowu - o twoich mniej niż zadowalających wynikach podczas wykonywania zadania. Twarz Grovera pokryła się potem.

- Ta... tak, proszę pana.

Pan D. zwrócił się do mnie.

- Domek numer jedenaście, Percy Jacksonie. I zachowuj się jak należy.

Wmaszerował do domu, a za nim poczłapał nieszczęsny Grover.

- Czy jemu nic się nie stanie? - spytałem Chejrona.

Chejron pokręcił głową, choć wyglądał, jakby się czymś martwił.

- Stary Dionizos nie jest wcale szalony. On po prostu nienawidzi tej pracy. Ma... Jak wy to mówicie? Szlaban? I nie jest w stanie wytrzymać kolejnego stulecia, które go dzieli od powrotu na Olimp.

- Olimp - powtórzyłem. - Twierdzi pan, że tam naprawdę jest jakiś pałac?

- No cóż, w Grecji jest rzeczywiście góra o nazwie Olimp. A poza tym istnieje siedziba bogów, punkt, w którym zbiegają się ich moce, i kiedyś znajdował się on rzeczywiście na Olimpie. Ludzie wciąż nazywają to miejsce Olimpem z szacunku dla dawnych czasów, ale pałac przemieszcza się, Percy, razem z bogami.

- To znaczy, że greccy bogowie są teraz tutaj? Znaczący... w Ameryce?

- Niewątpliwie. Bogowie przemieszczają się za sercem Zachodu.

- Za czym?

- Za tym, Percy, co nazywamy „zachodnią cywilizacją”. Daj spokój, myślisz, że to tylko abstrakcja? Nie, to potężna siła. Zbiorowa świadomość, która świeci jasno od tysięcy lat. Bogowie są jej częścią. Można nawet powiedzieć, że jej źródłem, a przynajmniej są z nią tak mocno związani, że nie mogą osłabnąć, chyba że cała cywilizacja Zachodu uległaby zniszczeniu. Ten ogień zapłonął w Grecji. Potem, jak wiesz - a przynajmniej mam nadzieję, że wiesz, ponieważ chodziłeś na moje lekcje - jego serce przeniosło się, wraz z bogami, do Rzymu. No, mieli tam trochę inne imiona: Jupiter zamiast Zeusa, Wenus jako Afrodyta i tak dalej, ale to te same siły, ci sami bogowie.

- A potem umarli.

- Umarli? Nie. Czy Zachód umarł? Bogowie po prostu przenieśli się na chwilę do Niemiec, Francji, Hiszpanii. Tam, gdzie płomień jest najjaśniejszy, są i bogowie. Kilka stuleci spędzili w Anglii. Wystarczy spojrzeć na architekturę. Ludzie nie zapomnieli o bogach. Wszędzie, gdzie rządili przez ostatnie trzy tysiące lat, można ich zobaczyć na obrazach, rzeźbach, ważnych budynkach. Tak, Percy, teraz są oni w twoich Stanach Zjednoczonych. Spójrz na posąg Prometeusza przed Rockefeller Center, na greckie fasady budynków rządowych w Waszyngtonie. Spróbuj znaleźć jedno amerykańskie miasto, w którym bogowie olimpijscy nie znajdują się na ważnym miejscu. Czy ci się to podoba, czy nie - a wierz mi, wielu ludziom Rzym też się nie podobał - Ameryka jest teraz sercem tego płomienia. Wielką potęgą Zachodu. Olimp zatem przeniósł się tutaj. My też jesteśmy tutaj.

Było tego za dużo, w dodatku poczułem, że i mnie obejmuje to Chejronowe my, jakbym został członkiem jakiegoś klubu.

- Kim pan jest, Chejronie? Kim... kim ja jestem?

Chejron się uśmiechnął. Poruszył się tak, jakby zamierzał wstać ze swojego wózka, ale wiedziałem, że to niemożliwe. Był od pasa w dół sparaliżowany.

- Kim jesteśmy? - powtórzył w zamyśleniu.

- Cóż, wszyscy pragniemy poznać odpowiedź na to pytanie, nieprawdaż? Ale póki co musimy zająć się twoim mieszkaniem w domku numer jedenaście. Musisz poznać nowych kolegów. I będziesz miał dużo nauki. A poza tym dziś na ognisku będą pieczone kiełbaski, a ja je po prostu uwielbiam.

To mówiąc, zaczął się podnosić z wózka. W dość dziwny sposób. Plec spadł z jego kolan, choć nogi się nie poruszyły. Za to jego tors zaczął się wydłużać ponad talią. Z początku myślałem, że ma na sobie bardzo długi biały frotowy szlafrok, ale kiedy tak się podniósł z tego wózka, wyraźnie wyższy od zwykłego człowieka, uświadomiłem sobie, że frotowy szlafrok nie jest wcale ubraniem. Widziałem tors zwierzęcia, którego mięśnie i ścięgna rysowały się pod skórą pokrytą szorstką sierścią. A wózek wcale nie był inwalidzki. Przypominał raczej kontener, ogromną skrzynię na kółkach, musiał być magiczny, ponieważ nijak nie miał prawa pomieścić całego ciała Chejrona.

Pojawiła się długa noga z guzowatym kolanem i wielkim błyszczącym kopytem. Potem druga noga, a następnie tylne części ciała i w końcu skrzynia była pusta. Metalowa skorupa z przyczepionymi sztucznymi ludzkimi nogami.

Gapiłem się na konia, który wyskoczył z wózka. Na wielkiego białego ogiera. Tam jednak, gdzie powinna być jego szyja, znajdowało się ciało mojego nauczyciela łaciny, przechodzące gładko w koński tors.

- Co za ulga - powiedział centaur. - Siedziałem tam wciśnięty tak długo, że moje pięciny całkiem zdrętwiały. Chodź, Percy Jacksonie, zapoznasz się z kolegami.

## **Rozdział VI NAJWYŚSZY WŁADCA**

### **ŁAZIENKI**

Jak już przyzwyczailem się do tego, że mój nauczyciel łaciny jest koniem, odbyliśmy miłą przechadzkę, choć uważałem żeby nie zejść go od tyłu. Zdarzyło mi się kiedyś sprzątać po paradzie z okazji Dnia Dziękczynienia i przykro mi, ale nie ufałem zadkowi Chejrona, aż tak jak jego przodowi.

Minęliśmy boisko do siatkówki. Kilku obozowiczów trąciło się na nasz widok łokciami. Jeden wskazał na niesiony przeze mnie róg Minotaura. Inny powiedział „To on”.

Uczestnicy byli w większości starsi ode mnie. Towarzyszący im satyrowie byli więksi od Grovera i wszyscy biegali w pomarańczowych koszulkach z napisem OBÓZ HEROSÓW i bez niczego na włochatych tyłkach. Nie jestem szczególnie nie-

śmiały, ale to, jak na mnie patrzyli, trochę mnie peszyło. Jakby spodziewali się, że zrobię salto albo co.

Spojrzałem za siebie na dom. Był znacznie większy, niż mi się wydawało - miał cztery piętra pomalowane na niebiesko z białymi wykończeniami, jak w eleganckim kurorcie nadmorskim. Przyglądałem się chorągiewce w kształcie mosiężnego Orła na dachu, kiedy coś przyciągnęło mój wzrok: jakiś cień w najwyższym położonym oknie ozdobnego poddasza. Coś przez ułamek sekundy poruszyło firankami i poczułem się tak, jakbym bym był obserwowany.

- Co jest tam na górze? - spytałem Chejrona.

Powędrował wzrokiem we wskazanym kierunku i uśmiech na jego twarzy przygał

- Strych

- Ktoś tam był.

- Nie - odpowiedział tonem kończącym rozmowę - Nie ma tam żywej duszy

Czułem, że mówi prawdę. Ale miałem również pewność, że coś poruszyło firankę.

- Chodź, Percy - powiedział Chejron, a jego beztroski ton zdawał się teraz nieco wymuszony. - Mamy mnóstwo do zobaczenia.

Ruszyliśmy przez pola truskawek, gdzie dzieciaki zbierały owoce do koszyków, a satyr przygrywał na piszczałce.

Chejron powiedział mi, że obóz sprzedaje truskawki do nowojorskich restauracji i na górę Olimp.

- Pokrywa to nasze wydatki - wyjaśnił - a truskawki uprawia się niemal bez wysiłku.

Dodał, że Pan D. wywiera szczególny wpływ na rośliny owocujące: zupełnie szaleją, gdy tylko jest w pobliżu. Najlepiej to działa na winorośl, ale ponieważ ma zakaz jej uprawy, prze-rzucili się na truskawki.

Przyglądałem się grającemu na piszczałce satyrowi. Jego melodia sprawiała, że szkodniki wносиły się z grządek w pośpiechu, jak ludzie z płonących domów. Intrygowało mnie, czy Grover też umie robić takie sztuczki z muzyką. Zastanawiałem się również, czy mój kumpel jest nadal w domu, w szponach Pana D.

- Grover nie będzie miał poważnych kłopotów, prawda? - zapytałem Chejrona. - Bo... on był dobrym opiekunem. Naprawdę.

Chejron westchnął. Zdjął tweedową marynarkę i zarzucił ją sobie na koński grzbiet jak derkę.

- Grover ma wielkie ambicje, Percy. Może i większe, niż nakazywałby rozsadek. Aby osiągnąć swój cel musi najpierw wykazać się wielką odwagą; wypełnić obowiązki strażnika, znajdując nowego kandydata i doprowadzając go bezpiecznie na Wzgórze Herosów.

- Przecież on to zrobił!

- Mógłbym się z tobą zgodzić - powiedział Chejron. - Ale nie do mnie należy osąd. Decyzje podejma Dionizos i Rada Starszych Kopytnych. Obawiam się, że oni mogą nie uznać tej misji za udaną. Grover zgubił cię przecież w Nowym Jorku. A potem to nieszczęście... Los, który spotkał twoją matkę Na dodatek Grover był nieprzytomny, kiedy przeciągnąłeś go na teren obozu. Rada może mieć wątpliwości, czy to stanowi jakikolwiek dowód jego odwagi.

Chciałem zaprotestować. Nic z tego, co się wydarzyło, nie było winą Giovera. Na dodatek miałem naprawdę solidne wyrzuty sumienia. Gdybym nie wymknął się Groverowi na dworcu autobusowym, może nie narobiłbym mu kłopotów.

- On dostanie drugą szansę, prawda ?

Chejron skrzywił się nieznacznie.

- To była druga szansa Giovera, Percy. Rada niechętnie zgodziła się powierzyć mu kolejną misję po tym, co się stało przy poprzedniej, pięć lat temu. Olimp świadkiem, że radziłem mu żeby jeszcze zaczekał, zanim spróbuje ponownie. Jest ciągle bardzo mały jak na swój wiek...

-Ile on ma lat?

-Och, dwadzieścia osiem

- Co? I ciągle w szóstej klasie?

-Satyrowie dorastają znacznie wolniej niż ludzie, Percy. Grover od sześciu lat jest w wieku gimnazjalisty.

- To okropne.

- Poniekąd - przytaknął Chejron. - W każdym razie Grover dojrzewa powoli, nawet jak na satyra, a leśna magia nie jest jego mocną stroną.. Niestety uparł się, żeby realizować swoje ambicje. Może lepiej mu się powiedzie w czymś innym...

- To nie w porządku - oznajmiłem.. Co się stało za pierwszym razem? Było aż tak źle?

Chejron szybko odwrócił wzrok

- Chodźmy dalej, dobrze?

Ja jednak nie zamierzałem tak łatwo odpuścić. Coś przyszło mi do głowy, kiedy Chejron wspomniał los mojej mamy -miałem wrażenie, że celowo unikał użycia słowa śmierć. W moich myślach zaczęła tlić się małeńka iskierka nadziei.

- Chejronie - oderwałem się. - Skoro bogowie i Olimp, no wie pan. to wszystko jest prawdziwe..

-Tak, dziecko?

- Czy to oznacza, że Podziemie też istnieje? Przez twarz Chejrona przeniknął cień.

-Tak, dziecko. - Urwał, jakby liczył się z każdym słowem. - Istnieje miejsce, w które udają się duchy po śmierci. Ale na razie, dopóki nie dowiemy się czegoś więcej... wolałbym, żebyś przestał o tym myśleć.

- Co to znaczy "dopóki nie dowiemy się czegoś więcej"?

-Chodź. Percy. Zajrzemy do lasu.

Kiedy podeszliśmy bliżej, przekonałem się, że las jest ogromny. Zajmował przynajmniej ćwierć doliny, a jego drzewa były tak wysokie i miały tak grube pnie, że zapewne nikt się tam nie zapuszczał od czasów Indian.

- Lasy są pełne, jeśli chcesz popробować szczęścia, ale bądź uzbrojony. - Pełne czego?

- spytałem. - Uzbrojony w co?

- Zahaczysz. W piątek będzie zdobywanie sztandaru. Masz własny miecz i tarczę?

- Własny ...

- Nie masz - powiedział. - Oczywiście, że nie. Rozmiar pięć powinien pasować. Zajrzę później do zbrojowni.

Chciałem zapytać, co to za obóz letni, że ma zbrojownię, ale miałem zbyt wiele innych spraw na głowie, a Chejron się zatrzymywał. Odwiedziliśmy strzelnicę, staw z kajakami, stajnie (za którymi Chejron wyraźnie nie przepadał), boisko do rzutu oszczepem, odeon, w którym odbywały się śpiewy i arenę gdzie organizowano walki na miecze i włócznie.

- Walki na miecze i włócznie? - zapytałem.

- Rywalizacja między domkami i tak dalej - wyjaśnił - Nie na śmierć i życie. Zazwyczaj. O, a to jest kantyna.

Wskazał na pawilon otoczony białymi greckimi kolumnami. znajdujący się na wzgórzu z widokiem na morze. Stało w nim kilkanaście kamiennych stolików. Nie było dachu ani ścian.

- Co się dzieje kiedy pada?

Chejron spojrzał na mnie takim wzrokiem, jakby mi odbiło

- Wtedy też jemy, to chyba oczywiste? Uznałem, że lepiej zostawić ten temat.

Na koniec zaprowadził mnie do domków. Było ich dwanaście. Ustawiono je na skraju lasu w pobliżu jeziora w kształt litery U dwa u podstawy i po pięć na ramionach. Stanowiły niewątpliwie zbiór najdziwniejszych budynków, jakie kiedykolwiek widziałem.

Poza tym, że każdy z nich miał nad drzwiami mosiężną tabliczkę z numerem (parzyste stały po prawej, nieparzyste po lewej stronie), różniło je w sumie wszystko.

Numer dziewięć miał kominy niczym maleńka fabryka. Po ścianie czwórki pięły się pomidory, a na dachu był prawdziwy trawnik. Siódemka jak odlana w całości ze złota, które świeciło w słońcu tak oślepiająco, że ciężko było patrzeć.

Drzwi wszystkich wychodziły na placyk wielkości boiska do piłki nożnej, usiany greckimi posągami, fontannami i klombami, między którymi ustawiono kilka koszy do koszykówki. To przynajmniej było bardziej swojskie.

W samym środku tego placu znajdowało się wielkie obmurowane palenisko. Mimo że było ciepło popołudnie, tlił się w nim płomień. Mniej więcej dziewięcioletnia dziewczynka podtrzymywała żar, przewracając węgielki patykiem.

Dwa stojące pośrodku domki z numerami jeden i dwa wyglądały jak bliźniacze mauzolea pary małżeńskiej: wielkie białe marmurowe skrzynie z ciężkimi kolumnami na przodzie. Jedyńka była największym domkiem ze wszystkich. Jej drzwi z wypolerowanego spiżu błyszczały jak hologram, na którym krzyżowały się biegnące z różnych stron błyskawice. Dwójka była nieco zgrabniejsza, miała smuklejsze kolumny obwieszane girlandami z owoców granatu i kwiatów. Na ścianach wyrzeźbiono pawie.

- Zeus i Hera? - domyśliłem się.

-Zgadza się- odpowiedział Chejron.

-Te domki wyglądają na niezamieszkane.

-To prawda, jest parę pustych. W jedyńce i dwójce nikt nie mieszka.

Dobra. Każdy z domków ma innego boga zamiast maskotki. Dwanaście domków jak dwunastu Olimpijczyków. Ale dla-czego niektóre są puste?

Stanąłem przed pierwszym z domków po lewej, oznakowanym numerem trzy.

Nie był tak wysoki i efektowny jak jedyńka, za to długi i masywny. Zewnętrzne ściany miał z chropowatego szarego kamienia, z którego wystawały kawałki muszelek i koralowców.

Jakby płyty kamienne zostały wyrwane prosto z dna morza.

Zajrzałem w otwarte drzwi, na co Chejron powiedział:

- Nie radzę!

Zanim jednak zdołał mnie powstrzymać, poczułem zapach wnętrza, słony jak wiatr na wybrzeżu w Mootauk. Wewnątrz ściany błyszczały masą perłową. Stało tam sześć prostych łóżek z jedwabną pościelą, ale nie wyglądało na to, żeby kiedykolwiek ktoś w nich spał. To miejsce wyglądało na tak smutne i opuszczone, że nie zmartwiłem się, gdy Chejron położył mi rękę na ramieniu.

- Chodź Percy - powiedział

W większości pozostałych domków zastałem lokatorów. Piątka była jaskrawoczerwona - naprawdę okropna robota, jakby ktoś wylewał farbę wiadrem i rozcierał rękami. Przez dach biegł drut kolczasty. Nad drzwiami wisiał wypchany łeb dzika, który zdawał się wodzić za mną oczami.

W środku zobaczyłem gromadkę groźnie wyglądających wyrostków, dziewczyn i chłopaków, siłujących się na rękę i wyklócających przy dźwiękach głośnej muzyki. Najgłośniejsza była dziewczyna w wieku trzynastu, może czternastu lat. Miała na sobie koszulkę z napisem OBÓZ HEROSÓW rozmiaru XXXL oraz wojskową kurtkę. Skierowała na mnie wzrok i posłała mi szydery uśmiezek. Na jej Widok przypomniła mi się Nancy Bobofit, tyle że ta tutaj była o niej znacznie wyższa i bardziej przypakowana, a długie, gęste włosy miała brązowe a nie rude.

Poszedłem dalej, trzymając się z daleka od kopyt Chejrona.

- Nie widzieliśmy żadnych innych centaurów - zauważyłem

-Nie - odparł ze smutkiem Chejron - Mój ród jest zbyt dziki i barbarzyński. Masz szansę natknąć się na nich gdzieś w dzicy albo na wielkich imprezach sportowych. Ale tu ich nie ma.

- Pan ma na imię Chejron. Czy Co znaczy, że jest pan naprawdę ...

Uśmiechnął się do mnie.

- Tym Chejronem z opowieści? Wychowawcą Achillesa i tak dalej?

- Tak, Percy, to ja.

- Ale przecież powinien pan nie żyć?

Chejron zatrzymał się na moment jakby zainteresowało go to pytanie.

- Szczerze mówiąc, nie wiem, co powinienem. Prawda jednak jest taka, że nie mogę nie żyć. Widzisz, wiele tysięcy lat temu bogowie spełnili moje życzenie. Mogę dalej wykonywać pracę, którą kocham. Mogę wychowywać herosów, dopóki ludzkość będzie mnie potrzebować. Wiele zyskałem na tym życzeniu ... ale wielu rzeczy musiałem się wyrzec. Niemniej wciąż żyję, ale to zapewne oznacza, że jestem nadal potrzebny. Zastanowiłem się, jak to jest być nauczycielem od trzech tysięcy lat. Nie sądzę, żeby miało to szansę trafić na moją osobistą listę największych marzeń.

- Nie nudzi to pana?

- Nie, nie - odpowiedział - Bywa strasznie frustrujące, ale nigdy nudne. - Dlaczego frustrujące?

Chejron jakby znów stracił na chwilę słuch.

- Och, spójrz no - powiedział. - Annabeth czeka na nas.

Jasnowłosa dziewczyna, którą poznałem w Wielkim Domu czytała książkę przed ostatnim domkiem po lewej, oznaczonym jedenastką. Kiedy do niej podszedłem

obrzuciła mnie krytycznym spojrzeniem, jakby wciąż zajmowało ją to, jak bardzo się ślinię.

Usiłowałem podejrzeć, co czytała, ale nie byłem w stanie odszyfrować tytułu. Uznałem, że to zapewne wina mojej dysleksji.

Po czym uświadomiłem sobie, że to nie jest po naszymu. Nawet litery nie były normalne. Chwila ... to przecież były greckie litery. Na okładce widziałem poza tym obrazki Świątyń, posągów i różnych rodzajów kolumn, zupełnie tak w jakimś podręczniku architektury.

- Annabeth - powiedział Chejron - mam w południe trening łucznictwa. Zajmiesz się Percym?

- Jasne, Chejronie

- Domek numer jedenaście - zwrócił się do mnie Chejron wskazując na wejście. - Rozgość się.

Ze wszystkich tych budowli jedenastka najbardziej przypominała stary dobry domek letni - zwłaszcza pod względem starości. Próg był zdeptany, brązowa farba odchodziła gdzieś od ścian. Nad drzwiami widniał ten apteczny symbol: skrzydlaty kijek z dwoma węzami. Jakże się to nazywało? Aha, kaduceusz.

W środku było tłoczno, znów zarówno dziewczyny, jak i chłopaki. Było ich znacznie więcej niż łóżek. Wszędzie na podłodze stały plecaki. Wyglądało to jak sala gimnastyczna, w której Czerwony Krzyż urządził ośrodek dla uchodźców.

Chejron nie wszedł do środka: drzwi były dla niego dużo za niskie. Ale kiedy obozowicze go zobaczyli, wszyscy wstali i ukłonili się z szacunkiem.

- Doskonale - powiedział centaur. - Powodzenia, Percy. Widzimy się wieczorem.

I pogalopowałem w kierunku strzelnicy. Stałem w drzwiach, gapiąc się na moich nowych kolegów, którzy zdążyli się już wyprostować i taksowali mnie wzrokiem. Znałem to doskonale. Zaliczyłem sporo szkół.

- No? - odezwała się Annabeth. - Może wejdiesz?

Zgodnie z przewidywaniem potknąłem się na progu i zrobiłem z siebie kompletnego idiotę. Niektórzy z obozowiczów skwitowali to parsknięciem, ale nikt nic nie powiedział.

- Percy Jacksonie, witaj w domku jedenaście! - powiedziała uroczyście Annabeth.

- Zwyczajny czy nieokreślony? - spytał ktoś. Nie miałem pojęcia, co na to odpowiedzieć, ale wyręczyła mnie Annabeth.

- Nieokreślony.

Rozległo się powszechne westchnienie. Przed grupę wyszedł nieco starszy od pozostałych chłopak.

-No już, spokojnie. Po to tu właśnie jesteście. Witaj, Percy. Możesz zająć to miejsce na podłodze, o tam.

Chłopak mógł mieć dziewiętnaście lat i wyglądał na całkiem fajnego. Był wysoki, dobrze zbudowany, miał krótko ostrzyżone, jasne włosy i sympatyczny uśmiech. Nosił pomarańczową koszulkę, szorty, sandały i rzemyk z pięcioma glinianymi paciorkami w różnych kolorach. Jedynym niepokojącym elementem jego fizjonomii była szeroka biała blizna, przecinająca prawy policzek od dolnej powieki po szczękę. Wyglądała jak po cięciu nożem

-To jest Luke - powiedziała Annabeth, a jej głos brzmiał teraz inaczej. Zerknąłem na nią i założyłbym się, że się zarumieniła. Dostrzegła mój wzrok i się wyprostowała.

- Będzie na razie twoim grupowym.

- Na razie?

- Jesteś nieokreślony - wyjaśnił cierpliwie Luke. - W jedenastce przyjmujemy wszystkich nowych i wszystkich gości. To oczywiste, przecież naszym patronem jest Hermes, bóg podróżników.

Spojrzałem na przydzielony mi kawałek podłogi. Nie miałem nic co mógłbym tam położyć, żeby oznaczyć to miejsce jako moje. Nie miałem bagażu, ubrań, śpiwora. Tylko róg Minotaura.

Już miałem postawić tam pudełko, ale przypomniałem sobie, że Hermed jest również bogiem złodziei.

Rozejrzałem się po twarzach moich nowych kolegów. Niektórzy mieli poważne i podejrzliwe miny, inni uśmiechali się głupkowato, kilku przyglądało mi się tak, jakby tylko czekali żeby zwędrzać mi coś z kieszeni.

- Jak długo tu zostanę? - spytałem.

- Dobrze pytanie - odparł Luke. - Dopóki nie będziesz określony.

-A ile to trwa? Roześmiali się.

- Wiesz co - powiedziała Annabeth. - Może pokażę Ci boisko do siatkówki.

- Już je widziałem.

- Chodź, mówię.

Chwyciła mnie za rękę i wyciągnęła na zewnątrz. Słyszałem jak pozostali śmieją się za moimi plecami.

Kiedy odeszliśmy nieco dalej Annabeth zwróciła się do mnie.

- Musisz zacząć sobie radzić, Jackson.

-śe co?

Przewróciła oczami.

- Nie wierzę, że wydawało mi się, że to ty nim jesteś - mruknęła pod nosem
- O co ci chodzi? - Zaczynało mnie to złościć. - Wiem tyle że zabiłem jakiegoś bykołaka...
- Nie mów tak! - przerwała mi. - Czy wiesz, ile dzieciaków z tego obozu marzy o takiej okazji?
- żeby dać się zabić?
- żeby walczyć z Minotaurem! Jak myślisz, do czego nas tu szkołą?

Potrząsnąłem głową.

- Słuchaj, jeśli to coś, z czym walczyłem, naprawdę było tym Minotaurem, tym z opowieści ...
- Tak.
- W takim razie jest tylko jeden
- Tak.
- I on zginał jakiś tryliard lat temu, nie? Tezeusz zabił go w labiryncie. Więc...
- Percy, potwory nie umierają. Można je zabić. Ale one nie umierają.
- Dzięki za wyjaśnienie. Teraz już wszystko rozumiem.
- Nie mają duszy jak ty czy ja. Można je na chwilę rozproszyć, czasem nawet na dość długo, jeśli się ma szczęście, Ale są pierwotne siły, Chejron nazywa je archetypami. I w końcu się odtwarzają.

Pomyślałem o pani Dodds.

- Czyli że jeśli przypadkiem zabiłem któregoś z nich, mieczem...
- Ery... to znaczy, twoją nauczycielkę matematyki?
- Zgadza się.
- Ona nadal istnieje. Ty ją tylko bardzo, ale to bardzo wkurzyłeś.
- Skąd wiesz o pani Dodds?
- Gadałeś przez sen.
- Zaczęłaś nazywać ją inaczej. Erynią? To są oprawczynie w Hadesie, prawda?

Annabeth zerknęła nerwowo w dół jakby spodziewała się, że ziemia się rozstąpi, żeby ją pochłoniąć.

- Nie powinieneś nazywać ich po imieniu, nawet tutaj. Nazywamy je Łaskawymi, jeśli musimy o nich mówić.

- Słuchaj, czy istnieje cokolwiek o czym możemy mówić tak, żeby nie wywoływało to grzmotów? - Mój głos brzmiał żałośnie, sam to słyszałem, ale było mi to obojętne. - I dlaczego muszę mieszkać w jedenastce? W innych domkach jest mnóstwo pustych łóżek.

Wskazałem kilka domków z brzegu, a Annabeth pobladła.

-Nie wybiera się domku, Percy. To zależy od tego, kim są twoi rodzice. Albo ... jedno z nich.

Wpatrywała się we mnie, czekając, aż zrozumie

- Moją mamą jest Sally Jackson - odpowiedziałem - Pracuje w cukierni na dworcu Grand Central .W każdym razie tak kiedyś było.

- Bardzo mi przykro z powodu twojej mamy, Percy. Ale nie o nią mi chodzi Mówię o twoim drugim rodzicu. Twoim tacie.

-Nie żyje. Nigdy go nie znałem.

Annabeth westchnęła. Najwyraźniej nie byłem pierwszym dzieckiem, z którym odbywała tę rozmowę,

- Twój ojciec nie umarł, Percy.

- Skąd wiesz? Znasz go?

- Nie. oczywiście, że nie.

- W takim razie, skąd ta pewność ...

- Ponieważ znam ciebie. Nie trafiłbyś tutaj, gdybyś nie był jednym z nas.

- Nic o mnie nie wiesz.

- Nie? - Uniosła jedną brew. - Założę się, że często zmieniałeś szkoły. Co więcej, zazwyczaj cię z nich wyrzucali.

- Skąd ...

- Stwierdzili u ciebie dysleksję. Może także ADHD. Usiłowałem jakoś zatuszować wstyd.

.- A co to ma do rzeczy?

- Wszystko to razem stanowi niemal pewny znak. Litery jakby wypływają z kartek, kiedy czytasz? To dlatego, że twój umysł jest zaprogramowany na starożytną grekę. A ADHD-jesteś wybuchowy, nie potrafisz usiedzieć w klasie. To odruchy bitewne. Mogą ci uratować życie w prawdziwej walce. A jeśli chodzi o problemy z koncentracją to po prostu dlatego, że widzisz za dużo, Percy, nie za mało. Masz

bardziej wyczulone zmysły niż zwykły śmiertelnik. Oczywiście nauczyciele chcieliby to leczyć. Większość z nich to potwory. Nie chcą żebyś zobaczył ich prawdziwą naturę.

- Mówisz, jakbyś... Ty też przez to przeszedłeś?

- Większość dzieciaków tutaj przez to przeszła. Gdybyś nie był jednym z nas, nie dałbyś rady Minotaurowi, nie mówiąc już o przeżyciu ambrozji i nektaru.

- Ambrozji i nektaru.

- To, co dostawałeś do jedzenia i picia, żeby wyzdrowieć. To wszystko zabiłoby cię, gdybyś był zwykłym dzieckiem. Zmieniłoby ci krew w ogień, a kości w piasek i byłbyś trupem Spójrz prawdzie w oczy. Jesteś herosem.

Heros.

Tyle pytań cisnęło mi się na usta, że nie wiedziałem od którego zacząć.

Nagle skądś dobiegło nas głośne wołanie.

- Ej! Nowy!

Spojrzałem w kierunku, z którego dochodził głos. Ku nam zmierzała ta wysoka z brzydkiego czerwonego domku. Za nią szły trzy inne dziewczyny, wszystkie mocno zbudowane, nieładne i chyba wredne. I wszystkie ubrane w moro.

- Clarisse - westchnęła Annabeth. - Może byś poszła wyczyścić włócznię albo coś?

- Pójdę, Księżniczko - odparła wysoka dziewczyna. - Muszę mieć czym cię przeszyć w piątek wieczorem.

- *Erre es korakas!* - odpowiedziała jej Annabeth a ja jakimś cudem zrozumiałem, że znaczyło to po grecku - "idź do kruków", aczkolwiek miałem wrażenie, że to gorsze przekleństwo, niż by się wydawało.

- Nie masz szans.

- Zetrzemy cię na proch - powiedziała Clarisse, ale jej oczy uciekały nieco w bok. Może nie była pewna, czy spełni tę groźbę.

- Co to za chuchro?

- Percy Jacksonie - oznajmiła Annabeth - poznaj Clarisse, córkę Aresa.

Zamrugalem.

- Znaczy... boga wojny? Clarisse zaśmiała się pogardliwie. - Coś ci się nie podoba?

- Nie - odpowiedziałem, odzyskując rozum. - Ale tłumaczy ten smród.

Clarisse warknęła.

- Nowi muszą przejść przez rytuał inicjacyjny, Persiu.
- Percy.
- Wszystko jedno Chodź, pokażę ci.
- Clarisse— zaczęła Annabeth. -Nie wtrącaj się, mądralo.

Annabeth sprawiała wrażenie urażonej, ale nie wtrącała się, a ja wcale nie chciałem jej pomocy. Byłem nowy. Musiałem zapracować na reputację.

Podąłem Annabeth mój róg Minotaura i szykowałem się do walki, ale zanim się zorientowałem, Clarisse trzymała mnie za kark i ciągnęła w kierunku budynku z szarego kamienia, który już z daleka wyglądał na łazienki.

Kopałem i waliłem ją pięściami, bo w końcu biłem się niejedną raz w życiu, ale Clarisse miała żelazny uchwyt. Zawlekła mnie do łazienek dla dziewczyn. Po jednej stronie był tam szereg kabin toaletowych, po drugiej prysznic. Zapach przypominał publiczne szalety, a ja myślałem - o ile mogłem myśleć w miażdżącym uścisku Clarisse - że skoro to miejsce należy do bogów, to mogliby się postarać o bardziej eleganckie kible. Przyjaciółki Clarisse ryczały ze śmiechu, a ja usiłowałem odnaleźć w sobie tę siłę, którą odkryłem podczas walki z Minotaurem, ale nie byłem w stanie.

- To ma być niby kandydat do "Wielkiej Trójki"? - powiedziała szyderczo Clarisse, popychając mnie do jednej z kabin.

- Już to widzę. Minotaur pewnie padł ze śmiechu na jego widok.

Jej towarzyszki zachichotały złośliwie. Annabeth stanęła w kącie, zerkając ukradkiem przez palce. Clarisse zmusiła mnie do ukłęknięcia i zaczęła mi wpychać głowę do miski klozetowej. Śmierdziało tam rdzą, a poza tym zwyczajnie kibelem, Usiłowałem utrzymać twarz w górze. Patrzyłem na brudną wodę, powtarzając sobie, że nie dam nura. Nie dam.

I wtedy coś się stało. Poczułem, jakby coś mnie skręciło w żołądku. Usłyszałem ryk w rurach, aż kabina zadrżała. Uchwyt Clarisse nieco zelżał. Z klozetu wystrzelił słup wody, wyginając się w łuk nad moją głową, a zaraz potem leżałem na posadzce, a koło mnie darła się Clarisse.

Odwróciłem się na czas, żeby zobaczyć kolejną falę wody wystrzelającą z muszli i uderzającą Clarisse w twarz tak mocno, że upadła na tyłek. Strumień wody zatrzymał się na niej, jakby ktoś wycelował w nią ogrodowego węża, popychając ją w kierunku pryszniców.

Walczyła, chwytając powietrze, a jej przyjaciółki rzuciły się jej na pomoc. W tej samej chwili wszystkie pozostałe toalety wystrzeliły strugami wody i sześć strumieni zatrzymało dziewczyny w miejscu. Prysznicze też się ożywiły, a wszystkie te zjednoczone siły wody wypchnęły w końcu bojowe dziewczyny z łazienki, jak fala morskie śmieci na brzeg.

Jak tylko znalazły się poza łazienką, poczułem, że ten węzeł w moim żołądku rozluźnia się, a woda jak na komendę prze-stała płynąć.

Łazienka była całkowicie zalana, woda nie oszczędziła nawet Annabeth, którą zmoczyło, ale nie wymiotło na zewnątrz. Stała w tym samym miejscu, gdzie wcześniej, wpatrując się we mnie ze zdumieniem.

Spojrzałem wokół siebie i zorientowałem się, że siedzę w jedynym suchym miejscu w całym pomieszczeniu. wokół mnie był okrąg suchej posadzki Na moje ubranie nie spadła ani jedna kropla wody. Nic.

Wstałem, czując, że nogi mi się trzęsą.

- Jak ty to ... - odezwała się Annabeth.

- Nie wiem.

Podeszliśmy do drzwi. Na zewnątrz Clarisse i jej przyjaciółki leżały w błocie, a wokół nich zgromadzili się gapię. Włosy Clarisse przykleiły się do jej twarzy. Kurtka ociekała cuchnącą wodą.

Dziewczyna posłała mi nienawistne spojrzenie

- Już nie żyjesz, chłoptasiu. Jesteś trupem.

Zapewne powinienem był sobie odpuścić, ale nie wytrzymałem.

- Chcesz jeszcze łyk wody z kibla, Clarisse? Nie? To się zamknij.

Jej przyjaciółki musiały ją powstrzymać. Pociągnęły ją w stronę piątki, a przeglądający się obozowicze ustępowali miejsca, żeby nie oberwać kopniaka.

Annabeth nie przestawała się na mnie gapić. Nie miałem pojęcia, czy jest tylko obrzydzona, czy też wściekła na mnie za to, że ją oblałem.

- Co? - zapytałem buńczucznie. - O czym tak myślisz?

- Myślę - odpowiedziała - że chcę cię w swoim zespole na zdobywanie sztandaru.

## **ROZDZIAŁ VII MÓJ OBIAD**

### **IDZIE Z DYMEM**

Wieści o łazienkowym incydencie rozeszły się lotem błyskawicy. Gdziekolwiek się udałem, obozowicze wskazywali mi palcem i mruzczyli coś o wodzie klozetowej. A może po prostu gapił się na Annabeth, która wyglądała bardzo ładnie, nawet ociekając wodą.

Pokazała mi jeszcze kilka miejsc: kuźnię, gdzie dzieciaki wykuwały własne miecze, pracownię plastyczną, gdzie satyrowie polerowali piaskiem marmurowy posąg kozłonoga, ściankę wspinaczkową składającą się z dwóch stojących naprzeciw siebie

skął, które okropnie się trzęsły, rzucały kamieniami, pluły lawą i uderzały w siebie z trzaskiem, jeśli nie wspięło się dość szybko na górę. W końcu wróciliśmy nad jezioro, skąd prowadziła do domków ścieżka.

- Muszę się pouczyć - oznajmiła chłodno Annabeth. - Obiad jest o siódmej trzydzieści. Idź jeść razem z innymi.

- Annabeth, przepraszam za toalety.

- Daj spokój.

- To nie była moja wina.

Spojrzała na mnie z powątpiewaniem i uświadomiłem sobie, że to *była* moja wina. To ja sprawiłem, że woda trysnęła ze wszystkich urządzeń łazienkowych. Nie rozumiałem, jak to się stało, ale kanalizacja jakoś na mnie zareagowała. Może powinienem zostać hydraulikiem.

- Powinieneś porozmawiać z Wyrocznią - powiedziała Annabeth.

- Z kim?

- Nie z kim. Z czym. Wyrocznią. Pogadam z Chejronem.

Wbiłem wzrok w tafłę wody, marząc o tym, żeby ktoś wreszcie udzielił mi zrozumiałej odpowiedzi.

Nie spodziewałem się, żeby na dnie jeziora był ktokolwiek zdolny odwzajemnić moje spojrzenie, więc aż podskoczyłem, kiedy dostrzegłem dwie nastolatki siedzące po turecku przy słupach podtrzymujących pomost, jakieś dwadzieścia stóp pod wodą. Miały na sobie niebieskie dżinsy i jaskrawozielone podkoszulki, brązowe włosy unosiły się wokół ich ramion, a wszędzie dookoła śmigły niewielkie rybki. Dziewczyny uśmiechnęły się i pomachały do mnie, jakbym był dawno nie widzianym kumplem.

Nie miałem pojęcia, co mam zrobić, więc pomachałem im w odpowiedzi.

- Nie zachęcaj ich - ostrzegła mnie Annabeth. - Najady to okropne flirciary.

- Najady - powtórzyłem, czując się kompletnie ogłupiały. - Wystarczy. Chcę do domu.

Annabeth zmarszczyła czoło.

- Czy ty nic nie rozumiesz, Percy? *Ty jesteś* w domu. To jedyne na ziemi bezpieczne miejsce dla dzieci takich jak my.

- Masz na myśli dzieci z zaburzeniami umysłowymi?

- Mam na myśli *nie-ludzkie* dzieci. W każdym razie niezupełnie ludzkie. W połowie ludzkie.

- W połowie ludzkie, a w połowie co?

- Myślę, że wiesz.

Nie chciałem się do tego przyznawać, ale chyba rzeczywiście wiedziałem. Czułem takie dziwne dreszcze, jak wtedy, kiedy mama mówiła o tacie.

- Bogowie - powiedziałem. - W połowie jesteśmy bogami.  
Annabeth kiwnęła głową.

- Twój ojciec nie umarł, Percy. Jest jednym z Olimpijczyków.

- To... wariactwo.

- Doprawdy? Co najczęściej robią bogowie w tych starych opowieściach? Bez przerwy zakochują się w śmiertelnikach i mają z nimi dzieci. Myślisz, że w ciągu ostatnich tysiącleci zmienili obyczaje?

- Ale to są tylko... - Omal nie powiedziałem znowu *mity*. Ale przypomniało mi się ostrzeżenie Chejrona, że za dwa tysiące *lat ja* sam mogę być uważany za mit. -Ale skoro wszystkie te dzieciaki tutaj są w połowie bogami...

- Półbogami, jeśli już - poprawił mnie Annabeth. - Herosami. To oficjalny termin. Albo istotami półkrwi.

- A kto jest twoim tatą?

Zacisnęła palce na balustradzie pomostu. Odniosłem wrażenie, że właśnie wkroczyłem na grząski grunt.

- Mój ojciec jest wykładowcą w West Point - odparła. - Nie widziałam go, od dzieciństwa. Uczy historii Stanów Zjednoczonych.

- Jest człowiekiem.

- Œe co? Myślałaś, że to tylko bogowie interesują się śmiertelnikami? Co za seksizm!

- Kto w takim razie jest twoją mamą?

- Domek sześć.

- Czyli?

Annabeth wyprostowała się.

- Atena, bogini mądrości i wojny. Okej, pomyślałem. Niech jej będzie.

- A moim tatą?

- Nie wiadomo - odpowiedziała. - Mówiłam ci, że jesteś nieokreślony. Nikt nie wie.

- Z wyjątkiem mojej mamy. Ona wiedziała.

- Może nie, Percy. Bogowie nie zawsze ujawniają swoją tożsamość.

- Mój ojciec by ujawnił. On ją kochał.

Annabeth zerknęła na mnie ukradkiem. Najwyraźniej nie chciała niszczyć moich złudzeń.

- Może masz rację. Może on da jakiś znak. To jedyny sposób, żeby poznać prawdę: rodzic musi przysłać jakiś znak, uznać cię za swoje dziecko. Czasem to się zdarza.

- Znaczy, że czasami nie?

Annabeth przebiegła palcami po balustradzie.

- Bogowie są zajęci. Mają mnóstwo dzieci i nie zawsze... wiesz, czasami wcale się nami nie przejmują, Percy. Mają nas w nosie.

Przypomnieli mi się niektórzy obozowicze, których widziałem w domku Hermesa. Przygnębieni, sfrustrowani nastolatki. Jakby czekali na telefon, który nigdy nie dzwoni. Znałem takich w Yancy Academy, wypchniętych do szkoły z internatem przez bogatych rodziców, którzy nie mieli dla nich czasu. Bogowie powinni zachowywać się lepiej.

- Czyli utkwilem tu na dobre? - zapytałem. - Tak? Na resztę życia?

- To zależy - odpowiedziała Annabeth. - Niektórzy spędzają tu tylko lato. Jeśli jesteś dzieckiem Afrodyty albo Demeter, to zapewne nie jesteś jakoś szczególnie potężny. Potwory mogą cię omijać, więc czasem wystarczy kilka miesięcy treningu w lecie, żeby przeżyć resztę roku w świecie śmiertelników. Ale dla niektórych z nas opuszczenie obozu byłoby zbyt niebezpieczne. Zostajmy tu na cały rok. Na zewnątrz przyciągalibyśmy potwory. One nas wyczuwają. Przychodzą, żeby z nami walczyć. Zazwyczaj nie przejmują się nami, dopóki nie dorosniemy na tyle, żeby sprawiać kłopoty - to znaczy do jakichś dziesięciu, jedenastu lat. Ale potem większość herosów albo dostaje się tutaj, albo ginie. Nielicznym udaje się przeżyć w świecie śmiertelników i zazwyczaj zostają sławni. Uwierz mi, znasz większość nazwisk, które mogłabym wymienić. Niektórzy nawet nie zdają sobie sprawy, że są półbogami. Ale tych jest bardzo mało.

- Potwory nie mogą się tu dostać?

Annabeth pokręciła przecząco głową.

- Nie. Chyba że ktoś je celowo wstawi do lasu albo wezwie w specjalny sposób.

- Po co ktoś miałby wzywać potwora?

- Dla treningu. Albo dla żartu.

- żartu?

- Chodzi o to, że granice są tak zabezpieczone, żeby nie wpuszczać do środka śmiertelników ani potworów. Ludzie patrzący z zewnątrz nie zobaczą w tej dolinie nic szczególnego: kolejna plantacja truskawek.

- A ty... jesteś całoroczna?

Annabeth potaknęła. Wyciągnęła spod swojej koszulki rzemienny naszyjnik z pięcioma glinianymi paciorkami w różnych kolorach. Wyglądał tak samo jak Luke'a, ale Annabeth miała nanizany na rzemyk również złoty pierścień, trochę taki, jakie dają absolwentom na niektórych uczelniach.

- Jestem tutaj, odkąd skończyłam siedem lat - odpowiedziała. - Zawsze w sierpniu, w ostatnim dniu letniego trymestru, dostajesz paciorek za przeżycie kolejnego roku. Jestem tu dłużej niż większość grupowych, a oni wszyscy są starsi.

- Czemu przyjechałaś tak wcześniej? Zacisnęła palce na pierścionku.

- Nie twoja sprawa.

- Aha. - Przez chwilę staliśmy w niezręcznym milczeniu. - Więc... mógłbym sobie stąd pójść w tej chwili, gdybym miał ochotę?

- Byłoby to samobójstwem, ale tak, za zgodą Pana D. albo Chejrona. Tylko że oni nie dadzą ci zgody do końca letniego trymestru, chyba że...

- Chyba że?

- Wyślą cię na misję. Ale to rzadko się zdarza. Ostatnim razem... Umilkła. Z jej tonu wynioskowałem, że ostatnim razem coś nie poszło dobrze.

- Jak byłem chory - powiedziałem - a ty karmiłaś mnie tym budyniem...

- Ambrozją.

- Niech będzie. Pytałaś mnie o przesilenie letnie. Wyprostowała się.

- A więc ty coś *wiesz*?

- No... właściwie nic. Jeszcze w szkole podsłuchałem, jak Grover i Chejron rozmawiali o mnie. I Grover wspomniał coś o letnim przesileniu. Powiedział coś w tym stylu, że nie mamy dużo czasu, bo to jest ostateczny termin. Co to znaczyło?

Zacisnęła pięści.

- Też chciałabym wiedzieć. Chejron i satyrowie wiedzą, ale nie chcą mi nic powiedzieć. Coś niedobrego dzieje się na Olimpie, coś bardzo niedobrego. Jak tam byłam ostatnio, wszystko wydawało się całkiem *normalne*.

- Byłaś na Olimpie?

- My, kilkoro całorocznych - Luke, Clarisse, ja i jeszcze kilka osób - jeździmy tam na wycieczkę w zimowe przesilenie. To czas wielkiej narady bogów.

- A... jak się tam dostajecie?

- Koleją z Long Island, oczywiście. Wysiada się na Penn Stadion. Idzie do Empire State Building, a potem windą na sześćsetne piętro. - Spojrzała na mnie takim wzrokiem, jakbym miał to wiedzieć. - *Ty jesteś z Nowego Jorku, prawda?*

- Oczywiście. - Moja wiedza ograniczała się wprawdzie do tego, że Empire State Building ma sto dwa piętra, ale postanowiłem to przemilczeć.

- Tuż po naszej wizycie - ciągnęła Annabeth - pogoda zrobiła się dziwna, jakby bogowie zaczęli bić się między sobą. Kilka razy podsłuchałam rozmowy satyrów. Ale wszystko, czego udało mi się domyślić, to że coś zostało ukradzione. I jeśli nie zostanie zwrócone do przesilenia letniego, to będzie kłopot. Kiedy przybyłeś, miałam nadzieję... To znaczy Atena jest w niezłych stosunkach z prawie wszystkimi z wyjątkiem Aresa. No i oczywiście ciągle rywalizuje z Posejdonem. Ale to nieistotne, myślałam, że będziemy współpracować. Myślałam, że ty coś wiesz.

Pokręciłem przecząco głową. Bardzo chciałem jej pomóc, ale byłem głodny, zmęczony i w głowie mi się kręciło tak, że nie miałem nawet siły zadawać kolejnych pytań.

- Muszę dostać misję - mruknęła Annabeth pod nosem. - Nie jestem za młoda. Gdyby tylko powiedzieli mi, o co chodzi...

Poczułem dochodzący z niedaleka zapach grilla. Annabeth musiała usłyszeć, że burczy mi w brzuchu. Powiedziała, żebym już szedł, a ona dołączy do mnie później. Zostawiłem ją na pomoście, wodzącą palcem po balustradzie, jakby szkicowała plan bitwy.

Wróciłem do domku numer jedenaście, gdzie wszyscy siedzieli, rozmawiając i wygłupiając się w oczekiwaniu na obiad. Po raz pierwszy zauważyłem, że wielu obecnych tu obozowiczów wykazywało pewne podobieństwo rysów: ostre nosy, wyraziste brwi, łajdackie uśmiechy. Takim dzieciom nauczyciele przyklejają jedną etykietkę: kłopoty. Na szczęście nikt nie zwrócił na mnie szczególnej uwagi, kiedy poszedłem na moje miejsce na podłodze i klapnąłem tam z rogiem Minotaura w ręce. Podszedł do mnie Luke. On też był do nich wszystkich podobny. Jego twarz szpeciła nieco ta blizna na policzku, ale nijak nie wpływało to na uśmiech.

- Znalazłem dla ciebie śpiwór - powiedział. - I ukradłem nieco przyborów toaletowych z obozowego magazynu.

Nie miałem pojęcia, czy z tą kradzieżą to był żart.

- Dziękuję.

- Spoko. - Luke usiadł koło mnie, opierając się plecami o ścianę. - Jak tam pierwszy dzień, ciężko?

- Nie pasuję tutaj - odpowiedziałem. - Ja nawet nie wierzę w bogów.

- Taaa - zaśmiał się. - Wszyscy tak zaczynamy. A jak już uwierzysz? Wcale nie robi się łatwiej.

Zaskoczył mnie gorzki ton w jego głosie, bo Luke wydawał się taki wyluzowany. Wyglądał, jakby bez trudu radził sobie ze wszystkim.

- Twoim ojcem jest Hermes? - spytałem.

Wyciągnął z kieszeni scyzoryk i przez moment myślałem, że zamierza wypruć ze mnie flaki, ale on tylko zdrapał błoto z podeszwy sandała.

- No, Hermes.

- Ten Kolo w skrzydlatych bucikach, co lata na posyłki?

- Ten sam. Posłańcy. Lekarze. Podróżnicy, kupcy, złodzieje. Wszyscy, którzy poruszają się po drogach. Dlatego właśnie jesteś tutaj, w gościnnym domku numer jedenaście. Hermes nie jest wybredny w przyjmowaniu gości.

Założyłem, że Luke nie miał na myśli, że jestem nikiem. Po prostu tak mu się powiedziało.

- Spotkałeś kiedyś swojego ojca? - spytałem.

- Raz.

Myślałem, że jak zechce, to opowie, i czekałem. Ale najwyraźniej nie zamierzał. Zastanawiałem się, czy ta historia ma cokolwiek wspólnego z jego bliźną. Luke spojrział na mnie z wymuszonym uśmiechem.

- Nie martw się, Percy. Większość uczestników obozu to porządni ludzie. Mimo wszystko jesteście wielką rodziną, nie? Troszczymy się o siebie wzajemnie.

Najwyraźniej zdawał sobie sprawę z tego, jaki byłem zagubiony, a ja czułem do niego wdzięczność, ponieważ taki starszy chłopak jak on - nawet jeśli jest grupowym - zazwyczaj trzyma się z daleka od takiej bezsensownej łąjzy jak ja. Ale Luke naprawdę cieszył się z tego, że dołączyłem do jego domku. Nawet ukradł dla mnie ręcznik i mydło, co było najprzyjemniejszą rzeczą, jaka mnie w tym dniu spotkała. Postanowiłem zadać mu ostatnie z cisnących mi się na usta ważnych pytań, to, które nie dawało mi spokoju przez całe popołudnie.

- Clarisse, ta od Aresa, nabijała się ze mnie, że miałbym być kandydatem do „Wielkiej Trójki”. A Annabeth... Ona dwa razy wspomniała, że mogę być „tym”. Powiedziała, że powinienem porozmawiać z Wyrocznią. O co w tym wszystkim chodzi?

Luke złożył scyzoryk.

- Nienawidzę przepowiedni.

Skrzywił się, w czym trochę przeszkadzała mu bliźna.

- Powiedzmy tak, że narobiłem wszystkim kłopotów. Przez ostatnie dwa lata, odkąd nie powiodła się moja wyprawa do Ogrodu Hesperyd, Chejron zakazał wysyłania kogokolwiek na misję. A Annabeth strasznie wrywała się na zewnątrz. Nudziła Chejrona tak długo, aż w końcu powiedział, że zna jej los. Otrzymał przepowiednię z Wyroczni. Nie chciał jej nic mówić, powiedział tylko, że jeszcze nie nadszedł dla niej czas udania się na misję. Miała zaczekać aż... aż w obozie pojawi się ktoś specjalny.

- Ktoś specjalny?

- Nie przejmuj się, młody - powiedział Luke. - Annabeth wyobraża sobie, że każdy nowy obozowicz jest tym znakiem, na który czeka. Chodźmy, już pora na obiad.

W chwili, gdy to powiedział, w oddali rozległ się dźwięk zwołujący na posiłek. Nie wiem skąd, ale wiedziałem, że to koncha, choć nigdy jej nie słyszałem.

- Jedenastka, do szeregu! - wrzasnął Luke.

Cały domek, a było nas około dwudziestu, zebrał się na wspólnym dziedzińcu. Ustawiliśmy się w porządku starszeństwa, więc oczywiście wylądowałem na szarym końcu. Obozowicze wychodzili również z pozostałych domków, rzecz jasna z wyjątkiem tych pustych na samym końcu, oraz ósemki, która za dnia wyglądała normalnie, ale teraz, o zachodzie słońca, zaczęła wytwarzać srebrzystą poświatę. Ruszyliśmy na Wzgórze, na którym stała kantyna. Na łące dołączyli do mnie satyrowie, a z jeziora wychyły najady. Spomiędzy drzew wyszło jeszcze kilka innych dziewczyn - a właściwie nie tyle *spomiędzy*, ile z samych drzew. Widziałem jedną z nich, w wieku może dziewięciu lat, wyłaniającą się z pnia klonu i biegnącą na szczyt wzgórza.

W sumie obozowiczów było koło setki, do tego kilkudziesięciu satyrów i jakiś tuzin rozmaitych leśnych i wodnych nimf.

Kantynę oświetlały pochodnie zawieszane na kolumnach. Na stojącym pośrodku sali brązowym trójnogu wielkości wanny płonął ogień. Każdy z domków miał własny stół, nakryty białym obrusem z purpurowym haftem. Cztery stoły były puste, za to jedenasty zdecydowanie zatłoczony. Zdołałem wepchnąć się na sam brzeg ławki, ale i tak jeden z pośladków mi się nie mieścił.

Zobaczyłem Grovera siadającego do stolika numer dwanaście z Panem D., kilkoma innymi satyrami i dwoma pulchnymi, jasnowłosymi chłopcami, którzy dosyć przypominali Pana D. Chejron stał z boku, ponieważ stoliki były zdecydowanie za niskie dla centaury.

Annabeth siedział przy szóstce wraz z kilkorgiem poważnie wyglądających i wysportowanych dzieciaków. Wszyscy mieli szare oczy i jasne, miodowe włosy. Dokładnie za mną przy stoliku Aresa usiadła Clarisse. Najwyraźniej przeszła jej wściekłość o oblanie wodą, ponieważ śmiała się i wygłupiała wraz z resztą swojego towarzystwa.

W końcu Chejron uderzył kopytem w marmurową posadzkę i zapadła cisza. Uniósł szklankę.

- Zdrowie bogów! Wszyscy unieśli szklanki.

- Zdrowie bogów!

Leśne nimfy przyniosły tace z jedzeniem: winogronami, jabłkami, truskawkami, serem, świeżym chlebem i... tak, mięsem z grilla! Moja szklanka była pusta, ale Luke nachylił się i szepnął:

- Powiedz jej, czego chcesz. Może być cokolwiek... byle bezalkoholowe.

- Napój wiśniowy - powiedziałem. Szklanka wypełniła się ciemnoczerwonym płynem z bąbelkami. Przyszło mi coś do głowy. - Niebieski.

Napój zmienił kolor na ciemny błękit.  
Pociągnąłem ostrożnie łyk. Pyszny.  
Wypiłem za moją mamę.

Ona nie odeszła, powiedziałem sobie. W każdym razie nie na zawsze. Jest w Podziemnej Krainie. A jeśli to miejsce istnieje, to kiedyś...

- Twoja kolej, Percy. - Luke podał mi tacę z pachnącymi żeberkami. Naładowałem sobie pełny talerz i już miałem zabrać się za jedzenie, kiedy zauważyłem, że wszyscy wstają i niosą swoje talerze w stronę paleniska na środku pawilonu. Idą po deser, czy co? - zastanawiałem się.

- Chodź - powiedział do mnie Luke.

Kiedy podszedłem bliżej, zobaczyłem, że wszyscy wybierają jakiś kawałek swojej porcji i wrzucają do ognia: dojrzałą truskawkę, kawałek steku, gorącą maślaną bułeczkę.

- Ofiary dla bogów. Oni lubią ten zapach - szepnął do mnie Luke.

- śartujesz.

Spojrzenie, jakie mi posłał, powiedziało mi, że powinienem to potraktować poważnie, ale nie potrafiłem się nadziwić, jak nieśmiertelne, potężne istoty mogą lubić zapach spalenizny.

Luke podszedł do trójnogu, skłonił głowę i wrzucił do ognia kiść czerwonych winogron.

- Dla ciebie, Hermesie. Ja byłem, następny.

Niestety nie miałem pojęcia, którego z bogów powinienem wezwać. W końcu zdecydowałem się na milczącą prośbę. *Powiedz mi, kim jesteś. Proszę.*

Oderwałem spory kawałek żeberka i rzuciłem w ogień. Kiedy doszedł do mnie zapach, wcale się nie cofnąłem.

Dym nie śmierdział palonym mięsem. Pachniał gorącą czekoladą, świeżo upieczonymi ciasteczkami, hamburgerami z grilla, dzikimi kwiatami i mnóstwem innych dobrych rzeczy, których zapachy wcale nie powinny się komponować, a jednak pasowały do siebie. Byłem niemal w stanie uwierzyć, że bogowie są w stanie żywić się takim dymem.

Kiedy wszyscy wrócili na swoje miejsca i zjedli wszystko, co sobie nałożyli, Chejron zastukał znów kopytem w podłogę, żeby nas uciszyć. Pan D. podniósł się z za stołu z ciężkim westchnieniem.

- Tak. Myślę, że powinienem się przywitać. A więc witam się. Chejron, nasz koordynator zajęć, mówi, że w najbliższy piątek mamy kolejne zdobywanie sztandaru. Obecnie trofeum jest w posiadaniu domku numer pięć.

Od strony stolika Aresa rozległy się głośne, niesympatyczne wiwaty.

- Osobiście - ciągnął Pan D. - mało mnie to obchodzi, ale gratuluję. Informuję was ponadto, że mamy od dziś nowego uczestnika obozu. Nazywa się Peter Johnson.

Chejron mruknął coś do niego.

- Aha. Nazywa się Percy Jackson - poprawił się Pan D. - Zgadza się. Hip hip hurra i w ogóle. A teraz marsz na wasze głupie ognisko. Jazda!

Wszyscy odpowiedzieli wiwatem. Po czym poszliśmy do odeon, gdzie grupa Apollina poprowadziła śpiewy. Śpiewaliśmy obozowe piosenki o bogach, pogryzając gorące kiełbaski i żartując, a najzabawniejsze było to, że nie miałem już wrażenia, że wszyscy się na mnie gapią. Poczułem się jak w domu.

Późnym wieczorem, kiedy iskry z ogniska wzbijały się jeszcze w gwiazdziste niebo, zabrzmiał znów głos konchy i wróciliśmy do domków. Nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak bardzo byłem zmęczony, dopóki nie wsunąłem się do mojego pożyczonego śpiwora.

Zacisnąłem dłoń na rogu Minotaura. Pomyślałem o mamie, ale to były dobre wspomnienia: jej uśmiechu, bajek, które czytała mi na dobranoc, jak byłem mały, wierszyków o pchłach na noc i szczypawkach-zabawkach.

Spałem już, zanim zdążyłem zamknąć oczy. Tak minął pierwszy dzień mojego pobytu w Obozie Herosów. Nie wiedziałem jeszcze, że nie zdążę się nacieszyć moim nowym domem.

## ROZDZIAŁ VIII

### ZDOBYWCY SZTANDARU

1 rzez następne kilka dni przyzwyczailem się do codziennych zajęć, które wydawałyby się niemal zwyczajne, gdyby nie to, że lekcji udzielali satyrowie, nimfy i centaur. Każdego ranka zaczynałem od nauki greki z Annabeth, z którą rozmawialiśmy o bogach i boginiach w czasie terażniejszym, co było nieco dziwaczne. Przekonałem się, że Annabeth miała rację co do mojej dysleksji: nie miałem wielkich problemów z czytaniem po grecku. W każdym razie nie szło mi gorzej niż z angielskim. Po kilku dniach udało mi się przebrnąć przez kilka linijek Homera i nie dostać koszmarnego bólu głowy.

Resztę dnia spędzałem na zajęciach na wolnym powietrzu, usiłując, odkryć, w czym mógłbym być dobry. Chejron próbował nauczyć mnie strzelania z łuku, ale okazało się dość szybko, że nie mam talentu. Nie narzekał, mimo że skończyło się wyplątywaniem zabłąkanej strzały z jego ogona.

Biegi? Też nie wykazałem się jakoś specjalnie. Trenerkami były leśne nimfy, z którymi nie miałem żadnych szans. Powiedziały mi, żebym się nie przejmował. One miały za sobą stulecia praktyki dzięki nieustannemu uciekaniu przed zakochanymi bogami. Ale mimo wszystko fakt, że przeganiały mnie drzewa, nie napawał mnie

optymizmem. Może więc zapasy? Mogłem o nich zapomnieć. Ilekroć próbowałem szczęścia na macie, Clarisse rozkładała mnie na łopatki.

- Jeszcze z tobą nie skończyłam, śmieciu - syczała mi do ucha. Naprawdę celowałem jedynie w pływaniu kajakami, ale nie takich bohaterskich czynów ludzie spodziewają się po pogromcy Minotaura.

Wiedziałem, że starsi obozowicze i grupowi obserwowali mnie, usiłując ustalić, kto był moim ojcem, ale nie mieli łatwo. Nie byłem tak silny jak dzieci Aresa ani też dobry w łucznictwie jak dzieci Apollina. Nie wykazywałem talentów Hefajstosa do kowalstwa ani też nie wpływałem na rośliny tak jak - bogowie brońcie - Dionizos na winorośl. Luke powiedział, że mógłbym być synem Hermesa, wszechstronnie utalentowanym, ale nie wybijającym się w żadnej dziedzinie. Odniosłem wrażenie, że tylko próbował mi poprawić humor. Tak naprawdę on też nie wiedział, kim jestem. Mimo to polubiłem obóz. Przywykłem do porannej mgiełki na plaży, zapachu nagrzanego słońcem pól truskawek po południu, a nawet dziwacznych odgłosów wydawanych nocą przez stwory z lasu. Jadałem obiady z jedenastką, wrzucałem coś do ognia i usiłowałem nawiązać jakikolwiek kontakt z moim prawdziwym ojcem. Bez powodzenia. Tylko to ciepłe uczucie, które znałem od zawsze, jakby wspomnienie jego uśmiechu. Usiłowałem nie myśleć zbyt często o mamie, ale jedno wciąż nie dawało mi spokoju: skoro bogowie i potwory istnieją naprawdę, skoro możliwa jest magia, to musi być jakiś sposób, żeby ją uratować, przywrócić...

Zacząłem rozumieć gorycz Luke'a i ten rodzaj niechęci, który czuł do swojego ojca, Hermesa. Dobra, może i bogowie mają na głowach ważne rzeczy. Ale mogliby przecież czasem zadzwonić albo zagrzmieć czy co tam? Dionizos potrafi wyczarowywać z powietrza dietetyczną colę. Dlaczego w takim razie mój tato, kimkolwiek jest, nie może wyczarować telefonu?

W czwartek po południu, trzy dni po moim przybyciu do Obozu Herosów, odbyłem pierwszą lekcję walki na miecze. Wszyscy z jedenastki zgromadzili się na wielkiej okrągłej arenie, Luke miał nas uczyć.

Zaczęliśmy od podstawowych pchnięć i cięć, ćwicząc je na słomianych kukłach odzianych w greckie zbroje. Chyba nieźle mi szło. W każdym razie rozumiałem, czego się ode mnie chce, a refleks mam dobry.

Problem polegał na tym, że nie byłem w stanie dopasować sobie miecza. Albo były za ciężkie, albo za lekkie, albo za długie. Luke naprawdę się starał, żeby mnie odpowiednio uzbroić, ale musiał pogodzić się z tym, że żaden z ćwiczebnych mieczy do mnie nie pasował.

Potem walczyliśmy w parach. Ponieważ byłem nowy, Luke miał być moim partnerem.

- Powodzenia - powiedział do mnie jeden z obozowiczów. - Luke jest najlepszym szermierzem ostatnich trzystu lat.

- Może da mi fory - odparłem. Tamten parsknął.

Luke pokazał mi pchnięcia, parady i zasłony tarczą, wcale nie traktując mnie ulgowo. Z każdym starciem byłem coraz bardziej poobijany i posiniaczony.

- Wyżej gardę, Percy - mówił, po czym walił mnie po żebrach płazem swojego miecza. - nie, nie aż tak wysoko!

*Ciach!*

- Skacz do przodu!

*Ciach!*

- Do tyłu!

*Ciach!*

Kiedy wreszcie ogłosił przerwę, byłem mokry od potu. Wszyscy otoczyli pojemnik z napojami. Luke wylał sobie zimną wodę na głowę, co wydawało mi się całkiem dobrym pomysłem, więc zrobiłem tak samo.

Natychmiast poczułem się lepiej. W rękach poczułem siłę, miecz już mi nie zawadzał.

- Wszyscy ustawić się w kółko! - zawołał Luke. - Jeśli Percy nie ma nic przeciwko temu, chciałbym zrobić niewielki pokaz.

Super, pomyślałem. A teraz wszyscy zobaczą, jak Percy dostaje lanie. Hermesowcy zgromadzili się dookoła, tłumiąc uśmiechy. Podejrzewałem, że wszyscy byli kiedyś na moim miejscu i nie mogli się doczekać, aż Luke zrobi ze mnie worek treningowy. Luke zapowiedział, że pokaże technikę rozbijania: jak płazem własnego miecza wykręcić ostrze przeciwnika tak, żeby zmusić go do opuszczenia broni.

- To jest trudne - podkreślił. - I ktoś kiedyś użył tego przeciwko mnie. Więc proszę się nie śmiać z Percy'ego. Większość szermierzy potrzebuje lat, żeby nauczyć się tej techniki.

Najpierw pokazał ruchy w zwolnionym tempie. Nie trzeba dodawać, że miecz wypadł mi z ręki.

-A teraz w czasie rzeczywistym - powiedział, kiedy już podniosłem broń.

-Walczymy, aż któremuś się uda. Gotowy, Percy?

Potaknąłem i Luke ruszył na mnie. Jakoś udało mi się nie dopuścić do tego, żeby uderzył w rękojeść mojego miecza. Moje zmysły jakby się otwały. Przewidywałem, jak pójdą jego ataki. Odparowywałem. Zrobiłem krok do przodu i spróbowałem pchnięcia. Luke odparował je bez problemu, ale dostrzegłem zmianę w wyrazie jego twarzy. Oczy mu się zwężyły i zaczął napierać na mnie z całej siły. Miecz ciążył mi w ręce. Był źle wyważony. Wiedziałem, że za moment Luke i tak mnie pokona, więc pomyślałem: co mi tam?

I spróbowałem wykonać ten manewr wytrącający broń z ręki. Moje ostrze uderzyło w jelec miecza Luke'a, więc przekręciłem je, wkładając w pchnięcie w dół całą siłę.

*Brzęk.*

Miecz Luke'a uderzył o kamienie. Czubek mojego znajdował się o centymetr od jego nieosłoniętego torsu. Zapadła cisza. Opuściłem miecz.

- Ekhem... przepraszam.

Przez moment Luke był tak zszokowany, że nie mógł wydusić ani słowa.

- Przepraszam? - Na jego twarzy pomimo blizny pojawił się szeroki uśmiech. - Na bogów, Percy, za co ty przepraszasz? Pokaż mi to jeszcze raz!

Nie miałem ochoty. Ten krótki wybuch niezwyklej energii opuścił mnie. Ale Luke nalegał.

Tym razem nie było żadnej walki. W chwili, gdy nasze ostrza zetknęły się, Luke uderzył w rękojeść i moja broń podskoczyła na kamieniach. Po dłuższej chwili ktoś z obserwujących odezwał się:

- Czyli poprzednio miał fuksa?

Luke otarł pot z czoła. Obrzucił mnie taksującym spojrzeniem z wyraźnym zainteresowaniem.

-Może - powiedział. - Ale zastanawia mnie, do czego Percy będzie zdolny z dobrze wyważonym mieczem...

W piątkowe popołudnie siedziałem z Groverem nad jeziorem, odpoczywając po tym, jak prawie że zginałem na ścianie wspinaczkowej. Grover wybiegł na górę jak kozica, ale mnie lava omal nie pochłonęła. W mojej koszulce widniały dymiące dziury. Skórę na ramionach miałem osmaloną.

Siedzieliśmy na pomoście, przyglądając się najadom wyplatającym pod wodą koszyki, i wreszcie zebrałem się na odwagę, żeby spytać, jak poszła rozmowa z Panem D. Twarz Grovera przybrała niezdrowy, żółtawy odcień.

- Świetnie - powiedział. - Po prostu bosko.

- A więc kariera się rozwija?  
Zerknął na mnie z niepokojem.

- Chejron po-powiedział ci, że chcę zdobyć licencję poszukiwacza?

- No... nie. - Nie miałem pojęcia, co to jest licencja poszukiwacza, ale uznałem, że nie jest to najlepszy moment na zadawanie pytań. - Powiedział mi tylko, że masz wielkie plany, no wiesz... i że potrzebujesz punktów za wypełnienie zadań strażnika. Dostałeś je?

Grover spojrział na najady.

- Pan D. zawiesił ocenę. Powiedział, że nie zawałiłem, ale też nie odniosłem z tobą sukcesu, więc nasze losy są wciąż związane. Jeśli ty dostaniesz misję, a ja pójdę z tobą, żeby cię chronić, i obaj wrócimy żywi, to może uzna, że wykonałem zadanie.

Ucieszyłem się.

- To całkiem niezłe, prawda?

- *Bee-ee-ee!* Równie dobrze mógł mnie przydzielić do czyszczenia stajni. Szansa, że dostaniesz misję... a nawet gdybyś dostał, czemu miałbyś chcieć, żebym to *ja* z tobą poszedł?

- Oczywiście, że chciałbym! Grover wpatrywał się ponuro w wodę.

- Wyplatanie koszyków... Jak to dobrze umieć coś przydatnego.

Usiłowałem go pocieszyć, mówiąc, że ma mnóstwo talentów, ale to jeszcze bardziej pograżyło go w użalaniu się nad samym sobą. Rozmawialiśmy przez chwilę o kajakach i walce na miecze, po czym zaczęliśmy obgadywać wady i zalety różnych bogów. W końcu zapytałem go o cztery puste domki.

- Ósemka, ten srebrny, należy do Artemidy - odpowiedział. - Ona ślubowała wieczyste dziewictwo, więc oczywiście nie ma żadnych dzieci. Ten domek, jest, no wiesz, honorowy. Wściekłaby się, gdyby go nie dostała.

- Aha, dobra. A pozostałe trzy, te na końcu? To jest Wielka Trójka? Grover zeszywniał. To był delikatny temat.

- Nie. Dwójka należy do Hery - odparł. - To kolejny honorowy. Ona jest boginią małżeństwa, więc oczywiście nie może mieć żadnych romansów ze śmiertelnikami. To specjalność jej męża. Kiedy mówimy o Wielkiej Trójce, mamy na myśli trzech potężnych braci, synów Kronosa.

- Zeusa, Posejdona i Hadesa.

- Tak jest. Nauczyłeś się. Po wielkiej wojnie z tytanami przejęli świat ich ojca i rzucali losy o jego części.

- Zeus dostał niebo - przypomniałem sobie. - Posejdon morze, a Hades królestwo Podziemia.

- Mhm.

- Ale Hades nie ma tu domku.

- Nie. Nie ma również tronu na Olimpie. Wystarczy, że rządzi się po swojemu w Podziemiu. Gdyby miał tu domek... - Grover wzdrygnął się. - No cóż, nie byłoby to przyjemne, tak to ujmijmy.

- Ale Zeus i Posejdon... oni obaj mieli w mitach jakieś miliony dzieci. Dlaczego ich domki są puste?

Grover z zakłopotaniem przebiegał kopytami.

- Jakies sześćdziesiąt lat temu, po drugiej wojnie światowej, bogowie Wielkiej Trójki postanowili, że nie będą płodzić więcej herosów. Ich dzieci były po prostu zbyt potężne. Zanadto wpływały na wydarzenia w świecie ludzkim, powodowały zbyt

wiele zamieszania. Wiesz, druga wojna właściwie była konfliktem między dziećmi Zeusa i Posejдона po jednej stronie a Hadesa po drugiej. Zwycięzcy, czyli Zeus i Posejdon, zmusili Hadesa do złożenia wraz z nimi przysięgi: koniec romansów ze śmiertelniczkami. Wszyscy przysięgli na rzekę Styks.

Rozległ się grzmot.

- To najpoważniejsza przysięga z możliwych - powiedziałem. Grover przytaknął.

- I bracia dotrzymali słowa - i nie mieli dzieci? Przez twarz Grovera przemknął cień.

- Siedemnaście lat temu Zeus wpadł. Była taka gwiazdka telewizyjna z burzą loków, jak to w latach osiemdziesiątych... i nie potrafił się powstrzymać. Kiedy urodziła się ich córeczka, Thalia... no cóż, Styks traktuje przysięgi poważnie. Zeus wyszedł z tego bez szwanku, bo jest nieśmiertelny, ale los jego córki był straszliwy.

- To niesprawiedliwe! Przecież to nie była jej wina! Grover się zawahał.

- Percy, dzieci Wielkiej Trójki są potężniejsze od innych dzieci półkrwi. Mają wyraźną aurę, zapach, który przyciąga potwory. Kiedy Hades dowiedział się o tej dziewczynce, nie spodobało mu się, że Zeus złamał przysięgę. Wypuścił więc na nią z Tartaru najstraszliwsze bestie. Kiedy miała dwanaście lat, został jej przydzielony satyr jako opiekun, ale nic nie był w stanie zrobić. Usiłował ją tu przyprowadzić razem z grupką innych dzieci półkrwi, z którymi się zaprzyjaźniła. Prawie im się udało. Dotarli na sam szczyt tamtego wzgórza. Wskazał ręką na przeciwległą stronę doliny, na sosnę, pod którą walczyłem z Minotaurem.

- Gnały za nimi wszystkie trzy Łaskawe wraz ze stadem piekielnych ogarów. Prawie ich dopadły, ale Thalia kazała satyrowi zaprowadzić pozostałą dwójkę w bezpieczne miejsce, podczas gdy ona zajmie się potworami. Była ranna i zmęczona i nie miała ochoty dłużej być zwierzyną łowną. Satyr nie chciał jej opuścić, ale nie mógł jej przekonać, a musiał chronić pozostałych. Thalia stoczyła więc swoją ostatnią walkę samotnie na szczycie tego wzgórza. Kiedy zginęła, Zeus ulitował się nad nią. Zmienił ją w tę wielką sosnę. Jej duch pomaga chronić granice doliny. Dlatego właśnie to wzgórze nosi nazwę Wzgórza Herosów.

Wpatrywałem się w sosnę.

Opowieść Grovera sprawiła, że poczułem się słaby i pełen winy. Dziewczyna w moim wieku poświęciła się, żeby ratować przyjaciół. Stawiła czoła całej armii potworów. W porównaniu z tym moje zwycięstwo nad Minotaurem nie wydawało się wielkim wyczynem. Zastanawiałem się, czy gdybym postąpił inaczej, zdołałbym uratować mamę?

- Grover - odezwałem się - czy herosi rzeczywiście chodzili na misje do Podziemia?

- Zdarzało się - odparł. - Orfeusz. Herakles. Houdini.

- I udało im się wyprowadzić kogoś z Krainy Umarłych?

- Nie. Nigdy. Orfeusz miał największe szanse... Percy, ty chyba nie myślisz poważnie...

- Nie - skłamałem. - Tylko się zastanawiam. A zatem... każdy półbóg dostaje opiekuna satyra?

Grover przyglądał mi się z niepokojem. Nie przekonałem go, że porzuciłem myśli o wędrowce do Podziemia.

- Nie każdy. Chodzimy w przebraniu do bardzo wielu szkół. Usiłujemy wywęszyć dzieci półkrwi, które mają zadatki na wielkich herosów. Jeśli znajdujemy kogoś o bardzo silnej aurze, jak dzieci Wielkiej Trójki, to powiadamy Chejrona. A on stara się mieć ich na oku, bo mogliby narobić poważnych kłopotów.

- I ty znalazłeś mnie. Chejron powiedział, że myślałeś, że mogę być kimś wyjątkowym.

Grover wyglądał tak, jakbym zapędził go w kozi róg.

- Nie myślałem... Słuchaj, nie myśl tak. Gdybyś był - no wiesz - to *nigdy* nie miałbyś szans na misję, a ja na moją licencję. Zapewne jesteś synem Hermesa. A może wręcz któregoś z pomniejszych bóstw, jakiejś Nemezis, bogini zemsty. Nie przejmuj się, dobra?

Miałem wrażenie, że Grover stara się uspokoić bardziej siebie samego niż mnie.

Tamten wieczór zapowiadał się ciekawiej niż zwykle. Był to dzień zdobywania sztandaru.

Kiedy zabrano talerze, zabrzmiał dźwięk konchy i wstaliśmy wszyscy od stołów. Obozowicze krzyczeli i wiwatowali, kiedy Annabeth i dwójka jej rodzeństwa wbiegli do pawilonu, niosąc jedwabną chorągiew. Miała około trzech metrów długości i była uszyta z połyskującego szarego materiału, na którym wymalowano sowę nad drzewem oliwnym. Z drugiej strony pawilonu nadbiegła Clarisse z koleżankami i z krwistoczerwoną chorągwią tego samego rozmiaru, z malunkiem zakrwawionej włóczni i łba dzika.

Zwróciłem się do Luke'a i usiłowałem przekrzyczeć hałas.

- To są sztandary?

- Tak.

- Ares i Atena zawsze dowodzą drużynami?

- Nie zawsze - odparł. - Ale często.

- A jak druga drużyna zdobędzie sztandar, to co robicie... przemalowujecie go? Uśmiechnął się szeroko.

- Zobaczysz. Najpierw musimy go zdobyć.

- Po czyjej jesteśmy stronie?

Rzucił mi chytre spojrzenie, jakby wiedział coś, o czym ja nie miałem pojęcia. Blizna na jego twarzy sprawiła, że wyglądał niemal złowrogo w świetle pochodni.

- Zawarliśmy tymczasowy sojusz z Ateną. Dziś będziemy odbierać sztandar Aresowi. A ty masz nam w tym pomóc.

Ogłoszono skład drużyn. Atena była w przymierzu z Apolinnem i Hermesem, dwoma najliczniejszymi domkami. Najwyraźniej w grę wchodziło handlowanie przywilejami: czasem na przysznice, obowiązkami domowymi, godzinami zajęć, byle tylko zdobyć poparcie.

Ares zawarł sojusz z wszystkimi pozostałymi: Dionizosem, Demeter, Afrodytą i Hefajstosem. Z tego, co widziałem, potomkowie Dionizosa nieźle radzili sobie w sportach, ale była ich tylko dwójka. Dzieci Demeter były świetne we wszystkich zadaniach w dzikim terenie, ale brakowało im instynktu walki. Synami i córkami Afrodyty nie przejmowałem się zanadto. Większość z nich odpuszczała sobie wszystkie sporty - woleli siedzieć nad jeziorem, wpatrując się w swoje odbicia, czesząc włosy i plotkując. Czwórka dzieci Hefajstosa nie odznaczała się urodą, byli masywni i zwaliści od ciągłej pracy w kuźni. Mogli stanowić problem. No i oczywiście był jeszcze domek Aresa: tuzin wysokich, brzydkich i najwredniejszych wyrostków na Long Island, a może nawet na całej ziemi. Chejron uderzył kopytem w marmur.

- Herosi! - zawołał. - Znacie reguły. Strumyk stanowi granicę. Gra odbywa się na terenie całego lasu. Dozwolone są wszelkie przedmioty magiczne. Sztandar musi być widoczny i nie może mieć więcej niż dwóch strażników. Jeńców wolno rozbierać, ale nie wiązać ani kneblować. Niedozwolone jest zabijanie i powodowanie trwałego kalectwa. Ja będę sędzią i lekarzem polowym. Do broni!

Rozłożył ręce i stoły zapełniły się nagle rynsztunkiem bojowym: hełmami, brązowymi mieczami, włóczniami, tarczami z wolej skóry obitej metalem.

- Rany - powiedziałem. - Naprawdę mamy tego wszystkiego używać? Luke spojrział na mnie, jakbym był szalony.

- No, chyba że chcesz, żeby nasi przyjaciele z piątki nabili cię na rożen. Masz - Chejron uważa, że to powinno na ciebie pasować. Będiesz w patrolu granicznym.

Moja tarcza, z wymalowanym na środku wielkim kaduceuszem, miała rozmiary tablicy do koszykówki. Ważyła chyba milion kilo. Mógłbym na niej z powodzeniem zjeżdżać po śniegu jak na sankach, ale chyba nikt się nie spodziewał, że będę z tym szybko biegać. Hełm, który dostałem, podobnie jak wszystkie hełmy w drużynie Ateny, był zwieńczony niebieskim pióropuszem. Ares i jego sojusznicy mieli czerwone pióropusze.

- Drużyna niebieska, marsz! - krzyknęła Annabeth.

Ruszyliśmy za nią ku południowemu krańcowi lasu, wiwatując i wymachując mieczami. Drużyna czerwona, wrzeszcząc szyderczo, pomaszerowała na północ. Udało mi się dogonić Annabeth, nie potykając się o rynsztunek.

- Hej.

Nie przerwała marszu.

- Jaki jest plan? - spytałem. - Masz jakieś magiczne przedmioty, w które mogłabyś mnie wyposażyć?

Jej ręka powędrowała do kieszeni, jakby Annabeth lękała się, że jej coś ukradnę.

- Uważaj na włócznie Clarisse - powiedziała Annabeth. - Lepiej, żeby cię nie dotknęła. Poza tym nie masz się czym martwić. Odbierzemy Aresowi sztandar. Luke przydzielił ci zadanie?

- Patrol graniczny, cokolwiek to jest.

- Łatwizna. Stój przy strumyku, nie przepuszczaj czerwonych. Resztę zostaw mnie. Atena zawsze ma plan.

Przyspieszyła kroku, zostawiając mnie w tyle.

- Okej - mruknąłem. - Fajnie, że chciałaś mieć mnie w drużynie.

Noc była ciepła i duszna. W lesie było ciemno, tylko czasem rozbłyskiwały robaczki świętojańskie. Annabeth ustawiła mnie w pobliżu niewielkiego strumyka, chlupoczącego między kamieniami, a sama, wraz z resztą drużyny, znikła wśród drzew.

Czułem się jak idiota, stojąc tam samotnie w hełmie z niebieskim pióropuszem i wielką tarczą. Brązowy miecz, podobnie jak wszystkie inne, które dotychczas miałem w ręce, był źle wyważony. Owinięta skórą głownia wypychała mi dłoń jak kula do kręgli.

Tak naprawdę nikt przecież nie może mnie zaatakować, prawda? To znaczy, Olimp jest chyba odpowiedzialną instytucją?

Gdzieś w oddali rozległ się dźwięk konchy. Z lasu dobiegły mnie pokrzykiwania, wrzaski i brzęk metalu walczących dzieciaków. Tuż koło mnie przemknął, powiewając niebieskim pióropuszem, sojusznik z domku Apollina - pędził niczym jelen, przeskoczył przez strumyk i znikł na terytorium nieprzyjaciela. Super, pomyślałem. Jak zwykle ominie mnie cała zabawa.

W tej samej chwili usłyszałem dźwięk, który przeszył mnie dreszczem: posepny psi skowyt gdzieś w pobliżu.

Instynktownie uniosłem tarczę. Miałem wrażenie, że coś mnie tropi. Skowyt umilkł. Ktokolwiek tam był, oddalił się.

Po drugiej stronie potoku eksplodowały krzaki. Z ciemności wypadła z wrzaskiem piątka wojowników Aresa.

- Rozwalić śmiecia! - krzyknęła Clarisse.

Jej świńskie oczka świeciły w szparach hełmu. Wymachiwała półtorametrową włócznią, której ostrze owinięte drutem kolczastym świeciło na czerwono. Jej rodzeństwo miało tylko zwyczajne brązowe miecze - nie żeby mnie to bardzo pocieszało.

Ruszyli w poprzek strumienia. Na horyzoncie nie widziałem żadnych sojuszników. Mogłem uciekać. Albo bronić się samotnie przeciwko połowie mieszkańców domku Aresa.

Udało mi się zrobić unik przed pierwszym ciosem, ale oni nie byli jak głupi Minotaur.

Otoczyli mnie i Clarisse zamachnęła się włócznią. Odbiłem ją tarczą, ale poczułem bolesne ciarki w całym ciele. Włosy stanęły mmi na głowie. Straciłem czucie w ręce trzymającej tarczę, w powietrzu poczułem swąd.

Elektryczność. Jej głupia włócznia była elektryczna. Cofnąłem się.

Kolejny kolo od Aresa walnął mnie w pierś płazem miecza i upadłem na ziemię. Mogliby zrobić ze mnie miazgę, ale byli zbyt zajęci naśmiewaniem się.

- Zróbmy mu fryzjera - powiedziała Clarisse. - Chwyć go za włosy.

Udało mi się stanąć na nogi. Uniosłem miecz, ale Clarisse zamachnęła się włócznią, wytrącając mi go z ręki, aż poleciały iskry. Teraz nie czułem już obu rąk.

- Ojoj - powiedziała Clarisse. - Ależ się ciebie boję. Naprawdę.

- Po sztandar to w tamtą stronę - powiedziałem. Chciałem, żeby zabrzmiało to gniewnie, ale chyba mi nie wyszło.

- Aha - odpowiedział jeden z jej braci. - Ale widzisz, nas nie obchodzi sztandar. Obchodzi nas chłoptaś, który wystawił nasz dom na pośmiewisko.

- Sami się świetnie wystawiacie - odparłem. Nie stać mnie było na wyrafinowane żarty.

Dwóch z nich ruszyło na mnie. Wycofywałem się w kierunku strumyka, usiłując podnieść tarczę, ale Clarisse była szybsza. Uderzyła mnie włócznią prosto w żebra. Gdybym nie miał na sobie porządnej zbroi, zmieniłbym się w kebab, ale na szczęście prąd przyprawił mnie tylko o kolejny dreszcz. Jeden ze współbraci Clarisse ciął mnie mieczem przez ramię, raniąc całkiem poważnie.

Zrobiło mi się słabo na widok mojej własnej krwi: gorąco i zimno w tej samej chwili.

- Zakaz okaleczania - zdołałem wymamrotać.

- Rety - powiedział tamten chłopak. - Chyba właśnie ominął mnie deser. Popchnął mnie w kierunku strumienia i wylądowałem z pluskiem w wodzie. Wszyscy zarechotali. Wyobrażałem sobie, że jak już się nacieszą, to pewnie zginę. W tej samej chwili coś się stało. Woda najwyraźniej obudziła moje zmysły - zupełnie jakbym zjadł torbę maminych cukierków kawowych.

Clarisse razem z rodzeństwem ruszyła ku mnie, ale ja już na nich czekałem. Wiedziałem, co robić. Zamachnąłem się płazem miecza na pierwszego i zrzuciłem mu z głowy hełm. Uderzyłem tak mocno, że dojrzałem świeczki w jego oczach, kiedy wpadał do wody.

Wtedy natarli Brzydale Numer Dwa i Numer Trzy. Pierwszego zdzieliłem tarczą po twarzy, drugiemu ściałem pióropusz mieczem. Obaj szybko się wycofali. Brzydal Numer Cztery nie kwapił się do ataku, ale Clarisse nie rezygnowała, a czubek jej włóczni się iskrzył. Gdy tylko wyciągnęła broń do przodu, chwyciłem drzewce między tarczę a miecz i przełamałem je na pół jak suchą gałąź.

- Aaa! - wrzasnęła Clarisse. - Ty idioto! Ty nędzny robaku!

Chciała zapewne powiedzieć coś gorszego, ale rąbnąłem ją płazem między oczy i wepchnąłem do strumyka.

W tej samej chwili usłyszałem wrzaski, radosne krzyki i zobaczyłem Luke'a pędzącego ku granicy i trzymającego wysoko w górze sztandar czerwonej drużyny. Otaczała go gromadka chłopaków od Hermesa, a za nimi biegło kilku od Apollina, ubezpieczając tyły i odpierając atak tych od Hefajstosa. Synowie Aresa zaczęli się podnosić na nogi, a Clarisse wymamrotała jakieś niewyraźne przekleństwo.

- Podstęp! - wrzasnęła. - To był podstęp!

Potykając się, ruszyli za grupą Luke'a, ale było już za późno. Wszyscy stłoczyli się w strumyku, a Luke tymczasem wbiegł na nasze terytorium. Po niebieskiej stronie rozległy się gromkie wiwaty. Czerwona flaga zamigotała i zmieniła barwę na srebrną. Ogromny kaduceusz, symbol domku numer jedenaście, zastąpił dzika i włócznię. Drużyna niebieskich uniosła Luke'a i obnosiła go wokół na ramionach. Z lasu wypadł galopem Chejron i zadał w konczę. Gra się skończyła. Wygraliśmy.

Miałem właśnie dołączyć do wiwatów, kiedy usłyszałem tuż obok siebie w potoku głos Annabeth.

- Nieźle, herosie. Rozejrzałem się, ale nie było jej tam.

- Gdzie ty się nauczyłeś tak walczyć? - zapytała.

Powietrze zamigotało i Annabeth zmaterializowała się koło mnie, trzymając w ręce bejsbolówkę drużyny Jankesów. Wyglądało na to, że właśnie zdjęła ją z głowy. Poczułem, że wzbiera we mnie gniew. Nie zwróciłem nawet uwagi na to, że przed chwilą Annabeth była niewidzialna.

- Wrobiłaś mnie - powiedziałem. - Postawiłaś mnie tutaj, bo wiedziałaś, że Clarisse będzie się chciała zemścić, a Luke'a posłałaś okreżną drogą. Wszystko to sobie ułożyłaś.

Annabeth wzruszyła ramionami.

- Mówiłam ci. Atena zawsze, zawsze ma plan.

- Plan, który zakłada zgniecenie mnie na miazgę.

- Przybiegłam najszybciej, jak mogłam. Miałam ci właśnie pomóc, ale... -Ponownie wzruszyła ramionami. - Poradziłeś sobie.

W tej chwili jej wzrok padł na moje rozcięte ramię.

- Jak to zrobiłeś?

- Oberwałem mieczem. Jestem ranny - odpowiedziałem. - A co myślałaś?

- Nie. *Byłeś* ranny. Popatrz sam.

Krwi nie było widać. Tam, gdzie wcześniej ziała wielka rana, miałem teraz długą białą krechę, która zresztą już bladła. Na moich oczach zmieniła się w niewielką bliznę i znikła całkowicie.

- Nic... nic z tego nie rozumiem - wydukałem.

Annabeth się zamyśliła. Niemal widziałem obracające się w jej mózgu trybiki. Spojrzała na moje stopy, a następnie na złamaną włócznię Clarisse.

- Wyjdź z wody, Percy - powiedziała.

- Co...

- Zrób to.

Wyszedłem ze strumyka i natychmiast poczułem śmiertelne zmęczenie. Ręce mi na powrót zdrętwiały. Adrenalinowy kop minął. Byłbym się przewrócił, gdyby Annabeth mnie nie podtrzymała.

- Och, na Styks - zakłęła. - Nic z tego. Nie chciałam... zakładam, że to Zeus... Zanim zdążyłem zapytać, co miała na myśli, usłyszałem znów ten psi skowyt, tym razem jednak znacznie bliżej. Po lesie przetoczyło się wycie.

Wiwaty obozowiczów natychmiast umilkły. Chejron krzyknął coś po grecku. Dopiero później uświadomiłem sobie, że od razu zrozumiałem to bezbłędnie: *Do bronii! Gdzie mój łuk?*

Annabeth dobyła miecza.

Na skale tuż nad nami siedział czarny pies wielkości nosorożca o oczach w kolorze wrzącej lawy i ostrych jak sztylety kłach. I spoglądał prosto na mnie.

Nie poruszył się nikt oprócz Annabeth, która krzyknęła.

- Uciekaj, Percy!

Usiłowała mnie zasłonić, ale ogar był szybszy. Przeskoczył nad nią - niczym ogromny zębaty cień - i dokładnie w chwili, kiedy mnie dopadł, kiedy poczułem ostre jak brzytwa pazury rozdzierające moją zbroję, rozległa się seria szelestów, jakby ktoś przedzierał po kolei czterdzieści kartek papieru. W karku bestii utkwiał pęk strzał i potwór upadł martwy u moich stóp.

Jakimś cudem uniknąłem śmierci. Nie miałem ochoty patrzeć na to, co musiało znajdować się pod rozszarpaną zbroją. Czułem ciepłą wilgoć na torsie i wiedziałem, że jestem ciężko ranny. Jeszcze sekunda i ten potwór zamieniłby mnie pięćdziesiąt kilo mielonego mięsa.

Chejron przyklusował do nas z łukiem w ręku i posepną miną.

- *Di immortales!* - odezwała się Annabeth. - To piekielny ogar z otchłani Tartaru. One nie... one nie powinny...

- Ktoś go wezwał - powiedział Chejron. - Ktoś z obozu.

Luke podszedł do nas. Wszyscy zapomnieli o dzierzonym przez niego sztandarze, jego chwila sławy minęła.

- To wina Percy'ego! - wrzasnęła Clarisse. - To Percy go wezwał!

- Cicho, dziecko - upomniał ją Chejron.

Patrzyliśmy jak ciało piekielnego ogara rozplywa się w cień, wsiąka w ziemię i znika.

- Jesteś ranny, Percy - powiedziała do mnie Annabeth. - Szybko, włącz do wody.

- Nic mi nie jest.

- Nieprawda - upierała się. - Chejronie, spójrz na to.

Nie miałem siły się z nią sprzeczać. Wszedłem do potoku, a wszyscy obozowicze zgromadzili się wokół mnie.

Natychmiast poczułem się lepiej. Rany na mojej piersi zasklepiały się. Kilka osób wstrzymało oddech.

- Słuchajcie, ja... ja nie wiem, dlaczego - starałem się, żeby to wyszło przeprasząco. - Bardzo mi przykro...

Ale oni nie wpatrywali się w moje gojące się rany. Mieli wzrok utkwiony w coś nad moją głową.

- Percy - powiedziała Annabeth, wskazując tam palcem. - Ekhem...

Kiedy spojrzałem w tamtym kierunku, znak już bladł, ale zdołałem jeszcze dostrzec zielone światło hologramu, obracające się i jaśniejące. Włócznia o trzech ostrzach: trójzab.

- Twój ojciec - mruknęła Annabeth. - *Naprawdę* niedobrze.

- Określony - oznajmił Chejron.

Stojący wokół obozowicze zaczęli przyklękać, nawet ci od Aresa, choć nie wyglądali na zadowolonych.

- Mój ojciec? - spytałem, kompletnie zbity z tropu.

- Posejdon - powiedział Chejron. - Wstrząsający Ziemią, Władca Burz, Ojciec Koni. Witaj, Perseuszu Jacksonie, synu Pana Mórz.

## ROZDZIAŁ IX

### OTRZYMUJĘ ZADANIE

Następnego ranka Chejron przeniósł mnie do domku numer trzy.

Nie dzieliłem go z nikim. Miałem mnóstwo miejsca dla siebie i swojego dobytku: rogu Minotaura, bielizny na zmianę i przyborów toaletowych. Dostałem miejsce przy własnym stoliku i mogłem sam wybierać sobie zajęcia, a także zarządzać gaszenie światła, kiedy tylko miałem ochotę, no i nie musiałem nikogo słuchać. Wszystko to sprawiało, że czułem się potwornie nieszczęśliwy. Jak tylko zacząłem być akceptowany, jak tylko uznałem jedenastkę za swój dom i miałem szansę stać się normalnym dzieckiem - w każdym razie na tyle normalnym, na ile się da, będąc półkrwi - zostałem odizolowany od innych, jakbym cierpiał na jakąś rzadką chorobę.

Nikt nie wspominał piekielnego ogara, ale miałem wrażenie, że wszyscy o nim rozmawiają za moimi plecami. Atak przestraszył wszystkich bez wyjątku. Oznaczał bowiem dwie rzeczy: po pierwsze, że jestem synem Pana Mórza, po drugie, że potwory nie zatrzymają się przed niczym, byle mnie zabić. Mogą nawet dostać się na teren obozu uważanego dotąd za bezpieczny.

Inni obozowicze trzymali się ode mnie jak najdalej się dało. Jedenastka bała się mieć ze mną lekcję fechtunku po tym, co zrobiłem z dziećmi Aresa w lesie, uczyłem się więc tylko od Luke'a. On zaś traktował mnie surowiej niż wcześniej i wcale nie obawiał się mnie posiniaczyć podczas treningów.

- Będzie ci potrzebny wszelki możliwy trening - zapowiedział, kiedy ćwiczyliśmy mieczami i płonącymi pochodniami.

- Przecwiczmy jeszcze ten sztych. Pięćdziesiąt powtórzeń.

Annabeth nadal udzielała mi co rano lekcji greki, ale sprawiała wrażenie roztargnionej. Ilekroć się odzywałem, zerknęła na mnie spoode łba, jakbym właśnie zdzielił ją pięścią między oczy.

A po lekcji odchodziła, mamrocząc pod nosem: „Misja... Posejdon?... A niech to... Muszę opracować plan...”.

Nawet Clarisse trzymała się na dystans, aczkolwiek jadowite spojrzenia, jakie mi posyłała, mówiły jasno, że najchętniej zabiłaby mnie za zepsucie jej magicznej włóczni. Wolałbym już, żeby na mnie nawrzeszczała albo mnie pobiła, albo co. Wolałbym codziennie się bić, niż być ignorowany.

Wiedziałem, że ktoś w obozie mnie nie lubi, ponieważ pewnego wieczora, kiedy wróciłem do mojego domku, znalazłem na progu egzemplarz gazety śmiertelników „New York Daily News”, otwarty na dziale miejskim. Przeczytanie całej notatki zajęło mi prawie godzinę, bo im bardziej się złościłem, tym więcej słów zaczynało krążyć po papierze.

## MATKA I SYN NADAL ZAGINIENI PO DZIWNYM WYPADKU SAMOCHODOWYM

EILEEN SMYTHE

Tydzień po tajemniczym zaginięciu wciąż nie odnaleźli się Sally Jackson i jej syn Percy. Ich niemal całkowicie spalony chevrolet camaro rocznik '78 został odnaleziony w zeszłą sobotę przy drodze na północy Long Island. Samochód miał rozdarty dach i złamaną przednią oś, wiadomo też, że przewrócił się i jechał rozpędem przez kilkaset metrów, zanim eksplodował.

Matka i syn wybrali się na weekend do Montauk, które jednak opuścili w pośpiechu w tajemniczych okolicznościach. We wraku i w okolicy miejsca wypadku znaleziono niewielkie plamy krwi, ale brak jakichkolwiek innych śladów po zaginionych Jacksonach. Okoliczni mieszkańcy twierdzą, że nie widzieli nic nadzwyczajnego w czasie, kiedy musiał wydarzyć się wypadek.

Mąż pani Jackson, Gabe Ugliano, twierdzi, że jego pasierb, Percy Jackson, jest trudnym dzieckiem, miał kłopoty w kilku szkołach i zdradza tendencje do przemocy. Policja nie podała, czy Percy jest podejrzany w związku ze zniknięciem jego matki, ale nie wyklucza celowego działania. Zamieszczamy aktualne zdjęcia Sally i Percy'ego

Jacksonów. Policja zwraca się z prośbą o pomoc do wszystkich, którzy mogą udzielić jakichkolwiek informacji. Podajemy bezpłatny numer, pod który można dzwonić w tej sprawie.

Numer telefonu był zakreślony czarnym pisakiem.

Zmiałem gazetę i cisnąłem ją w kąt, po czym klapnąłem na łóżko stojące na samym środku mojego pustego domku.

- Gasimy światło - powiedziałem żałośnie sam do siebie. Tej

nocy miałem najkoszmarniejszy sen w życiu.

Biegłem po plaży podczas burzy. Tym razem za mną było miasto. Ale nie Nowy Jork. Wyglądało zupełnie inaczej: rzadsze zabudowania, palmy i wzgórza w oddali. Jakies sto metrów dalej, nad samym brzegiem wody walczyli dwaj mężczyźni. Wyglądali jak wrestlerzy z telewizji: muskularni, brodaci, z długimi włosami. Obaj mieli na sobie powiewające greckie tuniki, jeden z niebieskim, drugi z zielonym wzorem. Mocowali się, przepychali, kopali i walili głowami, a kiedy ich ciała się stykały, niebo ciemniało, strzelały błyskawice i wzmagał się wiatr. Musiałem ich powstrzymać, choć nie wiedziałem dlaczego. Im jednak bardziej biegłem, tym

bardziej powstrzymywał mnie wiatr, aż w końcu przebierałem tylko nogami w miejscu, bezsensownie młócąc piach.

Ponad wyciem burzy słyszałem głos tego niebieskiego, wrzeszczący do zielonego: *Oddawaj! Oddawaj!* Jak dzieci bijące się w piaskownicy o zabawkę. Fale stawały się coraz wyższe. Rozbijały się o brzeg, bryzgając na mnie pianą. *Przestańcie! Przestańcie się bić!* - krzyczałem.

Ziemia się zatrzęsała. Gdzieś pod nią rozległ się śmiech i głos tak głęboki i przesiąknięty okrucieństwem, że zmroził mnie na łód. *Zejdź na dół, mały herosie, zanucił. Zejdź na dół!*

Piasek rozstał się pod moimi stopami, otwierając się w otchłań biegnącą do samego środka ziemi. Poślizgnąłem się i pochłonięła mnie ciemność. Obudziłem się przekonany, że spadam.

Leżałem wciąż w łóżku w domku numer trzy. Ciało podpowiadało mi, że jest rano, ale na zewnątrz było ciemno, a nad wzgórzami rozległ się grzmot. Zbierało się na burzę. To mi się nie przyśniło. Usłyszałem na progu stukanie podkowy.

- Proszę...

Do środka wbiegł zaniepokojony Grover.

- Pan D. chce cię zobaczyć.

- Dlaczego?

- Chce się pozbyć... to znaczy, lepiej niech on sam ci powie.

Cały w nerwach ubrałem się i wybiegłem za nim, przekonany, że wpakowałem się w kosmiczne kłopoty.

Od kilku dni spodziewałem się wezwania do Wielkiego Domu. Zostałem ogłoszony synem Posejdona, jednego z Wielkiej Trójki bogów, którzy nie powinni mieć dzieci, toteż uznałem, że samo moje istnienie jest przestępstwem. Inni bogowie zapewne obradowali, jak ukarać mnie za to, że się urodziłem, a teraz Pan D. został wyznaczony do wykonania wyroku.

Niebo nad zatoką wyglądało jak gotująca się zupa. W naszym kierunku zmierzała ściana deszczu, zamazując kształty. Zapytałem Grovera, czy nie przydałby nam się parasol.

- Nie - odpowiedział. - Tu nigdy nie pada, jeśli tego nie chcemy. Wskazałem na zbliżające się ku nam czoło burzy.

- Więc co to niby jest? Satyr niechętnie spojrział na niebo.

- Ominie nas. Zła pogoda zawsze tak robi.

Uświadomiłem sobie, że mówił prawdę. Przez ten tydzień, który tu spędziłem, nie widziałem ani raz pochmurnego nieba. Tych kilka deszczowych chmur, które się pojawiły na horyzoncie, zawracało tuż przed granicami doliny. Ale ta burza... była ogromna.

Na boisku do siatkówki dzieciaki z domku Apollina grały jak co rano z satyrami. Bliźniacy Dionizosa przechadzali się po grządkach truskawek, pomagając im rosnąć. Wszyscy zajmowali się swoimi codziennymi obowiązkami, ale wydawali się spięci. I nie spuszczała wzroku z chmur.

Podeszliśmy z Groverem do frontowej werandy Wielkiego Domu. Dionizos siedział przy stoliku do remika w swojej tygrysio-hawajskiej koszuli i z nieodłączną dietetyczną colą, zupełnie jak w pierwszym dniu, kiedy tu przybyłem. Po drugiej stronie stołu siedział Chejron w swoim niby-wózku inwalidzkim. Grali z niewidzialnymi partnerami: część kart unosiła się w powietrzu.

- No, no - odezwał się Pan D., nie podnosząc wzroku. - Nasza gwiazdeczka.

Czekałem.

- Podejdz no bliżej - powiedział Pan D. - I nie spodziewaj się śmiertelniku, że padnę przed tobą na kolana tylko dlatego, że stary Muszłobrody jest twoim ojcem.

Chmury przecięła istna sieć błyskawic. Grzmot zatrzęsł oknami domu.

- Ple ple ple - odpowiedział burzy Dionizos.

Chejron z udanym zainteresowaniem przyglądał się swoim kartom. Grover skulił się przy poręczy, nerwowo przebierając kopytami.

- Gdyby to ode mnie zależało - kontynuował Dionizos - kazałbym wszystkim twoim komórkom stanąć w ogniu. Następnie zamietlibyśmy popiół i byłoby po problemie. Ale Chejron najwyraźniej uważa, że to się klóci z moją rolą na tym przeklętym obozie: mam dbać o to, żeby się wam, bachory, nie stała żadna krzywda.

- Samozapłon jest krzywdą, Panie D. - wtrącił się Chejron.

- Bzdura - odparł Dionizos. - Chłopak nawet nic by nie poczuł. W każdym razie zgodziłem się hamować moje instynkty. Zastanawiam się w związku z tym, czy by cię nie zamienić w delfina i nie wysłać do tatusia.

- Panie D.! - krzyknął ostrzegawczo Chejron.

- Dobrze, już dobrze - westchnął Dionizos. - Istnieje jeszcze jedna możliwość. Ale to już kompletna głupota. - Wstał i karty niewidzialnych graczy spadły na stół.

- Muszę się udać na Olimp, bo zwołali zebranie w nagłej sprawie. Jeśli chłopak jeszcze tu będzie, jak wrócę, zamienię go w butlonosa atlantyckiego. Rozumiesz? A

ty, Perseuszu Jacksonie, jeśli masz choć trochę oleju w głowie, sam zobaczysz, że jest to znacznie sensowniejszy pomysł niż to, co powinieneś zrobić zdaniem Chejrona.

Dionizos wziął do ręki kartę, zwinął ją i zmienił w prostokątny kawałek plastiku. Karta kredytowa? Nie, identyfikator. Pstryknął palcami.

Powietrze wokół niego jakby złożyło się i zgięło. Zmienił się w hologram, potem w smugę wiatru - i zniknął, pozostawiając po sobie jedynie zapach świeżo wyciśniętych winogron.

Chejron uśmiechnął się do mnie, ale chyba był zmęczony i zestresowany.

- Siadaj, Percy, proszę. Ty, Groverze, również.

Usiedliśmy.

Chejron położył swoje karty na stole: wygrywający zestaw, którego nie miał już szans wykorzystać.

- Powiedz mi, Percy - powiedział. - Co sądzisz o tym piekielnym ogarze? Sama ta nazwa przyprawiała mnie o dreszcze.

Chejron zapewne spodziewał się, że powiem: „Dla mnie to pikuś. Poluję na nie w wolnym czasie dla rozrywki”. Ale nie chciało mi się kłamać.

- Przeraził mnie - odpowiedziałem. - Gdyby go pan nie zastrzelił, już bym nie żył.

- Spotkasz gorsze potwory, zanim skończysz, Percy. Dużo gorsze.

- Skończę... to znaczy co?

- Twoją misję, oczywiście. Czy przyjmiesz zadanie? Zerknąłem na Grovera, który zacisnął kciuki.

- Ekhem, proszę pana - powiedziałem. - Na razie nie wiem, o co chodzi. Chejron skrzywił się.

- No cóż, to jest najtrudniejsze. Szczegóły.

Nad doliną przetoczył się grzmot. Burzowe chmury dotarły właśnie nad plażę. Na moje oko wyglądało to tak, jakby wrzało i niebo, i morze.

- Posejdon i Zeus... - odezwałem się. - Walczą o coś cennego... Coś, co zostało skradzione, zgadza się?

Chejron i Grover wymienili spojrzenia. Chejron wychylił się na swoim wózku.

- Skąd o tym wiesz?

Poczułem, że się czerwienię. że też musiałem się wygadać.

- Pogoda od świąt jest dziwaczna, jakby niebo i morze były się ze sobą. A potem rozmawiałem z Annabeth i ona słyszała coś o jakiejś kradzieży. A poza tym... mam te sny.

- Wiedziałem - powiedział Grover.

- Cicho, satyrze - rozkazał mu Chejron.

- Ale to jego zadanie! - Oczy Grovera błyszczały w podekscytowaniu. - Na pewno!

- To może stwierdzić jedynie Wyrocznia. - Chejron pogładził się po rzadkiej brodzie.

- Tak czy siak, Percy, nie mylisz się. Twój ojciec i Zeus pokłócili się tak, jak już od stuleci się nie kłócili. I walczą o coś cennego, co zostało ukradzione. A konkretnie o piorun. Roześmiałem się nerwowo.

- O co?

- Nie lekceważ tego - ostrzegł mnie Chejron. - Nie mówię o jakichś tam owiniętych sreberkiem zygzakach, które widuje się w szkolnych przedstawieniach. Mówię o długiej na ponad pół metra tubie z najwyższej próby niebiańskiego spiżu, zatkaanej po obu stronach ładunkami wybuchowymi o boskiej mocy.

- Ach.

- Główny piorun Zeusa - ciągnął Chejron, który zdążył się już nakręcić. - Symbol jego władzy, źródło wszystkich błyskawic. Broń wykuta przez cyklopów na wojnę z tytanami. Piorun, który rozdarł szczyt Etny i strącił z tronu Kronosa. Piorun piorunów, tak potężny, że bomby wodorowe śmiertelników to przy nim świąteczne petardy.

- I to właśnie zginęło?

- Zostało ukradzione - poprawił mnie Chejron.

- Przez co?

- Przez *kogo* - poprawił mnie znów Chejron. Nauczyciel zawsze zostanie nauczycielem. - Przez ciebie.

Szczęka mi opadła.

- W każdym razie - Chejron uciszył mnie ruchem ręki - tak uważa Zeus. Podczas ostatniej narady bogów w zimowe przesilenie, Zeus i Posejdon się pokłócili. Jak zwykle poszło o to samo: „Matka Rea kochała cię bardziej” , „Katastrofy powietrzne są lepsze od morskich” itd. Niewiele później Zeus zorientował się, że nie ma pioruna piorunów, że ktoś wyniósł go z sali tronowej, zwinął mu go sprzed nosa. Natychmiast oskarżył o to Posejdona. Widzisz, żadnemu z bogów nie wolno przywłaszczać sobie osobiście symbolu władzy innego - jest to zakazane przez

najstarsze boskie prawa. Dlatego Zeus sądzi, że twój ojciec posłużył się w tym celu śmiertelnym herosem.

- Ale ja nie...

- Cierpliwości, dziecko, wysłuchaj mnie - upomniał mnie Chejron. - Zeus ma prawo żywić podejrzenia. Kuźnie cyklopów znajdują się pod dnem oceanu, co daje Posejdonowi niejaki wpływ na wytwórców broni jego brata. Zeus uważa, że

- Posejdon ukradł piorun piorunów i potajemnie kazał cyklopom wykonać arsenał nielegalnych kopii, których będzie mógł użyć, żeby strącić go z tronu. Zeus nie ma tylko pewności, którego z herosów wykorzystał Posejdon do dokonania kradzieży. Ale teraz Pan Mórz ogłosił cię oficjalnie swoim synem. A ty byłeś w ferie świąteczne w Nowym Jorku. Mogłeś bez trudu zakraść się na Olimp. Zeus jest zatem przekonany, że znalazł złodzieja.

- Ale ja nigdy nie byłem na Olimpie! Zeus oszalał!

Chejron i Grover zerknęli z przestachem na niebo. Wbrew zapewnieniom Grovera chmury wcale nie wyglądały tak, jakby zamierzały nas ominąć. Toczyły się nad naszą dolinę, przykrywając ją jak trumnę wiekiem.

- Ekhem, Percy...? - odezwał się Grover. - Nie mówimy tak o Panu Niebios.

- Już lepiej powiedz, że *ma obsesję* - zasugerował Chejron. - A poza tym Posejdonowi zdarzało się już wcześniej próbować obalić Zeusa. O ile pamiętam, było to pytanie numer trzydzieści osiem na twoim egzaminie... - Spojrzał na mnie tak, jakby naprawdę spodziewał się, że będę pamiętał pytanie o takim numerze.

Jak ktokolwiek może mnie oskarżać o kradzież broni jakiegoś boga? Nigdy nie udało mi się ukraść nawet kawałka pizzy podczas pokerowych seansów Gabe'a i nie zostać przyłapanym! Chejron jednak czekał na odpowiedź.

- Coś ze złotą siatką? - spróbowałem. - Posejdon, Hera i jeszcze kilku innych bogów... oni, no, złapali Zeusa w pułapkę i nie wypuścili, dopóki nie obiecał, że będzie lepszym władcą, zgadza się?

- Zgadza się - odparł Chejron. - Zeus nigdy od tego czasu nie ufał w pełni Posejdonowi. Oczywiście Posejdon zaprzecza, jakoby ukradł piorun piorunów. Straszliwie się obraził o to oskarżenie. Kłóca się tak już od wielu miesięcy, grożąc wojną. A teraz pojawiłeś się ty... co przeppełniło miarę.

- Ale ja jestem tylko dzieckiem!

- Percy - wtrącił się Grover - gdybyś był Zeusem i uznał, że twój brat knuje przeciw tobie, a następnie tenże twój brat nagle przyznałby, że złamał świętą przysięgę, którą złożył po drugiej wojnie, to znaczy, że spłodził śmiertelnego herosa, którego można użyć przeciwko tobie... Czy to nie dałoby ci do myślenia?

- Ale ja nic nie zrobiłem. Posejdon - to znaczy tato - wcale nie ukradł tego pioruna piorunów, prawda?

Chejron westchnął.

- Większość myślących obserwatorów uznałaby, że kradzież nie jest w stylu Posejdona. Ale Pan Mórz jest zbyt dumny, żeby starać się przekonać o tym Zeusa. Zeus zażądał, żeby Posejdon zwrócił mu piorun do przesilenia letniego. Które wypada dwudziestego pierwszego czerwca, czyli za dziesięć dni. Posejdon w związku z tym zażądał, żeby w tym samym dniu Zeus przeprosił go za nazwanie złodziejem. Miałem nadzieję, że dyplomacja zwycięży, że Hera, Demeter albo Hestia zdołają wbić braciom do głów nieco rozumu. Ale twoje pojawienie się podgrzało tylko temperaturę. Teraz żaden z nich się nie wycofa. Jeśli ktoś nie zadziała, jeśli piorun piorunów nie zostanie zwrócony Zeusowi przed przesileniem, będziemy mieli wojnę. A wiesz jak wyglądałaby wojna na całego, Percy?

- Źle? - zapytałem.

- Wyobraź sobie świat pogrążony w totalnym chaosie. Przyroda walcząca z samą sobą. Bogowie olimpijscy zmuszeni stanąć po stronie Zeusa lub Posejdona. Zniszczenia. Rzeź. Miliony trupów. Cywilizacja Zachodu zamieniona w jedno wielkie pole bitwy, przy którym wojna trojańska wygląda jak rzucanie się śnieżkami.

- Źle - powtórzyłem.

- A ty, Percy Jacksonie, jako pierwszy odczułbyś gniew Zeusa.

Zaczęło padać. Mecz siatkówki został przerwany, a gracze spoglądali w pełnym zdumienia milczeniu na niebo.

To *ja* sprowadziłem tę burzę nad Wzgórze Herosów. Zeus karał cały obóz przeze mnie. Byłem wściekły.

- Czyli że muszę znaleźć ten głupi piorun - powiedziałem - i zwrócić go Zeusowi.

- A co może być lepszą ofertą pokojową - odparł Chejron - niż syn Posejdona oddający Zeusowi jego własność?

- Ale skoro Posejdon tego nie ma, to gdzie to jest?

- Myślę, że wiem. - Chejron spochmurniał. - Część przepowiedni, którą otrzymałem kilka lat temu... Cóż, kilka wersów nabrało wreszcie sensu. Ale zanim będę mógł ci cokolwiek więcej powiedzieć, musisz oficjalnie przyjąć tę misję. I musisz udać się po radę do Wyroczni.

- Dlaczego wcześniej nie powie mi pan, gdzie jest piorun?

- Ponieważ gdybym to uczynił, byłbyś zbyt przerażony, żeby przyjąć wyzwanie.

Zaschło mi w gardle.

- Dobry powód.

- Zgadzasz się więc?

Spojrzałem na Grovera, który kiwał zachęcająco głową. Łatwo mu kiwać. To mnie chciał zabić Zeus.

- Dobrze - powiedziałem. - To lepsze niż zamiana w delfina.

- W takim razie czas na wizytę u Wyroczni - odparł Chejron. - Idź na górę, Percy Jacksonie. Na strych. Kiedy wrócisz i o ile nie zwariujesz, porozmawiamy dalej.

Cztery piętra wyżej schody kończyły się zieloną klapą w suficie. Pociągnąłem za sznurek. Klapa opadła, a na dół zjechała drewniana drabina. Spływające z góry ciepłe powietrze pachniało pleśnią, próchnem i czymś jeszcze... co pamiętam z lekcji biologii. Gadami. To był zapach węży. Wstrzymałem oddech i zacząłem się wspinać.

Strych wypełniały śmiecie typowe dla greckich herosów: pokryte pajęczynami stojaki na zbroje, błyszczące niegdyś tarcze przeżarte przez rdzę, stare kufry obklejone nalepkami z napisami ITAKA, WYSPA KIRKE, KRAJ AMAZONEK. Jedna z długich ław zastawiona była szklanymi słojami pełnymi unoszących się w formalinie *różnych rzeczy*... Odciętych włochatych szponów, wielkich żółtych oczu i innych kawałków potworów. Zakurzone trofeum myśliwskie wiszące na ścianie wyglądało jak łeb ogromnego węża, ale obdarzonego rogami i pełnym garniturem ostrych jak u rekina zębów. Poniżej widniała tabliczka: HYDRA, GŁOWA nr 1. WOODSTOCK w stanie Nowy Jork, 1969.

Pod oknem na drewnianym trójnożnym taborecie siedział najbardziej makabryczny eksponat: mumia. Nie z tych owiniętych w bandaże, ale zasuszone ludzkie, kobiece ciało skurczone do niemożliwości. Mumia miała na sobie kolorową sukienkę na ramiączkach, mnóstwo sznurów paciorków i opaskę na długich czarnych włosach. Skóra na jej twarzy i głowie była wyschnięta, a oczy wyglądały jak białe, szkliste kamyki wetknięte w wąziutkie szparki. Ta kobieta musiała być od bardzo, bardzo dawna martwa.

Przyglądałem się jej, czując na całym ciele dreszcze. I wtedy wyprostowała się na swoim stołku i otworzyła usta. Spomiędzy warg mumii uniosła się zielonkawa mgiełka, zwijając się na podłodze w grube macki, syczące niczym dwadzieścia tysięcy węży. Potknąłem się o własne nogi, usiłując dostać się z powrotem do klapy, ale ona zatrzęsała się z hukiem. W głowie usłyszałem głos, wpełzający przez ucho i zwijający się wokół mózgu: *Jam jest duch Delf, głos Fojbosa Apolla, zabójcy potężnego Pytona. Podejdz, poszukujący, i pytaj.*

Miałem ochotę odpowiedzieć: *Dziękuję, pomyliłem drzwi, szukam toalety.* Ale zmusiłem się do wzięcia głębokiego oddechu.

Mumia nie była żywa. Stanowiła rodzaj makabrycznego przekaźnika dla czegoś innego, tej potęgi, która wirowała obecnie wokół mnie w zielonej mgłę. Jej obecność nie emanowała jednak okrucieństwem jak moja demoniczna nauczycielka pani Dodds czy też Minotaur. Odczuwałem ją raczej tak jak Trzy Mojry, które widziałem robiące na drutach przed budką z owocami na autostradzie: coś starożytnego, potężnego i zdecydowanie nie-ludzkiego. To coś nie było też szczególnie zainteresowane zabiciem mnie.

Zebrałem się na odwagę i zadałem pytanie.

- Jakie jest moje przeznaczenie?

Mgła zawirowała, gęstniejąc, i zebrała się naprzeciwko mnie, wokół ławy zastawionej kawałkami potworów w formalinie. Nagle przy stole siedziało czterech mężczyzn grających w karty. Ujrzałem ich twarze. Był to Śmierdziel Gabe i jego świta. Zacisnąłem pięści, choć wiedziałem, że ta partyjka pokera nie dzieje się naprawdę. Była to iluzja, twór zielonej mgły.

Gabe zwrócił się do mnie i przemówił chrapliwym głosem Wyroczeni: *Na zachód idź, ku bogu, który się odwrócił.*

Kumpel Gabe'a siedzący po jego prawej podniósł wzrok i odezwał się tym samym głosem: *Odnajdziesz, co skradziono, i należne zwrócisz.* Koleś po lewej rzucił na stół dwa pokerowe żetony, po czym oznajmił: *Zdrady doświadczysz tego, co cię druhem woła.*

Na koniec Eddie, dozorca budynku, dorzucił najgorszy kawałek: *Tego, co najważniejsze, ocalić nie zdołasz.*

Postacie zaczęły się rozpląwać. Z początku byłem zbyt oszołomiony, żeby cokolwiek powiedzieć, ale kiedy mgła zaczęła się wycofywać, zwiijając się w wielkiego zielonego węża, który pełził z powrotem w kierunku mumii, krzyknąłem:

- Zaczekaj! Co to ma znaczyć? Jaki przyjaciel? Czego nie uda mi się ocalić?

Ogon węża z mgły znikł w ustach mumii, która oparła się znów o ścianę. Zacisnęła przy tym wargi tak mocno, jakby nie otwierała ich od stu lat. Na strychu zapadła ponownie cisza, bezruch - było to znów jedynie pomieszczenie pełne pamiątek. Miałem wrażenie, że mógłbym tam stać, czekając, aż i mnie pokryją pajęczyny, a i tak nie dowiedziałbym się niczego więcej. Moja wizyta u Wyroczeni dobiegła końca.

- I jak? - spytał Chejron. Opadłem na krzesło przy stoliku do remika.

- Powiedziała, że odnajdę to, co zostało skradzione.

Grover wychylił się do przodu, zawzięcie żując resztki puszki po dietetycznej coli.

- To wspaniale!

- Co *dokładnie* powiedziała Wyrocznia? - naciskał Chejron - To bardzo ważne. W uszach wciąż mi dzwoniło od węzowego głosu.

- Powiedziała... powiedziała, że powinienem pójść na zachód, ku bogu, który się odwrócił. I że odnajdę to, co zostało skradzione, i zwrócę to jak należy.

- Wiedziałem - oznajmił Grover. Chejron nie wyglądał na usatysfakcjonowanego.

- Coś jeszcze?

Nie miałem ochoty mu więcej mówić.

Jaki przyjaciel miałby mnie zdradzić? Nie miałem ich zbyt wielu. No i ten ostatni wers... że nie uda mi się ocalić tego, co najważniejsze. Co to za Wyrocznia, która wysyła na misję, rzucając przy okazji: *Och, a skoro już o tym mowa, nie powie ci się.*

Jak miałem się do tego przyznać?

- Nie - odrzekłem. - To mniej więcej wszystko. Przyglądał mi się uważnie.

- Dobrze, Percy. Ale wiedz jedno: słowa Wyroczni są często dwuznaczne. Nie przejmuj się nimi zanadto. Ich znaczenie zazwyczaj nie jest jasne, dopóki nie zdarzy się to, czego dotyczą.

Miałem wrażenie, że doskonale zdawał sobie sprawę, że coś przed nim ukryłem. I że starał się mnie pocieszyć, wiedząc, że musi to być coś nieprzyjemnego.

- Okej - powiedziałem, pragnąc zmienić temat. - Dokąd mam się udać? Kim jest ten bóg na zachodzie?

- Och, pomyśl, Percy - odparł Chejron. - Jeśli Zeus i Posejdon osłabiają się wzajemnie w walce, kto wzrośnie w siłę?

- Ktoś inny, komu marzy się władza?

- Tak, można to tak określić. Ktoś, kto od dawna skrywa urazę, kto był niezadowolony z działki, która mu się trafiła, kiedy lata temu dzielili między siebie świat, ktoś, kogo królestwo bardzo się wzmocni, kiedy zginą miliony. Ktoś, kto nienawidzi braci za to, że zmusili go do przysięgi o nieposiadaniu dzieci... Przysięgi, którą obaj i tak już złamali.

Pomyślałem o moich snach, o tym straszliwym głosie, który przemawiał spod ziemi.

- Hades. Chejron potaknął.

- Pan Umarłych to jedyna możliwość. Kawalek aluminium wyleciał Groverowi z ust.

- Ej, czekajcie. śe co?

- Erynia ścigała Percy'ego - przypomniał mu Chejron. - Obserwowała go od chwili, kiedy upewniła się co do jego tożsamości, po czym usiłowała go zabić. Erynie słuchają tylko jednego pana: Hadesa.

- Tak, ale... ale Hades nienawidzi *wszystkich* herosów - zaprotestował Grover. - Zwłaszcza jeśli zorientował się, że Percy jest synem Posejdona...

- Piekielny ogar dostał się do lasu - ciągnął Chejron. - Musiał zostać wezwany z głębi Tartaru i to przez kogoś w obrębie obozu. Hades ma tu szpiega. Zapewne podejrzewa, że Posejdon posłuży się Percym, żeby oczyścić swoje imię. Hades zatem najchętniej zabiłby tego tu młodego herosa, zanim podejmie się zadania.

- Super - mruknąłem. - Teraz już dwóch najpotężniejszych bogów marzy o mojej śmierci.

- Ale wyprawa do... - Grover przełknął głośno ślinę. - To znaczy, czy ten piorun piorunów nie może być gdzieś na przykład w Maine? Tam jest bardzo pięknie o tej porze roku.

- Hades wysłał któreś ze swoich stworzeń, żeby ukradło piorun - powiedział mu Chejron. - Ukrył go w Podziemnej Krainie, wiedząc doskonale, że Zeus będzie podejrzewał Posejdona. Nie twierdzą, że rozumiem w pełni motywy Pana Umarłych, nie wiem też, dlaczego postanowił wywołać wojnę właśnie teraz, ale jedno jest pewne. Percy musi iść do Podziemia, odnaleźć piorun piorunów i ujawnić prawdę.

Poczułem w żołądku dziwny ogień. Najdziwniejsze było to, że nie kojarzył się ze strachem. Raczej niecierpliwością. Pragnieniem zemsty. Hades już trzy razy usiłował mnie zabić: Erynią, Minotaurem i piekielnym ogarem. To przez niego moja mama znikła w rozbłysku światła. A teraz usiłuje zrobić mnie i tatę w kradzież, której nie popełniliśmy.

Byłem gotów się z nim rozprawić. A poza tym w Podziemiu jest mama...

Ej, chłopcze, odezwała się niewielka część mojego umysłu, która jeszcze zachowała resztki rozsądku. Jesteś tylko dzieckiem. A Hades jest bogiem. Grover dygotał. Zaczął zjadać karty do remika, jakby to były chipsy. Biedak musiał wykonać razem ze mną zadanie, żeby dostać swoją licencję poszukiwacza, cokolwiek to było, ale jak miałem prosić go o udanie się ze mną, zwłaszcza w sytuacji, kiedy Wyrocznia powiedziała, że poniosę klęskę? To byłoby samobójstwo.

- Proszę pana, skoro wiemy, że to Hades - zwróciłem się do Chejrona - to dlaczego nie możemy po prostu powiedzieć tego pozostałym bogom? Zeus albo Posejdon mógłby zejść do Podziemia i dołożyć, komu trzeba.

- Podejrzenia a wiedza to dwie zupełnie różne sprawy - odparł Chejron. - A poza tym nawet jeśli inni bogowie również podejrzewają Hadesa (a sądzę, że Posejdon na pewno), żaden z nich nie może samodzielnie odzyskać pioruna. Bogowie nie mogą wkraczać na terytorium innych bez zaproszenia. To kolejna starożytna zasada.

Herosi natomiast posiadają pewne przywileje. Mogą chodzić, gdzie chcą, i wyzywać, kogo im się żywnie podoba, o ile tylko mają dość siły i odwagi. Za czyny herosa nie odpowiada żaden z bogów. Jak myślisz, dlaczego bogowie zawsze działają przez śmiertelników?

- Sugeruje pan, że zostanę wykorzystany.

- Stwierdzam, że przypadkiem Posejdon uznał cię właśnie w tej chwili. To bardzo ryzykowna gra, ale on jest w beznadziejnej sytuacji. Potrzebuje cię.

Mój tato mnie potrzebuje.

Emocje przetoczyły się przeze mnie, zmienne jak wzory w kalejdoskopie. Nie wiedziałem, czy powinienem czuć urazę, wdzięczność, szczęście czy gniew. Posejdon nie zauważał mojego istnienia przez dwanaście lat. A teraz nagle mnie potrzebuje.

Spojrzałem na Chejrona.

- Wiedział pan od dawna, że jestem synem Posejdona, prawda?

- Podejrzewałem. Jak już mówiłem... ja też rozmawiałem z Wyrocznią. Odniosłem wrażenie, że bardzo dużo przede mną ukrywa w kwestii tej swojej przepowiedni, ale uznałem, że nie będę się teraz tym przejmował. W końcu ja też nie wyjawiałem mu wszystkiego.

- Wyjaśnijmy więc może kilka spraw - powiedziałem. - Mam iść do Podziemia i stawić czoła Panu Umarłych.

- Tak - odpowiedział Chejron.

- Znaleźć najpotężniejszą broń świata.

- Tak.

- I odnieść ją z powrotem na Olimp przed letnim przesileniem, czyli za dziesięć dni.

- Mniej więcej.

Zerknąłem na Grovera, który połykał właśnie asa kier.

- Czy wspomniałem już, że w Maine jest bardzo ładnie o tej porze roku? - Spytał ciekawym głosem.

- Nie musisz iść - zwróciłem się do niego. - Nie mogę tego od ciebie wymagać.

- O rety... - wierzgnął nerwowo. - Nie... Chodzi o to, że satyrowie i podziemia...No... Wziął głęboki oddech, wstał i strząsnął strzępy kart i aluminium ze swojej koszulki.

- Uratowałeś mi życie, Percy. Jeśli... jeśli naprawdę chcesz, żebym z tobą poszedł, to nie zawiodę cię.

Poczułem taką ulgę, że miałem ochotę się rozplakać, choć wiedziałem, że nie byłoby to bardzo heroiczne. Grover był jedynym kumplem, z którym przyjaźniłem się dłużej niż przez kilka miesięcy. Nie miałem wprowadzić pojęcia, co może dziać satyr przeciwko potężne umarłych, ale czułem się lepiej, wiedząc, że będzie ze mną.

- Dzięki, chłopie. - Po czym zwróciłem się do Chejrona. - Dokąd mamy iść? Wyrocznia powiedziała tylko, że na zachód.

- Wejście do Krainy Umarłych jest zawsze na zachodzie. Przemieszcza się z wieku na wiek, podobnie jak Olimp. Teraz znajduje się oczywiście w Ameryce.

- Gdzie?

Chejron wydawał się zaskoczony.

- Myślałem, że to będzie oczywiste. Zejście do Podziemia jest w Los Angeles.

- No jasne - powiedziałem. - Oczywiście. Czyli po prostu wsiadamy w samolot...

- Nie! - wrzasnął Grover. - Odbiło ci, Percy? Czy ty kiedykolwiek w życiu leciałeś samolotem?

Pokręciłem głową, czując zakłopotanie. Mama nigdy nie zabierała mnie nigdzie samolotem. Zawsze mówiła, że nie mamy na to pieniędzy. Poza tym jej rodzice zginęli w katastrofie lotniczej.

- Percy - powiedział Chejron - pomyśl. Jesteś synem Pana Mórza. Twój ojciec to najpoważniejszy rywal Zeusa, Pana Niebios. Twoja mama wiedziała, co robi, nie wsadzając cię do samolotu. Znalazłbyś się w królestwie Zeusa. Nie miałbyś szans wylądować szczęśliwie.

Nad naszymi głowami błyskawica rozdarła niebo. Rozległ się grzmot.

- Okej - powiedziałem, starając się nie patrzeć w stronę burzy. - W takim razie musimy podróżować lądem.

- Zgadza się - potaknął Chejron. - Możesz wziąć ze sobą dwójkę towarzyszy. Grover został już jednym z nich. Druga się też już zgłosiła, jeśli tylko przyjmiesz jej pomoc.

- No tak - odrzekłem, udając zaskoczenie. - Któż inny byłby tak głupi, żeby pchać się na tego rodzaju misję?

Powietrze za plecami Chejrona zamigotało.

Annabeth zmaterializowała się, chowając do tylnej kieszeni spodni swoją bejsbolówkę.

- Od dawna czekam na jakąś misję, ty Glonomóźdzku - odezwała się. - Atena nie jest fanką Posejdona, ale skoro ty masz ratować świat, to moim zadaniem będzie pilnować, żebyś nie zawalił.

- Skoro tak twierdzisz - burknąłem. - Pewnie masz już plan, mądralo?  
Zarumieniła się.

- Chcesz mojej pomocy czy nie?

Prawda była taka, że chciałem. Potrzebowałem wszelkiej pomocy, jaką miałem szansę uzyskać.

- Trójka - powiedziałem. - Powinno zadziałać.

- Doskonale. - Chejron zatarł ręce. - Dziś po południu zawieziemy was na dworzec autobusowy na Manhattanie. Dalej musicie radzić sobie sami.

Rozległ się grzmot. Na łąki, na których nigdy nie zdarzała się brzydka pogoda, spadł ulewny deszcz.

- Nie mamy czasu do stracenia - oznajmił Chejron. - Pakujcie się.

## ROZDZIAŁ X

### JAK SKASOWAŁEM CAŁKIEM PORZĄDNY AUTOBUS

Pakowanie nie zajęło mi dużo czasu. Postanowiłem zostawić róg Minotaura w domku, do przyniesionego przez Grovera plecaka włożyłem więc tylko ubranie na zmianę i szczoteczkę do zębów.

Magazyn obozowy pożyczył mi sto dolarów w śmiertelniczych pieniądzach i dwadzieścia złotych drachm. Były one wielkie jak medale olimpijskie i miały wyryte podobizny najróżniejszych greckich bogów po jednej stronie, a sylwetkę Empire State Building po drugiej. Chejron wyjaśnił nam, że starożytne drachmy śmiertelników były srebrne, ale bogowie olimpijscy posługiwali się wyłącznie czystym złotem. Powiedział również, że te monety mogą się nam przydać w nie śmiertelniczych transakcjach, cokolwiek to miało znaczyć. Annabeth i ja dostaliśmy ponadto po manierce nektaru i torebce ciasteczek z ambrozji, których mieliśmy używać jedynie w poważnych sytuacjach, gdybyśmy byli ciężko ranni. Chejron przypomniał nam, że to pożywienie bogów, zdolne uleczyć niemal każdą ranę, ale dla śmiertelników *zabójcze*. Zbyt wielka dawka uczyniłaby naszą półkrew bardzo gorącą. Przedawkowanie wywołuje ogień w przetyku. Dosłownie.

Annabeth zabrała swoją magiczną bejsbolówkę Jankesów która okazała się prezentem od mamy na dwunaste urodziny, książkę o słynnych antycznych budowlach po starogrecku, żeby mieć co czytać w razie nudy, oraz długi brązowy

sztylet ukryty w rękawie koszuli. Byłem przekonany, że ten nóż nas pograży, kiedy tylko trafimy na wykrywacz metalu.

Grover założył sztuczne stopy i dżinsy, udając człowieka, a poza tym miał jeszcze zieloną rastafariańską czapkę, bo kiedy padało, jego kręcone włosy prostowały się i widać było same koniuszki rożków. Pomarańczowy plecak wypchał kawałkami metalu i jabłkami do pogryzania. W kieszeni miał drewniane piszczałki, które wyrzeźbił dla niego kozłonogi ojciec. Niestety Grover znał tylko dwie melodie: XII koncert fortepianowy Mozarta i „Oops!... I did it again” Britney Spears. Obie na piszczałkach brzmiały okropnie.

Pomachaliśmy na pożegnanie pozostałym obozowiczom, obrzuciliśmy ostatnim spojrzeniem pola truskawek, ocean i Wielki Dom, po czym powędrowaliśmy na Wzgórze Herosów ku wielkiej sośnie, która była niegdyś Thalią, córką Zeusa.

Chejron czekał na nas w swoim wózku inwalidzkim. Koło niego stał ten opalony koleś, którego widziałem, jak dochodziłem do zdrowia w Wielkim Domu. Grover twierdził, że ten gość jest szefem ochrony obozu. Ponoć miał oczy na całym ciele, więc nie dało się go zaskoczyć. Dziś jednak miał na sobie uniform szofera, więc widać było tylko te dodatkowe zerkacze na dłoniach, twarzy i szyi.

- To jest Argus - powiedział Chejron. - Zawiezie was do miasta i, hmmm, będzie miał na wszystko oko.

Usłyszałem kroki za nami.

Lukę biegł na wzgórze, niosąc parę tenisówek.

- Hej! - zawołał zdyszany. - Dobrze, że was złapałem.

Annabeth zarumieniła się, jak zawsze, kiedy Lukę był w pobliżu.

- Chciałem życzyć wam powodzenia - zwrócił się do mnie. - A poza tym pomyślałem... no, że może przyda ci się coś takiego. Podał mi tenisówki, które wyglądały dość zwyczajnie.

- *Maja!* - powiedział Luke.

Przy piętach wyrosły białe ptasie skrzydła, co zaskoczyło mnie do tego stopnia, że wypuściłem buty z ręki. Tenisówki podskakiwały po trawie przez chwilę, ale w końcu złożyły i schowały skrzydła.

- Boskie! - zawołał Grover.

Luke uśmiechnął się.

- Prezent od taty. Bardzo mi się przydały na mojej misji. Ale ostatnio nie miałem wiele okazji, żeby ich używać... - Twarz mu spochmurniała.

Nie wiedziałem, co powiedzieć. Super, że Luke przyszedł nas pożegnać. Obawiałem się, że miał do mnie żal o tę uwagę, jaką w ostatnich dniach mi poświęcano.

Tymczasem on przyszedł z magicznym podarunkiem... Zarumieniłem się zupełnie jak Annabeth.

- Ej - powiedziałem. - Dzięki, chłopie.

-Słuchaj, Percy... - Luke wyglądał na zakłopotanego. -Wiążemy z tobą wielkie nadzieje. Więc wiesz... zabij w moim imieniu kilka potworów, okej?

Uścisnęliśmy dłonie. Luke poklepał Grovera po głowie między różkami i przytulił na pożegnanie Annabeth, która wyglądała, jakby miała za chwilę zemdleć.

Kiedy sobie poszedł, nachyliłem się do Annabeth.

- Bo się udusisz.

- Odczep się.

- Pozwoliłaś mu zdobyć sztandar, co?

- Och... czemu ja chciałam iść dokądkolwiek z tobą, Percy?

Pomaszerowała na drugą stronę wzgórza, gdzie na poboczu czekała biała terenówka. Argus ruszył za nią, pobrzękując kluczykami.

Podniosłem latające buty i nagle mnie oświeciło. Spojrzałem na Chejrona.

- Nie będę mógł ich używać, prawda? Pokręcił przecząco głową.

- Lukę miał dobre intencje, Percy. Ale latanie... to w twoim przypadku niezbyt dobry pomysł.

Kiwnąłem głową, zawiedziony, ale w tej samej chwili wpadło mi coś do głowy.

- Ej, Grover. Chcesz magiczny gadżet? Zaświeciły mu się oczy.

Natychmiast założył magiczne tenisówki na swoje niby-nogi i oto pierwszy na świecie latający kozłonóg był gotów do startu.

- *Maja!* - krzyknął.

Wzniósł się nad ziemię całkiem prawidłowo, ale niemal natychmiast przechylił się w bok, a plecak ściągnął go na trawę. Skrzydlate buty brykały jeszcze przez chwilę jak maleńkie żrebaki.

- Praktyka! - zawołał do niego Chejron. - Musisz poćwiczyć!

- Aaa! - Grover pofrunął bokiem w dół wzgórza niczym opętana kosiarka do trawy, celując głową prosto w samochód.

Zanim zdążyłem za nim pobiec, Chejron chwycił mnie za ramię.

- Powinienem być cię więcej nauczyć, Percy - powiedział. -Ale miałem mało czasu. Achilles, Jazon... oni wszyscy uczyli się dłużej.

- Jest w porządku. Szkoda tylko...

Powstrzymałem się, bo nie chciałem wyjść na rozkapryśzone dziecko. Ale było mi przykro, że mój tato nie dał mi jakiegoś fajnego magicznego przedmiotu, który pomógłby mi w tym zadaniu, czegoś równie dobrego jak latające tenisówki Luke'a albo czapka niewidka Annabeth.

- Ależ gapa ze mnie! - zawołał Chejron. - Nie mogę cię puścić bez tego.

Wyciągnął z kieszeni marynarki długopis i podał mi go. Był to najzwyklejszy jednorazowy długopis z czarnym atramentem i zdejmowaną zatyczką. Kosztował pewnie jakieś trzydzieści centów.

- Rany - powiedziałem. - Dziękuję.

- Percy, to jest prezent od twojego ojca. Miałem go od lat, nie wiedząc, że to czeka na ciebie. Ale teraz zrozumiałem przepowiednię. To jest twoje.

Przypomniała mi się wycieczka do muzeum i to, jak wyparowałem panią Dodds. Chejron rzucił mi wtedy długopis, który zamienił się w miecz. Czyżby ten...?

Zdjąłem zatyczkę, a długopis wydłużył się w mojej ręce i zdecydowanie zwiększył ciężar. W jednym momencie trzymałem w dłoni lśniący spiszowy obosieczny miecz o rękojeści owiniętej skórą i płaskim jelcu nabijanym złotymi ćwiekami. Była to pierwsza broń wyważona tak, że dobrze czułem ją w ręce.

- Ten miecz ma długie i tragiczne dzieje, których nie będziemy teraz omawiać - powiedział mi Chejron. - Nazywa się Anaklysmos.

- Wzburzona fala... - przetłumaczyłem, zdumiony, że znam takie słowa po grecku. - Będę go nazywał Orkanem.

- Używaj go tylko w najwyższej potrzebie - ciągnął Chejron - i tylko przeciwko potworom. Herosi nie powinni krzywdzić śmiertelników, oczywiście jeśli nie jest to absolutnie konieczne, ale ten miecz i tak by ich nie zranił.

Spojrzałem na wyglądające groźnie ostrze.

- Co ma pan na myśli, mówiąc, że nie skrzywdzi śmiertelników? Trudno to sobie wyobrazić...

- Miecz jest z niebiańskiego spizu. Cyklopi wykuli go we wnętrzu Etny, a ochłodzili w rzece Lete. Jest on śmiertelnie niebezpieczny dla potworów i dla każdego stworzenia pochodzącego z Podziemia - oczywiście pod warunkiem, że ono nie zabije cię wcześniej. Natomiast przez ciało śmiertelnika ostrze przejdzie, jakby było iluzją. Ludzie po prostu nie są dość ważni dla tego miecza, żeby miał ich zabijać. Ach, powinienem cię ostrzec: ciebie, jako istotę półkrwi, można zabić zarówno ludzką, jak i boską bronią. Jedna i druga jest dla ciebie niebezpieczna.

- Dobrze wiedzieć.

- A teraz zatkaj z powrotem długopis.

Dotknąłem zatyczką czubka miecza i Orkan natychmiast skurczył się w długopis. Wetknąłem go do kieszeni, czując lekki stres, ponieważ w szkole notorycznie gubiłem przybory do pisania.

- Nie da się - powiedział Chejron.

- Co się nie da?

- Zgubić tego długopisu - dokończył centaur. - Jest zaczarowany. Zawsze wróci do twojej kieszeni. Spróbuj.

Ostrożnie rzuciłem długopis najdalej, jak potrafiłem, i patrzyłem, jak znika w trawie.

- To może chwilę potrwać - powiedział Chejron. - Sprawdź w kieszeni.

Długopis oczywiście tam był.

- Dobra, to jest *naprawdę* super - przyznałem. - A co, jeśli jakiś śmiertelnik zobaczy, jak dobywam miecza?

Chejron uśmiechnął się.

- Mgła to potężna siła, Percy.

- Mgła?

- Owszem. Poczytaj *Iliadę*. Znajdziesz tam mnóstwo uwag na ten temat. Kiedy tylko bogowie albo potwory mieszają się w sprawy świata śmiertelników, wytwarzają Mgłę, która zaćmiewa umysły ludzi. Ty widzisz rzeczy takimi, jakie są naprawdę, ale ludzie dostrzegą w nich coś zupełnie innego. To zresztą zdumiewające, do czego są zdolni, byle tylko dopasować wszystko do swojej wersji rzeczywistości.

Włożyłem Orkana z powrotem do kieszeni.

Po raz pierwszy poczułem, że ta misja jest czymś realnym. Naprawdę opuszczałem Wzgórze Herosów. Jechałem na zachód bez nikogo dorosłego, bez planu awaryjnego, a nawet bez komórki. (Chejron oznajmił, że potwory umieją wyczuwać komórki, a więc używanie ich jest gorsze niż wysyłanie sygnałów w ogniwych). Nie miałem żadnej broni oprócz spiżowego miecza, żeby pokonać potwory i dotrzeć do Krainy Umarłych.

- Chejronie... - odezwałem się. - Kiedy mówił pan, że bogowie są nieśmiertelni... to znaczy, chodzi mi o to, że *przed* nimi też był czas, prawda?

- Konkretnie cztery ery. Wiek Tytanów był Czwartą Erą, nazywaną niekiedy Złotym Wiekiem, co jest zdecydowanie mylące. Teraz mamy Piątą Erę cywilizacji zachodniej i rządów Zeusa.

- A jak było... przed bogami? Chejron zacisnął usta.

- Nawet ja nie jestem aż tak stary, żeby to pamiętać, moje dziecko, ale wiem, że dla śmiertelników był to ciemny i dziki czas. Kronos, król tytanów, nazwał swoje czasy Złotym Wiekiem, ponieważ ludzie żyli wtedy jakoby w niewinności i niewiedzy. Ale to tylko propaganda. Król tytanów nie przejmował się w ogóle twoim gatunkiem, jeśli nie liczyć ludzi w charakterze przystawek lub źródła taniej rozrywki. Dopiero we wczesnych latach rządów Pana Zeusa, kiedy dobry tytan Prometeusz przyniósł ludziom ogień, twój gatunek zaczął się rozwijać a nawet wtedy Prometeusz został uznany za radykała. Jak być może pamiętasz, Zeus srodze go ukarał. Oczywiście w końcu bogowie przekonali się do ludzi i tak narodziła się cywilizacja zachodnia.

- A teraz bogowie nie mogą umrzeć, zgadza się? To znaczy, dopóki trwa zachodnia cywilizacja, oni żyją. Więc... nawet gdyby mi się nie powiodło, nie może się stać nic aż tak złego, żeby *bardzo* namieszać, prawda?

Chejron uśmiechnął się do mnie melancholijnie.

- Nikt nie wie, jak długo będzie trwać Era Zachodu, Percy. Bogowie są nieśmiertelni, owszem. Ale tytani również byli. I *oni* wciąż istnieją, zamknięci w różnych lochach, zmuszeni znosić niekończące się cierpienia i kary, pozbawieni części swojej mocy, ale zdecydowanie żywi. Niech Fata strzegą bogów przed podobnym losem, a nas przed powrotem do ciemności i chaosu. Ale możemy jedynie iść za naszym przeznaczeniem, moje dziecko.

- Przeznaczeniem... pod warunkiem, że wiemy, co nim jest.

- Wyluzuj - powiedział mi Chejron. - Nie trać jasności umysłu. I pamiętaj, że być może to właśnie ty masz zapobiec największej wojnie w dziejach ludzkości.

- Wyluzować - powtórzyłem. - Jestem całkiem wyluzowany. Kiedy dotarłem do podnóża pagórka, spojrzałem za siebie.

Pod sosną, która niegdyś była Thalią, córką Zeusa, stał teraz Chejron w swojej pełnej końskiej postaci, trzymając w górze łuk, jakby nam salutował. Najzwyklejsze pod słońcem pożegnanie wyjeżdżających obozowiczów przez najzwyklejszego pod słońcem centaury.

Argus wywiózł nas z wiejskiej okolicy na zachód Long Island. Dziwacznie się czułem znów na autostradzie, z Annabeth i Groverem siedzącymi koło mnie, jakbyśmy byli zwykłymi turystami. Po dwóch tygodniach spędzonych w Obozie Herosów normalny świat zdawał się fantastyką. Przyłapałem się na gapieniu się na McDonaldy, dzieci na tylnych siedzeniach samochodów, tablice reklamowe i centra handlowe. - Jak na razie nieźle - powiedziałem do Annabeth. - Piętnaście kilometrów i nie trafiliśmy na żadnego potwora. Spojrzała na mnie z irytacją.

- Takie gadanie przynosi pecha, rozgwiadzo.

- Możesz mi przypomnieć... czemu mnie tak nienawidzisz?

- Nie nienawidzę cię.

- Już ci wierzę.

Zgniotła w dłoni swoją czapeczkę-niewidkę.

- Słuchaj... my nie powinniśmy się dobrze dogadywać, rozumiesz? Nasi rodzice są rywalami.

- Dlaczego? Westchnęła.

- Ile powodów mam ci podać? Pewnego razu moja mama Atena przyłapała Posejdon z dziewczyną w świątyni ku swojej czci, a to jest *potwornym* brakiem szacunku. Kiedy indziej Atena i Posejdon współzawodniczyli o opiekę nad miastem. Twój tato zaproponował im jakieś głupie słone źródło jako dar. A moja mama stworzyła gaje oliwne. Ludzie uznali, że jej prezent jest lepszy, więc nazwali swoje miasto po niej.

- Musieli po prostu lubić oliwki.

- Spadaj.

- Wiesz, bo gdyby wymyśliła pizzę... to bym rozumiał.

- Spadaj, powiedziałam.

Siedzący z przodu Argus uśmiechnął się. Nic nie powiedział, ale jedno z niebieskich oczu na jego karku mrugnęło do mnie.

W Queens zatrzymał nas ruch. Kiedy wreszcie dostaliśmy się na Manhattan, słońce już zachodziło i zaczynał padać deszcz.

Argus wysadził nas na dworcu na Upper East Side, niedaleko mieszkania mamy i Gabe'a. Do skrzynki na listy przyklejona była zamoknięta ulotka z moim zdjęciem i napisem POSZUKIWANY.

Zerwałem ją, zanim Annabeth i Grover zauważyli.

Argus wypakował nasze plecaki, sprawdził, czy kupiliśmy dobre bilety, po czym odjechał. Oko na wierzchu jego dłoni obserwowało nas, kiedy wyjeżdżał z parkingu.

Przyszło mi do głowy, że jestem bardzo blisko mojego dawnego mieszkania. W zwyczajny dzień mama wróciłaby już do domu z cukierni. Śmierdziel Gabe siedział zapewne teraz na górze, grając w pokera, i nawet za nią nie tęsknił.

Grover założył plecak. Jego spojrzenie powędrowało za moim.

- Chcesz wiedzieć, dlaczego za niego wyszła, Percy? Wlepiłem w niego wzrok.

- Czytasz mi w myślach czy co?

- Tylko w emocjach. - Wzruszył ramionami. - Chyba zapomniałem ci powiedzieć, że satyrowie to potrafią. Myślałeś o swojej mamie i ojczymie, prawda?

Potaknąłem, zastanawiając się, czego jeszcze Grover zapomniał mi powiedzieć.

- Twoja mama wyszła za Gabe'a ze względu na *ciebie* -oznajmił Grover. - Nazwałeś go Śmierdzielem i nawet nie masz pojęcia, jak słusznie. Ten facet ma taką aurę... Fuj, nawet tu go czuć. Ja wyczuwam jego ślady na tobie, mimo że od tygodnia nie byłeś w jego pobliżu.

- Dziękuję - powiedziałem. - Gdzie jest najbliższy prysznic?

- Powinieneś się z tego cieszyć, Percy. Twój ojczym do tego stopnia śmierdzi odrażającym śmiertelnikiem, że byłby w stanie zamaskować obecność każdego półboga. Jak tylko wyczułem go w waszym samochodzie, zrozumiałem, że Gabe przez wiele lat ukrywał twój zapach. Gdybyś nie mieszkał z nim pod jednym dachem każdego lata, potwory zapewne znalazłyby cię dużo wcześniej. Twoja mama żyła z nim, żeby cię chronić. Bystra z niej była kobietka. Musiała cię bardzo kochać, skoro wytrzymała z takim facetem... jeśli to poprawi ci humor.

Nie poprawiło, ale zrobiłem, co mogłem, żeby tego nie pokazać. Zobaczą ją jeszcze kiedyś, pomyślałem. Ona nie odeszła.

Zastanawiałem się, czy Grover umie odczytać tak poplątane emocje jak moje. Cieszyłem się, że on i Annabeth towarzyszą mi, ale czułem się nie najlepiej z tym, że nie byłem z nimi całkiem szczery. Nie powiedziałem im, jaki jest prawdziwy powód przyjęcia tego szalonego zadania.

Prawda była taka, że nic mnie nie obchodziło odzyskanie Zeusowego pioruna ani też ratowanie świata, a nawet wyciągnięcie ojca z tarapatów. Im dłużej o tym myślałem, tym większy żal czułem do Posejdona za to, że nigdy mnie nie odwiedził, nigdy nie pomógł mamie, nigdy nawet nie przysłał jakichś alimentów. Uznał mnie wyłącznie dlatego, że potrzebował kogoś, kto wykona dla niego robotę.

Chodziło mi tylko o mamę. Hades zabrał ją nieuczciwie i Hades będzie musiał ją zwrócić.

*Zdrady doświadczysz tego, co cię druhem wda, szeptała w moich myślach Wyrocznia. Tego, co najważniejsze, ocalić nie zdołasz.*

*Zamknij się,* odpowiedziałem.

Deszcz nie przestawał padać.

Znudziło nas czekanie na autobus, więc zaczęliśmy grać w zośkę jednym z jabłek Grovera. Annabeth była niewiarygodna. Potrafiła odbijać jabłko kolaniem, łokciem, ramieniem -dowolną częścią ciała. Mnie w sumie też nieźle szło.

Gra skończyła się, kiedy rzuciłem jabłko do Grovera, a ono znalazło się w pobliżu jego twarzy. Nasza zośka znikła w jednym wielkim kozim kłapnięciu szczęki -skórka, mięsz, ogryza wszystko.

Grover zaczerwienił się. Zaczął się tłumaczyć, ale my nie słuchaliśmy, zwijając się ze śmiechu.

W końcu przyjechał autobus. Kiedy ustawiliśmy się w kolejce do wejścia, Grover zaczął się rozglądać i wachać powietrze, jakby wyczuł swoją ulubioną potrawę ze szkolnej stołówki - tortillę.

- Co się dzieje? - spytałem.

- Nie wiem - odparł w napięciu. - Może nic.

Ale ja wiedziałem, że to nie było nic. Zacząłem też oglądać się przez ramię.

Poczułem ulgę, kiedy wreszcie znaleźliśmy się w środku autobusu, zajęliśmy trzy miejsca obok siebie na samym tyle i upchnęliśmy plecaki na półce. Annabeth uderzyła nerwowo swoją bejsbolówką w kolano.

Kiedy wsiadali ostatni pasażerowie, zacisnęła nagle palce na mojej nodze.

- Percy.

Do autobusu weszła starsza kobieta. Miała na sobie wymiętą aksamitną suknię, koronkowe rękawiczki i bezkształtny pomarańczowy kapelusz, który zasłaniał jej twarz. W ręce trzymała dużą prążkowaną torebkę. Kiedy uniosła nieco głowę, zobaczyłem jej błyszczące czarne oczy i serce zamarło mi w piersi.

To była pani Dodds. Starsza, bardziej pomarszczona, ale jej wredna twarz ani trochę się nie zmieniła.

Wcisnąłem się głęboko w fotel.

Za nią do autobusu wsiadały dwie inne kobiety: jedna w zielonym, druga w fioletowym kapeluszu. Gdyby nie to, wyglądałyby wszystkie jak pani Dodds: te same sękaty ręce, takie same torebki i wymięte suknie z aksamitu. Trójca demonicznych babć.

Usiadły na samym przodzie, tuż za kierowcą. Te dwie, które siedziały bliżej przejścia, skrzyżowały wyciągnięte między rzędy siedzeń nogi. Wyglądało to dość niewinnie, ale przekaz był jasny: nikt nie wysiądzie.

Autobus wyjechał z dworca i zaczął krążyć po śliskich ulicach Manhattanu.

- Nie była długo martwa - powiedziałem, starając się, żeby nie było słychać, że głos mi drży. - Wydawało mi się, że mówiłaś, że można je rozproszyć na dłużej.

- Powiedziałam, że jeśli ma się *szczęście* - odparła Annabeth. - Ty go najwyraźniej nie miałeś.

- Wszystkie trzy - jęknął Grover. - *Di immortales!*

- Nie jest źle - powiedziała Annabeth, najwyraźniej myśląc gorączkowo. - Erynie. Trzy najgorsze potwory z Podziemia. To nic. To nic. Wymkniemy się przez okno.

- Okna się nie otwierają - stęknął Grover.

- Wyjście awaryjne? - podsunęła Annabeth.

Nie było go z tyłu autobusu. A gdyby nawet było, nie na wiele by się zdało. Byliśmy już na Dziewiątej Alei, zmierzając ku tunelowi Lincolna.

- Nie zaatakują nas przy świadkach - powiedziałem. -Prawda?

- Śmiertelnicy mają słaby wzrok - przypomniała mi Annabeth. - Ich mózgi przetwarzają tylko to, co przedostanie się do ich oczu przez Mgłę.

- W takim razie zobaczą, jak trzy babcie nas zabijają, nie? Zamyśliła się.

-Trudno powiedzieć. Ale nie możemy liczyć na pomoc śmiertelników. Może wyjście awaryjne jest w suficie?

Wjechaliśmy do tunelu i w autobusie zapanowała ciemność, jeśli nie liczyć światełek na podłodze w przejściu. Gdy ucichł dźwięk deszczu na dachu, zrobiło się dziwacznie cicho.

Pani Dodds wstała. Spokojnym tonem, jakby dokładnie to przećwiczyła, oznajmiła na cały autobus:

- Muszę skorzystać z toalety.

- Ja też - zawtórowała jej druga siostra.

- Ja też - dorzuciła trzecia.

I wszystkie trzy ruszyły przejściem w środku autobusu.

- Wymyśliłam - szepnęła Annabeth. - Percy, wkładaj moją czapkę.

- Co?

- One chcą dopaść ciebie. Zrób się niewidzialny i idź na przód autobusu. Daj im się wyminąć. Może uda ci się dostać do drzwi i wysiąść.

- Ale wy...

- Istnieje pewna szansa, że nawet nas nie zauważą - odparła Annabeth. - To ty jesteś synem jednego z Wielkiej Trójki. Twój zapach może zagłuszyć wszystko inne.

- Nie mogę was tak zostawić.

- Nie przejmuj się nami - powiedział Grover. - Idź!

Ręce mi drżały. Czuję się jak tchórz, ale wzięłem bejsbolówkę Jankesów i nałożyłem ją na głowę.

Kiedy spojrzałem w dół, nie zobaczyłem własnego ciała.

Zacząłem przeciskać się na przód autobusu. Udało mi się minąć dziesięć rzędów, po czym musiałem wskoczyć na puste miejsce, żeby przepuścić Erynie.

Pani Dodds zatrzymała się, wężąc, i spojrzała prosto na mnie. Serce waliło mi jak młotem.

Najwyraźniej jednak nic nie zobaczyła. Wszystkie trzy siostry ruszyły dalej.

Byłem wolny. Dotarłem na przód autobusu. Już niemal wyjeżdżaliśmy z tunelu. Miałem właśnie pociągnąć za dźwignię hamulca awaryjnego, kiedy usłyszałem koszarne zawrodoenie dochodzące z tyłu.

Staruszki nie były już staruszkami. Twarze pozostały takie same - chyba nie były już w stanie bardziej zbrzydnać - ale ciała skurczyły się w te skórzaste brązowe wiedzmy o skrzydłach nietoperzy i rękach oraz stopach zakończonych groteskowymi szponami. Torebki zamieniły się w ogniste bicze.

Erynie otoczyły Grovera i Annabeth, trzaskając biczami i sycząc:

- Gdzie to jest? Gdzie?

Inni pasażerowie krzyczeli i kulili się na swoich siedzeniach. Ewidentnie *coś* zobaczyli.

- Nie ma go tu! - wrzeszczała Annabeth. - Wsiadł! Erynie uniosły bicze.

Annabeth wyciągnęła brązowy sztylet. Grover chwycił jedną z puszek wypełniających jego plecak i zamierzył się.

To, co następnie zrobiłem, było tak impulsywne i niebezpieczne, że powinienem dostać tytuł ADHD roku.

Kierowca autobusu był rozproszony, ponieważ usiłował zobaczyć we wstecznym lusterku, co się dzieje.

Pozostając niewidzialnym, wyrwałem mu kierownicę i skręciłem ostro w lewo. Ludzie zawyli, rzućeni nagle w prawo, a ja miałem nadzieję, że to, co poza tym usłyszałem, to dźwięk, jaki wydaje Erynia rozpłaszczona na szybie.

- Ej! - wrzasnął kierowca. - Ej... co u...?

Walczyliśmy o kierownicę. Autobus uderzył o ścianę tunelu, zgrzytając metalem i krzesząc iskry na kilometr.

Wyjechaliśmy zygzakiem z tunelu, wpadając z powrotem w ulewny deszcz. W autobusie rzucało ludźmi i potworami na wszystkie strony, a samochody rozstępowały się przed nami jak kręgle przed kulą.

Kierowcy udało się znaleźć zjazd. Zjechaliśmy z autostrady, mijając kilka skrzyżowań ze światłami, i w końcu toczyliśmy się po jednej z tych bocznych dróg w New Jersey, na których jest tak pusto, że aż trudno uwierzyć, że jest to raptem po drugiej stronie rzeki od Nowego Jorku. Po lewej mieliśmy las, po prawej rzekę Hudson, a kierowca najwyraźniej kierował się ku rzece.

Kolejny świetny pomysł: pociągnąłem za awaryjny hamulec

Autobus zawył, zatoczył pełne koło na mokrym asfalcie i uderzył w drzewa. Zapaliły się światła awaryjne. Drzwi stanęły otworem. Kierowca jako pierwszy wyskoczył na zewnątrz a pasażerowie rzucili się za nim, wrzeszcząc w panice. Stałem za kierownicą i przepuściłem ich wszystkich.

Erynie odzyskały równowagę. Zamachnęły się biczami na Annabeth, która wymachiwała sztyletem, krzycząc po grecku, żeby sobie poszły. Grover rzucał w nie puszkami.

Spojrzałem na otwarte drzwi. Dałbym radę wyskoczyć bez przeszkód, ale nie mogłem zostawić przyjaciół. Zdjąłem bejsbolówkę niewidkę.

-Hej!

Erynie odwróciły się, szczerząc do mnie żółtawe kły, i nagle ucieczka wydała mi się jednak świetnym pomysłem. Pani Dodds skradała się przejściem między siedzeniami, zupełnie tak jak niegdyś między ławkami w klasie, zwłaszcza kiedy gotowała się do oddania mi klasówki z matematyki, z której dostałem kolejną jedynkę na szynach. Za każdym razem, kiedy potrząsała biczem, po nabijanych ćwiekami rzemieniach pełzały czerwone płomyki.

Jej dwie brzydkie siostry skoczyły na oparcia siedzeń po obu jej stronach i pełzły ku mnie niczym ogromne, obrzydliwe jaszczury.

- Perseuszu Jacksonie - powiedziała pani Dodds z akcentem, który zdecydowanie zdradzał pochodzenie z dalszego południa niż Georgia. - Obraziłeś bogów. Musisz umrzeć.

- Wołałem panią jako nauczycielkę - odparłem.

Warknęła.

Annabeth i Grover ostrożnie podeszli do Erynii od tyłu, szukając wyjścia.

Wyciągnąłem z kieszeni długopis i zdjąłem zatyczkę. Orkan urósł w lśniący obosieczny miecz. Erynie zawahały się.

Pani Dodds miała już do czynienia z Orkanem. I ewidentnie nie miała ochoty go więcej oglądać.

- Poddaj się teraz - syknęła. - A unikniesz wiecznego cierpienia.

- Sprytne - odpowiedziałem.

- Uważaj, Percy! - krzyknęła Annabeth.

Bicz pani Dodds owinał mi się wokół ręki dzierzącej miecz, a pozostałe dwie Erynie rzuciły się na mnie.

Miałem wrażenie, że moja dłoń utkwiała w rękawicy ze stopionego ołowiu, ale udało mi się nie upuścić Orkana. Głowicą miecza uderzyłem Erynię atakującą z lewej strony, aż zatoczyła się na siedzenie. Odwróciłem się i ciałem tę z prawej z całej siły.

Jak tylko ostrze dotknęło jej karku, wrzasnęła i rozpadła się w pył. Annabeth chwyciła panią Dodds w fachowy zapaśniczy blok i pociągnęła ją do tyłu, a Grover wyrwał jej bicz z ręki.

- Aj! - wrzasnął. - Aj! Parzy!

Erynia, którą potraktowałem rękojeścią, ruszyła właśnie znów na mnie z wyciągniętymi szponami, ale machnąłem Orkanem, przepoławiając ją jak pomarańczę.

Pani Dodds usiłowała strząsnąć Annabeth ze swoich pleców. Kopała, darła pazurami, syczała i gryzła, ale Annabeth trzymała się dzielnie, podczas gdy Grover wiązał nogi pani Dodds jej własnym biczem. W końcu zawlekli ją na tył autobusu. Pani Dodds próbowała się podnieść, ale ponieważ nie miała dość miejsca, żeby rozpostrzeć swoje nietoperze skrzydła, padała wciąż na ziemię.

- Zeus cię zniszczy! - obiecała mi. - Hades dostanie twoją duszę!

- *Braccas meas vescimini!* - wrzasnąłem w odpowiedzi. Nie wiem, skąd mi się wzięła ta łacina. Znaczyło to chyba

mniej więcej „zjedz moje portki!”.

Autobusem wstrząsnął grzmot. Czułem, że włos mi się jeży na karku.

- Wsiadamy! - krzyknęła do mnie Annabeth. - Już! Nie potrzebowałem zachęty.

Wypadliśmy na zewnątrz, gdzie pozostali pasażerowie krążyli otumanieni, klóćąc się z kierowcą lub biegając w kółko i krzycząc „Wszyscy umrzemy!”. Jakiś turysta w hawajskiej koszuli zdążył mi pstryknąć zdjęcie, zanim zatkałem na powrót miecz.

- Plecaki! - zorientował się Grover. - Zostawiliśmy... *BUUUUUM!*

Okna autobusu eksplodowały, a pasażerowie rzucili się do panicznej ucieczki. Piorun rozdarł dach, ale wściekłe wycie dobiegające ze środka powiedziało mi, że pani Dodds jeszcze żyła.

- Uciekać! - krzyknęła Annabeth. - Ona wzywa posiłki! Musimy się stąd wydostać!

W ulewnym deszczu pognaliśmy w głąb lasu, zostawiając za sobą płonący autobus. Przed nami roztaczała się jedynie ciemność.

## ROZDZIAŁ XI

### ODWIEDZINY W CENTRUM KRASNALI OGRODOWYCH

W sumie miło było się dowiedzieć, że greccy bogowie istnieją, ponieważ znalazł się ktoś, kogo można oskarżać o wszelkie nieszczęścia. Na przykład kiedy odbiega się od autobusu zaatakowanego chwilę wcześniej przez potworne wiedźmy i

rozwalonego przez piorun, a na dodatek leje, większość ludzi uzna, że to po prostu monstrualny pech. Natomiast jak się jest istotą półkrwi, to ma się przynajmniej świadomość, że jakaś boska potęga naprawdę chce spać człowiekowi dzień.

A my, czyli Annabeth, Grover i ja, maszerowaliśmy właśnie przez las na brzegu rzeki Hudson, mając za sobą żółtawą poświatę Nowego Jorku i niezbyt przyjemny rzeczny zapach w nosach.

Grover trząsł się i wydawał mało eleganckie odgłosy, a jego wielkie kozie oczy zwięziły się w pełne przerażenia szparki.

- Trzy Łaskawe. Wszystkie trzy naraz.

Ja też byłem w szoku. Wybuch szyb w oknach wciąż dudnił mi w uszach. Ale Annabeth pędziła przed siebie, powtarzając w kółko:

- Szybciej! Im dalej odejdziemy, tym lepiej.

- Tam zostały nasze pieniądze - przypomniałem jej. - Nasze jedzenie i nasze ubrania. Wszystko.

- Wiesz, może gdybyś nie rzucił się do walki...

- A co miałem zrobić? Dać im cię zabić?

- Nie musiałeś mnie bronić, Percy. Poradziłabym sobie.

- Pocięta na kawałki - wtrącił się Grover - ale poradziłabyś sobie.

- Zamknij się, kozłonogu - warknęła Annabeth. Grover zaryczał żałośnie.

- Moje puszki... plecak pełen wspaniałych puszek. Brnęliśmy przez zeschnięte trawy, wśród posepnie poskręcanych drzew, wdychając zapach stęchłego prania.

Chwilę później Annabeth zrównała ze mną krok.

- Słuchaj, ja... - Głos jej zadrżał. - Bardzo ci dziękuję za to, że po nas wróciłeś. Byłeś bardzo dzielny.

- Jesteśmy drużyną, nie?

Milczała przez kilka następnych kroków.

- Chodzi o to, że gdybyś zginął... pomijając fakt, że dla ciebie to by dopiero była poracha... to w dodatku nici z misji. A dla mnie to może być jedyna okazja, żeby zobaczyć świat na zewnątrz.

Burza w końcu dała sobie spokój. Poświata miasta przybladła za nami, pograżając nas w całkowitej ciemności. Nie widziałem Annabeth - tylko lekki blask jej jasnych włosów.

-Nie opuszczasz Obozu, odkąd miałaś siedem lat? - spytałem.

- Nie... Tylko na krótkie wycieczki. Mój tato...

- Profesor historii.

- Tak. Mieszkanie w domu nie zdało egzaminu. To znaczy Obóz Herosów *jest* moim domem. - Mówiła bardzo szybko, jakby obawiała się, że ktoś jej przerwie. - Ale na Obozie tylko się ćwiczy i ćwiczy. I jest super, i w ogóle, ale prawdziwy świat jest tam, gdzie są potwory. Dopiero tam przekonujesz się, ile jesteś wart.

Gdybym jej nie znał, mógłbym przysiąc, że wyczułem w jej głosie cień zwątpienia.

- Doskonale sobie radzisz z tym sztyletem - powiedziałem. - Naprawdę tak uważasz?

- Jak dla mnie każdy, kto wskakuje Eryunii na plecy, sobie radzi.

Nie widziałem tego, ale niewykluczone, że się uśmiechnęła.

- Wiesz - powiedziała - może powinnam ci powiedzieć... jeszcze w autobusie... coś zabawnego...

Cokolwiek chciała mi powiedzieć, zostało przerwane przez przenikliwe *hu-hu-hu* -dźwięk, który mogłaby wydać torturowana sowa.

- Hej, moja pieszczalka działa! - zawołał Grover. - Jeśli tylko uda mi się przypomnieć, jak leci melodia „znajdowanie drogi”, to mamy szansę wydostać się z tego lasu!

Zagrał kilka nut, ale melodia wciąż podejrzanie przypominała Britney.

Zamiast znaleźć drogę, natychmiast rąbnąłem głową w drzewo i nabiłem sobie pokaźnego guza.

Dodać do listy nadprzyrodzonych zdolności, których *nie* posiadam: widzenie w ciemności.

Po przejściu kolejnych dwóch kilometrów, potykając się, klnąc i ogólnie czując się bardzo nieszczęśliwie, dojrzałem przed sobą światło. A konkretnie kolorowy neon. Poczulem zapach jedzenia. Smażonego, tłustego, wspaniałego jedzenia. Uświadomiłem sobie, że nie jadłem nic niezdrowego, odkąd przybyłem do Obozu Herosów, gdzie żywiliśmy się owocami, chlebem, serem oraz chudym mięsem z grilla, przyrządzanym przez nimfy. Mój organizm zdecydowanie domagał się podwójnego cheeseburgera.

Szliśmy dalej, aż oczom naszym ukazała się pusta szosa biegnąca między drzewami. Po drugiej stronie zobaczyliśmy zamkniętą stację benzynową, podarty plakat filmu z lat dziewięćdziesiątych, a także jakiś otwarty lokal, do którego należał neon i wspaniałe zapach.

Wbrew moim nadziejom nie był to bar. Przed sobą mieliśmy jeden z tych dziwnych przydrożnych sklepików, w których sprzedaje się gipsowe bociany, drewnianych Indian, betonowe niedźwiedzie i tym podobne cuda. Główny budynek był długim, niskim magazynem, wokół którego na ogromnej przestrzeni wystawiono

towar. Neonu nad bramą nie byłem w stanie odczytać, ponieważ jeśli istnieje cokolwiek gorszego z punktu widzenia mojej dysleksji od drukowanego angielskiego, to są tym angielskie słowa wypisane neonową kursywą.

Jak dla mnie napis wyglądał następująco: *UCLOCLN. CNETMUR KAPMADI  
ORGODONYDL.*

- Co to niby ma znaczyć? - spytałem.

- Nie mam pojęcia - odrzekła Annabeth.

Uwielbiała czytać, więc zapomniałem, że ona też jest dyslektyczką.

Grover odszyfrował napis za nas.

- U Cioci Em. Centrum Krasnali Ogrodowych.

Zgodnie z zapowiedzią przy bramie stały dwa potężne gipsowe krasnale ogrodowe, paskudne brodate gnomy, uśmiechnięte i machające rękami, jakby pozowały do zdjęcia.

Przeszedłem przez drogę, wiedziony zapachem hamburgerów.

- Ej... - ostrzegł mnie Grover.

- W środku się świeci - powiedziała Annabeth. - Może jest otwarte.

- Knajpa - powiedziałem tęsknie.

- Knajpa - potaknęła Annabeth.

- Pokręciło was? - spytał Grover. - To miejsce wygląda podejrzanie.

Olaliśmy go.

przed budynkiem stał istny las posągów: kamienne zwierzęta, kamienne dzieci, nawet kamienny satyr grający na piszczałkach, co przyprawiło Grovera o dreszcze.

- *Bee-ee-ee!* - zabeczał. - To coś wygląda zupełnie jak mój wujek Ferdynand!

Zatrzymaliśmy się przed drzwiami magazynu.

- Nie pukajcie - błagał Grover. - Wyczuwam potwory.

- Masz węż zaburzony przez Erynie - odpowiedziała Annabeth. - Ja czuję tylko hamburgery. Nie jesteś głodny?

- Mięso! - mruknął satyr pogardliwie. - Jestem wegetarianinem.

- Jadasz serowe tortille i metalowe puszki - przypomniałem mu.

- To są jarzyny. Chodźmy stąd, proszę. Te posągi... One na mnie patrzą.

W tej samej chwili drzwi otwały się i stanęła w nich wysoka kobieta w bliskowschodnim typie - w każdym razie założyłem, że tak musi być, ponieważ miała na sobie zakrywającą całe ciało długą czarną suknię, spod której widać było tylko dłonie, a na głowie nosiła zawój. Przez zasłonę na twarzy widziałem błyszczące oczy, ale to było wszystko. Dłonie o barwie kawy z mlekiem wyglądały na stare, ale były zadbane i eleganckie, więc uznałem, że to babcia, która niegdyś była piękną kobietą.

Akcent miała też lekko bliskowschodni.

- Czemu włóczycie się tak późno po lesie, dzieci? - odezwała się. - Gdzie wasi rodzice?

- Nasi rodzice... yyy ----zaczęła Annabeth.

- Jesteśmy sierotami - odpowiedziałem.

- Sierotami? - wykrzyknęła kobieta. To słowo zabrzmiało dziwacznie w jej ustach. - Ależ moi kochani! Niemożliwe!

- Odłączyliśmy się od naszego taboru - mówiłem dalej. - To znaczy cyrkowego taboru. Dyrektor kazał nam czekać na stacji benzynowej, gdybyśmy się zgubili, ale może o tym zapomniał albo może miał na myśli jakąś inną stację. No i zgubiliśmy się. Czy dobrze mi się zdaje, że czuję zapach jedzenia?

- Och, moje słoneczka - powiedziała kobieta. - Wejdźcie, biedne dzieciaczki. Jestem Ciocia Em. Idźcie na zaplecze, tam jest bar.

Podziękowaliśmy i weszliśmy do środka.

- Tabor cyrkowy? - mruknęła do mnie Annabeth.

- Trzeba zawsze mieć jakiś plan, nie?

- Masz plankton zamiast mózgu.

W magazynie stały kolejne posągi: ludzie w najróżniejszych pozycjach, najróżniejszych strojach i z najróżniejszymi minami na twarzach. Przemknęło mi przez myśl, że trzeba by mieć naprawdę spory ogród, żeby postawić w nim choćby jedną z tych rzeźb, ponieważ wszystkie były naturalnych rozmiarów. Ale przede wszystkim myślałem o jedzeniu.

Proszę bardzo, możecie mnie nazwać idiotą, ponieważ polazłem do sklepu dziwacznej kobiety bez zastanowienia, tylko dlatego, że byłem głodny, ale zdarza mi się czasem działać impulsywnie. A poza tym hamburgery Cioci Em pachniały tak cudownie... Ich zapach miał w sobie coś z gazu rozweselającego u dentysty -sprawiał, że zapominało się o wszystkim innym. Ledwie słyszałem nerwowe skomlenie Grovera, ledwie zauważałem, że posągi zdawały się wodzić za mną oczami. Mojej uwadze zasadniczo uszło również to, że Ciocia Em zamknęła za nami drzwi na klucz.

Obchodził mnie wyłącznie bar na zapleczu magazynu. I rzeczywiście, był tam: lada z potrawami z grilla, dystrybutor napojów, opiekacz do tostów i pojemnik z musztardą. Wszystko, o czym marzyłem, oraz kilka stolików.

- Usiądźcie, proszę - powiedziała Ciocia Em.

- Z przyjemnością - odpowiedziałem.

Ekhem - odezwał się niechętnie Grover. - Proszę pani, my nie mamy pieniędzy.

Zanim zdążyłem dać mu kuksańca pod żebro, odezwała się Ciocia Em.

- Ależ, drogie dzieci. Nie trzeba pieniędzy. To szczególny przypadek, prawda? Muszę przecież nakarmić takie miłe sierotki.

- Dziękujemy, proszę pani - powiedziała Annabeth. Ciocia Em zeszywniała, jakby Annabeth zrobiła coś nie tak,

ale niemal równie szybko odzyskała humor, uznałem więc, że to tylko wybryk mojej wyobraźni.

- Ależ nie ma problemu, Annabeth - powiedziała. - Masz takie piękne szare oczy, dziecko.

Dopiero później zastanowiło mnie, skąd znała imię Annabeth, skoro się nie przedstawialiśmy.

Gospodyni znikła za ladą i zabrała się za przygotowywanie jedzenia. Zanim się zorientowaliśmy, przed nami stały plastikowe tace z podwójnymi cheeseburgerami, koktajlami waniliowymi i wielkimi torebkami frytek.

Pożarłem połowę mojej porcji, zanim przyszło mi do głowy, że muszę też oddychać.

Annabeth pochłonęła koktajl jednym haustem.

Grover zabrał się za frytki i wlepił wzrok w woskowany papier wyściełający tacę, jakby zamierzał i to spałaszować, ale wciąż sprawiał wrażenie zbyt zdenerwowanego, żeby jeść.

- Co tak syczy? - spytał.

Wyteżyłem słuch, ale nic nie słyszałem. Annabeth pokręciła głową.

- Syczy? - spytała Ciocia Em. - Pewnie olej we frytkownicy. Masz bardzo czuły słuch, Groverze.

- Zażywam witaminy. Na słuch.

- To wspaniale - powiedziała. - Rozluźnij się, proszę.

Ciocia Em nic nie jadła. Nie zdjęła zasłony z twarzy nawet przy kuchni, a teraz usiadła z zaplecionymi palcami i przyglądała się, jak się pożywialiśmy. Było to trochę niepokojące: patrzył na mnie ktoś, kogo twarzy nie widziałem, ale cheese-

burger był wspaniały, a ja czułem się nieco śpiący, więc przyszło mi do głowy tylko tyle, że wypada porozmawiać z naszą gospodynią.

- Sprzedaje pani krasnale - powiedziałem, udając zainteresowanie.

- Och, tak - odparła Ciocia Em. - I zwierzęta. I ludzi. Wszystko, co nadaje się do ogrodu. Na specjalne zamówienie. Wiecie, rzeźby są bardzo popularne.

- Przy tej drodze interes dobrze idzie?

- Nie za bardzo, nie. Odkąd zbudowali autostradę... większość samochodów już tędy nie jeździ. Tym bardziej cieszy mnie każdy klient.

Poczułem swędzenie na karku, jakby przyglądał mi się ktoś jeszcze. Odwróciłem się, ale była to tylko rzeźba przedstawiająca młodą dziewczynę z koszykiem wielkanocnym. Szczegóły były niesamowite, znacznie lepiej wykonane niż na przeciętnych rzeźbach ogrodowych. Ale z jej twarzą coś było nie w porządku. Sprawiała wrażenie zaskoczonej, a może nawet przerażonej.

- Ach - powiedziała smutno Ciocia Em. - Zauważyłeś, że niektóre z moich dzieł nie wyszły jak należy. Mają wady. Nie sprzedadzą się. Najtrudniej jest uzyskać właściwy wyraz twarzy. Zawsze największy problem jest z twarzą.

- Sama pani robi te posągi? - spytałem.

- Och, tak. Kiedyś miałam jeszcze dwie siostry, które pomagały mi w tym interesie, ale one nie żyją i zostałam sama. Pozostały mi tylko te rzeźby. Dlatego właśnie je robię, wiesz? Są moimi towarzyszami. - Smutek w jej głosie był tak głęboki i tak prawdziwy, że nie byłem w stanie nie poczuć współczucia.

Annabeth przerwała jedzenie. Wyprostowała się na krześle. - Dwie siostry? -zapytała.

- To okropna historia - powiedziała Ciocia Em. - Naprawdę nie nadaje się dla dzieci. Widzisz, Annabeth, dawno, dawno temu, kiedy byłam młoda, pewna zła kobieta była o mnie zazdrosna. Miałam wtedy... chłopaka, wiesz, ale ta kobieta postanowiła rozbić nasz związek. Spowodowała okropny wypadek. Moje siostry mnie nie opuściły. Dzieliły ze mną zły los, dopóki mogły, ale w końcu zmarniały. Odeszły. Tylko ja przeżyłam, ale za pewną cenę. Za wielką cenę.

Nie bardzo wiedziałem, o czym ona mówiła, ale było mi jej żal. Powieki zaczynały mi ciążyć, pełny żołądek domagał się snu. Biedna staruszka. Kto mógłby chcieć skrzywdzić taką miłą osobę?

- Percy? - Annabeth potrząsała mną, usiłując mnie obudzić. - Chyba powinniśmy już iść. Wiesz, dyrektor będzie na nas czekał.

W jej głosie znać było napięcie. Nie wiedziałem, dlaczego. Grover zjadał właśnie woskowany papier z tacy, ale jeśli nawet Cioci Em jego zachowanie wydało się dziwne, to nie dała tego po sobie poznać.

- Takie piękne szare oczy - powiedziała znów Ciocia Em do Annabeth. - Och, tak, już bardzo dawno nie widziałam takich oczu.

Wyciągnęła rękę, jakby chciała pogłaskać Annabeth po policzku, ale dziewczyna wstała nagłym ruchem.

- Naprawdę musimy już iść.

- Tak! - Grover przełknął papier i też się podniósł. - Dyrektor czeka! Właśnie!

Nie miałem ochoty nigdzie iść. Czułem się syty i zadowolony. Ciocia Em była taka miła. Bardzo chciałem zatrzymać się u niej na dłużej.

- Proszę, kochani - poprosiła. - Tak rzadko bywają u mnie dzieci. Zanim pójdziecie, zechcielibyście przynajmniej zapozować?

- Zapozować? - spytała nieufnie Annabeth.

- Do fotografii. Użyję jej jako modelu dla nowej grupy rzeźb Dzieci są bardzo popularne, wicie. Wszyscy kochają dzieci.

Annabeth przestępowała z nogi na nogę.

- Chyba nie możemy, proszę pani. Chodź, Percy...

- Ależ oczywiście, że możemy - odpowiedziałem. Złościło mnie to, że Annabeth tak się rządzi, no i jest niegrzeczna dla staruszki, która właśnie nakarmiła nas za darmo.

- To tylko zdjęcie, Annabeth. Co ci się stanie?

- Właśnie, Annabeth - zamruczała Ciocia Em. - Nic ci się nie stanie.

Widziałem, że Annabeth się to wszystko nie podobało, ale pozwoliła Cioci Em wyprowadzić się znów na zewnątrz, na dziedziniec pełen rzeźb.

Ciocia Em skierowała nas ku ogrodowej ławce tuż obok kamiennego satyra.

- A teraz - powiedziała - usiądźcie jak należy. Dziewczynka w środku, tak myślę, młodzieńcy po bokach.

- Trochę za słabe oświetlenie - zauważyłem.

- Wystarczy - odparła Ciocia Em. - Wystarczy, żebyśmy się wzajemnie widzieli.

- A gdzie pani aparat? - spytał Grover.

Ciocia Em cofnęła się o krok, żeby przyjrzeć się kompozycji.

- Tak, najtrudniejsze są twarze. Możecie się do mnie uśmiechnąć, moi drodzy? Szeroko.

Grover zerknął na stojącego tuż przy nim kamiennego satyra.

- On naprawdę wygląda jak wujek Ferdynand - wymamrotał.

- Grover - upomniała go Ciocia Em. - Spójrz w tę stronę, proszę.

Nadal nie miała w ręce aparatu.

- Percy... - powiedziała Annabeth.

Jakiś instynkt podpowiadał mi, że powinienem jej posłuchać, ale walczyłem z uczuciem senności, z tym miłym poczuciem ukojenia, które dało mi jedzenie i głos tej staruszki.

- To tylko chwilka - powiedziała Ciocia Em. - Wiecie co, nie widzę was zbyt dobrze w tej przeklętej zasłonie...

- Percy, coś tu jest nie w porządku - nalegała Annabeth.

- Nie w porządku? - zapytała Ciocia Em, podnosząc ręce, żeby rozwiązać zawój na głowie. - Ależ niemożliwe, kochana. Miałam dziś tak wspaniałe towarzystwo. Co mogłoby być nie w porządku?

- *To jest* wujek Ferdynand! - jęknął z przerażeniem Grover.

- Nie patrzcie na nią! - krzyknęła Annabeth.

Szybkim ruchem założyła bejsbolówkę i zniknęła. Niewidzialnymi rękami zepchnęła Grovera i mnie z ławki.

Leżałem na ziemi, wpatrując się w sandały na nogach Cioci Em.

Słyszałem jak Grover czołga się w jedną stronę, a Annabeth w drugą. Ja jednak byłem zbyt oszołomiony, żeby się poruszyć.

Nagle nad sobą usłyszałem dziwaczny szelest. Podniosłem wzrok na dłonie Cioci Em, które były teraz pokręcone i pokryte brodawkami, a w miejsce eleganckich paznokci pojawiły się ostre spiżowe pazury.

Miałem już podnieść wyżej wzrok, kiedy gdzieś na lewo ode mnie rozległ się krzyk Annabeth.

- Nie! Nie patrz!

Znów szelest... jakby odgłos łusek małych węży tuż nade mną... dobiegający z miejsca, gdzie powinna znajdować się głowa Cioci Em.

- Uciekaj! - zabeczał Grover. Słyszałem, jak pędzi po żwirowej ścieżce, wrzeszcząc *Maja!*, żeby uruchomić swoje latające tenisówki.

Nie byłem w stanie się ruszyć. Gapiłem się na powykęcane szpony Cioci Em i usiłowałem wyrwać się z tego otumanienia w jakie mnie wprowadziła.

- Co za szkoda zepsuć taką ładną, młodą twarz - powiedziała do mnie łagodnym głosem. - Zostań ze mną, Percy. Wystarczy, że spojrzysz w górę.

Walczyłem z chęcią usłuchania jej. Udało mi się jednak odwrócić wzrok i dostrzegłem szklaną kulę, z tych, jakie ludzie czasem ustawiają na trawnikach. W pomarańczowym szkle ujrzałem ciemne odbicie Cioci Em: nie miała już na głowie zawoju i jej twarz stanowiła blady owal. Włosy poruszały się, wiły niczym węże.

Ciocia Em.

Ciocia „M”.

Jak mogłem być tak głupi?

Pomyśl, powiedziałem do siebie w myślach. Jak ginie Meduza w mitach?

Ale nie byłem w stanie myśleć. Coś podpowiadało mi, że w mitach Meduza spała, kiedy zaatakował ją mój imiennik, Perseusz. Teraz jednak zdecydowanie nie była nawet senna. Gdyby tylko chciała, mogłaby natychmiast rozorać mi twarz tymi straszliwymi pazurami.

- Szarooka mi to zrobiła, Percy - powiedziała Meduza, a jej głos wcale nie brzmiał potwornie. Wręcz przeciwnie: zapraszała, żebym podniósł na nią wzrok, żebym ulitował się nad biedną, starą kobietą. - Matka Annabeth, przeklęta Atena, zmieniła mnie z pięknej dziewczyny w to.

- Nie słuchaj jej! - rozległ się głos Annabeth gdzieś spomiędzy rzeźb. - Uciekaj, Percy!

- Cisza! - warknęła Meduza. Chwilę później jednak jej głos był znów uspokajającym mručeniem. - Widzisz więc, dlaczego muszę zniszczyć tę dziewczynę, Percy. Jest córką mojej nieprzyjaciółki. Zetrę jej posąg na pył. Ale ty, mój drogi Percy, ty nie musisz cierpieć.

- Nie - mruknąłem, usiłując zmusić nogi do poruszenia się.

- Naprawdę chcesz pomagać bogom? - spytała Meduza. - Rozumiesz, co cię czeka w tej bezsensownej misji, Percy? Wiesz, co się stanie, kiedy dotrzesz do Podziemia? Nie chcesz być pionkiem tych z Olimpu, mój drogi. Znacznie lepiej będziesz się czuł jako posąg. Mniej cierpienia. Mniej bólu.

- Percy! - Za sobą usłyszałem brzęczenie pikującego pięćdziesięciokilogramowego kolibra. - Na ziemię! - wrzasnął Grover.

Obróciłem się i zobaczyłem go na tle nocnego nieba, pędzącego prosto na mnie z trzepotem uskrzydionych butów. W ręce dzierżył gałąź wielkości kija bejsbolowego. Miał zaciśnięte powieki i poruszał głową na boki. Najwyraźniej znajdował drogę wyłącznie na słuch i węch.

- Na ziemię! - powtórzył krzykiem. - Ja ją załatwię!

To w końcu mnie otrzeźwiło. Znajac Grovera, mogłem mieć pewność, że nie trafi w Meduzę, tylko we mnie. Rzuciłem się w bok.

*Bum!*

Z początku myślałem, że to odgłos Grovera zderzającego się z drzewem. Potem usłyszałem nabrzmiały wściekłością głos Meduzy.

- Ty żałosny satyrze! - warknęła. - Dodam cię do mojej kolekcji!

- To za wujka Ferdynanda! - odkrzyknął Grover. Odczołgałem się dalej i ukryłem między rzeźbami, podczas gdy Grover szykował się do kolejnego nalotu. *Bu-bum!*

- Aaaa! - zawyła Meduza, potrząsając syczącymi i plującymi jadem włosami.

Tuż koło mnie rozległ się głos Annabeth.

- Percy!

Podskoczyłem tak wysoko, że omal nie przeskoczyłem ogrodowego krasnala.

- Rany! Nie rób tak!

Annabeth zdjęła bejsbolówkę i stała się widzialna.

- Musisz uciąć jej głowę.

- Co? Zwariowałaś? Zmykajmy stąd.

- Meduza to samo zło. Zagroza otoczeniu. Sama bym ją zabiła, ale... - Annabeth nabrała powietrza, jakby szykowała się do ważnego wyznania. - Ale ty masz lepszą broń. A poza tym nie uda mi się podejść do niej. Rozłupie mnie na kawałki ze względu na moją matkę. Ty... ty masz pewne szanse.

- Co? Nie mogę...

- Słuchaj, nie chcesz chyba, żeby zmieniała dalej niewinnych ludzi w posagi?

Wskazała palcem dwójkę kochanków, kobietę i mężczyznę oplecionych ramionami, zamienionych przez potwora w kamień.

Annabeth sięgnęła po zieloną szklaną kulę leżącą na najbliższym cokole.

- Wypolerowana tarcza byłaby lepsza - oznajmiła, przypatrując się krytycznie kuli. - Wypukłość zniekształca obraz. Musisz pomnożyć wielkość odbicia przez...

- Możesz mówić normalnie?

- Przecież *mówię!* - Rzuciła mi kulę. - Patrz na nią wyłącznie w odbiciu. *Me waż się spojrzeć jej w twarz!*

- Hej, wy tam! - krzyknął gdzieś nad nami Grover. - Chyba straciła przytomność!

Odpowiedział mu wściekły ryk.

- Chyba jednak nie - poprawił się Grover i wzniósł się w powietrze, by ponownie zaatakować gałęzią.

- Szybko - powiedziała mi Annabeth. - Grover ma znakomity węch, ale w końcu chybi.

Wyciągnąłem długopis i zdjąłem zatyczkę. Chwilę później w ręce trzymałem długie ostrze Orkana.

Kierowałem się ku sycząco-plującym dźwiękom wydawanym przez włosy Meduzy.

Nie spuszczałem oczu ze szklanej kuli, żeby zobaczyć tylko odbicie, a nie prawdziwego potwora. I w końcu ujrzałem ją w zielonym szkłe.

Grover nadlatywał, wymachując gałęzią, ale tym razem nieco za bardzo się zniżył. Meduza chwyciła gałąź i cisnęła nim daleko. Pokoziółkował w powietrzu i wylądował z trzaskiem w ramionach kamiennego niedźwiedzia.

- Au! - zawył boleśnie.

Meduza miała się właśnie na niego rzucić, kiedy wkroczyłem do akcji.

- Ej! - krzyknąłem.

Nacierałem na nią, co nie było łatwe, zważywszy, że w jednej ręce trzymałem miecz, a w drugiej szklaną kulę. Gdyby zaatakowała, ciężko byłoby mi się bronić.

Ale ona pozwoliła mi zbliżyć się... na pięć metrów, trzy metry.

Widziałem teraz odbicie jej twarzy. Nie mogła być *aż tak* brzydka. Zielone wiry wewnątrz kuli z pewnością ją zniekształcały, tak że wyglądała gorzej.

- Nie skrzywdzisz staruszki, Percy - zamruczała. - Wiem, że tego nie zrobisz.

Zawahałem się, zauroczony twarzą, która wyglądała na mnie ze szklanej kuli - oczami, które zdawały się topić szkło, całkowicie pozbawiając mnie siły w rękach.

Z objąć kamiennego niedźwiedzia odezwał się jęk Grovera.

- Nie słuchaj jej, Percy!

- Za późno - zarechotała Meduza.

I rzuciła się na mnie z wyciągniętymi szponami.

Zamachnąłem się mieczem i usłyszałem dźwięk, który przyprawił mnie o mdłości, a następnie szelest, jakby wiatr przemknął przez jaskinię - znany mi już odgłos rozpraszającego się potwora.

Coś upadło na ziemię u moich stóp. Musiałem użyć całej siły woli, żeby na to nie spojrzeć. Czułem, że na skarpetki spływa mi jakaś ciepła ciecz, wyczuwałem agonálne drgawki węzowych włosów czepiających się moich sznurówek.

- Ohyda - powiedział Grover. Miał wciąż zaciśnięte powieki, ale zapewne słyszał bulgotanie i syk tego czegoś, co leżało u moich stóp. - Megaohyda.

Annabeth podbiegła do mnie z wzrokiem utkwionym w niebo i czarnym zawojem Meduzy w rękach.

- Nie ruszaj się - powiedziała.

Ostrożnie, ani na moment nie spuszczać wzroku na ziemię, uklękła i owinęła głowę potwora w czarną tkaninę, i podniosła ją. Z szyi wciąż ściekała zielona posoka.

- Nic ci się nie stało? - spytała drżącym głosem.

- Nie - uznałem, choć czułem się tak, jakbym właśnie miał zwrócić podwójnego cheeseburgera. - Dlaczego... dlaczego głowa się nie rozpadła?

- Jak ją odetniesz, staje się trofeum - wyjaśniła Annabeth. - Tak samo jak róg Minotaura. Ale jej nie odwijaj. Wciąż może zamienić cię w kamień.

Grover gramolił się spomiędzy łap kamiennego niedźwiedzia, pojękując. Na czole miał okazałego guza. Zielona rastafariańska czapeczka zwisała z jednego z jego małych kozich rożków, a sztuczne stopy spadły mu z kopyt. Magiczne tenisówki fruwały wokół jego głowy.

- Hej, asie przestworzy - powiedziałem. - Dobra robota. Uśmiechnął się nieśmiało.

- To *wcale* nie było zabawne. No dobrze, okładanie jej gałęzią było. Ale lądowanie w objęciach miśka z betonu? Wątpliwa przyjemność.

Chwylił latające w powietrzu buty. Zatkalem miecz. Wszyscy razem poczłapaliśmy w kierunku magazynu.

Za ladą znaleźliśmy stare plastikowe torby i owinęliśmy nimi dodatkowo głowę Meduzy. Rzuciliśmy ją na stół, przy którym wcześniej jedliśmy kolację, i usiedliśmy dookoła, zbyt zmęczeni, żeby rozmawiać.

W końcu przełamałem milczenie.

- Rozumiem, że powinniśmy podziękować Atenie za tego potwora?

Annabeth rzuciła mi wściekłe spojrzenie.

- Raczej twojemu tatusiowi. Nie pamiętasz? Meduza była dziewczyną Posejdona. Umówili się na randkę w świątyni mojej mamy. Dlatego właśnie Atena zmieniła ją w potwora. Meduza i jej dwie siostry, które pomogły jej dostać się do świątyni, zostały trzema gorgonami. Dlatego właśnie Meduza chciała mnie pokroić na kawałki, a ciebie zachować jako piękny posąg. Chyba ciągle durzy się w twoim tacie. I pewnie jej go przypominałeś.

Czułem, że się rumienię.

- Aha, więc to *moja* wina, że spotkaliśmy Meduzę. Annabeth wyprostowała się.

- „To tylko zdjęcie, Annabeth. Co ci się stanie?” - powiedziała, niezbyt dobrze naśladowując mój głos.

- Przestań - odparłem. - Okropna jesteś.

- A ty nieznośny. -A ty...

- Ej! - przerwał nam Grover. - Dostaję przez was migreny, a satyrowie z natury *nie miewają* migren. Co zrobimy z tą głową?

Wlepiłem wzrok w leżący przede mną przedmiot. Z dziury w plastiku zwieszał się bezwładnie węzowy kosmyk. Na torbie widniał napis „DZIĘKUJEMY ZA ZAKUPY!”.

Byłem zły. Nie tylko na Annabeth czy jej mamę, ale na wszystkich bogów za tę ich całą misję i za to, że pokrzyżowali nam szyki i wpakowali w dwie walki z potworami już w pierwszym dniu poza obozem. W takim tempie nigdy nie dotrzemy żywi do Los Angeles. Nie mówiąc już o dotrzymaniu terminu

Co takiego powiedziała Meduza?

*Me chcesz być pionkiem tych z Olimpu, mój drogi. Znacznie lepiej będziesz się czuł jako posąg.* Podniosłem się.

- Zaraz wracam.

- Percy! - zawołała za mną Annabeth. - Co ty... Przeszedłem się po zapleczu magazynu w poszukiwaniu

biura Meduzy. W księgach znalazłem zapisy sześciu ostatnich transportów -wszystkie do Podziemia. Dekoracje ogrodu Ha-desa i Persefony. Na jednej z kopert widniał adres: Studio Nagraniowe REQUIEM, Zachodnie Hollywood, Kalifornia. Złożyłem rachunek i wsunąłem sobie do kieszeni.

W kasie było dwadzieścia dolarów, trochę złotych drachm i kilka druków przekazu na Nocny Ekspres Hermesa. Do każdego z nich przytwierdzono niewielką skórzaną sakiewkę na monety. Przewróciłem biuro do góry nogami i trafiłem wreszcie na pudełko odpowiednich rozmiarów.

Wróciłem do naszego stolika, zapakowałem głowę Meduzy i wypełniłem blankiet.

*Olimp  
i Pię tro600 NowyJork*

*PERCY JACKSON*

Nie spodoba im się to - ostrzegł mnie Grover. - Uznają cię za impertynenta.

Wrzuciłem do sakiewki kilka złotych drachm. Jak tylko ją zasznurowałem, wydała taki dźwięk jak zamykana kasa sklepowa. Paczka spłynęła ze stołu i znikła z cichym trzaskiem.

- *Jestem impertynentem* - powiedziałem.

Spojrzałem na Annabeth wyzywająco, czekając na jej komentarz.

Ale się nie doczekałem. Wyglądało na to, że pogodziła się z moim talentem do wkurzania bogów.

- Chodźmy - mruknęła. - Musimy ułożyć nowy plan.

## **ROZDZIAŁ XII PUDEL**

### **UDZIELA NAM RADY**

Tej nocy czuliśmy się bardzo żałośnie.

Przespaliśmy się w lesie, jakieś sto metrów od głównej szosy, na bagnistej polance, na której lokalne dzieciaki ewidentnie urządzały sobie imprezy. Cała ziemia usłana była zgniecionymi puszkami po napojach i papierem po kanapkach.

Zabraliśmy od Cioci Em nieco jedzenia i koce, ale nie odważyliśmy się rozpalić ognia, żeby wysuszyć ubrania. Erynie i Meduza zapewniły nam zbyt wiele przygód na jeden dzień i nie mieliśmy ochoty przyciągać kolejnych potworów.

Postanowiliśmy trzymać wartę. Zgłosiłem się jako pierwszy.

Annabeth zwinęła się na kocu i zaczęła pochrapywać, kiedy tylko położyła głowę na ziemi. Grover podfrunął na swoich skrzydlatych butach na zwieszający się nisko konar drzewa, oparł się plecami o pień i wbił wzrok w nocne niebo.

- Prześpij się - powiedziałem do niego. - Obudzę cię w razie kłopotów.

Potaknął, ale wciąż nie zamykał oczu.

- Strasznie mi smutno.

- Dlaczego? Z powodu tej głupiej misji?

- Nie. Dlatego. - Wskazał na leżące na ziemi śmieci - I z powodu nieba. Nie widać gwiazd. Zanieczyścili nawet niebo. To okropne czasy dla satyrów.

- Och, mogłem się spodziewać, że jesteś zielony.

Rzucił mi spojrzenie spode łba.

-Tylko człowiek nie jest. Twój gatunek strasznie szybko zaśmieca ten świat... Ech, co tam. Gadanie do ludzi nic nie daje. Ale jeśli to będzie nadal postępować w takim tempie, to nigdy

nie znajdę Pana.

- Nie znajdziesz pana? Chcesz komuś służyć? - Pana! - zawołał urażonym tonem. - Z wielkiej litery! Wielkiego boga Pana. A po co mi, twoim zdaniem, licencja poszukiwacza?

Polaną owiała dziwaczna bryza, odganiając na chwilę smród śmieci i stęchlizny. Przyniosła za to z sobą zapach jagód dzikich kwiatów i czystego deszczu - tego, czym niegdyś zapewne pachniały te lasy. Nagle poczułem tęsknotę za czymś, czego nigdy nie znałem.

-Opowiedz mi o poszukiwaniach - poprosiłem.

Grover zerknął na mnie niepewnie. Jakby obawiał się, że drwie sobie z niego.

- Bóg Dzikich Miejsc znikł dwa tysiące lat temu - powiedział - śeglarz przepływający w pobliżu Efezu usłyszał tajemniczy głos wołający z brzegu: "Obwieść ludziom, że wielki Pan umarł". A ludzie uwierzyli, kiedy usłyszeli tę wiadomość. Od tego czasu pustoszą królestwo Pana. Ale dla nas, satyrów, Pan był niegdyś mistrzem i władcą. Opiekował się nami i wszystkimi dzikimi miejscami na ziemi. My nie wierzymy w jego śmierć. W każdym pokoleniu najdzielniejsi satyrowie poświęcają życie na poszukiwanie Pana. Szukają go na ziemi zaglądając we wszystkie najdziksze zakątki, z nadzieją, że odnajdą kryjówkę i obudzą go ze snu. - I ty chciałbyś być poszukiwaczem. - To jest marzenie mojego życia - odrzekł. - Ojciec był poszukiwaczem. A wujek Ferdynand... Ten posąg, który widzieliśmy tam ...

- Ojej, tak mi przykro.

Grover potrząsnął głową.

- Wujek Ferdynand zdawał sobie sprawę z ryzyka, podobnie jak mój ojciec. Ale mnie się uda. Będę pierwszym poszukiwaczem, który powróci żywy.

- Zaraz, zaraz,.. Pierwszym? Grover wyjął z kieszeni trzciniowe piszczałki. -śaden poszukiwacz nigdy nie powrócił. Wyruszają na wyprawę i znikają. Nikt ich nigdy więcej nie ogląda żywych.

- Ani jednego od dwóch tysięcy lat? -Ani jednego.

- Znaczy się, twój tato...? Nie masz pojęcia, co się z nim stało? -Zielonego.

- A mimo to chcesz iść - powiedziałem z podziwem. - Ty naprawdę uważasz, że uda ci się znaleźć Pana?

- Muszę w to wierzyć, Percy. Każdy poszukiwacz wierzy. To jedno chroni nas od rozpacz, kiedy patrzymy na to, co ludzie zrobili z tym światem. Muszę wierzyć, że Para można jeszcze obudzić.

Wpatrywałem się w żółtawą poświatę na niebie i usiło-wałem zrozumieć, jak Grover może żyć tak pozbawionym nadziei marzeniem. Ale czy moja własna sytuacja była o wiele lepsza?

- Jak my się dostaniemy do Podziemia? - zapytałem. - No i jakie mamy szanse przeciwko bogu?

- Nie wiem - przyznał. - Ale jeszcze tam, u Meduzy, kiedy przeszukiwałeś jej biuro, Annabeth powiedziała mi...

- Daj spokój. Annabeth na pewno będzie miała kolejny wielki plan.

- Nie wyśmiewaj się z niej, Percy. Miała ciężkie życie, ale to dobra dziewczyna. I mimo wszystko wybaczyła mi... - Głos mu się załamał.

- O czym ty mówisz? - spytałem. - Co ci wybaczyła?

Grover nagle zaczął wykazywać wielkie zainteresowanie dźwiękami jakie potrafił wydobyć ze swoich piszczałek. - Zaczekaj - powiedziałem- Po raz pierwszy zostałeś strażnikiem pięć lat temu. Annabeth mieszka w obozie od pięciu lat. To nie ona... no wiesz, to pierwsze zadanie, które się nie powiodło...

- Nie będę o tym mówić - odparł Grover, a drżenie jego dolnej wargi wskazywało, że rozplącze się, jeśli będę usiłował wy-dusić z niego więcej - Ale jak już mówiłem, w sklepie Meduzy zgodziliśmy się z Annabeth. że coś dziwnego dzieje się z tą misją. Coś jest inne, niż się wydaje. | -No raczej inne. Zostałem oskarżony o kradzież pioruna, który przywłaszczył Hades. - Nie o to mi chodzi - powiedział Grover. - Ery... Łaskawe tak jakby się wahały. Zupełne jak pani Dodds w Yancy... Dla-czego ona tak długo zwlekała z zabiciem ciebie? A w tym autobusie też nie były aż tak zaciekle, jak potrafią. -Jak dla mnie były wystarczająco zaciekle. Grover pokręcił głową.

-Skrzeczwały do nas: „Gdzie to jest? Gdzie?” - Chodziło im o mnie - powiedziałem.

-Może... Ale nam z Annabeth się wydaje, że nie pytały o osobę. Powtarzały „Gdzie to jest?”. Tak jakby chodziło im o przedmiot.

To nie ma sensu.

- Wiem, Ale jeśli coś źle zrozumieliśmy w kwestii tej misji, a zostało nam tylko dziewięć dni, żeby znaleźć piorun piorunów - Spojrzał na mnie. Jakby czekał na odpowiedź, której nie znałem.

Myślałem o tym, co powiedziała mi Meduza, że jestem pionkiem bogów. że, to co mnie czeka, jest gorsze od przemiany w kamień.

- Nie byłem wobec was szczery - powiedziałem Groverowi.

- Nic mnie nie obchodzi piorun piorunów. Zgodziłem się na wyprawę do Podziemia, ponieważ chciałbym wyprowadzić stamtąd moją mamę.

Grover zagrał krótką melodyjkę na piszczałce. - Wiem, Percy Jesteś pewny, że to jedyny powód?

- Na pewno nie robię tego, żeby pomóc ojcu. Nic go nr obchodzę. On też mnie nic nie obchodzi.

Spojrzał na mnie z wysokości konara. -Słuchaj, Percy. Nie jestem taki bystry jak Annabeth. Nie jestem taki odważny jak ty. Ale odgadywanie emocji idzie mi całkiem nieźle, Cieszysz się, że twój ojciec żyje. Ucieszyłeś się, kiedy cię uznał i jakaś cząstka ciebie pragnie, żeby był z ciebie dumny. Dlatego właśnie posłałeś głowę Meduzy na Olimp. Chciałeś, żeby zauważył, co zrobiłeś.

-Taaa? Emocje satyrów muszą się bardzo różnić od ludzkich bo się mylisz. Nic mnie nie obchodzi, co on sobie pomyśli.

Graver podciągnął nogi na konar.

-Okej, Percy. Niech ci będzie.

- Poza tym nie zrobiłem nic, czym mógłbym się przechwalać. Ledwie wyjechaliśmy z Nowego Jorku, a już utknęliśmy w szczerym polu bez kasy i bez pomysłu, jak się dostać na zachód.

Satyr wpatrywał się w nocne niebo, jakby rozmyślał nad

tymi problemami. - Może jednak ja wezmę pierwszą wartę, co? Prześpij się. Chciałem protestować, ale on zaczął grać Mozarta, cicho

I tęsknie, aż odwróciłem głowę, bo piękły mnie oczy. Zasnąłem po kilku taktach XII koncertu fortepianowego.

We śnie stałem w ciemnej grocie przed szeroką rozpadlina. Wokół mnie kotłowały się szare, mgliste stworzenia, szepczące języki dymu -i wiedziałem, że są to duchy zmarłych.

Szarpały mnie za ubranie i usiłowały zatrzymać, ale mnie coś ciągnęło do samej krawędzi otchłani.

Spojrzałem w dół i zakreśliło mi się w głowie. Rozpadlina była tak szeroka i tak całkowicie czarna, że musiała nie mieć dna. A jednak odniosłem wrażenie, że coś usiłuje się stamtąd podnieść, coś ogromnego i przerażającego. *Mały heros*, rozległ się rozbawiony głos daleko w ciemności. *Zbyt słaby, zbyt młody, ale może się nada.*

Głos brzmiał starożytnie - zimny i mocny. Otaczał mnie jak ołowiana płachta.

*Wprowadzili cię w błąd, chłopcze, mówił. Zawrzyjmy umowę. Dam ci to, czego pragniesz.* Nad otchłanią pojawił się migotliwy obraz: moja mama, zastygła na moment przed tym, jak rozsypała się w złotą mgłę. Na jej twarzy malował się ból, jakby Minotaur wciąż ścisnął ją za szyję. Zwróciła na mnie błagalny wzrok: *Uciekaj!*

Chciałem do niej zawołać, ale mój głos nie działał. Z głębi rozpadliny dobiegł mnie zimny śmiech.

Niewidzialna siła ciągnęła mnie w przód. Jeszcze chwila i mogłem wylądować w otchłani.

*Pomóż mi powstać, chłopcze. W głosie wyczuwałem głód. Przynieś mi piorun. Uderz w zdradzieckich bogów!*

Wokół mnie szeptały duchy umarłych. *Nie! Obudź się.* Obraz mamy zaczynał blednąć. To coś w głębi otchłani zacieśniło swój niewidoczny uchwyt wokół mnie. Uświadomiłem sobie, że nie stara się ściągnąć mnie w dół - to coś samo pragnęło się wydostać. *Doskonale, mruknęło. Doskonale.*

*Obudź się!* - szeptali umarli. - *Obudź się!* Ktoś

mną potrząsał. Otworzyłem oczy i zobaczyłem

światło dnia.

- No - powiedziała Annabeth. - Zombie ożył. Dygotałem z przerażenia na wspomnienie tego snu. Wciąż

czułem uścisk potwora z otchłani na piersi, -Jak długo spałem?

-Wystarczająco długo, żebym zdążyła przygotować śniadanie. - Annabeth rzuciła we mnie zabraną z baru Cioci Em torebką chrupek kukurydzianych o smaku serowym. -A Grover zdążył zwiedzić okolice. Patrz, przyprowadził przyjaciela.

Miałem problem ze skupieniem wzroku.

Grover siedział po turecku na kocu, a na jego kolanach siedziało jakieś nie wiadomo co... brudny, nienaturalnie różowy pluszak.

Ale to nie był pluszowy piesek. To był różowy pudel. Na

mój widok zaszczekał podejrzliwie.

- Nie, nie jest - odpowiedział Grover. Zamrugałem oczami

-Ty... rozmawiasz z tym czymś? Pudel warknął.

-To coś - ostrzegł mnie Grover - jest naszym biletem na zachód bądź miły.

- Rozmawiasz ze zwierzętami? Grover zignorował to pytanie.

- Percy, poznaj Storczyka. Storczyku, to jest Percy. Wpatrywałem się w Annabeth w nadziei, że wybuchnie w końcu śmiechem, ale ona była śmiertelnie poważna.

-Nie zamierzam witać się z różowym pudlem - oznajmiłem. - Spadaj.

- Percy - powiedziała Annabeth. - Ja przywitałam się z pudlem, to ty też się z nim przywitasz.

Pudel warknął Przywitałem się z pudlem.

Grover opowiedział, że natknął się na Storczyka w lesie i zaczęli rozmowę. Pudel uciekł z bogatego domu w okolicy, a jego państwo wyznaczyli dwieście dolarów nagrody za jego znalezienie. Storczyk nie miał ochoty wracać do domu, ale był gotów to zrobić, jeśli miałby w ten sposób pomóc satyrowi. -Skąd Storczyk wie o nagrodzie? - spytałem.

- Przeczytał ogłoszenie - odparł Grover. - To chyba oczywiste. -Jasne - powiedziałem.

- Co za głupek ze mnie.

- Plan jest taki: zwracamy Storczyka - wyjaśniła Annabeth swoim modelowym tonem stratega - bierzemy pieniądze i kupujemy bilety do Los Angeles. Proste.

Pomyślałem o moim śnie: o szeptach umarłych, o tym czymś w otchłani, o twarzy mojej mamy migoczącej, zanim rozplynęła się w złotą mgłę. To wszystko mogło czekać na mnie na zachodzie.

- Koniec z autobusami - zapowiedziałem ostrzegawczo. -Owszem - potaknęła Annabeth.

Wskazała ręką w dół wzgórza, ku szynom kolejowym, których wczoraj nie było widać po ciemku.

- Stacja jest kilometr stąd. Storczyk twierdzi, że pociąg na zachód odjeżdża w południe.

## **ROZDZIAŁ XIII RZUCAM SIĘ W**

### **OBJĘCIA ŚMIERCI**

Spędziliśmy dwa dni w pociągu, zmierzając na zachód wśród wzgórz, rzek i bursztynowych pól falujących zbóż.

Nie zostaliśmy zaatakowani, ale wcale mnie to nie uspakajało. Czułem się tak, jakbyśmy podróżowali w gablocie muzealnej, obserwowani z góry, a może i z dołu coś tylko czekało na okazję.

Starałem się nie rzucać w oczy, ponieważ moja twarz i nazwisko figurowały na pierwszych stronach kilku gazet ze Wschodniego Wybrzeża. „Kronika Trenton” wydrukowała zdjęcie, który zrobił tamten turysta, gdy wysiadłem z autobusu. Miałem na nim dziki wzrok. Miecz pobłyskiwał niewyraźnie w moich rękach. Równie dobrze mógł to być kij bejsbolowy lub hokejowy.

Podpis pod zdjęciem brzmiał następująco:

*Dwunastoletni Percy Jackson, poszukiwany w związku z zaginięciem jego matki dwa tygodnie temu na Long Island, ucieka z autobusu po dokonaniu napaści na kilka starszych pasażerek. Autobus eksplodował na bocznej drodze w New Jersey chwilę po tym, jak Jackson uciekł z miejsca wypadku. Policja ustaliła na podstawie zeznań świadków, że chłopak może podróżować w towarzystwie dwojga innych nastolatków. Ojczym Jacksona, Gabe Ugliano, wyznaczył nagrodę pieniężną za informacje mogące doprowadzić do zatrzymania zbiega.*

- Nie przejmuj się - powiedziała Annabeth. - Śmiertelnicza policja nie ma szans nas złapać.

Nie zabrzmiało to jednak bardzo przekonująco.

Resztę dnia spędziliśmy na wędrowaniu wzdłuż całego pociągu (ponieważ naprawdę ciężko było mi usiedzieć w miejscu) i wyglądaniu przez okna.

W pewnym momencie zobaczyłem rodzinę centaurów galopujących po polu pszenicy z łukami w pogotowiu - polowali na obiad. Chłopak, który wyglądał jak drugoklasista na kucyku, zobaczył mnie i pomachał ręką. Rozejrzałem się po siedzących obok nas pasażerach, ale nikt nic nie zauważył. Wszyscy mieli wzrok utkwiony w gazety lub monitory laptopów.

Nieco później, już pod wieczór, dostrzegłem jakiś wielki kształt przemykający przez las. Mógłbym przysiąc, że był to lew, gdyby nie to, że lwy nie żyją dziko w Ameryce, Ameryce ten na dodatek był rozmiarów sporej terenówki. Jego futro lśniło złotem w wieczornym świetle. W końcu zwierzę skoczyło między drzewa i znikło.

Nagroda, którą dostaliśmy za odprowadzenie do domu pudła imieniem Storczyk, wystarczyła nam na zakup biletów jedynie do Denver. Nie stać nas było na kuszetki, więc drzemaliśmy na siedząco. Kark mi całkiem zeszywniał. Starłem się nie ślinić przez sen, ponieważ koło mnie siedziała Annabeth.

Grover chrapał i pobekiwał, i ciągle mnie budził. W pewnym momencie tak się kręcił, że zrzucił sztuczną stopę i musieliśmy szybko nasadzić mu ją z powrotem na kopyto, zanim ktokolwiek z pasażerów zauważył.

- Okej - zwróciła się do mnie Annabeth, kiedy już ubraliśmy Grovera z powrotem w tenisówki. - Kto chce od ciebie pomocy?

- O czym ty mówisz?

- Kiedy przed chwilą spałeś, mamrotałeś przez sen: „Nie pomogę ci”. Kto ci się śnił?

Nie miałem ochoty nic mówić. Po raz drugi śnił mi się ten straszliwy głos dobywający się z otchłani. Ale do tego stopnia nie dawało mi to spokoju, że w końcu jej powiedziałem.

Annabeth przez chwilę siedziała w milczeniu.

- To mi nie wygląda na Hadesa. On zawsze ukazuje się na czarnym tronie i nigdy się nie śmieje.

- Zaproponował mi w zamian za pomoc moją mamę. Kto inny mógłby to zrobić?

- No tak... To znaczy zakładając, że miał na myśli „pomóż mi wydostać się z Podziemia”. Śe chce wojny z Olimpem. Ale po co żądać od ciebie przyniesienia pioruna piorunów, skoro już go ma?

Pokręciłem głową, zły, że nie znam odpowiedzi. Przypomniało mi się to, co powiedział mi Grover: że Erynie w autobusie szukały jakiegoś przedmiotu.

*Gdzie to jest? Gdzie?*

Może Grover wyczuł moje emocje. Parsknął przez sen, wymamrotał coś o jarzynach i obrócił głowę.

Annabeth poprawiła mu czapkę, żeby zakrywała różki.

- Percy, z Hadesem nie ma układów. Wiesz o tym, prawda? Jest podstępny, pozbawiony serca i chciwy. I nie obchodzi mnie, że jego Łaskawe nie były tym razem bardzo bojowo nastawione...

- Tym razem? - spytałem. - Spotkałaś się z nimi wcześniej?

Jej ręka powędrowała do naszyjnika. Dotknęła białego, błyszczącego paciorka z wymalowaną sosną, jednej z glinianych odznak ukończenia roku obozu.

- Powiedzmy, że nie żywię ciepłych uczuć wobec Pana Umarłych. Nie powinienes dać się skusić obietnicami oddania ci twojej mamy.

- A co byś zrobiła, gdyby chodziło o twojego tatę?

- Nie wahałabym się - odparła. - Pozwoliłabym mu zgnić.

- Nie mówisz poważnie?

Utkwiła we mnie swoje szare oczy. Miały ten sam wyraz, który widziałem w lesie, kiedy wyciągnęła miecz, żeby bronić nas przed piekielnym ogarem.

- Mój ojciec nienawidził mnie od dnia, w którym się urodziłam, Percy - powiedziała.  
- Nigdy nie chciał mieć dzieci. Kiedy się pojawiłam, poprosił Atenę, żeby zabrała mnie na Olimp i tam wychowała, ponieważ on był zbyt zajęty. Nie spodobało jej się to. Powiedziała, że wychowywanie herosów jest zadaniem ich śmiertelnych rodziców.

- Ale jak... To znaczy, chyba nie urodziłaś się w szpitalu?

- Ojciec znalazł mnie na progu swojego domu w złotej kołysce, zostałam przyniesiona z Olimpu przez Zefira, Zachodni Wiatr. Wydaje się, że mój ojciec powinien uznać to za cud, nie? Wiesz, zrobić jakieś zdjęcie cyfrówką albo co. Ale dla niego moje istnienie zawsze było największym kłopotem, jaki mógł go spotkać w życiu. Kiedy miałam pięć lat, ożenił się i całkiem zapomniał o Atenie. Miał „zwyczajną” śmiertelną żonę i dwójkę „zwyczajnych” śmiertelnych dzieci i usiłował udawać, że ja nie istnieję.

Patrzyłem przez okno pociągu. Mijaliśmy właśnie jakieś uśpione miasteczko. Bardzo chciałem pocieszyć Annabeth, ale nie miałem pojęcia, jak mógłbym to zrobić.

- Moja mama wyszła za okropnego faceta - powiedziałem.

- Grover powiedział, że zrobiła to po to, żeby mnie chronić, ukryć mnie w zapachu ludzkiej rodziny. Może twój tato też tak myślał.

Annabeth obracała w palcach paciorki swojego naszyjnika. Zacisnęła dłoń na złotym uczelnianym pierścieniu zawieszonym między nimi. Przyszło mi do głowy, że ten pierścień musi być pamiątką po ojcu. Zastanawiałem się, dlaczego to nosi, skoro tak go nienawidzi.

- Nic go nie obchodzi - powiedziała. - Jego żona - moja macocha - traktowała mnie jak świra. Nie pozwalała mi się bawić ze swoimi dziećmi. Ilekroć działo się coś niebezpiecznego... wiesz, te sprawy z potworami... oboje patrzyli na mnie z niechęcią, jakby chcieli powiedzieć „Jak śmiesz narażać naszą rodzinę?”. W końcu zrozumiałam. Nie chcieli mnie. Uciekłam.

- Ile miałaś lat?

- Siedem. To było w tym samym roku, kiedy zaczęłam naukę w obozie.

- Ale... przecież nie mogłaś sama dostać się na Wzgórze Herosów.

- Nie byłam sama, nie. Atena czuwała nade mną, wskazała mi pomoc. Zaprzyjaźniłam się z dość niezwykłymi osobami, które się mną zajęły, w każdym razie na krótki czas.

Chciałem zapytać, co się stało, ale Annabeth ewidentnie pogрузzyła się we wspomnieniach. Wsłuchiwałem się więc w chrapanie Grovera i wpatrywałem się w przemykające za oknem pograżone w ciemności pola Ohio.

Pod koniec drugiego dnia naszej podróży pociągiem, trzynastego czerwca, osiem dni przed letnim przesileniem, przejechaliśmy przez wyłoczone wzgórza nad rzekę Missisipi i przed nami ukazało się miasto St. Louis.

Annabeth nachyliła się do okna, żeby zobaczyć Bramę Zachodu - ogromny łuk, który moim zdaniem wyglądał jak uchwyt wielkiej torby na zakupy przerzucony nad miastem.

- Chciałabym coś takiego zrobić - westchnęła Annabeth.

- Co? - zapytałem.

- Zbudować coś takiego. Widziałeś kiedykolwiek Partenon, Percy?

- Tylko na obrazkach.

- Kiedyś zobaczę go na własne oczy. I wybuduję największą na świecie świątynię dla bogów. Budynek, który przetrwa tysiące lat.

Roześmiałem się.

- Chcesz zostać architektem?

Nie wiem, czemu wydało mi się to śmieszne. Zabawna była już sama próba wyobrażenia sobie Annabeth siedzącej spokojnie i rysującej przez cały dzień.

Zarumieniła się.

-Tak, architektem. Atena oczekuje od swoich dzieci tworzenia, a nie tylko burzenia, jak ma to w zwyczaju pewien bóg trzęsień ziemi, skoro już przy tym jesteśmy.

Wpatrywałem się we wzburzone brązowe fale Missisipi.

- Przepraszam - powiedziała Annabeth. - To było wredne.

- Nie możemy choć trochę współpracować? - zapytałem błagalnie. - To znaczy... czy Atenie i Posejdonowi zdarzyło się kiedykolwiek zrobić coś razem?

Annabeth rozmyślała przez chwilę.

- No chyba... rydwan - powiedziała niepewnie. - Mama go wymyśliła, ale to Posejdon stworzył konie z piany wzburzonych morskich fal. Musieli więc współpracować, żeby złożyć jedno z drugim.

- W takim razie my też możemy współpracować. Zgoda?

Wjechaliśmy do miasta. Annabeth nie odrywała wzroku od znikającego za budynkiem hotelowym łuku Bramy Zachodu.

- Niech będzie - powiedziała w końcu.

Zatrzymaliśmy się na dworcu kolejowym w centrum miasta. Głośniki powiadomiły nas, że mamy trzy godziny postoju przed odjazdem do Denver.

Grover wyprostował nogi.

- Jeść - powiedział, jeszcze zanim na dobre otworzył oczy.

- Wstawaj, kozłonogu - powiedziała Annabeth. - Idziemy zwiedzać miasto.

- Zwiedzać?

- Brama Zachodu - odrzekła. - To może być dla mnie jedyna szansa, żeby wyjechać na górę Łuku. Idziesz czy nie?

Wymieniliśmy spojrzenia z Groverem.

Chciałem odmówić, ale uznałem, że skoro Annabeth się uparła, nie powinniśmy raczej pozwalać jej na samotną wycieczkę.

Grover wzruszył ramionami.

- Może jest tam bar bez potworów.

Łuk znajdował się około kilometra od dworca. Późnym popołudniem nie było wielkiej kolejki do wjazdu na górę. Przeszliśmy szybko przez podziemne muzeum, gdzie obejrzelśmy kryte wozy osadników i inne śmieci z dziewiętnastego wieku. Wcale nie było to bardzo interesujące, ale Annabeth opowiadała nam znacznie ciekawsze rzeczy o konstrukcji samego Łuku, a Grover podsuwał mi galaretki, więc w sumie nie było tak źle.

Nie przestawałem się jednak rozglądać dookoła, lustrując ludzi stojących w kolejce.

- Wyczuwasz cokolwiek? - spytałem szeptem Grovera.

Uniósł nos nad torebkę z cukierkami na tyle, żeby powęszyć.

- Jesteśmy pod ziemią - powiedział z niesmakiem. - Pod ziemią zawsze cuchnie potworami. Co może nic nie znaczyć.

Ja jednak miałem złe przeczucia. Coś mi podpowiadało, że nie powinno nas tam być.

- Ej, ludzie - odezwałem się. - Znacie symbole potęgi bogów?

Annabeth oderwała się od tabliczki opisującej sprzęt, jakiego użyto przy budowie Łuku, i spojrzała na nas.

- Co?

- Wiesz, Ha...

Grover odchrząknął.

- Jesteśmy w miejscu publicznym... Masz na myśli znajomych z dolnych pięter?

- Aha, no tak - mruknąłem. - Znajomego z *samego* dołu. Czy on nie ma takiej czapki jak Annabeth?

- Mówisz o hełmie mroku - odparła Annabeth. - Owszem, to jego symbol władzy. Widziałam go obok jego tronu podczas posiedzenia rady w zimowe przesilenie.

- On tam był? - spytałem.

Potaknęła.

- To jedyny dzień, w którym wolno mu odwiedzać Olimp... Najciemniejszy dzień roku. Ale jeśli to, co słyszałam, jest prawdą, to jego hełm jest znacznie potężniejszy od mojej czapeczki niewidki...

- Pozwala mu zamieniać się w ciemność - potwierdził Grover. - Może wtopić się w cień i przechodzić przez ściany. Nie sposób go dotknąć, zobaczyć ani usłyszeć. Poza tym jest w stanie wytworzyć taką aurę przerażenia, że oszalejesz lub serce przestanie ci bić. Jak myślisz, dlaczego wszystkie myślące stworzenia boją się ciemności?

- Ale w takim razie... skąd wiemy, że jego nie ma tutaj, że nas nie obserwuje? - zapytałem.

Annabeth i Grover wymienili spojrzenia.

- Nie wiemy - powiedział Grover.

- Dzięki, od razu się lepiej poczułem - odrzekłem. - Masz jeszcze jakieś niebieskie żelki?

Prawie udało mi się uspokoić skołatane nerwy, kiedy zobaczyłem maleńki wagonik kolejki, którym mieliśmy się dostać na górę Łuku, i poczułem, że zaczynają się problemy. Nienawidzę zamkniętych miejsc. Doprowadzają mnie do szału.

Wcisnęliśmy się do wagonika razem z grubą kobietą trzymającą na ręku pekińczyka w obroży z kryształu górskiego. Uznałem, że to musiał być pekińczyk - przewodnik niewidomych, ponieważ żaden ze strażników nie protestował.

Zaczeliliśmy wjeżdżać na górę. Nigdy wcześniej nie jechałem kolejką poruszającą się po łuku i mojemu żołądkowi się to najwyraźniej nie podobało.

- Bez rodziców? - spytała gruba kobieta.

Miała oczy jak paciorki, ostre, brudne od kawy zęby, obwisły dżinsowy kapelusz oraz dżinsową sukienkę, spod której wylewało się obfite ciało do tego stopnia, że wyglądała jak dżinsowy balon.

- Zostali na dole - odpowiedziała Annabeth. - Mają lęk wysokości.

- Och, moje biedactwa.

Pekińczyk zawarczał.

- Spokojnie, lwi pyszczku - powiedziała do niego kobieta. - Zachowuj się jak należy.

Pies miał paciorkowate oczy podobnie jak jego właścicielka. Inteligentne i złośliwe.

- On ma na imię Lwipyszczyk?

- Nie - odparła kobieta.

Uśmiechnęła się, jakby to wszystko wyjaśniało.

Taras widokowy na szczycie Łuku przypominał mi obitą wykładziną puszkę. Z mnóstwa małych okienek po jednej stronie widać było miasto, po drugiej rzekę. Widok był piękny, ale jeśli istnieje coś, czego nie znoszę bardziej od zamkniętej przestrzeni, to jest to zamknięta przestrzeń sto osiemdziesiąt metrów nad ziemią. Marzyłem o tym, żebyśmy sobie stamtąd jak najszybciej poszli.

Annabeth nawijała o konstrukcji nośnej i o tym, że ona zrobiłaby większe okna oraz zaprojektowała przezroczystą podłogę. Ewidentnie mogłaby tam spędzić pół dnia, ale na moje szczęście strażnik obwieścił, że taras widokowy zamyka się za kilka minut.

Pokierowałem Grovera i Annabeth w kierunku wyjścia, wpackowałem ich do kolejki i właśnie miałem wsiadać, kiedy zorientowałem się, że w środku jest już dwójka innych turystów. Dla mnie zabrakło miejsca.

-Następny wagonik, młody człowieku - powiedział strażnik.

-Wysiadamy - powiedziała Annabeth. - Zaczekamy z tobą.

To zajęłoby jeszcze więcej czasu i narobiłoby bałaganu, więc odpowiedziałem:

-Jedźcie, spotkamy się na dole.

Grover i Annabeth wyglądali na zaniepokojonych, ale nie wysiedli. Drzwi windy zamknęły się. Wagonik zniknął na pochyłości.

Na tarasie widokowym zostali oprócz mnie rodzice z małym chłopcem, strażnik i gruba kobieta z pekińczykiem.

Uśmiechnąłem się do niej niepewnie. Odpowiedziała uśmiechem, błyskając między zębami rozdwojonym językiem.

Chwila.

Rozdwojonym językiem?

Zanim zdążyłem się zastanowić, czy naprawdę to widziałem, pekińczyk zeskoczył na podłogę i zaczął ujadać.

-Spokojnie, lwi pyszczku - powiedziała kobieta. - Czy to wygląda na odpowiednią chwilę? Nie przy tych wszystkich miłych ludziach.

-Piesek! - zawołał mały chłopiec. - Mamo, piesek!

Rodzice odciągnęli go od psa.

Pekińczyk szczyrzył na mnie zęby, a z jego czarnych warg kapała ślina.

-No dobrze, córciu - westchnęła kobieta. - Skoro nalegasz.

Poczułem, że coś mnie ściska w żołądku.

-Ekhem, czy pani mówi do tej psiej cholery: córciu?

-To jest *Chimera*, mój drogi - poprawiła mnie gruba kobieta - a nie cholera. Cóż za ignorancja.

Podwinęła rękawy dzinsowej sukienki, ukazując zieloną, pokrytą łuskami skórę rąk. Uśmiechnęła się i zobaczyłem, że zamiast zębów ma kły. Żrenice jej oczu były wąskimi szparkami, jak u gada.

Pekińczyk ujadał coraz głośniejsze i z każdym szczeknięciem rósł coraz bardziej. Najpierw do rozmiarów dobermana, następnie lwa. Szczekanie zmieniło się w ryk.

Chłopczyk zaczął wrzeszczeć. Rodzice pociągnęli go w stronę wyjścia, prosto na strażnika, który stał jak zamurowany, wpatrując się w potwora.

Chimera była teraz tak wielka, że grzbietem ocierała się o sklepienie. Miała łeb lwa z obryzganą krwią grzywą, ciało i kopyta ogromnej kozy, wężowy ogon - a właściwie długiego na trzy metry pytona wyrastającego z włochatego zadka. Psia obroza z kryształ górskiego wciąż tkwiła na jej szyi, a na plakietce wielkości talerza dało się teraz bez trudu przeczytać: *CHIMERA - WŚCIEKŁA, ZIEJĄCA OGNIEM, JADOWITA - ZNALAZCA PROSZONY JEST O TELEFON DO TARTARU, WEWN. 954.*

Zorientowałem się, że nawet nie odetkałem miecza. Ręce mi zdętwiały. Znajdowałem się w odległości trzech metrów od krwawego pyska Chimery i wiedziałem, że jeśli tylko się poruszę, bestia zaatakuje.

Wężowa kobieta syknęła w sposób, który mógłby ujść za rodzaj śmiechu.

- Powinieneś czuć się zaszczycony, Percy Jacksonie. Pan Zeus rzadko pozwala mi poddać herosa próbie przy pomocy jednego z moich dzieci. Jam jest Matką Potworów, jam jest straszliwa Echidna!

Gapiałem się na nią jak głupi.

- Echidna... cea? - zapytałem, bo nic mądrzejszego nie przyszło mi do głowy.

Zawyla, a jej gadzia twarz zmieniła barwę z brązowej na zieloną z wściekłości.

- Jak śmiesz się ze mnie wyśmiewać? Jak śmiesz mylić mnie z jakimś głupim zielskiem? Za to, Percy Jacksonie, zginiesz zgłodzony przez moją córcię!

Chimera rzuciła się na mnie, zgrzytając lwimi zębami. Udało mi się uskoczyć na bok w chwili, gdy kłapnęła paszczą.

Wylądowałem koło rodziny z małym chłopcem i strażnika, którzy w tej chwili wrzeszczeli unisono, usiłując otworzyć drzwi awaryjne.

Nie mogłem pozwolić, żeby coś im się stało. Odetkałem miecz, przebiegłem na drugą stronę tarasu i wrzasnąłem:

- Hej, lwi pyszczku!

Chimera zawróciła szybciej, niż mógłbym się spodziewać.

Zanim zdążyłem zamachnąć się mieczem, otworzyła pysk, zionąc prosto na mnie ogniem i smrodem takim, jaki mógłby się unosić nad największym grillowiskiem świata.

Rzuciłem się szczupakiem w przód. Wykładzina na podłodze wybuchnęła ogniem, a żar był tak wielki, że niemal spalił mi rzęsy.

Tam, gdzie stałem jeszcze przed chwilą, w ścianie Łuku ziała poszarpana dziura otoczona dymiącym, stopionym metalem.

Super, pomyślałem. Właśnie rozwaliliśmy ważny zabytek.

Orkan był już lśniącym spiżowym ostrzem w mojej dłoni, więc kiedy Chimera zaszarżowała ponownie, rąbnąłem ją w kark.

Był to niewybaczalny błąd. Ostrze odbiło się od obroży. Usiłowałem odzyskać równowagę, ale do tego stopnia skupiłem się na obronie przed ognistą lwią paszczą, że kompletnie zapomniałem o węzowym ogonie aż do chwili, kiedy zwinął się i wbił mi zęby w łydkę.

Poczułem się tak, jakby ktoś podpalił mi nogę. Usiłowałem wbić Orkana w pysk Chimery, ale węzowy ogon trzymał mnie za nogi i usiłował przewrócić, aż w końcu wypuściłem z ręki miecz, który wyleciał przez dziurę w ścianie i spadł do Missisipi.

Udało mi się wstać, ale wiedziałem, że nie mam już szans. Zostałem pozbawiony broni. Czułem, jak śmiertelna trucizna rozchodzi się po moim ciele. Przypomniały mi się słowa Chejrona, że Anaklysmos zawsze do mnie powróci, ale kieszeń była pusta. Może spadł za daleko. Albo może wracał jedynie wtedy, kiedy zgubiło się długopis. Nie miałem pojęcia, a wyglądało na to, że nie pożyję dość długo, żeby się dowiedzieć.

Zacząłem się cofać w kierunku dziury w ścianie. Chimera sunęła ku mnie, warcząc i plując dymem. Wężowa kobieta, Echidna, zarechotała.

- Dziś prawdziwych herosów już nie ma, co?

Potwór wydał groźny pomruk. Ociągał się z wykończeniem mnie, skoro już mnie ukąsił.

Zerknąłem na strażnika i rodzinę turystów. Chłopiec krył się za nogami ojca. Musiałem jakoś obronić tych ludzi. Nie mogłem po prostu... umrzeć. Usiłowałem myśleć, ale całe moje ciało płonęło. Czułem zawroty głowy. Nie miałem miecza. Ku mnie skradał się wielki, ziejący ogniem potwór, a obok stała jego mamusia. A ja się bałem.

Nie miałem dokąd uciekać, stanąłem więc na krawędzi dziury. Daleko pode mną połyskiwała rzeka.

Czy jeśli umrę, potwory sobie pójdą? Czy zostawią ludzi w spokoju?

- Jeśli jesteś synem Posejdona - syknęła Echidna - nie powinienes bać się wody. Skacz, Percy Jacksonie. Pokaż mi, że woda cię nie skrzywdzi. Skocz i odzyskaj swój miecz. Pokaż, że jesteś godny swojej krwi.

Jasne, pomyślałem. Czytałem kiedyś, że skok do wody z wysokiego piętra niczym się nie różni od skoku na beton. Skacząc z miejsca, w którym się znajdowałem, mogłem jedynie roztrzaskać się na miazgę.

Pysk Chimery błyszczał czerwono: potwór gotował się do kolejnego uderzenia.

- Brak ci wiary - powiedziała Echidna. - Nie ufasz bogom. Nie mogę cię winić, mały tchórze. Lepiej umrzyj od razu. Bogowie ci nie ufają. Trucizna jest w twoim sercu.

Miała rację: umierałem. Czułem, jak oddech mi zwalnia. Nikt nie był w stanie mnie uratować, nawet bogowie.

Odwróciłem się i spojrzałem na wodę. Przez moje myśli przemknął cień ciepłego uśmiechu mojego ojca, kiedy byłem mały. Musiał mnie widzieć. Musiał mnie odwiedzać, kiedy leżałem w kołysce.

Przypomniałem sobie wirujący, zielony trójząb, który pojawił się nad moją głową tej nocy, kiedy zdobywaliśmy sztandar i kiedy Posejdon uznał mnie za swojego syna.

Ale to nie było morze. To była Missisipi w samym środku Ameryki. Tu nie będzie Pana Mórz.

- Giń, niedowiarku - syknęła Echidna, Echidna Chimera plunęła we mnie słupem ognia.



Wstałem. Tkwiłem po kolana w mule. Nogi się pode mną trzęsły. Ręce drżały. Powinienem już nie żyć. To, że jednak żyłem, wydawało się... no cóż, cudem. W myślach usłyszałem kobiecy głos, brzmiący trochę jak głos mamy: *Co się mówi, Percy ?*

- Ekhem... dziękuję. - Pod wodą brzmiałem jak na nagraniach, jak dużo starsze dziecko. - Dziękuję... ojcze.

Zero odpowiedzi. Tylko cienie płynących rzeką śmieci, ogromny sum przemykający gdzieś w pobliżu, blask zachodzącego słońca na powierzchni wody nade mną, zalewający wszystko poświatą w kolorze toffi.

Dlaczego Posejdon mnie uratował? Im dłużej o tym myślałem, tym większy czułem wstyd. Wcześniej kilka razy mi się poszczęściło. Przeciwno czemuś takiemu jak Chimera nie miałem najmniejszych szans. Ci nieszczęśliwi ludzie na szczycie Łuku zapewne upiekli się na skwarki. Nie byłem w stanie ich ochronić. Śaden ze mnie heros. Może powinienem zostać tu, z sumem, dołączyć do ryb.

*Plum-plum-plum.* Nade mną przetoczyły się łopatki koła statku rzecznego, rozrzucając muł.

A niecałe dwa metry ode mnie znajdował się mój miecz, którego lśniąca spiszowa głowica wznosiła się nad muliste dno.

Znów usłyszałem ten kobiecy głos: *Weź miecz, Percy. Twój ojciec wierzy w ciebie.* Tym razem byłem pewny, że to nie jest wytwór mojej wyobraźni. Ten głos nie odzywał się w moich myślach. Dobiegał ze wszystkich stron, rozchodząc się po wodzie jak fale.

- Gdzie jesteś? - zawołałem.

I zobaczyłem ją poprzez mrok - kobietę koloru wody, zjawę w nurcie rzeki, unoszącą się tuż nad moim mieczem. Miała długie, falujące włosy, a jej ledwie widoczne oczy miały podobnie zieloną barwę jak moje.

Poczułem, że coś mnie ściska w żołądku.

- Mamo? - powiedziałem.

*Nie, dziecko, jestem tylko posłańcem, ale los twojej matki nie jest aż tak straszliwy, jak sobie wyobrażasz. Przybądź na plażę w Santa Monica.*

- Źe co?

*Taka jest wola twojego ojca. Zanim zejdziesz do Podziemia, musisz udać się do Santa Monica. Proszę, Percy, nie zatrzymuj mnie na dłużej. Ta rzeka jest dla mnie zbyt brudna.*

- Ale... - byłem pewny, że ta kobieta była moją mamą albo przynajmniej jej obrazem. - Kim... jak...

Chciałem jej zadać mnóstwo pytań, ale słowa grzęzły mi w gardle.

*Nie mogę dłużej zostać, dzielny młodzieńcze* - odpowiedziała kobieta. Wyciągnęła przed siebie rękę i poczułem, że strumień wody dotyka mojej twarzy niczym pieszczota dłoni. *Jedź do Santa Monica! I, Percy, nie ufaj darom...*

Jej głos rozplynął się.

- Darom? - spytałem. - Jakim darom? Zaczekaj!

Zrobiła ostatni wysiłek, żeby jeszcze coś powiedzieć, ale dźwięk nie dotarł już do mnie. Jeśli to była moja mama, utraciłem ją ponownie.

Miałem ochotę się utopić. Był jednak pewien problem: moja odporność na tonięcie.

*Twój ojciec wierzy w ciebie*, powiedziała.

No i nazwała mnie dzielnym... chyba że akurat wtedy mówiła do suma.

Brnąc w mule, podszedłem do Orkana i chwyciłem go za rękę. Chimera może ciągle gdzieś tam czyhać wraz ze swoją węzową matką, w nadziei, że mnie wykończy. A poza tym z pewnością pojawi się śmiertelnicza policja, usiłując dociec, kto wybił dziurę w Bramie Zachodu. Jeśli mnie znajdą, mogą mieć do mnie parę pytań.

Zatkałem miecz i wsadziłem długopis do kieszeni.

- Dziękuję, ojcze - powiedziałem raz jeszcze w kierunku mrocznej wody.

Po czym odbiłem się od mulistego dna i wypłynąłem na powierzchnię.

Wypelzłem na brzeg obok pływającego McDonalda.

Parę kroków dalej Bramę Zachodu otaczały samochody wszelkich możliwych służb miasta St. Louis. W górze krążyły policyjne helikoptery. Tłum gapiów obudził we mnie wspomnienia nowojorskiego Times Square w sylwestra.

- Mamo! - zawołała stojąca tuż obok mała dziewczynka. - Ten chłopiec właśnie wyszedł z rzeki!

- To dobrze, kochanie - odpowiedziała jej mama, wychylając się, żeby zobaczyć karetki.

- Ale jest suchy!

- To dobrze, kochanie. Przed kamerą stała reporterka.

- Prawdopodobnie nie był to atak terrorystyczny, ale na razie jest zbyt wcześnie, żeby o czymkolwiek wyrokować. Zniszczenia, jak widzimy, są znaczne. Będziemy próbowali porozmawiać z kimś z ocalałych, żeby potwierdzić doniesienia naocznych świadków, którzy twierdzą, że ktoś wypadł z okna.

*Ocalałych*. Poczuję wielką ulgę. Może strażnik i tamta rodzina wyszli jednak z tego cało. Miałem też nadzieję, że nic się nie stało Annabeth ani Groverowi.

Usiłowałem przepchnąć się przez tłum, żeby zobaczyć, co dzieje się za policyjną taśmą.

- ...nastoletni chłopiec - mówił inny reporter. - Kanał Piąty dowiedział się, że kamery przemysłowe zarejestrowały obraz nastolatka, który dostał ataku szału na tarasie widokowym, co w jakiś sposób spowodowało ten dziwny wybuch. Trudno w to uwierzyć, John, ale tak właśnie się mówi. Nadal nie ma żadnych doniesień o ofiarach...

Spuściłem nisko głowę i zacząłem się wycofywać. Obejście policyjnej blokady zajęło mi trochę czasu. Mundurowi i dziennikarze byli wszędzie.

Niemal straciłem już nadzieję na odnalezienie Annabeth i Grovera, kiedy usłyszałem znajome beczenie.

- Peercy!

Odwróciłem się i wylądowałem w niedźwiedzim - a może raczej kozim uścisku satyra.

- Myśleliśmy już, że wylądowałaś najkrótszą drogą w Hadesie! - powiedział.

Annabeth stała za nim, usiłując wyglądać na zagniewaną, ale nawet po niej widać było ulgę na mój widok.

- Nie można cię zostawić samego ani na minutę! Co się stało?

- Tak jakby spadłem.

- Percy! Dwieście metrów?

Za nami rozległy się krzyki policjantów.

- Zrobić przejście!

Tłum rozstąpił się i obok nas przebiegli sanitariusze z leżącą na noszach kobietą. Rozpoznałem w niej natychmiast matkę tego chłopca, którego widziałem na tarasie obserwacyjnym.

- A potem ten olbrzymi pies, ogromny, ziejący ogniem pekiń...

- Oczywiście, proszę pani - powiedział sanitariusz. - Proszę się uspokoić. Pani rodzinie nic się nie stało. Lekarstwo zaczyna działać.

- Nie zwariowałam! Chłopak wyskoczył przez dziurę w ścianie, a potwór zniknął. - W tej samej chwili dostrzegła mnie. - To on! To ten chłopak!

Odwróciłem się szybko, ciągnąc za sobą Annabeth i Grovera. Znikliśmy w tłumie.

- O co chodzi? - spytała nieznoszącym sprzeciwu tonem Annabeth. - Czy ona mówi o tym pekińcyku z windy?

Opowiedziałem im wszystko o Chimerze, Echidnie, o tym, jak dałem nura, i o tym, co powiedziała mi kobieta pod wodą.

- Rety - powiedział Grover. - Musimy dostarczyć cię do Santa Monica! Nie możesz olać wezwania od ojca.

Zanim Annabeth zdążyła cokolwiek odpowiedzieć, mineliśmy kolejnego reportera przekazującego wiadomość dnia, a ja omal nie zemdlałem, słysząc, co mówił.

- ...Percy Jackson. Zgadza się, Dan. Kanał Dwunasty dowiedział się, że chłopak, który mógł spowodować dzisiejszy wybuch, pasuje do opisu młodego człowieka poszukiwanego przez policję w związku z poważnym wypadkiem autobusowym, jaki miał miejsce w New Jersey trzy dni temu. Policja sądzi, że chłopak przemierza się na zachód. Pokazujemy wszystkim widzom zdjęcie Percy'ego Jacksona.

Skoczyliśmy za furgonetkę stacji telewizyjnej i popędziliśmy w zaułek.

- Zacznijmy od tego, co najważniejsze - powiedziałem Gro-verowi. - Musimy wydostać się z miasta!

Udało nam się jakoś przemknąć z powrotem na dworzec niezauważonym.

Wsiadliśmy do pociągu tuż przed jego odjazdem do Denver. Wagony potoczyły się na zachód, pozostawiając za sobą policyjne światła odbijające się w oknach wieżowców St. Louis.

## **ROZDZIAŁ XV BÓG FUNDUJE NAM**

### **CHEESEBURGERY**

Następnego dnia, czternastego czerwca po południu, siedem dni przed letnim przesileniem, nasz pociąg wtoczył się do Denver. Nie jedliśmy nic od poprzedniego wieczoru, kiedy jeszcze w Kansas odwiedziliśmy wagon restauracyjny. Nie kapaliśmy się od wyjazdu ze Wzgórza Herosów i miałem wrażenie, że nie sposób było tego ukryć.

- Spróbujmy skontaktować się z Chejronem - powiedziała Annabeth. - Chciałabym z nim pogadać o tym duchu w rzece.

- Nie możemy używać telefonów, nie?

- Nie mówię o telefonach.

Przez następne pół godziny snuliśmy się po centrum miasta, a ja nijak nie mogłem wymyślić, czego Annabeth szukała. Powietrze było suche i gorące, co wydawało się dziwne po wilgoci panującej w St. Louis. Gdziekolwiek się obróciliśmy, czułem na sobie spojrzenie Gór Skalistych. Wyglądały jak wielka fala przyływu, mająca zalać miasto.

Wreszcie znaleźliśmy pustą samoobsługową myjnię samochodową. Podeszliśmy do stanowiska położonego najdalej od ulicy i rozglądaliśmy się, czy nie jedzie policja. Byliśmy trojgiem nastolatków bez samochodu kręcących się po myjni - każdy gliniarz, który zasługuje na swoją pensję, uznałby to za podejrzane.

- Co właściwie będziemy robić? - spytałem, kiedy Grover zdjął szlauch z haka.

- Siedemdziesiąt pięć centów - mruknął ponuro. - Mam już tylko dwie ćwierćdolarówki. A ty, Annabeth?

- Coś ty - odpowiedziała. - Spłukałam się w wagonie restauracyjnym.

Wyciągnąłem z kieszeni ostatnie drobne i podałem Grove-rowi ćwierćdolarówkę, więc zostały mi dwie pięciocentówki i drachma zabrana z biura Meduzy.

- Świetnie. Wystarczyłby nawet spryskiwacz, ale przerywa, a poza tym palce bolą od naciskania.

- O czym ty mówisz?

Wrzucił ćwierćdolarówki do automatu i ustawił pokrętko w pozycji DELIKATNA MGIEŁKA.

- O iryfonie.

- Od irygacji?

- Od *Irydy* - poprawiła mnie Annabeth. - Bogini tęczy Iris przekazuje wiadomości bogów. Jeśli umie się odpowiednio poprosić, a ona nie jest zbyt zajęta, zrobi to też dla herosów.

- Wzywacie boginię szlauchem?

Grover skierował wylot w górę i woda trysnęła, tworząc gęstą, białą mgiełkę.

- A znasz łatwiejszy sposób, żeby zrobić tęczę? Oczywiście późnopołudniowe światło padło na kropelki,

załamując się w wiele kolorów.

Annabeth wyciągnęła do mnie rękę.

- Daj mi drachmę. Podałem jej monetę. Uniosła ją nad głowę.

- Bogini, przyjmij naszą ofiarę.

Rzuciła drachmę w tęczę. Moneta zniknęła ze złotym błyskiem.

- Wzgórze Herosów - zażądała Annabeth. Przez moment nic się nie działo.

Chwilę później patrzyłem przez mgłę na pola truskawek i zatokę Long Island w oddali. Miałem wrażenie, że siedzimy na werandzie Wielkiego Domu. Tyłem do nas

przy poręczy stał jasnowłosy chłopak w szortach i pomarańczowej koszulce. W ręce trzymał spiszowy miecz i najwyraźniej wpatrywał się z uwagą w coś na łące.

- Luke! - zawołałem.

Odwrócił się z oczami szeroko otwartymi ze zdumienia. Mógłbym przysiąc, że stał trzy kroki ode mnie za zasłoną mgiełki, ale widziałem tylko tyle, ile mieściło się w tęczy.

- Percy! - Twarz z nieodłączną blizną rozpromieniła się. -I Annabeth? Bogom niech będą dzięki! Wszystko u was w porządku?

- Tak... wszystko... dobrze - wyjąkała Annabeth, rozpaczliwie usiłując wygładzić brudną koszulkę i odsunąć z twarzy brudne włosy. - Myśleliśmy... że może Chejron... to znaczy...

- Jest przy domkach. - Uśmiech znikł z twarzy Luke'a. -Mamy pewien problem z obozowiczami. Ale co u was słycać? Grover zdrowy?

- Jestem tutaj! - zawołał Grover. Trzymając szlauch jedną ręką, przybliżył się tak, żeby znaleźć się w polu widzenia Luke'a. - Jaki problem?

W tej samej chwili do myjni wjechała wielka limuzyna z puszczoneym na cały regulator hip-hopem. Kiedy samochód ustawił się w sąsiednim boksie, basy zaczęły wibrować tak, że beton pod nogami drżał.

- Chejron musiał... Co to za hałas? - krzyknął Luke.

- Zaraz się tym zajmę! - odkrzyknęła Annabeth. Chyba się cieszyła, że będzie mogła zejść z wizji. - Chodź, Grover!

- Co? - spytał Grover. - Ale...

- Daj Percy'emu szlauch i chodźmy! - rozkazała. Wymamrotał coś tam, że dziewczyny trudniej zrozumieć niż

Wyrocznie Delficką, ale podał mi węża i poszedł za Annabeth.

Nieźle się natrudziłem ze strumieniem wody, żeby złapać tęczę i widzieć Luke'a.

- Chejron musiał opanować sytuację - Luke usiłował przekrzyczeć muzykę. - Ludzie są strasznie podenerwowani, Percy. Wyciekła sprawa Zeus kontra Posejdon. Nie bardzo wiemy, jak to się stało... Pewnie to ta sama kanalia, co wezwała piekielnego ogara. I teraz obozowicze opowiadają się po jednej z dwóch stron. Jak podczas wojny trojańskiej. Tak to teraz wygląda, że Afrodyta, Ares i Apollo są po stronie Posejdona, a Atena wspiera Zeusa.

Wzdrygnąłem się na myśl o tym, że domek Clarisse mógłby w jakiegokolwiek sprawie stanąć po stronie mojego taty. Słyszałem, jak Annabeth i jakiś koleś się kłóca, ale w końcu muzyka zdecydowanie przycichła.

- A co u was? - spytał Luke. - Chejron się zmartwi, że się z wami rozminął.

Opowiedziałem mu mniej więcej wszystko, włącznie z moimi snami. Cieszyłem się, że go widzę, było to tak, jakbym na chwilę znalazł się z powrotem w obozie - do tego stopnia, że nie liczyłem czasu rozmowy, dopóki nie rozległ się ostrzegawczy dzwonek dystrybutora i zorientowałem się, że została mi tylko minuta.

- Szkoda, że mnie z wami nie ma - powiedział Luke. - Obawiam się, że stąd wam za wiele nie pomożemy, ale słuchaj... Tym złodziejem pioruna musiał być Hades. Był przecież na Olimpie w przesilenie zimowe. Opiekowałem się wycieczką i widziałem

- Chejron powiedział, że bogowie nie mogą własnymi rękami zabierać sobie magicznych przedmiotów.

- To prawda - powiedział Luke, a na jego twarzy pojawiła się niepewność. - Ale... Hades ma hełm mroku. Jak ktokolwiek inny miałby się wemknąć do sali tronowej i ukraść piorun piorunów? Musiałby być niewidzialny.

Milczeliśmy obaj przez chwilę, aż dotarło do niego, co właśnie powiedział.

- Nie, no! - zawołał - Nie miałem na myśli Annabeth. Znam ją od zawsze. Ona by nigdy... rozumiesz, jest dla mnie jak młodsza siostra.

Zastanawiałem się, czy Annabeth spodobałoby się to porównanie. W sąsiednim boksie muzyka ucichła. Jakiś mężczyzna krzyknął przerażony, rozległo się trzaśnięcie drzwiami i limuzyna wytoczyła się z myjni.

- Idź może zobaczyć, co się tam stało - powiedział Luke. - Aha, czy nosisz moje skrzydlate buty? Będzie mi miło, jeśli się do czegoś przydadzą.

- Eee... aaa, tak! - starałem się nie zabrzmieć jak przyłapany na kłamstwie. - Jasne, bardzo się przydadzą.

- Naprawdę? - Uśmiechnął się promiennie. - Pasują i w ogóle? Strumień wody ustał. Mgiełka zaczęła się rozwiewać.

- Uważajcie w tym Denver - zawołał jeszcze Luke, ale jego głos był ledwie słyszalny. -1 powiedz Groverowi, że tym razem będzie lepiej! Nikt nie zamieni się w sosnę, jeśli tylko on...

Mgiełka z obrazem Luke'a znikła. Stałem samotnie w mokrej, pustej myjni samochodowej.

Zza węgła wybiegli ze śmiechem Annabeth i Grover, ale stanęli w miejscu na widok mojej miny. Uśmiech zniknął z twarzy Annabeth.

- Co jest, Percy? Co powiedział ci Luke?

- Niewiele - skłamałem, czując w żołądku taką pustkę, jaka panowała w domkach Wielkiej Trójki. - Chodźcie, musimy coś zjeść.

Kilka minut później siedzieliśmy przy metalowym stoliku w barze. Wokół nas rodziny zajadały się burgerami, popijając je colą i sokami.

W końcu podeszła do nas kelnerka, unosząc z powątpiewaniem brew.

- Słucham.

- Ekhem, chcielibyśmy zamówić obiad - powiedziałem.

- A macie czym zapłacić, dzieci?

Warga Grovera zadrżała. Bałem się, że zacznie beczeć albo, co gorsza, gryźć linoleum. Annabeth wyglądała, jakby za chwilę miała zemdleć z głodu.

Usiłowałem właśnie wymyślić jakąś łzawą historyjkę na użytek kelnerki, kiedy budynkiem wstrząsnął grzmot: na krawężniku zatrzymał się motocykl wielkości małego słonia.

Rozmowy w barze ucichły. Przednie światło motocykla było czerwone. Na baku miał wymalowane płomienie, a po obu stronach zwieszały się pokrowce na sztucery - ze sztucercami w środku. Siedzenie było skórzane - ta skóra przypominała... no, białą ludzką skórę.

Właściciel maszyny wyglądał tak, że Rambo na jego widok uciekłby z płaczem do mamusi. Miał na sobie czerwoną obcisłą koszulkę, czarne dżinsy z myśliwskim nożem u pasa oraz czarny skórzany płaszcz. Nosił poza tym okulary słoneczne w czerwonych oprawkach, a jego twarz była najokrutniejszym, najdziwszym obliczem, jakie w życiu widziałem. Gość był raczej przystojny, ale w dość przeraźliwy sposób: czarne włosy obcięte na rekruta, a na policzkach blizny po niezliczonych bójkach. Najdziwniejsze było jednak to, że ta twarz wyglądała znajomo.

Kiedy wszedł do baru, przez wnętrze przeleciał gorący, suchy powiew. Wszyscy klienci wstali jak zahipnotyzowani, ale motocyklista machnął tylko ręką lekceważąco i ludzie usiedli, pograżając się z powrotem w swoich rozmowach. Kelnerka zamrużyła oczami, jakby ktoś właśnie przewinął taśmę w jej mózgu.

- A macie czym zapłacić, dzieci? - spytała ponownie.

- Ja płacę - odpowiedział motocyklista.

Choć było tu dla niego za ciasno, przysiadł się do naszego stolika, niemal wtłaczając Annabeth w okno.

Następnie podniósł wzrok na kelnerkę, która gapiała się na niego.

- Jeszcze tu jesteś?

Strzelił w jej kierunku palcami i dziewczyna zeszywniała, po czym obróciła się, jakby ktoś pociągnął za sznurek, i odmaszerowała w kierunku kuchni.

Motocyklista wbił we mnie wzrok. Przez czerwone okulary nie sposób było dostrzec jego oczu, ale zaczynały właśnie wzbierać we mnie paskudne uczucia. Gniew, uraza,

gorycz. Miałem ochotę zacząć walić pięściami w ścianę. Wszczęć bójkę z kimkolwiek. Za kogo ten facet się uważał?

Uśmiechnął się do mnie szelmowsko.

- To ty jesteś dzieckiem starego Wodorosta, co? Powinienem być zaskoczony albo przerażony, ale czułem się

tak, jakbym patrzył na mojego ojczyma, Gabe'a. Miałem ochotę urwać temu facetowi głowę.

- A co cię to obchodzi?

Annabeth rzuciła mi ostrzegawcze spojrzenie.

- Percy, to jest... Motocyklista uniósł rękę.

- Jest okej - powiedział. - Nie przeszkadza mi buntownicza postawa. Dopóki pamiętasz, kto tu rządzi. Wiesz, kim jestem, kuzynku?

Nagle uzmysłowiłem sobie, dlaczego ten kolo wyglądał znajomo. Miał ten sam paskudnie drwiący wyraz twarzy co niektóre dzieci w Obozie Herosów. Te z domku numer pięć.

- Jesteś ojcem Clarisse - powiedziałem. - Aresem, bogiem wojny.

Ares rozpromienił się i ściągnął okulary. W miejscu, gdzie powinny być oczy, był tylko ogień: oczodoły, w których płonęły miniaturowe eksplozje nuklearne.

- Zgadza się, leszczu. Podobno złamałeś włócznię Clarisse?

- Sama się o to prosiła.

- Zapewne. I bardzo dobrze. Nie wtrącam się w walki moich dzieci, wiesz? Mam za to dla ciebie pewną propozycję.

Kelnerka wróciła z tacą pełną jedzenia: cheeseburgerów, frytek, smażonej cebuli i koktajli czekoladowych. Ares podał jej kilka złotych drachm. Spojrzała nerwowo na monety.

- To nie są...

Ares wyciągnął swój wielki nóż i zaczął czyścić paznokcie.

- Coś nie w porządku, kotku?

Kelnerka przełknęła ślinę i odeszła ze złotem.

- Nie możesz tak robić - zwróciłem się do Aresa. - Nie możesz ot tak straszyć ludzi nożem.

Ares zaśmiał się.

- Chyba żartujesz. Kocham ten kraj. Najlepiej urządzone miejsce od czasów Sparty. Nie nosisz przy sobie broni, leszczu? A powinieneś. Świat jest pełen niebezpieczeństw. Co przypomina mi o propozycji. Potrzebuję od ciebie przysługi.

- Jaką przysługę mogę wyświadczyć bogu?

- Coś, na co bóg osobiście nie ma czasu. Nic wielkiego. Zostawiłem tarczę w nieczynnym parku rozrywki w tym mieście. Miałem tam... randkę z dziewczyną. Przeszkodziło nam. Zostawiłem tarczę. Chciałbym, żebyś mi ją przyniósł.

- A dlaczego sam tam po nią nie wrócisz? Ogień w oczodołach zapłonął nieco jaśniej.

- A dlaczego nie zmienię cię w szczura i nie rozjadę moim harleyem? Ponieważ nie mam na to ochoty. Bóg daje ci możliwość wykazania się, Percy Jacksonie. Zamierzasz wykazać się tchórzostwem? - Nachylił się ku mnie. - A może walczysz tylko nad rzekami, do których można skoczyć w nadziei, że tatuś pomoże?

Miałem ochotę strzelić go w pysk, ale coś mi mówiło, że on tylko na to czeka. To moc Aresa wzbudzała we mnie gniew. Bardzo chciał, żebym go zaatakował. Nie zamierzałem dawać mu tej satysfakcji.

- Nie jesteśmy zainteresowani - powiedziałem. - Mamy już zadanie.

W ognistych oczach Aresa ujrzałem rzeczy, których nie miałem ochoty oglądać: krew, dym i ciała na poboju.

- Wiem wszystko o twojej misji, leszczu. Kiedy *to* zostało skradzione, Zeus najpierw rozesłał na poszukiwania najlepszych: Apollina, Atenę, Artemidę, no i oczywiście mnie. Skoro ja nie byłem w stanie wywęszyć tak potężnej broni... - Obliznął wargi, jakby poczuł głód na samą myśl o piorunie piorunów. - Cóż... Jeśli ja nie byłem w stanie tego odnaleźć, to wy nie macie szans. Ale zakładam, że jesteś niewinny. Twój ojciec i ja znamy się nie od dziś. To w końcu ja mu podpowiedziałem, że złodziejem jest stary Trupi Dech.

- Powiedziałeś mi, że to Hades ukradł piorun?

- Jasne. Wrobić kogoś, żeby rozpętać wojnę. Najstarsza ze sztuczek. Rozpoznałem ją natychmiast. W pewnym sensie powinieneś mi dziękować za tę misję.

- Dzięki - mruknąłem ponuro.

- Słuchaj, ja jestem hojny. Wykonaj dla mnie niewielką pracę, a pomogę ci w twoim zadaniu. Zorganizuję wam wszystkim podróż na zachód.

- Świetnie sobie sami radzimy.

- Aha, jasne. Bez pieniędzy. Bez środka transportu. Bez pojęcia, o co naprawdę chodzi. Pomóż mi, a może powiem ci coś, co ci się przyda. Coś o twojej mamie.

- O mojej mamie? Uśmiechnął się.

- Wreszcie coś cię zainteresowało. Park jest jakieś półtora kilometra na zachód stąd, przy ulicy Delancy. Nie sposób go nie zauważyć. W środku szukajcie Tunelu Miłości.

- Co przeszkodziło wam w randce? - spytałem. - Coś cię przestraszyło?

Ares wyszczerzył zęby, ale widziałem już kiedyś ten wyraz twarzy u Clarisse. W tym uśmiechu było coś fałszywego, co zdradzało podenerwowanie.

- Masz szczęście, że natknąłeś się na mnie, leszczu, a nie na któregoś z pozostałych Olimpijczyków. Oni nie przebaczą bezczelności równie łatwo jak ja. Spotkamy się, gdy już załatwisz tę sprawę. Nie zawieź mnie.

Po tych słowach chyba zemdlałem albo wpadłem w jakiś trans, ponieważ kiedy otworzyłem znów oczy, Aresa nie było. Już prawie pomyślałem, że cała ta rozmowa przyśniła mi się, kiedy zobaczyłem wyrazy twarzy Annabeth i Grovera.

- Niedobrze - powiedział Grover. - Ares cię odnalazł, Percy. Niedobrze.

Wyjrzałem przez okno. Motocykl znikł z krawężnika.

Czy Ares naprawdę wie coś o mojej mamie, czy też tylko pogrywał sobie ze mną? Teraz, kiedy sobie poszedł, cały gniew uszedł ze mnie. Uświadomiłem sobie, że Ares zapewne uwielbia mieszać ludziom w emocjach. To jest jego moc - podsycać namiętności do tego stopnia, że odbierają zdolność myślenia.

- To pewnie tylko jakaś zmyłka - oznajmiłem. - Dajmy sobie spokój z Aresem. Wyośmy się stąd.

- Nie możemy - zaprotestowała Annabeth. - Słuchaj, ja tak samo nienawidzę Aresa jak inni, ale nie lekceważy się bogów, jeśli nie chce się wpaść w poważne tarapaty. On wcale nie żartował z tą przemianą w gryzonia.

Spojrzałem na mojego cheeseburgera, który nagle przestał mi się wydawać taki apetyczny.

- Dlaczego on nas potrzebuje?

- Może to zadanie, które wymaga pomyślunku - podsunęła Annabeth. - Ares ma siłę. I to wszystko. A nawet siła musi czasem ustąpić przed rozumem.

- Ale ten park rozrywek... On wydawał się na serio przestraszony. Co może sprawić, że bóg wojny ucieka w taki sposób?

Annabeth i Grover wymienili nerwowe spojrzenia.

- Obawiam się, że musimy sami sprawdzić - powiedziała Annabeth.

Słońce chowało się już za górami, kiedy odnaleźliśmy wreszcie park. Sądząc po napisie, nazywał się on niegdyś „WODNĄ KRAINĄ”, ale teraz brakowało kilku liter, tak że z nazwy zostało „WOD KAN”.

Główne wejście było zamknięte na kłódkę i dodatkowo zabezpieczone drutem kolczastym. W środku kręte zjeżdżalnie i rury prowadziły do pustych basenów. Chodnik dookoła zasłany był starymi biletami i plakatami. W zapadającym mroku miejsce to wyglądało smutno i nieco upiornie.

- Jeśli Ares przyprowadził tu dziewczynę na randkę - powiedziałem, wpatrując się w drut kolczasty - to nie chcę wiedzieć, jak ta panna wygląda.

- Percy - ostrzegła mnie Annabeth. - Wyrażaj się z szacunkiem.

- Dlaczego? Podobno nienawidzisz Aresa.

- Ale on jest bogiem. A jego dziewczyna niewątpliwie ma charakterek.

- I lepiej nie krytykuj jej urody - dodał Grover.

- A kto to jest? Echidna?

- Nie, Afrodyta - powiedział Grover, a w jego głosie zabrzmiała tęskna nuta. - Bogini miłości.

- Wydawało mi się, że ona ma męża - odparłem. - Hefajstosa.

- O co ci chodzi? - spytał satyr.

- O nic. - Nagle poczułem gwałtowną potrzebę zmiany tematu. - Jak się dostaniemy do środka?

- *Maja!* - Buty Grovera wypuściły skrzydła.

Satyr przefrunął nad ogrodzeniem, wykonując po drodze nieplanowane salto, po czym wylądował na tyłku po przeciwnej stronie. Otrzepał dżinsy takim gestem, jakby wszystko przebiegło zgodnie z planem.

- Idziecie?

Annabeth i ja musieliśmy przedostać się na drugą stronę w bardziej konwencjonalny sposób, przytrzymując sobie nawzajem drut kolczasty, żeby dało się nad nim przejść.

Cienie wydłużały się, kiedy wędrowaliśmy przez park, rozglądając się po atrakcjach. Znaleźliśmy Wyspę Brzdąców, Szalone Schody i Paradę Bikini.

Nie napadły nas żadne potwory. Nie słyszeliśmy najlżejszego dźwięku.

Trafiliśmy na sklepik z pamiątkami, którego nawet nie zamknięto. Towary wciąż leżały na półkach: kule z wirującym śniegiem, ołówki, widokówki, a na wieszakach...

- Ciuchy - powiedziała Annabeth. - Czyste ciuchy.

- Aha - potaknąłem. - Ale nie możesz po prostu...

- Patrz, czy ktoś nie idzie.

Porwała całe narecze ubrań i znikła w przebieralni. Kilka minut później wychynęła stamtąd ubrana w kwieciste szorty z logo parku, wielką czerwoną koszulkę też z logo oraz pamiątkowe klapki. Przez ramię miała przewieszony firmowy plecak, wyraźnie wypchany innymi ciuchami.

- A co mi tam. - Grover wzruszył ramionami.

Chwilę później wszyscy wyglądaliśmy jak chodzące reklamy strupieszalego parku rozrywki.

Ruszyliśmy na dalsze poszukiwanie Tunelu Miłości. Miałem wrażenie, jakby cały park wstrzymał oddech.

- A więc Ares i Afrodyta - odezwałem się, żeby oderwać myśli od wzrastającej ciemności - mają się ku sobie?

- Odkrycie roku, Percy - odpowiedziała Annabeth. - Plotki krążą od trzech tysięcy lat.

- A co z mężem Afrodyty?

- Przecież wiesz. Hefajstos. Kowal. Kaleka od dziecka, zrzucony z Olimpu przez Zeusa. Nie jest zabójczo przystojny. Wielki talent w rękach, ale Afrodyta raczej nie zwraca uwagi na umysł i talenty, wiesz.

- Podobają się jej motocykliści.

- Daj spokój.

- Hefajstos wie o tym?

- Och, oczywiście - powiedziała Annabeth. - Nawet ich kiedyś przyłapał. Dosłownie, schwytał w złotą sieć, i zaprosił wszystkich bogów, żeby się z nich ponaśmiewali. Hefajstos zawsze usiłuje ich zawstydzić. Dlatego właśnie spotykają się potajemnie, w miejscach takich... - Urwała, spoglądając prosto przed siebie. - Jak to.

Przed sobą mieliśmy pusty basen, którym zachwyciliby się skejci: co najmniej pięćdziesiąt metrów średnicy i dno w kształcie czaszy.

Wokół jego brzegu stał z tuzin brązowych kupidynów z rozpostartymi skrzydłami i łukami w rękach. Naprzeciwko nas widać było wjazd do tunelu, do którego zapewne wpływała woda w czasach, kiedy park działał. Napis powyżej głosił, iż jest to „EKSCYTUJĄCA PRZEJAŚDŚKA MIŁOSNA - PEŁNA NOWOCZESNOŚĆ!”.

Grover podpełzł w kierunku krawędzi.

- Spójrzcie tutaj.

Na dnie basenu spoczywała różowo-biała łódka z dwoma siedzeniami i baldachimem oraz burtami wymalowanymi w serduszka. Na lewym siedzeniu, połyskując w blednącym świetle, leżała tarcza Aresa z polerowanego spiżu.

- Zbyt łatwo to wygląda - powiedziałem. - Mamy po prostu tam zejść i to zabrać?

Annabeth przebiegła palcami po bazie najbliższego z posągów Kupidyna.

- Tu jest wyryta grecka litera - powiedziała. - Eta. Zastanawiam się...

- Grover - przerwałem jej - wyczuwasz jakieś potwory? Powęszył pod wiatr.

-Nie.

- „Nie”, tak jak w St. Louis nie wyczuwałeś Echidny, czy naprawdę nie?

Grover zrobił urażoną minę.

- Mówiłem ci, że tam było podziemie.

- Okej, przepraszam. - Wzięłem głęboki oddech. - Schodzę na dół.

- Idę z tobą. - Grover nie wyglądał, jakby miał na to wielką ochotę, ale odniosłem wrażenie, że chce mi wynagrodzić to, co wydarzyło się w St. Louis.

- Nie - odparłem. - Zostań na górze z twoimi latającymi butami. Jesteś asem przestworzy, pamiętasz? Liczę na twoje wsparcie, na wypadek, gdyby coś poszło nie tak.

Grover z dumy aż się wyprostował.

- No, owszem. Ale co może pójść nie tak?

- Nie mam pojęcia. To tylko przecucie. Annabeth, chodź ze mną...

- Chyba zwariowałeś. - Spojrzała na mnie, jakbym spadł z księżyca, i zaczerwieniła się.

- Co znowu? - spytałem.

- Mam iść z tobą do czegoś, co się nazywa „Ekscytująca przejażdżka miłosna”? Umarłabym ze wstydu. A jak ktoś mnie zobaczy?

- A kto miałby cię zobaczyć? - Czułem jednak, że również się rumienię. Na dziewczyny można liczyć pod jednym względem: na pewno wszystko skomplikują. - Dobra - powiedziałem w końcu. - Sam to załatwię.

Ale kiedy ruszyłem w dół basenu, poszła za mną, wyrzekając półgłosem, że chłopaki zawsze namieszają.

Dotarliśmy do łódki. Tarcza opierała się o jedno siedzenie, a przez drugie przewieszona była jedwabna apaszka. Usiłowałem wyobrazić sobie Aresa i Afrodytę w tym miejscu, parę bogów na randce w rozsypującej się atrakcji nieczynnego parku rozrywki. Dlaczego tutaj? W tej samej chwili zauważyłem coś, czego nie dostrzegłem z góry: wokół ściany basenu umieszczono lustra. Wszędzie wokół widzieliśmy swoje

odbicia. O to musiało im chodzić. W swoich przytulankach Ares i Afrodyta byli ze wszystkich stron otoczeni przez ulubione postacie: samych siebie.

Podniosłem apaszkę. Połyskiwała perłowo, a perfumy, którymi pachniała, były nie do opisania - trochę róża, trochę dziki laur. W każdym razie bardzo ładny.

Uśmiechnąłem się nieco sennie i właśnie miałem przytulić policzek do jedwabiu, kiedy Annabeth wyrwała mi chustkę z ręki i wsadziła sobie do kieszeni.

- Nie, nie rób tego. Trzymaj się z dala od magii miłosnej. -Co?

- Bierz tarczę, Glonomóżdżku, i zmykajmy stąd.

Gdy tylko dotknąłem tarczy, wiedziałem, że mamy kłopoty. Moje palce przerwały coś, co łączyło tarczę z łódką. Z początku myślałem, że to pajęczyna, ale kiedy spojrzałem na nitkę, która została mi w dłoni, dostrzegłem, że to drut, tak cienki, że niemal niewidzialny. Drucik uruchamiał jakiś mechanizm.

- Zaczekaj! - powiedziała Annabeth.

- Za późno.

- Tu jest kolejna grecka litera, na burcie. Kolejna eta. To pułapka.

Wokół nas wybuchła kakofonia dźwięków, jakbyśmy wprawili w ruch milion mechanizmów - jakby cały basen zmieniał się w gigantyczną maszynę.

- Uwaga! - wrzasnął Grover.

Posągi kupidynów na krawędzi basenu napinały łuki. Zanim zdążyłem krzyknąć, żebyśmy się kryli, rzeźby wystrzeliły - ale nie w nas. Strzelały do samych siebie ponad powierzchnią basenu. Za strzałami ciągnęły się delikatne druciki, wyginając się nad basenem i kotwicząc w miejscu, gdzie upadły grotty, tak że uformowały wielką złotą gwiazdę. Potem między głównymi nićmi zaczęły się wic mniejsze metaliczne nitki, tworząc sieć.

- Musimy się stąd wydostać! - zawołałem.

- Co ty nie powiesz! - odkrzyknęła Annabeth. Chwyciłem tarczę i pognaliśmy, ale wspinaczka w górę basenu okazała się znacznie trudniejsza niż zejście w dół.

- Szybciej! - krzyknął Grover.

Usiłował utrzymać w sieci dziurę, przez którą moglibyśmy się przecisnąć, ale ilekroć dotykał drucików, złote nici oplatały jego ręce.

Głowy kupidynów otwały się. Wysunęły się z nich kamery wideo. Wokół basenu rozblęły oślepiającym światłem reflektory, a z megafonu popłynął głos:

- Za minutę rozpoczynamy transmisję na żywo na Olimp. Pięćdziesiąt dziewięć sekund, pięćdziesiąt osiem...

- Hefajstos! - jęknęła Annabeth. - Ale jestem głupia! Po grecku Hefajstos pisze się przez etę! Wykonał tę pułapkę, żeby przyłapać żonę z Aresem. A teraz wszyscy na Olimpie zobaczą nas w transmisji na żywo i wyjdziemy na kompletnych idiotów!

Dotarliśmy już prawie do krawędzi, kiedy lustra zaczęły się otwierać niczym kłapy, zza których wpełzały tysiące małych metalowych... cosiów. Annabeth zaczęła wrzeszczeć.

Była to armia nakręcanych stworzeń: ciała ze spiżu, długie nogi, małe szczypczyki, a wszystko to zmierzało ku nam falą brzęczącego i stukającego metalu.

- Pająki! - krzyczała Annabeth. - Pa .... aaaaa!

Nigdy jej nie widziałem w takim stanie. Zaczęła się cofać przerażona i fala pajęczych robocików porwałaby ją, gdybym jej nie chwycił i nie zaciągnął z powrotem do łódki.

Miliony mechanicznych stworzeń nadciągały ze wszystkich stron, zmierzając ku środkowi basenu, całkowicie nas otaczając. Powtarzałem sobie, że zapewne nie zostały zaprogramowane, żeby zabijać, pewnie mają za zadanie jedynie otoczyć nas, pogryźć i zrobić z nas idiotów. Ale z drugiej strony to była pułapka przeznaczona dla bogów. A my nie byliśmy bogami.

Wdrapaliśmy się z powrotem do łódki. Zabrałem się za zrzucanie oblażających mnie pajaków. Wrzeszczałem do Annabeth, żeby mi pomogła, ale była tak przerażona, że mogła tylko krzyczeć.

- Trzydzieści, dwadzieścia dziewięć... - mówił głośnik.

Pająki zaczęły wypluwać metalowe nitki, usiłując nas skrępować. Nici były bardzo słabe i łatwo się przerywały, ale wciąż nadciągające roboty produkowały ich nieskończoną ilość. Straciłem jednego z nogi Annabeth, a on wygryzł szczypcami dziurę w moim nowym klapku.

Grover unosił się nad basenem w latających tenisówkach, próbując unieść sieć, ale nie chciała się nawet wygiąć.

*Mysł* — powiedziałem sobie — *Mysł*.

Wjazd do Tunelu Miłości znajdował się poniżej sieci. Moglibyśmy go użyć jako drogi ewakuacyjnej, gdyby nie był zablokowany przez tysiące pajęczych robotów.

- Piętnaście, czternaście - odliczał głośnik.

Woda, pomyślałem. Skądś musiała się brać woda w tym tunelu.

I zobaczyłem skąd. Za lustrami były ukryte wielkie rury, z których wpełzały pająki. A ponad siecią, tuż obok jednego z kupidynów, znajdowała się szklana budka, z której zapewne obsługiwano tunel.

- Grover! - krzyknąłem. - Idź do tej budki! Znajdź przycisk „Włącz”!

- Ale...

- Szybko! - Była to szalona nadzieja, ale też nasza jedyna szansa. Pająki oblażyły już cały dziób łódki. Annabeth darła się jak opętana. Musiałem nas stamtąd wydostać.

Grover dostał się do budki i walił palcami w przyciski.

- Pięć, cztery...

Grover spojrział na mnie bezradnie, wznosząc ręce. Miało to oznaczać, że nacisnął wszystkie guziki, ale nadal nic się nie działo.

Zamknąłem oczy i pomyślałem o falach, o rwącej wodzie, o rzece Missisipi. Poczułem znajomy ucisk w żołądku. Usiłowałem sobie wyobrazić, że przeciągam cały ocean do Denver.

- Dwa, jeden, *zero*

Z rur trysnęła woda. Z hukiem zalała basen, wymiatając pająki. Pociągnąłem Annabeth na siedzenie koło mnie i zapiąłem jej pas dokładnie w chwili, gdy fala uderzyła w naszą łódkę, przelała się nad nią, zmiatając pająki i zalewając nas całkowicie, ale nie przewracając łódki, która obróciła się, uniosła na wodzie i zaczęła obracać w kółko w wirze wodnym.

Woda była pełna pajaków unieszkodliwionych przez zwarcie; niektóre uderzały w ścianę basenu z taką siłą, że wybuchały.

Światło reflektorów padało prosto na nas. Kupidokamery pracowały, przekazując wszystko na żywo na Olimp.

Jedyne, co mogłem zrobić, to skoncentrować się na opanowaniu łódki. Chciałem, żeby popłynęła z prądem, trzymając się z dala od ścian. Może to był tylko wybryk mojej wyobraźni, ale wydało mi się, że mnie posłuchała. A w każdym razie nie rozpadła się na kawałki. Obróciliśmy się jeszcze raz; poziom wody był teraz niemal tak wysoki, że mógł zgnieść nas o rozpościerającą się nad nami siatkę. Dziób łódki zwrócił się jednak w kierunku tunelu i pomknęliśmy w ciemność.

Oboje trzymaliśmy się mocno, wrzeszcząc, gdy tylko łódka zakręcała, ocierała się o ściany i spadała wzdłuż malunków przedstawiających Romea i Julię oraz mnóstwa walentynkowych obrazków.

W końcu znaleźliśmy się poza tunelem; nocne powietrze owiało nasze twarze, a łódka skierowała się ku wylotowi.

Gdyby park rozrywki był czynny, wypłynęlibyśmy na pochylnię w złotej Bramie Miłości i wylądowali bezpiecznie w drugim basenie. Pojawił się jednak pewien problem. Brama Miłości była zamknięta na łańcuch. O barykadę obijały się teraz dwie łódki, które woda wypchnęła z tunelu przed nami. Jedna z nich właśnie tonęła, druga pękła na pół.

- Odepnij pas! - krzyknąłem do Annabeth.

- Zwariowałaś?

- Chyba że chcesz się rozpląszyć na śmierć. - Przypiąłem sobie tarczę Aresa do ramienia. - Musimy wyskoczyć.

Mój pomysł był szalony. W momencie uderzenia mieliśmy posłużyć się łódką jak trampoliną do wybicia się ponad bramę. Słyszałem o ludziach, którzy przeżywali w ten sposób wypadki samochodowe, wyrzuceni na trzydzieści albo czterdzieści stóp za maskę. Przy pewnym szczęściu mieliśmy szansę wylądować w basenie.

Annabeth chyba zrozumiała, o co mi chodziło. Chwyła mnie za rękę, kiedy zbliżyliśmy się do bramy.

- Na mój znak - powiedziałem.

- Nie! Na mój! -Co?

- Fizyka! - krzyknęła. - Siła pomnożona przez sinus kąta trajektorii...

- Okej! - odkrzyknąłem. - Na *twój* znak! Czekala... czekała... po czym:

-Już! *Trzask!*

Miała rację. Gdybyśmy skoczyli wtedy, kiedy mnie się wydawało, że powinniśmy, rozbilibyśmy się o bramę. Wylczyła dokładnie, kiedy wybijemy się najwyżej.

Niestety było to trochę za wysoko. Łódka rozbiła się na pozostałych, a my wylecieliśmy w powietrze, prosto nad bramę, nad basen i w kierunku asfaltowej ścieżki.

Coś chwyciło mnie od tyłu.

- Au! - jęknęła Annabeth. Grover!

Chwył mnie w powietrzu za koszulkę, a Annabeth za rękę i szukał czegoś, co zamortyzowałoby lądowanie, ale byliśmy za bardzo rozpędzeni.

- Jesteście za ciężcy! - oznajmił Grover. - Spadamy! Opadaliśmy spiralą ku ziemi, a Grover robił, co mógł, żeby

spowolnić upadek.

Uderzyliśmy w tablicę do pamiątkowych fotografii: głowa Grovera utkwiała dokładnie w otworze, w którym niegdyś ustawiali się turyści, udając Rekina z Ferajny. Annabeth i ja potoczyliśmy się na ziemię, potłuczeni, ale żywi. Tarcza Aresa tkwiła nadal na moim ramieniu.

Kiedy złapaliśmy oddech, wyciągnąłem Grovera z tablicy i podziękowałem mu za uratowanie nam życia. Spojrzałem za siebie, na Ekscytującą Przejazdkę Miłosną. Woda opadała. Kawalki naszej łódki obijały się o bramę.

Sto metrów dalej, nad pierwszym basenem, kupidyny dalej filmowały. Posągi obróciły się, kierując kamery prosto na nas. Reflektory świeciły nam w oczy.

- Koniec przedstawienia! - krzyknąłem. - Dziękujemy! Dobranoc!

Kupidyny wróciły do swoich oryginalnych pozycji. Światła zgasły. Park znów pogrążył się w mroku i ciszy, jeśli nie liczyć cichego szmeru wody w drugim basenie Ekscytującej Przejazdki Miłosnej. Zastanawiałem się, czy na Olimpie jest teraz przerwa na reklamy i czy mieliśmy dużą oglądalność.

Nienawidzę, jak ktoś mi dokucza. Nienawidzę kawałów. I mam mnóstwo doświadczenia w dokopywaniu draniom, którzy mi to robią. Uniosłem tarczę na ramię i zwróciłem się do przyjaciół.

- Czas porozmawiać z Aresem.

## **ROZDZIAŁ XVI**

### **UWOLNIĆ ZEBRĘ**

Bóg wojny czekał na nas na parkingu przed barem.

- No, no - powiedział. - Nie daliście się pozabijać.

- Wiedziałeś, że to pułapka - oznajmiłem.

Ares uśmiechnął się do mnie łajdacko.

- Założę się, że ten pokurczony kowal nieźle się zdziwił, kiedy złapał w sieć głupie dzieciaki. Nieźle wypadliście na ekranie.

Rzuciłem mu tarczę.

- Ty draniu.

Annabeth i Grover wstrzymali oddech.

Ares chwycił tarczę i zakręcił nią w powietrzu jak ciastem do pizzy. Zmieniła się w kamizelkę kuloodporną. Zarzucił ją sobie na ramię.

- Widzicie tę ciężarówkę? - Wskazał na osiemnastokołowe monstrum zaparkowane po drugiej stronie ulicy. - To wasz transport. Zawiezie was prosto do Los Angeles z jednym przystankiem w Las Vegas.

Ciężarówka miała na boku wymalowany napis, który udało mi się odczytać tylko dlatego, że był w negatywie: białe litery na czarnym tle, dobra kombinacja dla dyslektyków. KRAINA ŁAGODNOŚCI Sp. z o.o. - PRZYJAZNY TRANSPORT ZWIERZĄT - UWAGA! ŚYWE DZIKIE ZWIERZĘTA.

- Chyba żartujesz - powiedziałem.

Ares pstryknął palcami. Tylne klapy ciężarówki uchyliły się.

- Darmowy transport na zachód, szczeniaku. Przestań narzekać. A tu drobna nagroda za wykonane zadanie.

Zdjął z kierownicy niewielki plastikowy plecak i rzucił nim we mnie.

W środku znalazłem czyste ubrania dla nas wszystkich, dwadzieścia dolców gotówką, sakiewkę pełną złotych drachm i paczkę ciasteczek przekładanych kremem.

- Nie chcemy twoich nędznych...

- Dziękujemy ci, Panie Aresie - przerwał mi Grover, rzucając najbardziej ostrzegawcze ze swoich spojrzeń. - Bardzo dziękujemy.

Zazgrzytałem zębami. Odmowa przyjęcia daru od boga była pewnie śmiertelną obrazą, ale nie miałem ochoty na nic, czego dotykał Ares. Z niechęcią zarzuciłem plecak na ramię. Wiedziałem, że to obecność boga wojny wywołuje mój gniew, ale mimo to ledwie się powstrzymałem od uderzenia go w twarz. Przypominał mi wszystkich najgorszych drani, z jakimi miałem do czynienia: Nancy Bobofit, Clarisse, Śmierdziela Gabe'a, wrednych nauczycieli... każdego kretyna, który nazywał mnie głupkiem w szkole i wyśmiewał się, kiedy mnie znów wyrzucano.

Spojrzałem za siebie, na bar. Siedziało tam teraz zaledwie kilku klientów. Kelnerka, która podawała nam wcześniej obiad, zerknęła nerwowo przez okno, jakby obawiała się, że Ares zrobi nam krzywdę. Wyciągnęła nawet z kuchni chłopaka od frytek, żeby się przyjrzał. Coś do niego powiedziała. Potaknął, wyciągnął mały jednorazowy aparat fotograficzny i strzelił nam fotkę.

Super, pomyślałem. Znow będziemy na pierwszych stronach gazet.

Wyobrażałem sobie nawet tytuły: DWUNASTOLETNI GANGSTER POBIŁ BEZBRONNEGO MOTOCYKLISTĘ.

- Jesteś mi coś jeszcze winny - zwróciłem się do Aresa, siląc się na obojętny ton. - Obiecałeś mi informacje o mojej mamie.

- Jesteś pewny, że przeżyjesz tę wiadomość? - Odpalił motocykl. - Ona nie umarła.

Miałem wrażenie, że ziemia zakręciła się pod moimi nogami.

- Co masz na myśli?

- To, że została odebrana Minotaurowi, zanim zdążyła zginąć. Zamieniła się w złotą mgłę, zgadza się? To się nazywa przemiana. A nie śmierć. Jest przetrzymywana.

- Przetrzymywana. Dlaczego?

- Poczytaj co nieco o wojnie, szczeniaku. Zakładnicy. Porywasz kogoś, żeby kontrolować kogoś innego.

- Nikt nie ma nade mną kontroli. Roześmiał się.

- Doprawdy? Rozejrzyj się, dziecko. Zacisnąłem pięści.

- Masz niezłe samopoczucie, Panie Aresie, jak na kogoś, kto ucieka przed posążkami kupidynów.

Za szklami okularów rozbłysł ogień. Poczułem podmuch gorącego wiatru na włosach.

- Jeszcze się spotkamy, Percy Jacksonie. Kiedy znów wdasz się w bójkę, uważaj na tyły.

Wycofał swojego harleya, po czym pomknął z hukiem silnika ulicą.

- To nie było zbyt mądre, Percy - powiedziała Annabeth.

- Nic mnie to nie obchodzi.

- Niedobrze jest mieć nieprzyjaciół wśród bogów. A zwłaszcza niedobrze zależeć za skórę temu konkretnemu.

- Ej, ludzie - odezwał się Grover. - Nie chcę wam przeszkadzać, ale...

Wskazał na bar. Ostatni klienci płacili właśnie przy kasie -dwaj mężczyźni w podobnych kombinezonach z białym logo na plecach. Takim samym jak na ciężarówce KRAINY ŁAGODNOŚCI Sp. z o. o.

- Jeśli mamy załapać się na zoostop - dodał Grover - to musimy się pospieszyć.

Nie podobał mi się ten pomysł, ale nie mieliśmy wyboru. A poza tym miałem już dość Denver.

Przebiegliśmy ulicę i wskoczyliśmy do ogromnej ciężarówki, zatrzasnąwszy za sobą klapę.

Pierwszą rzeczą, jaka mnie uderzyła, był smród. Jakbym się znalazł w gigantycznej kocie kuwecie.

W ciężarówce panowała ciemność, dopóki nie odetkałem Anaklymosa. Słaba poświata ukazała bardzo smutny widok. W rzędzie brudnych metalowych klatek siedziały najżałośniej-sze zwierzęta, jakie w życiu widziałem: zebra, lew albinos i jakaś dziwna antylopa nieznanego mi gatunku.

Ktoś rzucił lwu kilka bulw rzepy, której wielki kot najwyraźniej nie miał ochoty jeść. Zebra i antylopa dostały po plastikowej tacy z mielonym mięsem. W grzywę zebry wplątana była guma do żucia w wielkich ilościach, jakby ktoś obrał ją sobie za cel, kiedy mu się bardzo nudziło. Antylopa miała przywiązany do jednego z rogów idiotyczny urodzinowy balon z logo Królestwa Zabaw Dziecięcych.

Do lwa najwyraźniej nikt się nie zbliżał, żeby go drażnić, ale biedak spacerował po brudnych pledach, na zdecydowanie za małej dla siebie przestrzeni, dysząc ciężko w stęchłym upale panującym w naczepie. Wokół jego różowych oczu kręciły się muchy, a pod futrem widać było żebra.

- To ma być „Kraina Łagodności”? - wykrzyknął Grover. - Przyjazne warunki transportowe?!

Zapewne najchętniej pobiegłby do szoferki, żeby pobić koleśków w kombinezonach swoimi trzciniowymi puszczalkami, a ja zapewne bym mu w tym pomógł, ale w tym samym momencie ciężarówka ruszyła, przyczepa zaczęła podskakiwać, a my mieliśmy do wyboru: sięść albo upaść na podłogę.

Skuliliśmy się w kącie na zapleśniałych workach z karmą, usiłując nie zwracać uwagi na smród i muchy. Grover zaczął rozmawiać ze zwierzętami, becząc po koziemu, ale one tylko spoglądały na niego smutnymi oczami. Annabeth głosowała za natychmiastowym otwarciem klatek i uwolnieniem zwierzątek, ale zdołałem ją przekonać, że to zły pomysł, dopóki jedziemy. A poza tym miałem wrażenie, że dla lwa będziemy znacznie atrakcyjniejszym posiłkiem niż rzepa.

Znalazłem kanister z wodą i napełniłem ich miski, a następnie z pomocą Anaklymosa poprzesuwałem tace z jedzeniem do właściwych klatek, dając mięso lwu, a rzepę zebrze i antylopie.

Grover uspokoił antylopę na tyle, żeby Annabeth mogła podejść do niej z nożem i uwolnić jej róg od balona. Chciała też powycinać gumy do żucia z grzywy zebry, ale uznaliśmy, że byłoby to zbyt ryzykowne, dopóki byliśmy w ruchu. Kazaliśmy Groverowi przekazać zwierzętom, że rano znów im pomożemy, po czym ułożyliśmy się do snu.

Grover zwinął się na worku z rzepą, Annabeth zaś otworzyła paczkę ciasteczek i zaczęła je chrupać bez entuzjazmu. Ja usiłowałem poprawić sobie humor myślą o tym, że jesteśmy w połowie drogi do Los Angeles. W połowie drogi do celu. A był dopiero czternasty czerwca. Przesilenie będzie dwudziestego pierwszego. Mieliśmy mnóstwo czasu.

Z drugiej jednak strony nie miałem pojęcia, czego się spodziewać w najbliższej przyszłości. Bogowie nie przestawali się mną bawić. Hefajstos przynajmniej potrafił być uczciwy - zamontował kamery i zapowiedział program rozrywkowy. Ale nawet i bez świateł reflektorów miałem wrażenie, że jestem cały czas obserwowany. Bogowie mieli ze mnie niezły ubaw.

- Hej - odezwała się Annabeth. - Przepraszam za tę histerię w parku, Percy.

- Spoko.

- Wiesz... - wzdrygnęła się. - Pająki.

- Chodzi ci o tę historię z Arachne? - domyśliłem się. - Przemienioną w pajaka, bo ośmieliła się wyzwąć twoją mamę na pojedynek tkacki, tak?

Potaknęła.

- Dzieci Arachne mszczą się od tej pory na dzieciach Ateny. Jeśli w odległości półtora kilometra ode mnie znajduje się jakiś pająk, to z pewnością mnie znajdzie. Nienawidzę tego pełzającego paskudztwa. Mam u ciebie dług.

- Jesteśmy drużyną, pamiętasz? - odpowiedziałem. - A poza tym, gdyby nie latający Grover...

Myślałem, że satyr śpi, ale usłyszałem jego pomruk z kąta.

- Byłem niesamowity, nie? Roześmialiśmy się oboje.

Annabeth przełamała ciasteczko i podała mi połówkę.

- W tej tęczowej rozmowie... Luke naprawdę nic ci nie powiedział?

Pogryzałem ciasteczko i zastanawiałem się nad odpowiedzią. Tamta konwersacja nie dawała mi spokoju przez całe popołudnie.

- Powiedział, że znacie się od dawna. I że Grover tym razem da sobie radę. I że nikt się nie zamieni w sosnę.

W nędznym świetle rzucanym przez spiżowe ostrze trudno było odczytać ich miny. Grover wydał smętny ryk.

- Powinienem być od razu powiedzieć ci prawdę. - Głos mu drżał. - Ale myślałem, że gdybyś wiedział, jaką jestem łajzą, nie chciałbyś mnie w swojej drużynie.

- Więc to ty usiłowałeś ocalić Thalię, córkę Zeusa. Pokiwał ponuro głową.

- A ta dwójka innych dzieci półkrwi, z którymi zaprzyjaźniła się Thalia, ci, którzy bezpiecznie dotarli do obozu... - Spojrzałem na Annabeth. - To byliście ty i Luke, zgadza się?

Odłożyła nienapoczęte ciastko.

- Jak słusznie zauważyłeś, Percy, siedmioletni dzieciak nie poradziłby sobie długo. Atena mnie poprowadziła. Thalia miała dwanaście lat, Luke czternaście. Oboje uciekli z domów, jak ja. Ucieszyli się, jak mnie znaleźli. Oni... fantastycznie walczyli z potworami, mimo że nigdy wcześniej nie ćwiczyli. Przez jakieś dwa tygodnie wędrowaliśmy z Wirginii na północ, nie mając żadnego planu, broniąc się przed potworami, kiedy znalazł nas Grover.

- Miałem przyprowadzić Thalię do obozu - powiedział satyr, pociągając nosem. - Tylko Thalię. Chejron wydał mi jasny rozkaz: mam nie robić nic, co mogłoby przeszkodzić w ocaleniu jej. Wiedzieliśmy, że Hades na nią poluje, ale wiesz, nie mogłem po prostu zostawić Luke'a i Annabeth samym sobie. Pomyślałem... wydawało mi się, że dam radę zająć się nimi wszystkimi i przyprowadzić bezpiecznie do obozu. To przeze mnie Łaskawe nas dopadły. Zgłupiałem.

Przeraziłem się w drodze do obozu i skręciłem w niewłaściwą drogę. Gdybyśmy tylko biegli nieco szybciej...

- Przestań - przerwała mu Annabeth. - Nikt cię o nic nie obwinia. Thalia też nie miała do ciebie pretensji.

- Poświęciła się, żeby nas wszystkich uratować - odparł żałośnie Grover. - To ja jestem winny jej śmierci. Tak powiedziała Rada Kopytnych.

- Dlatego, że nie chciałeś porzucić dwójki innych dzieci półkrwi? - spytałem. - To niesprawiedliwe.

- Percy ma rację - dodała Annabeth. - Nie byłoby mnie tu dziś, gdyby nie ty, Grover. A Luke'a nie byłoby w obozie. Nie obchodzą nas wyroki Rady.

Grover pochlipywał dalej w kącie.

- Taki los. Jestem największą łajzą wśród satyrów, a to ja znalazłem dwójkę najpotężniejszych herosów w tym stuleciu, Thalię i Percy'ego.

- Nie jesteś łajzą - upierała się Annabeth. - Masz więcej odwagi niż jakikolwiek inny satyr, jakiego znam. Pokaż mi jakiegoś, który zgłosiłby się na wyprawę do Podziemia. Założę się, że Percy naprawdę się cieszy, że z nami jesteś.

Kopnęła mnie w łydkę.

- Jasne - powiedziałbym to i bez dodatkowych bodźców. - To nie przypadek, że znalazłeś i Thalię, i mnie, Grover. Masz większe serce niż wszyscy satyrowie razem wzięci. Jesteś urodzonym poszukiwaczem. Dlatego to ty odnajdziesz Pana.

Usłyszałem głębokie, pełne zadowolenia westchnienie. Czekałem, że Grover coś powie, ale słychać było tylko jego uspokojony oddech. Kiedy zmienił się w chrapanie, uświadomiłem sobie, że mój kopytny kumpel zasnął.

- Jak on to robi? - spytałem ze zdumieniem.

- Nie mam pojęcia - przyznała Annabeth. - Ale to, co mu powiedziałeś, było naprawdę miłe.

- Ja naprawdę tak myślę.

Jechaliśmy przez jakiś czas w milczeniu, podskakując na workach z karmą. Zebra przeżuwała rżepę. Lew obliżał pysk z resztek mielonego mięsa i rzucił mi pełne nadziei spojrzenie.

Annabeth obracała w palcach paciorki swojego naszyjnika, co oznaczało, że jest pogrążona w zawiłych strategicznych rozmyślaniach.

- Ten paciorek z obrazkiem sosny - powiedziałem. - To z twojego pierwszego roku?

Spojrzała na trzymany przedmiot. Nie zdawała sobie sprawy, że się nim bawiła.

- Tak - powiedziała. - Zawsze w sierpniu grupowi wybierają najważniejsze wydarzenie lata i malują go na rocznych paciorkach. Ja mam sosnę Thalii, płonąca grecką trierę, centaury w sukience... no *to* było dziwaczne lato...

- A ten pierścień jest od twojego taty?

- Nie twój inte... - Urwała. - Tak. Od taty.

- Nie musisz nic więcej mówić.

- Nie... w porządku. - Odetchnęła głęboko. - Ojciec przysłał mi go w liście dwa lata temu. Ten pierścień był jego główną pamiątką po Atenie. Bez jej pomocy nie dałby sobie rady na studiach doktoranckich na Harvardzie... To długa opowieść. W każdym razie napisał, że chce, żebym ja go miała. Przeprosił, że był takim palantem, napisał, że mnie kocha i za mną tęskni. Chciał, żebym wróciła do domu i zamieszkała z nim.

- Brzmi zachęcająco.

- Owszem... Wiesz, problem w tym, że mu uwierzyłam. Tamtego lata spróbowałam wrócić do domu, ale macocha wcale się nie zmieniła. Nie chciała narażać swoich dzieci na kontakt z dziwolągiem. Zaatakowały nas potwory. Pokłóciliśmy się. Nie wytrzymałam nawet do przerwy semestralnej. Zadzwoiłam do Chejrona i wróciłam do Obozu Herosów.

- Myślisz, że jeszcze kiedyś spróbujesz zamieszkać z tatą? Odwróciła wzrok.

- Daj spokój, nie jestem masochistką.

- Nie powinnaś się poddawać - powiedziałem jej. - Powinnaś do niego napisać albo coś w tym rodzaju.

- Dzięki za radę - odparła chłodno - ale mój ojciec już zdecydował, z kim chce mieszkać.

Kolejne kilka kilometrów przejechaliśmy w ciszy.

- Jak bogowie będą ze sobą walczyć - odezwał się w końcu - to wszyscy będą musieli opowiedzieć się po jednej ze stron, jak w wojnie trojańskiej, prawda? Znaczą Atena przeciwko Posejdonowi?

Oparła głowę o plecaczek, który dostaliśmy od Aresa, i zamknęła oczy.

- Nie wiem, co zrobi moja mama. Wiem, że ja będę walczyć u twojego boku.

- Dlaczego?

- Bo jesteś moim kumplem, Glonomóźdzku. Jeszcze jakieś głupie pytania?

Nie byłem w stanie wymyślić rozsądnej odpowiedzi. Na szczęście nie musiałem. Annabeth zasnęła.

Ja miałem z tym kłopoty, ponieważ Grover chrapał, a lew albinos wpatrywał się we mnie głodnym wzrokiem, ale w końcu zamknąłem oczy.

Koszmar zaczął się od sceny, która śniła mi się już milion razy: miałem rozwiązywać test szkolny w kaftanie bezpieczeństwa. Wszyscy inni już pokończyli, ale nauczyciel powtarzał w kółko: *Weź się w garść, Percy. Nie jesteś przecież głupi, prawda? Gdzie twój ołówek?*

Potem jednak we śnie nastąpiła odmiana od tego, do czego przywykłem.

Spojrzałem na sąsiednią ławkę i zobaczyłem dziewczynkę, siedzącą podobnie jak ja w kaftanie bezpieczeństwa. Była w moim wieku, miała niesforne włosy obcięte trochę na punka, ciemnozielone oczy podkreślone grubą czarną kreską i piegi na nosie. Nie wiem skąd, ale wiedziałem, kto to jest. To była Thalia, córka Zeusa.

Walczyła ze swoim kaftanem bezpieczeństwa, posyłając mi rozpaczliwe spojrzenia.

- *Ruszaj się, Glonomóżdżku! Jedno z nas musi się stąd wydostać!* - rzuciła w końcu w moją stronę.

Ona ma rację, pomyślało moje senne ja. Wracam do tej pieczary. Muszę wreszcie powiedzieć Hadesowi, co o nim myślę.

Kaftan spłynął z moich ramion. Upadłem na podłogę klasy i przeleciałem przez nią. Głos nauczyciela przybrał zimny, złowrogi ton, odbijający się echem w głębokiej otchłani.

- *Percy Jackson* - powiedział. - *Tak, on powinien się nadać.* Znalazłem się na powrót w ciemnej grocie, a wokół mnie

krażyły duchy zmarłych. Niewidoczny w mroku otchłani potworny właściciel tego głosu przemówił, ale tym razem nie zwracał się do mnie. Otepiająca moc jego głosu najwyraźniej była skierowana na kogoś innego. - *nic nie podejrzewa?* - zapytał.

Inny głos, który niemal rozpoznałem, odezwał się tuż nad moim ramieniem.

- *Nie, panie. Nie wie nic, podobnie jak pozostali.* Spojrzałem za siebie, ale nikogo tam nie było. Ten, kto to

mówił, pozostawał niewidzialny.

- *Finta w fincie* - powiedział tamten z otchłani w zamyśleniu. - *Doskonale.*

- *Zaprawdę, mój panie* - odrzekł ten głos, rozlegający się zaraz koło mnie - *śluszenie nazywają cię Przebiegłym. Ale czy to było konieczne? Mogłem ci sam przynieść to, co ukradłem...*

- *Ty?* - straszliwy głos brzmiał szyderstwem. - *Ty już pokazałeś, na ile cię stać. Przegrałbyś z kretesem, gdybym się nie wtrącił.*

- *Ależ, panie...*

- *Spokojnie, mały sługo. Ostatnie pół roku było bardzo korzystne. Gniew Zeusa wzmaga się. Posejdon zagrał swój ostatni atut. A teraz użyjemy go przeciwko niemu. Wkrótce dostaniesz nagrodę, której pragniesz, a zemsta będzie twoja, jak tylko oba przedmioty znajdą się w moich rękach... Ejże... On jest tutaj.*

- *Co?* - W głosie niewidocznego sługi słychać było napięcie. - *Wezwałś go, mój panie?*

- *Nie.* - Potwór skierował teraz na mnie całą uwagę, nie pozwalając mi nawet się ruszyć. - *Przekłeta krew jego ojca... On też jest zmienny, nieprzewidywalny. Chłopak sam się tu dostał.*

- *To niemożliwe!* - zawołał sługa.

- *Może dla takiego słabeusza jak ty* - warknął tamten, po czym jego zimna moc zwróciła się znów ku mnie. - *A więc... chcesz śnić o swoim zadaniu, młody herosie? Jestem do twoich usług.*

Sceneria się zmieniła.

Stałem w wielkiej sali tronowej o ścianach z czarnego marmuru i posadzce ze spiżu. Straszliwy pusty tron wykonany był z połączonych ludzkich kości. U stóp podwyższenia stała moja mama, zamrożona w migoczącym złotym świetle, z wyciągniętymi wciąż rękami.

Usiłowałem podejść do niej, ale nie byłem w stanie poruszyć nogami. Wyciągnąłem do niej ręce i ujrzałem, że opada z nich ciało i zmieniają się w kość. Otoczyły mnie wyszczerzone szkielety w greckich zbrojach i narzuciły mi na ramiona jedwabną szatę, a na głowę nałożyły śmierdzący jadem Chimery laur, który wżerał się w moją czaszkę.

Usłyszałem złowrogi śmiech znanego mi głosu.

- *Oddajcie cześć zwycięskiemu bohaterowi!*

Obudziłem się z krzykiem.

Grover potrząsał mnie za ramię.

- *Ciężarówka stanęła* - powiedział. - *Myślimy, że przyjdą tu sprawdzić, co ze zwierzętami.*

- *Kryć się!* - syknęła Annabeth.

Jej było łatwo. Nałożyła tę swoją magiczną czapeczkę i znikła. Grover i ja musieliśmy zanurkować za worki z karmą i udawać rzepę.

Kłapa naczepy uchyliła się. Do środka wpadło światło słoneczne i południowy żar.

- *Rany!* - powiedział jeden z kierowców, machając ręką przed brzydkim nochalem. - *Dlaczego ja nie wożę elektroniki?*

Wgramolił się do środka i nalał nieco wody z kanistra do misek zwierząt.

- Gorąco ci, chłopie? - spytał lwa i spryskał mu pysk resztką wody.

Lew zaryczał, urażony.

- Tak, tak, jasne - mruknął mężczyzna.

Poczułem, że tuż koło mnie, pod workiem z rzepą, Grover zastyga w napięciu. Mój kumpel, pokojowo nastawiony rośli-nożerca, wyglądał tak, jakby miał zaraz kogoś zamordować.

Kierowca rzucił antylopie pogniecioną torbę z baru. Następnie uśmiechnął się złośliwie do zebry.

- Co tam, stonka? Przynajmniej *ciebie* się pozbędziemy na tym przystanku. Lubisz występy magików? Ten pokochasz. Będą cię przecinać na pół!

Zebra, prawie oszalała ze strachu, spojrzała mi prosto w oczy. Bezgłośnie, ale bardzo wyraźnie, odezwała się w mojej głowie:

- *Uwolnij mnie, panie. Proszę.*

Byłem zbyt zaskoczony, żeby zareagować.

Z boku ciężarówki rozległo się głośnie *puk, puk, puk.*

- Czego chcesz, Eddie? - wydarł się kierowca, który wszedł do środka.

- Co mówiłeś, Maurice? - rozległ się na zewnątrz drugi głos, pewnie Eddiego.

- Czemu pukasz? *Puk, puk, puk.*

- Ja pukam? - wrzasnął Eddie na zewnątrz.

Maurice, ten w środku, przewrócił oczami i wyszedł na zewnątrz, przeklinając tępotę Eddiego.

Sekundę później koło mnie pojawiła się Annabeth. To pewnie ona stukała w naczepę, żeby wywabić Maurice'a z ciężarówki.

- Założę się, że ten transport jest nielegalny - oznajmiła.

- Aha - powiedział Grover. Umiłkł na chwilę, jakby nasłuchiwał. - Lew mówi, że ci goście przemycają zwierzęta!

*To prawda,* odezwała się zebra w moim umyśle.

- Musimy je uwolnić! - zawołał Grover, po czym oboje z Annabeth spojrzeli na mnie, jakbym to ja był dowódcą.

Słyszałem myśli zebry, ale nie lwa. Dlaczego? Może to kolejne zaburzenie poznawcze - rozumiem tylko zebry? Ale potem przyszło mi coś do głowy: konie. Annabeth

wspominała, że to Posejdon stworzył konie. Czy zebra jest wystarczająco bliskim krewniakiem konia? Czy dlatego ją słyszę?

- *Otwórz moją klatkę, panie* - odezwała się zebra. - *Proszę. Dalej już sobie poradzę.*

Na zewnątrz Eddie i Maurice wciąż się na siebie wydzielali, ale wiedziałem, że lada moment wrócą do udreńczonych zwierząt. Chwyciłem Orkana i uderzyłem w kłódkę.

Zebra wyskoczyła na zewnątrz. Odwróciła się do mnie i skłoniła głowę.

- *Dziękuję ci, panie.*

Grover wznosił obie ręce i wybeczał do zebry coś, co zabrzmiało jak błogosławieństwo.

W chwili, gdy Maurice wsadził z powrotem głowę do środka przyczepy, żeby sprawdzić, co to za hałasy z niej dobiegają, zebra przeskoczyła nad nim i wypadła na ulicę. Rozległy się krzyki i wrzaski, trąbienie klaksonów. Rzuciliśmy się do klapy w samą porę, żeby zobaczyć zwierzę galopujące po szerokim bulwarze otoczonym hotelami, kasynami i neonami. Właśnie wypuściliśmy zebkę w Las Vegas.

Maurice i Eddie rzucili się za nią w pościg, a za nimi popędziło kilku policjantów, wykrzykując coś o pozwoleniach.

- Chyba powinniśmy się zmywać - powiedziała Annabeth.

- Najpierw pozostałe zwierzęta - oznajmił Grover. Przeciąłem kłódkę mieczem. Grover uniósł ręce i wypowiedział to samo koźle błogosławieństwo, którego udzielił zebce.

- Powodzenia - zwróciłem się do zwierzątek. Antylopa i lew wyskoczyli z klatek i zgodnie pognali ulicą.

Rozległy się krzyki turystów, ale większość ludzi tylko cofała się i strzelała fotki, myśląc zapewne, że to przedstawienie zaaranżowane przez któreś z kasyn.

- Czy zwierzętom nic się nie stanie? - spytałem Grovera. - Wiesz, pustynia i w ogóle...

- Nie martw się - odrzekł. - Nałożyłem na nie opiekę satyra.

- Czyli?

- Czyli że dotrą bez przeszkód w dzikie okolice - wyjaśnił. - Znajdą wodę, pożywienie, cień czy co tam będą potrzebowały, dopóki nie będą bezpieczne.

- Czemu nie możesz nałożyć takiego zaklęcia na nas? - spytałem.

- Bo działa wyłącznie na dzikie zwierzęta.

- Więc tylko na Perc/ego by działało - dokończyła Annabeth.

- Ej! - zaprotestowałem.

- śartowałam - odpowiedziała. - Chodźmy. Wyośmy się z tej brudnej ciężarówki.

Wyszliśmy na popołudniowy skwar pustyni. Było z czterdzieści stopni, a my musieliśmy wyglądać jak ugotowani włóczędzy, ale ludzie dookoła byli na tyle pochłonięci pojawieniem się dzikich zwierząt, że nikt nie zwrócił na nas uwagi.

Minęliśmy Monte Carlo i MGM. Minęliśmy piramidy, statek piracki i Statuę Wolności, która wzbudziła we mnie tęsknotę za domem, mimo że była kopią raczej miernych rozmiarów.

Nie byłem pewny, czego właściwie szukaliśmy. Może po prostu miejsca, gdzie moglibyśmy przez chwilę odetchnąć od upału, zjeść kanapkę i wypić colę, a następnie opracować nowy plan przedostania się na zachód.

Musieliśmy skręcić w niewłaściwą ulicę, bo znaleźliśmy się w ślepym zaułku, pod bramą kasyna i hotelu Lotos. Nad wejściem znajdował się wielki neonowy kwiat, którego płatki migały światłem. Nikt nie wchodził do środka ani nie wychodził, ale lśniące metalowe drzwi były otwarte, a z holu wypływało schłodzone klimatyzacją powietrze, pachnące kwiatami - być może lotosu. Nigdy ich nie wahałem, więc nie miałem pojęcia.

Odzwierny uśmiechnął się do nas.

- Witajcie, młodzi ludzie. Wyglądacie na zmęczonych. Chcecie wejść i usiąść?

Ostatnie tygodnie nauczyły mnie podejrzliwości. Uważałem, że każdy może się okazać potworem lub bogiem. Po prostu nigdy z tym nie wiadomo. Ale ten gość był zwyczajny. Wystarczyło jedno spojrzenie, żeby mieć pewność. A poza tym poczułem taką ulgę na sam dźwięk współczującego głosu, że przytaknąłem i powiedziałem, że bardzo chętnie wejdziemy. Gdy znaleźliśmy się w środku, rozejrzeliśmy się, a Grover wydał okrzyk zachwyty.

Cały hol zajmowały urządzenia do gier. I nie mam na myśli obciachowego Pac-Mana czy starych automatów. Był tam tunel wodny wijący się w szklanym szybie, wznoszącym się na wysokość co najmniej czterdziestu pięter. Po jednej stronie holu urządzono ścianę wspinaczkową i most do skoków na bungee. Zobaczyłem kabiny z wirtualną rzeczywistością i prawdziwymi pistoletami laserowymi. Nie mówiąc już o setkach gier wideo, każda na wielkim panoramicznym monitorze. W zasadzie, czego by się nie wymyśliło, było tutaj. Kilkoro dzieciaków grało, ale nie jakieś tłumy. Nie trzeba było czekać w kolejce. Na dodatek mnóstwo barów z uwijającymi się kelnerkami oferowało pełną gamę przekąsek.

- Witam! - zawołał recepcjonista. W każdym razie podejrzewałem, że to recepcjonista. Miał na sobie szorty i klapki oraz biało-żółtą hawajską koszulę wymalowaną w lotosy. - Witam w kasynie Lotos. Oto klucz do waszego pokoju.

- Ekhem, my... - wyjąkałem.

- Ależ nie ma problemu - odpowiedział, śmiejąc się. - Rachunek uregulowany. Śładnych opłat dodatkowych, żadnych napiwków. Możecie od razu udać się na najwyższe piętro, pokój 400i. Gdybyście czegoś potrzebowali, na przykład więcej bąbelków w jacuzzi albo rzutków, albo dowolnej innej rzeczy, wystarczy zadzwonić do recepcji. Oto wasze karty Lotos—Kredyt. Akceptowane w restauracjach, na wszystkich grach i przyrządach.

Podał każdemu z nas zieloną kartę kredytową. Czułem, że musiała zająć jakaś pomyłka. Ewidentnie wziął nas za dzieci jakiegoś milionera. Wziąłem jednak kartę do ręki.

- Ile tu jest kredytu? - zapytałem. Zmarszczył brwi.

- Co masz na myśli?

- No... ile możemy wydać? Roześmiał się.

- Chyba żartujesz. Nie przejmuj się. Miłej zabawy. Wsiedliśmy do windy, wyjechaliśmy na górę i obejrzelśmy

pokój. Był to apartament z trzema sypialniami oraz barkiem pełnym cukierków, napojów gazowanych i chipsów. Na stolyczku telefon łączący z recepcją. Miękkie ręczniki i łóżka wodne z puchowymi poduszkami. Ogromny telewizor z dekoderm satelitarnym i szybkie łącze internetowe. Na tarasie znajdowało się jacuzzi oraz jako żywo stanowisko do rzutków wraz ze sztucerem, tak że można było postrzelać sobie do glinianych gołębi na tle panoramy Las Vegas. Nie wiedziałem, jak coś takiego może być legalne, ale było całkiem fajne. Widok na miasto i pustynię był oszałamiający, ale wątpilem, czy kontemplowanie krajobrazu będzie naszym głównym zajęciem.

- Och, bogowie - powiedziała Annabeth. - To miejsce jest...

- Cudowne - dokończył Grover. - Absolutnie cudowne. W szafie znalazłem pasujące na mnie ubrania. Zmarszczyłem brwi, bo wydało się to cokolwiek dziwne.

Wrzuciłem plecaczek Aresa do kosza na śmieci. Nie będzie nam już potrzebny. Kiedy będziemy wyjeżdżać, mogę po prostu kupić nowy w sklepie hotelowym.

Wziąłem prysznic, czując się pod nim bosko po tygodniu podróży bez kąpieli. Zmieniłem ubranie, zjadłem paczkę chrupek, wypilem trzy cole i poczułem się tak dobrze, jak nie czułem się od długiego czasu. Gdzieś z samego dna mojego umysłu coś do mnie wołało. Jakiś drobiazg. Miałem jakiś sen czy coś... Powinienem o nim porozmawiać z kumplami. Ale to mogło zaczekać.

Wyszedłem z sypialni i okazało się, że Annabeth i Grover również wykąpalili się i przebrali. Grover opychał się chipsami, a Annabeth wpatrywała się w kanał National Geographic.

- Mamy tyle programów - powiedziałem do niej - a ty wybierasz National Geographic. Zwariowałaś?

- To jest ciekawe.

- Ale mi dobrze - odezwał się Grover. - Cudownie tu jest. Nawet się nie zorientował, kiedy jego tenisówki wypuściły

skrzydła, uniosły go nad ziemię, po czym postawiły z powrotem na podłodze.

- Co teraz? - spytała Annabeth. - Idziemy spać? Spojrzeliśmy po sobie z Groverem, uśmiechając się szeroko.

Obaj wyjęliśmy z kieszeni zielone plastikowe karty Lotosu.

- Czas na zabawę - oznajmiłem.

Nie pamiętałem, kiedy ostatnio tak dobrze się bawiłem. Pochodziłem z niezbyt zamożnej rodziny. Szastanie pieniędzmi oznaczało wyjście do Burger Kinga i wypożyczenie DVD. Ale pięciogwiazdkowy hotel w Vegas? Marzenie ściętej głowy.

Skoczyłem jakieś pięć albo sześć razy na bungee w holu, zjechałem tunelem wodnym, pojeździłem na desce po sztucznym śniegu i zabawiłem się w wirtualnej rzeczywistości w snajpera FBI. Widziałem, jak Grover biega od gry do gry. Najbardziej spodobało mu się odwrócone polowanie, gdzie jest się jeleniem strzelającym do myśliwych. Annabeth grała w Milionerów i inne gry dla mózgowców. Była tam też wielka trójwymiarowa symulacja budowy miasta, gdzie można było zobaczyć hologramy budynków rosnące na desce kreślarskiej. Mnie to nieszczególnie bawiło, ale Annabeth wciągnęło bez reszty.

Nie jestem pewny, kiedy po raz pierwszy uświadomiłem sobie, że coś tu nie gra.

Zapewne wtedy, gdy zobaczyłem tego chłopaka stojącego obok mnie w kabinie ze snajperami. W pierwszej chwili pomyślałem, że jego tatuś jest jednym z tych, co udają Elvisa. Miał na sobie dzwony i czerwoną koszulkę z czarną lamówką, a na włosach tyle lakieru i żelu, ile dziewczyny z New Jersey na balu maturalnym.

Graliśmy razem w snajperów i nagle on się do mnie odezwał.

- Ale bombowo, chłopie. Jestem tu od dwóch tygodni, a te gry stają się coraz lepsze.

*Bombowo?*

Później, kiedy znów zaczęliśmy rozmowę, powiedziałem, że coś mnie „osłabia”, a on spojrzał na mnie ze zdziwieniem, jakby nigdy nie słyszał tego słowa użytego w takim znaczeniu.

Powiedział mi, że ma na imię Darrin, ale kiedy tylko zacząłem go wypytywać dalej, znudził się mną i wrócił do ekranu komputera.

- Ej, Darrin - zaczepiłem go znowu.

-Co?

- Który jest rok?

Popatrzył na mnie, marszcząc czoło.

- W grze?

- Nie. W realu.

Musiał przez chwilę pomyśleć. -1977.

- Ale nie - odpowiedziałem, czując lekki strach. - Serio pytam.

- Ej, chłopie, psujesz nastrój. Nie widzisz, że gram? Po tych słowach przestał w ogóle mnie dostrzegać. Usiłowałem porozmawiać z innymi, ale nie było to łatwe.

Byli jak przyklejeni do ekranów telewizyjnych, gier wideo albo jedzenia - albo czegokolwiek innego. Z jednego chłopaka udało mi się wyciągnąć, że jest rok 1985. Inny uznał, że 1993. Wszyscy zgodnie twierdzili, że są w kasynie od niedawna, może od kilku dni, najwyżej tygodni. Nie mieli pojęcia i nie obchodziło ich to.

Nagle przez głowę przebiegła mi pewna myśl: od jak dawna ja tam byłem? Miałem wrażenie, że zaledwie od kilku godzin, ale czy tak było naprawdę?

Usiłowałem sobie przypomnieć, skąd właściwie wzięliśmy się w tym hotelu. Jechaliśmy do Los Angeles. Mieliśmy znaleźć wejście do Podziemia. Moja mama... Przez jedną straszliwą sekundę nie mogłem sobie przypomnieć jej imienia. Sally. Sally Jackson. Muszę ją znaleźć. Muszę powstrzymać Hadesa przed wywołaniem trzeciej wojny światowej.

Annabeth wciąż budowała swoje miasto.

- Chodź - powiedziałem jej. - Musimy się stąd wydostać. Brak odpowiedzi.

Potrząsnąłem nią.

- Annabeth!

Podniosła poirytowany wzrok.

- Co?

- Musimy uciekać.

- Uciekać? O czym ty mówisz? Właśnie wybudowałam wieże...

- To jest pułapka.

Nie odpowiedziała, dopóki znów nią nie potrząsnąłem. -Co?

- Słuchaj. Podziemie. Zadanie.

- Och, daj spokój, Percy. Daj mi jeszcze kilka minut.

- Annabeth, tu są ludzie z 1977. Dzieci, które nie dorastają. Meldujesz się i zostajesz na zawsze.

-I co? - spytała. - Wyobrażasz sobie fajniejsze miejsce? Chwyciłem ją za rękę i odciągnąłem siłą od gry.

- Ej! - Krzyczała i kopała, ale nikt się nami nie przejmował. Wszyscy byli zbyt zajęci.

Zmusiłem ją do spojrzenia mi w oczy.

- Pająki - powiedziałem. - Wielkie, kosmate pająki.

To nią wstrząsnęło. W jej oczach znów zobaczyłem blask.

- Bogowie... - jęknęła. - Jak długo my tu...

- Nie mam pojęcia, ale musimy odnaleźć Grovera. Ruszyliśmy na poszukiwanie i znaleźliśmy go wciąż przy

Wirtualnym Łowcy Jeleni.

- Grover! - krzyknęliśmy chórem.

- Giń, człowieku! - odpowiedział nam Grover. - Giń, głupi brudasio, paskudna istoto!

- Grover!

Zwrócił w moim kierunku plastikową strzelbę i zaczął naciskać spust, jakbym był kolejną postacią na monitorze.

Rzuciłem Annabeth porozumiewawcze spojrzenie, po czym razem chwyciliśmy Grovera pod ramiona i odciągnęliśmy od gry. Latające buty ożywiły się i zaczęły ciągnąć go w przeciwną stronę za każdą nogę.

- Nie! - wrzeszczał satyr. - Właśnie przeszedłem poziom! Nie!

Recepcjonista pospieszył ku nam. -I jak, gotowi na platynowe karty?

- Wyjeżdżamy - oznajmiłem.

- Co za szkoda - odpowiedział i poczułem, że on mówi to szczerze i że złamiemy mu serce, odchodząc. - Właśnie otwieramy nowe piętro z gramami dla posiadaczy platynowych kart.

Wyciągnął rękę z kawałkami plastiku, a ja poczułem, że bardzo pragnę przyjąć ten prezent. Wiedziałem jednak, że jeśli wezmę kartę do ręki, to pozostanę tutaj, bezgranicznie szczęśliwy, grając bez ustanku w gry, i wkrótce zapomnę o mojej mamie, o zadaniu, a może nawet przestanę pamiętać, jak się nazywam. Przez całą wieczność będę grał w wirtualnych snajperów z bombowym Darrinem.

Grover sięgnął po kartę, ale Annabeth szybko pociągnęła go za rękę.

- Dziękujemy - odpowiedziała.

Skierowaliśmy się ku drzwiom, a im bardziej się zbliżaliśmy do wyjścia, tym bardziej kuszące wydawały się odgłosy gier i zapach jedzenia. Przypomni mi się nasz pokój na górze. Mogliśmy zostać na noc, wypaść się wreszcie w prawdziwym łóżku...

Wypadliśmy przez drzwi kasyna Lotos i popędziliśmy chodnikiem. Było popołudnie, mniej więcej ta sama godzina, o której weszliśmy do środka, ale coś mi nie pasowało. Pogoda się zmieniała. Zbierało się na burzę, nad pustynią szalały błyskawice.

Przez ramię miałem przewieszony plecaczek od Aresa, co było dziwne, ponieważ pamiętałem, jak go wrzucam do kosza na śmieci w pokoju 400i, ale chwilowo miałem ważniejsze rzeczy na głowie.

Podbiegłem do najbliższego kiosku i najpierw znalazłem rok. Bogom niech będą dzięki, że był ten sam co wtedy, kiedy wchodziliśmy do hotelu. Potem oczom moim ukazała się data: dwudziesty czerwca.

Spędziliśmy pięć dni w kasynie Lotos.

Został nam tylko jeden dzień do letniego przesilenia. Jeden dzień, by wykonać zadanie.

## **ROZDZIAŁ XVII KUPUJEMY**

### **ŁÓSKO WODNE**

To był pomysł Annabeth.

Żałowała nas do taksówki w Vegas, tak jakbyśmy mieli pieniądze, i oznajmiła taksówkarzowi:

- Los Angeles, proszę.

Taksiarz zlustrował nas wzrokiem, nie wyjmując cygara z ust.

- To jest prawie pięćset kilometrów. Za taki kurs biorę z góry.

- Akceptuje pan karty debetowe z kasyn? - spytała Annabeth.

Wzruszył ramionami.

- Niektóre. Tak samo jak kredytowe. Muszą przejść autoryzację.

Annabeth podała mu zieloną kartę Lotosu.

Zmierzył ją podejrzliwym wzrokiem.

- Niech pan sprawdzi - ponagliła Annabeth.

Sprawdził.

Terminal zaczął stukotać. Zapaliły się światełka. W końcu obok znaku dolara pojawił się symbol nieskończoności.

Cygaro wypadło z ust taksówkarza. Spojrzał na nas szeroko otwartymi ze zdumienia oczami.

- Gdzie konkretnie w Los Angeles... yyy, księżniczko?

- Molo w Santa Monica. - Annabeth wyprostowała się na siedzeniu. Mogłem się założyć, że spodobał jej się tytuł, jakim zwrócił się do niej taksówkarz. - Proszę zawieźć nas tam jak najszybciej i nie trzeba reszty.

Może nie trzeba mu było tego mówić.

Strzałka szybkościomierza taksówki nie spadła ani razu poniżej stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę przez całą pustynię Mojave.

Po drodze mieliśmy mnóstwo czasu na rozmowy. Opowiedziałem Annabeth i Groverowi mój ostatni sen, ale im bardziej starałem się przypomnieć sobie szczegóły, tym bardziej mi one umykały. Kasyno Lotos najwyraźniej poplątało mi coś w pamięci. Nie byłem sobie w stanie przypomnieć, jak brzmiał głos tego niewidzialnego sługi, choć byłem pewny, że już go kiedyś słyszałem. Sługa nazwał potwora w otchłani jakoś inaczej niż „panem”... jakimś specjalnym imieniem albo tytułem...

- Milczący? - odpowiedziała Annabeth. - Pan Bogactw? To wszystko przydomki Hadesa.

- Może... - odparłem, choć żadne z tych określeń nie brzmiało właściwie.

- Ta sala tronowa to chyba Hadesa - powiedział Grover. - Tak ją zazwyczaj opisują.

Pokręciłem przecząco głową.

- Coś tam było nie w porządku. Sala tronowa niezupełnie była częścią snu. A ten głos z otchłani... Nie wiem. On nie brzmiał jak głos boga.

Annabeth otworzyła szeroko oczy.

- O co chodzi? - spytałem.

- Och, nic. Po prostu... Nie, to *musiał być* Hades. Może wysłał tego złodzieja, tego niewidzialnego kolesia, żeby przyniósł mu piorun, i coś poszło nie tak, jak planował...

- Co na przykład?

- Nie wiem... - odpowiedziała. - Ale jeśli on ukradł symbol władzy Zeusa z Olimpu, a bogowie ruszyli za nim w pogoń, to mnóstwo rzeczy mogło pójść nie tak. Złodziej musiał więc ukryć piorun albo go gdzieś zgubił. W każdym razie nie zdołał przynieść go Hadesowi. To właśnie powiedział ten głos w twoim śnie, zgadza się? Facet zawałił. To by wyjaśniało, czego szukały Erynie, kiedy napadły nas w autobusie. Może myślały, że to my mamy piorun.

Nie miałem pojęcia, co się stało z Annabeth. Była blada jak płótno.

- Ale przecież, gdybym miał piorun - powiedziałem - to nie potrzebowałbym podróżować do Podziemia.

- Mógłbyś chcieć zastraszyć Hadesa - podsunął Grover. - Przekupić go albo zaszantażować, żeby oddał ci mamę.

Gwizdnąłem.

- Masz brzydkie myśli jak na kozła.

- Dzięki.

- Ale to coś w otchłani powiedziało, że czeka na *dwa* przedmioty - powiedziałem. - Skoro jednym jest piorun piorunów, to co jest drugim?

Grover pokręcił głową, najwyraźniej zakłopotany. Annabeth tak na mnie patrzyła, jakby spodziewała się następnego pytania i milcząco błagała, żebym go nie zadawał.

- Ty podejrzewasz, co może siedzieć w tej otchłani, prawda? - zapytałem. - Znaczy się, że to nie jest Hades.

- Percy... nie rozmawiajmy o tym. Bo jeśli to nie jest Hades... Nie. To musi być Hades.

Za oknami samochodu przemykał pustynny krajobraz. Minęliśmy znak drogowy informujący, że za dwadzieścia kilometrów znajdziemy się w Kalifornii.

Miałem wrażenie, że brakuje mi jednej, małej, ale najważniejszej informacji. Czuję się tak, jak kiedy wpatruję się w pospolite słówko, które powinienem znać, ale nie jestem w stanie go odczytać, ponieważ jedna albo dwie litery pływają. Im dłużej myślałem o moim zadaniu, tym bardziej przeczuwałem, że nie chodzi tu o

konfrontację z Hadesem. Tu działo się coś innego, coś znacznie bardziej niebezpiecznego.

Problem polegał na tym, że pędziliśmy ku Podziemnej Krainie z prędkością stu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę z założeniem, że to Hades ma piorun piorunów. Jeśli tam przyjedziemy po to, żeby się przekonać, że to nieprawda, nie będzie czasu na plan B. Nadejdzie przesilenie i rozpęta się wojna.

- Odpowiedź leży w Podziemiu - zapewniła mnie Annabeth. - Widziałeś duchy umarłych, Percy. One mogą być tylko w jednym miejscu. Jedziemy w dobrym kierunku.

Usiłowała podreperować nasze morale, wymyślając sprytne strategie dostania się do Krainy Umarłych, ale nie byłem w stanie się w to włączyć. Dostrzegałem zbyt wiele niewiadomych. Czułem się tak, jakbym wkuwał do klasówki z przedmiotu, o którym nie miałem bladego pojęcia. A *to* zdarzało mi się naprawdę wiele razy.

Taksówka pędziła na zachód. Podmuchy wiatru w Dolinie Śmierci brzmiały jak szepty umarłych. Ilekroć zaś słyszałem świst hamulców mijającej nas wielkiej ciężarówki, przypominał mi się syczący głos Echidna.

O zachodzie słońca wysiedliśmy na plaży w Santa Monica. Wyglądała dokładnie tak, jak kalifornijskie plaże na filmach, ale pachniała zdecydowanie gorzej. Na moło kręciły się karuzele, palmy ocieniały bulwary, na piasku spali bezdomni, a surferzy wypatrywali odpowiedniej fali.

Zeszliśmy wszyscy na sam brzeg.

- I co teraz? - spytała Annabeth.

Annabeth promieniach zachodzącego słońca Pacyfik przybierał złotawą barwę. Pomyślałem o tym, ile czasu minęło, od kiedy spałem na plaży w Montauk, po drugiej stronie kraju, spoglądając na inny ocean.

Jak może istnieć bóg, który sprawuje władzę nad tym wszystkim? Co słyszałem na lekcjach geografii? Dwie trzecie powierzchni ziemi pokrywa woda? Jak miałbym być synem kogoś tak potężnego?

Wszedłem do wody.

- Percy? - odezwała się Annabeth. - Co ty robisz?

Szedłem przed siebie, aż zanurzyłem się po pas, a potem po szyję.

- Wiesz, jaka ta woda jest brudna? - zawołała za mną. - Jest w niej mnóstwo toksycznych...

Zanurzyłem się z głową.

Z początku wstrzymałem oddech. Ciężko jest z własnej woli zachłysnąć się wodą. W końcu jednak nie mogłem dłużej wytrzymać. Wciągnąłem powietrze. Oczywiście, oddychałem bez problemu.

Szedłem dalej po mieliźnie. Nie powinienem nic widzieć w półmroku, ale jakoś wiedziałem, gdzie co jest. Wyczuwałem pod stopami pofałdowania dna. Rozpoznawałem kolonie jeżowców, jeżowców nawet dostrzegałem krzyżujące się prądy ciepłej i zimnej wody.

Poczułem, że coś ociera mi się o nogę. Spojrzałem w dół i omal nie wyskoczyłem z wody jak pocisk. Obok mnie pływał długi na półtora metra rekin.

Nie miał jednak wrogich zamiarów, po prostu się łąsił. Jak pies. Ostrożnie dotknąłem jego płetwy grzbietowej. Poruszył nią, jakby podpowiadał, żebym chwycił mocniej. Ująłem płetwę w obie ręce. Rekin ruszył, ciągnąc mnie za sobą, kierując się w dół, w mrok. Postawił mnie na brzegu właściwego oceanu, w miejscu, gdzie mieliżna opada szelfem ku dnu. Czułem się tak, jakbym stał na krawędzi Wielkiego Kanionu o północy, niewiele widząc, ale zdając sobie doskonale sprawę z tego, że przede mną otwiera się przepaść.

Powierzchnia wody lśniła jakieś pięćdziesiąt metrów nad moją głową. Wiem, że ciśnienie powinno było mnie zgnieść. A przede wszystkim nie powinienem móc oddychać. Zastanawiałem się, czy mógłbym zejść na dowolną głębokość, spłynąć na samo najgłębsze dno Pacyfiku.

Nagle zobaczyłem jakiś rozbłysk w ciemności. Światelko rosło i jaśniało coraz mocniej. Rozległ się kobiecy głos, podobny do mojej mamy, wołający mnie po imieniu:

- Percy Jacksonie!

Kiedy się przybliżyła, zobaczyłem lepiej jej postać. Miała długie czarne włosy i suknię z zielonego jedwabiu. Roztaczała wokół siebie poświatę, a niewyobrażalne piękno jej oczu przykuło moją uwagę do tego stopnia, że ledwie dostrzegłem wielkiego morskiego ogiera, którego dosiadała.

Zeskoczyła z jego grzbietu i morski koń wraz z rekinem odpłynęli nie o na bok i zaczęli się bawić w coś, co przypominało berka. Podwodna kobieta uśmiechnęła się do mnie.

- Daleko zaszedłeś, Percy Jacksonie. Doskonale.

Nie miałem pojęcia, jak powinienem na to zareagować, więc ukloniłem się.

- To ty przemawiałaś do mnie w Missisipi?

- Tak, dziecko. Jestem nereidą, nimfą morską. Niełatwo było mi się pojawić tak daleko od morza, ale najady, moje słodkowodne kuzynki, pomogły mi utrzymać się przy życiu. Czczą one Pana Posejdona, choć nie należą do jego dworu.

- A ty... jesteś z dworu Posejdona?

Potaknęła.

- Minęło wiele lat, od kiedy urodziło się ostatnie dziecko Pana Mórz. Obserwowaliśmy cię z wielkim zainteresowaniem.

Nagle przypomniały mi się twarze, które widywałem w dzieciństwie wśród fal na plaży w Montauk - wspomnienie uśmiechniętych kobiet. Nie przywiązywałem wówczas do tego wagi, podobnie jak do wielu innych dziwacznych zdarzeń w moim życiu.

- Skoro mój ojciec tak się mną interesuje - powiedziałem - to czemu nie ma go tutaj? Dlaczego ze mną nie porozmawia?

Poczułem zimny prąd wzbierający w głębi oceanu.

- Nie sądź pochopnie Pana Mórz - odparła nerida. - Znalazł się na krawędzi niechcianej wojny. Ma mnóstwo obowiązków. Poza tym nie wolno mu wspierać cię bezpośrednio. Bogowie nie powinni faworyzować śmiertelników.

- Nawet własnych dzieci?

- Zwłaszcza własnych dzieci. Bogom wolno działać tylko przez pośredników. Dlatego to ja przekażę ci ostrzeżenie i dar.

Wyciągnęła rękę. W jej dłoni rozblęły trzy białe perły.

- Wiem, że wędrujesz do królestwa Hadesa - powiedziała. - Niewielu śmiertelników dokonało tego i przeżyło. Orfeusz dzięki swoim talentom muzycznym, Herakles

dzięki fizycznej sile, Houdini, bo potrafił wymknąć się nawet z głębi Tartaru. Czy ty posiadasz ich talenty?

- Yyy... nie, proszę pani.

- Ach. Za to masz coś innego, Percy. Masz dary, które dopiero zaczynasz poznawać. Wyrocznie widzą dla ciebie wielką i straszliwą przyszłość, jeśli tylko zdołasz dożyć wieku dorosłego. Posejdon nie chciałby, żebyś zginął przedwcześnie. Dlatego przyjmij te perły, a kiedy będziesz w potrzebie, rozgnieć je stopą.

- Co się wtedy stanie?

- To - odpowiedziała - zależy od potrzeby. Ale pamiętaj: to, co należy do morza, zawsze do morza powraca.

- A co z tym ostrzeżeniem?

Zielone iskierki rozbłysły w jej oczach.

- Idź tam, gdzie prowadzi cię serce, inaczej utracisz wszystko. Hades karmi się wątpliwościami i bezradnością. Będzie się starał cię oszukać, sprawić, byś stracił ufność we własny osąd. Kiedy znajdziesz się w jego królestwie, nie wypuści cię z własnej woli. Miej wiarę. Powodzenia, Percy Jacksonie.

Wezwała swojego morskiego konia i skierowała go ku otchłani wód.

- Zaczekaj! - krzyknąłem. - W rzece powiedziałaś mi, że nie powinienem ufać darom. Jakim darom?

- Do widzenia, młody bohaterze! - zawołała w odpowiedzi. - Słuchaj głosu swego serca.

Zmieniła się w jaśniejącą zieloną iskierkę, po czym znikła.

Chciałem pobiec z nią w ten mrok. Chciałem zobaczyć dwór Posejdona. Spojrzałem jednak na słońce chylące się ku powierzchni wody. Moi przyjaciele czekali na mnie. Zostało nam tak niewiele czasu...

Odbiłem się od dna ku powierzchni.

Kiedy wyszedłem na plażę, moje ubranie wyschło natychmiast. Opowiedziałem Groverowi i Annabeth o spotkaniu z nereidą i pokazałem im perły.

Annabeth skrzywiła się.

- Każdy dar ma swoją cenę.

- Dostałem je za darmo.

- Nie. - Pokręciła głową. - Nic nie jest za darmo. To stare greckie porzekadło, które doskonale przekłada się na nasze czasy. Będziesz musiał zapłacić cenę. Zobacysz.

W tym optymistycznym nastroju odwróciliśmy się plecami do morza.

Dzięki paru drobniakom z plecaczka Aresa mogliśmy wsiąść w autobus do zachodniego Hollywood. Pokazałem kierowcy adres Podziemia na karteczce zabranej z Centrum Krasnali Ogrodowych Cioci Em, ale nigdy nie słyszał o Studiu Nagraniowym REQUIEM.

- Czy ja cię, mały, nie widziałem w telewizorze? - spytał. - Grałeś w jakimś filmie?

- Raczej... dublowałem... kilku dziecięcych aktorów.

- Plecaczka, no to wyjaśnia sprawę.

Podziękowaliśmy i wysiedliśmy na następnym przystanku.

Wlekliśmy się przez wiele kilometrów piechotą, rozglądając się w poszukiwaniu REQUIEM. Nikt nie wiedział, gdzie takie studio miałyby się mieścić. Nie było go w książce telefonicznej.

Dwa razy musieliśmy dawać nura w boczne uliczki, żeby nie wpaść na radiowozy.

Zamarłem przed wystawą sklepu z elektroniką, ponieważ w telewizji leciał właśnie wywiad z kimś, kogo twarz wyglądała aż zanadto znajomo: z moim ojczymem, Śmierdzielem Gabem. Rozmawiał z popularną dziennikarką, jakby był kimś niezwykle ważnym. A ona robiła z nim wywiad w naszym mieszkaniu, w środku partyjki pokera. Na dodatek koło Gabe'a siedziała jakaś blond, głaszcząc go po ręce.

Na jego policzku zaśniła udana łza.

- Prawdę mówiąc, pani Walters - mówił - gdyby nie Andżelika, mój doradca od żałoby, byłbym kompletnym wrakiem. Pasierb zabrał mi wszystko, co było dla mnie drogie. śonę... samochód... Przepraszam. Nie potrafię o tym mówić.

- Spójrz, Ameryko - Barbara Walters zwróciła się do kamery. - Oto człowiek pogrążony w rozpacz. Oto nastolatek z poważnymi problemami. Pokażmy raz jeszcze ostatnie zdjęcie nieletniego uciekiniera, zrobione tydzień temu w Denver.

Na ekranie pojawiło się fatalnej jakości zdjęcie, na którym staliśmy wszyscy troje - Annabeth, Grover i ja - rozmawiając z Aressem przed barem Colorado.

- Kim są pozostałe dzieci na tym zdjęciu? - zapytała dramatycznym tonem Barbara Walters. - Kim jest towarzyszący im mężczyzna? Czy Percy Jackson to przestępca, terrorysta, czy też może ofiara prania mózgu w jakiejś nowej, przerażającej sekcji? Po przerwie na reklamy porozmawiamy na ten temat z wybitnym specjalistą od psychologii dziecięcej. Zostańcie z nami.

- Chodź - powiedział do mnie Grover. Odciągnął mnie od wystawy, zanim zdążyłem wybić szybę.

Robiło się ciemno i na ulice wychyły nieciekawe typki. Nie zrozumcie mnie źle. Mieszkam w Nowym Jorku. Niełatwo mnie przestraszyć. Ale Los Angeles jest całkiem inne niż Nowy Jork. U nas wszystko jest blisko. Nieważne, że miasto jest ogromne, chodzi o to, że tam da się wszędzie dostać, nie gubiąc się. Układ ulic i metra jest sensowny. Istnieje jakiś system. Nawet dziecko jest bezpieczne, o ile nie zrobi czegoś głupiego.

Los Angeles jest zupełnie inne. Rozpostarte na ogromnej przestrzeni, chaotyczne, trudno się w nim poruszać. Przypomina mi Aresa. Temu miastu nie wystarcza, że jest wielkie - musi jeszcze to udowadniać, zachowując się głośno, dziwacznie i niezrozumiale. Nie miałem pojęcia, jak mamy znaleźć zejście do Podziemia przed jutrzejszym letnim przesileniem.

Przechodziliśmy obok młodocianych gangsterów, narkomanów i alfonsów, którzy przyglądali nam się, kalkulując, czy warto nas zaczepiać.

Kiedy pospiesznie mijaliśmy wejście do kolejnego zaułka, usłyszałem dobiegający z ciemności głos.

" Ej, ty.

Zatrzymałem się jak jakiś głupi.

Zanim się zorientowałem, otoczyła nas banda wyrostków. Było ich sześciu - wszyscy biali, w drogich ciuchach i z wrednymi gębami. Zupełnie jak niektórzy z Yancy: bogate dzieciaki udające gangsterów.

Instynktownie dobyłem Orkana.

Kiedy miecz pojawił się nagle znikąd, tamci cofnęli się, ale ich przywódca musiał być naprawdę głupi, albo naprawdę odważny, ponieważ nadal nacierał na mnie z nożem sprężynowym w ręce.

Popełniłem ten błąd, że zamachnąłem się mieczem.

Chłopak krzyknął. Musiał jednak być stuprocentowym śmiertelnikiem, ponieważ ostrze przeszło przez jego pierś, nie robiąc mu najmniejszej krzywdy. Spojrzał w dół.

- Co u...

Uznałem, że mamy jakieś trzy sekundy, zanim jego szok zmieni się we wściekłość.

- Uciekamy! - wrzasnąłem do Annabeth i Grovera.

Odepchnęliśmy dwójkę innych chłopaków i pognaliśmy ulicą, nie mając pojęcia, dokąd się kierujemy. Skręciliśmy za róg.

- Tam! - krzyknęła Annabeth.

Tylko jeden sklep był jeszcze otwarty, a nad jego wystawą świecił neon, na którym było napisane coś w rodzaju SLONA ŚOLEK WYNDPOCH P. KERKUCZ.

- Salon Łóżek Wodnych P. Kruczek? - przetłumaczył Grover.

Do podobnego przybytku mógłbym wstąpić tylko w skrajnych okolicznościach. Nasze były bardzo skrajne.

Wpadliśmy przez drzwi, obiegliśmy jedno z łóżek wodnych i schowaliśmy się za nim. Ułamek sekundy później banda przebiegła przed sklepem.

- Chyba udało nam się ich zgubić - wydyszał Grover.

- Zgubić kogo? - rozległ się za nami dudniący głos.

Podskoczyliśmy wszyscy.

Za nami stał facet. Wyglądał jak tyranozaur w sportowym garniturze. Miał chyba ze dwa metry wzrostu i zero włosów, a poza tym szarą i grubą skórę, oczy okolone ciężkimi powiekami i zimny, gadzi uśmiech. *Zbliżał* się do nas powoli, ale odniosłem wrażenie, że gdyby tylko chciał, byłby szybki jak błyskawica.

Jego garnitur wyglądał, jakby pochodził z kasyna Lotos. Lata siedemdziesiąte, bez dwóch zdań. Do tego miał prążkowaną jedwabną koszulę, rozpiętą do połowy pozbawionej owłosienia klaty. Klapy aksamitnej marynarki były szerokości pasów startowych. Startowych srebrne łańcuchy na jego szyi... Nawet nie próbowałbym ich policzyć.

- Prot Kruczek - przedstawił się, ukazując w uśmiechu żółte zęby.

„Może i Kruczek. P jak Prawny”, miałem na końcu języka.

- Przepraszamy za najście - odpowiedziałem. - My tylko się... no, rozglądamy.

- Masz na myśli ukrywanie się przez tamtym hultajstwem? - mruknął. - Włóż się tu co noc. Napędzają mi klientów. Klientów więc poszukujecie łóżka wodnego?

Miałem już odpowiedzieć *Nie, dziękuję*, kiedy poczułem na swoim ramieniu ciężar potężnej łapy, a następnie zostałem pokierowany w głąb sklepu.

Były tam łóżka wodne, jakie tylko można sobie wyobrazić - wszelkie rodzaje drewna, najróżniejsze wzory materaców, łóżka pojedyncze, podwójne, a nawet wielkie jak dla wieloryba.

- Ten model sprzedaje się najlepiej. - Pan Kruczek wskazał z dumą łóżko z czarną, satynową tapicerką i lampami lawowymi wbudowanymi w zagłówek. Materac wibrował i trząsł się jak ogromna wiśniowa galaretka.

- Masaż milionem rąk - oznajmił pan Kruczek. - Śmiało, wypróbujcie. Ba, możecie nawet się przespać, co mi tam. Dziś już i tak zamykam.

- Yyy - powiedziałem - obawiam się, że...

- Masaż milionem rąk! - wykrzyknął Grover i rzucił się na łóżko - Ludzie! Ale super!

- Hmm - powiedział pan Kruczek, gładząc się po podbródku. - Prawie, prawie.

- Prawie co? - spytałem.

Przeniósł wzrok na Annabeth.

- Zrób to dla mnie, kochana, i wypróbuj tamto w kącie. Powinno być w sam raz.

- Ale... - zaczęła Annabeth.

Poklepał ją zachęcająco po ramieniu i poprowadził do modelu Safari Deluxe z obiciem w lamparcie cętki i ramą zdobioną rzeźbionymi w drewnie tekowym lwami. Annabeth nie chciała się położyć, więc pan Kruczek popchnął ją lekko.

- Ej! - zaprotestowała.

Kruczek pstryknął palcami.

- *Er go!*

Z boków łóżka wyskoczyły sznury, owinęły się wokół Annabeth i przygwoździły ją do materaca.

Grover usiłował się podnieść, ale jego czarne łoże również wypuściło pęta i przytrzymało go w miejscu.

- N-n-nies-s-sup-p-p-per! - wrzasnął w rytm masażu milionem rąk. - N-n-nies-s-sup-p-p-per!

Olbrzym obrzucił Annabeth spojrzeniem, po czym zwrócił się do mnie z uśmiechem.

- Prawie, a niech to.

Usiłowałem się cofnąć, ale szybkim ruchem ręki chwycił mnie za kark.

- Hej, chłopcze. Nie ma się co martwić. Znajdziemy ci zaraz posłanie.

- Niech pan puści moich kumpli.

- Ależ oczywiście. Ale najpierw muszę ich dopasować.

- To znaczy co?

- Wszystkie łóżka mają metr osiemdziesiąt długości, rozumiesz? Twój kumpel są nieco za niski. Muszę ich dopasować.

Annabeth i Grover nie przestawali się szarpać.

- Nie znoszę niedoskonałych wymiarów - mruknął Kruczek. - *Ergo!*

Z zagłówek i nóg łóżek wysunęły się kolejne sznury, owijając się tym razem wokół kostek i ramion Annabeth i Grovera. Po czym zaczęły ich ciągnąć w obie strony.

- Nie martw się - powiedział do mnie Kruczek. - To tylko małe ćwiczenia rozciągające. Jakies dodatkowe dziesięć centymetrów w kręgosłupie. Mają nawet szansę to przeżyć. A teraz poszukajmy odpowiedniego łóżka dla ciebie, co?

- Percy! - wrzasnął Grover.

Myśli gnały w mojej głowie jak oszalałe. Wiedziałem, że w pojedynkę nie mam szans przeciwko temu sprzedawcy łóżek. Złamię mi kark, zanim *zdażę* choćby dobrać miecza.

- Pan się wcale nie nazywa Prot Kruczek, prawda? - spytałem.

- Mam na imię Prokrustes - przyznał.

- Naciągacz - powiedziałem. Przypomniała mi się ta opowieść: olbrzym, który nadmiarem gościnności usiłował zabić Tezeusza w drodze do Aten.

- No - potaknął sprzedawca. - Ale kto by zwracał się do mnie per „panie Prokrustesie”? To byłoby zabójcze dla interesów. A Prot... Prot Kruczek - każdy to bez trudu zapamięta.

- To prawda. Doskonale brzmi.

Zaświeciły mu się oczy.

- Naprawdę tak uważasz?

- Bezwzględnie - odparłem. - A wykonanie tych łóżek... Rewelacja!

Uśmiechnął się od ucha do ucha, ale nie zwolnił uścisku na moim karku.

- To właśnie powtarzam moim klientom. Zawsze im to mówię. Ale nikt nie zwraca uwagi na wykonanie. Ile łóżek z wbudowanymi lampami lawowymi widziałeś w swoim życiu?

- Niewiele.

- Właśnie!

- Percy! - zawyła Annabeth. - Co ty wyprawiasz?

- Proszę się nią nie przejmować - powiedziałem Prokrustesowi. - Jest nie do wytrzymania.

Olbrzym się roześmiał.

- Wszyscy moi klienci są tacy. Śaden nie ma dokładnie metra osiemdziesięciu. Co za nierozwaga. A potem narzekają na dopasowanie.

- A co, jeśli mają ponad metr osiemdziesiąt?

- Och, to się często zdarza. Ale takich łatwiej dopasować.

Puścił mój kark, ale zanim zdążyłem cokolwiek zrobić, sięgnął za ladę i wyciągnął ogromny brązowy topór o dwóch ostrzach.

- Wystarczy odpowiednio wyśrodkować klienta i obciąć wszystko, co wystaje po obu stronach.

- Aha - powiedziałem, przełykając głośno ślinę. - Bardzo pomysłowe.

- Co za szczęście, że wreszcie trafiłem na rozsądnego klienta!

Sznury rozciągały teraz moich przyjaciół na poważnie. Annabeth była blada jak płótno. Grover gulgotał jak wściekły indyk.

- A więc, panie Procie... - powiedziałem, usiłując brzmieć obojętnie. Spojrzałem na metkę przy modelu Miodowy Miesiąc w kształcie walentynkowego serduszka. - Ono naprawdę jest zaopatrzone w dynamiczny stabilizator ruchu fal?

- Bezwzględnie. Wypróbuj.

- Może się zdecyduję. Ale czy to działa również w przypadku takiego olbrzyma jak pan? śadnego kołysania?

- Ręczę za to głową.

- Niemożliwe.

- Możliwe.

- Chciałbym zobaczyć.

Ochoczo przysiadł na materacu, klepiąc go ręką.

- śadnego kołysania, widzisz?

Pstryknąłem palcami.

- *Ergo!*

Sznury chwyciły Prota Kruczka i przewróciły go na łóżko.

- Ej! - wrzasnął.

- Wyśrodkować - powiedziałem.

Sznury ułożyły się odpowiednio na mój rozkaz. W górze łóżka wystawała cała głowa, a na dole całe stopy Kruczka.

- Nie! - krzyknął. - Zaczekaj! To była tylko demonstracja!

Odetkałem Orkana.

- To tylko drobne poprawki...

Nie miałem cienia skrupułów. Zresztą, gdyby Kruczek był człowiekiem, nie zdołałbym zrobić mu krzywdy. A jeśli był potworem, to zasłużył na to, żeby rozpaść się w proch na jakiś czas.

- Ostro się targujesz - powiedział. - Dam ci trzydzieści procent zniżki na wybrany model!

- Zacznę chyba od góry. - Uniosłem miecz.

- Niski kredyt! Zero procent przez pół roku!

Zamachnąłem się. Prot Kruczek nie zaoferował mi już żadnych więcej rabatów.

Przeciąłem sznury na pozostałych łózkach. Annabeth i Grover skoczyli na nogi, jęcząc, krzywiąc się i klnąc na mnie ile wlezie.

- Ale was wyciągnęło! - powiedziałem.

- Bardzo zabawne - odparła Annabeth. - Następnym razem mógłbyś się pospieszyć.

Zerknąłem na tablicę za ladą Kruczka. Była tam reklama Ekspresu Hermesa i „Potworamy Firm” - Zaktualizowanego Spisu Potworów w Los Angeles. A poniżej wielka, jaskrawopomarańczowa ulotka Studia Nagrań REQUIEM z ofertą specjalną za dusze herosów: „Poszukujemy nowych talentów!”.

Adres REQUIEM znajdował się pod mapką.

- Idziemy - oznajmiłem przyjaciółom.

- Daj nam chwilę - jęknął Grover. - On nas porozciągał prawie na śmierć!

- W takim razie jesteście gotowi na wyprawę do Podziemia - powiedziałem. - To raptem dwie ulice stąd.

## **ROZDZIAŁ XVIII**

### **ANNABETH TRESUJE PSA**

Staliśmy w mroku okrywającym Valencia Boulevard, wpatrując się w złote litery wryte w czarnym marmurze nad naszymi głowami: STUDIO NAGRANIOWE REQUIEM.

Poniżej, na szklanych drzwiach, napisano: AKWIZYTOROM, BEZDOMNYM I ŚYWYM WSTĘP WZBRONIONY.

Była już prawie północ, ale w holu było jasno i kręciło się tam mnóstwo ludzi. Za biurkiem siedział potężnie zbudowany ochroniarz w ciemnych okularach i ze słuchawką w uchu.

Odwrociłem się do moich kumpli.

- Okej. Pamiętacie plan?

- Plan - Grover westchnął teatralnie. - Taaa. Kocham ten plan.

- A co, jeśli nie wypali? - spytała Annabeth.

- Myśl pozytywnie.

- Super - powiedziała - wkraczamy właśnie do Krainy Umarłych, a ja mam myśleć pozytywnie.

Wyjąłem z kieszeni perły, trzy mleczne kulki, które dostałem w Santa Monica od nereidy. Nie wyglądały na jakieś specjalne wsparcie w razie kłopotów.

Annabeth położyła mi dłoń na ramieniu.

- Przepraszam, Percy. Masz rację, damy radę. Wszystko będzie dobrze.

Dała Groverowi kuksańca.

- Och, jasne! - potaknął. - Dotarliśmy aż tutaj. Znajdziemy piorun piorunów i uratujemy twoją mamę. śaden problem.

Popatrzyłem na nich oboje, czując niewysłowioną wdzięczność. Zaledwie kilka minut temu przeze mnie prawie na śmierć rozciągnęły ich luksusowe łóżka wodne, a teraz oni starali się być dzielni, żebym ja poczuł się lepiej.

Wsunąłem perły z powrotem do kieszeni.

- Ruszamy na podbój Podziemia. Weszliśmy do holu REQUIEM.

Z ukrytych głośników płynęły złote przeboje. Wykładzina i ściany miały stalowoszary kolor. W kątach ustawiono donice z kaktusami przypominającymi kościste ręce. Na obitych czarną skórą kanapach brakowało miejsc. Ludzie siedzieli, na czym się dało, stali, gapili się przez okna i czekali pod drzwiami windy. Nikt się nie ruszał, nie rozmawiał, właściwie, to nikt nic nie robił. Kątem oka widziałem ich wszystkich, ale gdy tylko usiłowałem skupić wzrok na konkretnej osobie, stawała się... przezroczysta. Wzrok przenikał ich ciała.

Biurko ochroniarza znajdowało się na podwyższeniu, musieliśmy więc zadrzeć głowy.

Był wysoki i elegancki, o czekoladowej skórze i bardzo jasnych włosach obciętych na rekruta. Oprawki jego okularów zrobione były z szylkretu, a jedwabny włoski garnitur idealnie pasował do barwy włosów. W klapie pod srebrną plaketką z imieniem miał wpiętą czarną różę.

Przeczytałem imię na plaketce i spojrzałem na niego skonsternowany.

- Ma pan na imię Chejron?

Wychylił się ku mnie. W szklach jego okularów nie widziałem nic poza własnym odbiciem, ale uśmiech miał słodki i zimny, zupełnie jak pyton, który właśnie szykuje się do połknięcia człowieka.

- Cóż za miły młody człowiek. - Jego wymowa była trochę dziwna... Zastanawiałem się, skąd mógł pochodzić. - Powiedz mi, chłopcze, czy ja wyglądam na centaura?

- Nnnie.

- Proszę pana - dodał gładko.

- Proszę pana - dopowiedziałem.

Musnął plaketkę i przebiegł palcem po literach.

- Umiesz czytać, chłopcze? Tu jest napisane C-H-A-R-O-N. Powtórz za mną: CHARON.

- Charon.

- Doskonale! A teraz: *pan* Charon.

- Pan Charon - powiedziałem.

- Znakomicie. - Usiadł z powrotem. - *Nienawidzę*, kiedy mnie myślą z tym starym końskim zadem. No dobrze, w czym mogę wam pomóc, moi mali umarli?

To pytanie było jak cios pięścią w splot słoneczny. Zerknąłem błagalnie na Annabeth.

- Chcemy się dostać do Podziemia - odpowiedziała. Usta Charona lekko zadrżały.

- Cóż za odmiana.

- Naprawdę? - zdziwiła się Annabeth.

- Prosto i uczciwie. śadnych wrzasków. śadnego „To jakaś straszna pomyłka, panie Charon!” - Obrzucił nas spojrzeniem. - A jak umarliście, co?

Szturchnąłem Grovera.

- Och - powiedział. - No... utonęliśmy... w wannie.

- Cała trójka? - zapytał Charon. Potaknęliśmy.

- To musiała być duża wanna. - Chyba zaimponowaliśmy Charonowi. - Nie sędzę, żebyście mieli obola za przejazd? Z dorosłymi nie ma problemu, mogę obciążyć ich kartę kredytową albo dodać opłatę do ich ostatniego rachunku za kablówkę. Ale dzieci... zawsze umierają nieprzygotowane. Obawiam się, że będziecie musieli poczekać w kolejce przez kilka stuleci.

- Ależ my mamy monety. - Położyłem na kontuarze trzy złote drachmy, część zapasów znalezionych w sklepie Prota Kruczka.

- Co ja widzę... - Charon oblizał wargi. - Prawdziwe drachmy. Prawdziwe złote drachmy. Nie widziałem takich od...

Chciwie wyciągnął palce po monety. Byliśmy już tak blisko.

Ale Charon spojrzął znów na mnie. Zimny wzrok spoza okularów zdawał się wwiercać w moją pierś.

\* Chwileczkę - powiedział. - Nie byłeś w stanie poprawnie odczytać mojego imienia. Czyżbyś był dyslektykiem, chłopcze?

- Nie - odparłem. - Jestem trupem. Charon wychylił się i pociągnął nosem.

- Wcale nie jesteś trupem. Powinienem być się domyślić. Jesteś heroskiem.

- Musimy się dostać do Podziemia - powtórzyłem z uporem.

Z piersi Charona dobył się warkot. Natychmiast ludzie zgromadzeni w poczekalni wstali i zaczęli nerwowo krążyć po holu, zapalając papierosy, przesuwając rękami po włosach i sprawdzając zegarki.

- Wyoście się póki czas - powiedział do nas Charon. - Wezmę to sobie i zapomnę, że was widziałem.

Sięgnął ręką po monety, ale zdążyłem je zwinąć z lady.

- Napiwek się nie należy. - Usiłowałem brzmieć odważniej, niż się czułem.

Charon warknął ponownie... i był to mrozący krew w żyłach dźwięk. Duchy zmarłych zaczęły się dobijać do drzwi windy.

- A szkoda - westchnąłem. - Chcieliśmy zapłacić więcej.

Podniosłem worek, który zabraliśmy od Kruczka. Wyciągnąłem z niego garść drachm i zacząłem się nimi bawić.

Warkot Charona przeszedł w pomruk lwa.

- Wydaje ci się, że można mnie przekupić, herosku? Hmm... tak z czystej ciekawości... ile tam masz?

- Dużo - odpowiedziałem. - Założę się, że Hades nie płaci zbyt dobrze za tę harówkę.

- Och, nie masz pojęcia, co tu przechodzę. Wyobrażasz sobie niańczenie wszystkich tych dusz przez cały dzień? Nic, tylko ciągle „Proszę mnie nie zostawiać martwym” i „Proszę mnie przepuścić za darmo”. Od trzech tysięcy lat nie miałem podwyżki. Myślisz, że taki garnitur nic nie kosztuje?

- Z całą pewnością należy się panu więcej - zgodziłem się. -Jest pan niedoceniany. Przydałaby się odrobina szacunku. No i dobra pensja.

Z każdym słowem kładłem kolejną drachmę na ladzie.

Charon obrzucił spojrzeniem swój jedwabny włoski garnitur, jakby wyobrażał sobie samego siebie w czymś jeszcze lepszym.

- Muszę powiedzieć, chłopcze, że zaczynasz być przekonujący. Powoli.

Wyciągnąłem kolejne monety.

- Mogę wspomnieć o podwyżce, jak już będę rozmawiał z Hadesem.

Charon westchnął.

- Łódź jest już i tak prawie pełna. Mogę w sumie dorzucić waszą trójkę i ruszać.

Wstał, zgarnął pieniądze i skinął na nas.

- Chodźcie.

Przepchnęliśmy się przez tłum czekających duchów, które szarpały nasze ubrania jak wiatr, szepcząc coś, czego nie byłem w stanie zrozumieć. Charon torował nam drogę wśród nich.

- Nie sępić - mrucał.

Zaprowadził nas do windy, która była już wypełniona duszami zmarłych, trzymającymi w rękach zielone karty pokładowe. Charon chwycił dwie dusze, które usiłowały się załadować razem z nami, i wypchnął je z powrotem do holu.

- Dobra. śadnych głupich pomysłów, jak mnie nie będzie -zwrócił się do tłumu w poczekalni. - A jeśli ktokolwiek spróbuje zmienić muzykę, to gwarantuję wam, że spędzicie tu następne dwa tysiące lat. Zrozumiano?

Zamknął drzwi. Włożył kartę w szczelinę w panelu kontrolnym windy i zaczęliśmy zjeżdżać.

- Co się stanie z duchami czekającymi w holu? - spytała Annabeth.

- Nic - odpowiedział Charon.

- Długo?

- Przez wieczność albo dopóki nie okażę wielkoduszności.

- Aha - powiedziała. - To... uczciwe. Charon uniósł brew.

- Czy ktoś mówi, że śmierć jest ucziwa, panienko? Zaczekaj na swoją kolej. Macie to jak w banku tam, gdzie się udajecie.

- Wyjdziemy stąd żywi - oznajmiłem. -Ha.

Poczułem nagłe mdłości. Nie jechaliśmy już w dół, ale przed siebie. Powietrze stało się mgliste. Otaczające nas dusze zaczęły zmieniać kształty. Ich współczesne ubrania migotały, przekształcając się w szare szaty z kapturami. Podłogą windy za-kołysało.

Zacisnąłem powieki, a kiedy je otworzyłem, kremowy włoski garnitur Charona zastąpiła czarna szata. Nie miał też szylkretowych okularów. A tam, gdzie powinien mieć oczy, były tylko puste oczodoły - jak u Aresa, tyle że te jego były całkiem ciemne, pełne nocy, śmierci i rozpacz.

Zauważyłem, że się wpatruję.

- Coś nie tak?

- Nic - wydukałem.

Wydawało mi się, że się uśmiechnął, szczerząc zęby, ale to nie było to. Ciało na jego twarzy stawało się przezroczyście, tak że widziałem czaszkę.

Podłogą nadal kołysało.

- Chyba mam chorobę morską - oznajmił Grover. Zamknąłem znów na chwilę oczy, a potem nie zobaczyłem

już windy. Staliśmy w drewnianej barce. Charon wiozł nas przez powolną wodę mętnej rzeki, w której pływały kości i zdechłe ryby, ale także bardziej dziwaczne przedmioty: plastikowe lalki, pogniecione goździki, przemoknięte dyplomy z połączanymi brzegami.

- Rzeka Styks - mruknęła Annabeth. - Strasznie...

- Zanieczyszczona - dokończył Charon. - Od tysięcy lat wy, ludzie, wrzucacie do niej wszystko, kiedy się przeprawiacie: nadzieje, marzenia i pragnienia, które się nigdy nie spełniły. A nikt nie zajął się porządnie wywózką śmieci, takie jest moje zdanie.

Nad brudną wodą unosiła się mgiełka. Nad nami, ledwie widoczne w mroku, było sklepienie ze zwieszającymi się stalaktytami. Przed nami drugi brzeg połyskiwał zielonkawą poświatą w kolorze trucizny.

Poczułem, że gardło ściska mi koszmary strach. Co ja tu robię? Wszyscy ci ludzie dookoła... są martwi.

Annabeth chwyciła mnie za rękę. Normalnie spieszyłoby mnie to, ale wiedziałem, jak się czuła. Chciała się upewnić, że na tej łodzi jest jeszcze ktoś żywy.

Przyłapałem się na szeptaniu modlitwy, choć trudno by mi było powiedzieć, do kogo. Tu na dole liczył się tylko jeden bóg, a ja przybyłem, żeby z nim walczyć.

Naszym oczom ukazał się brzeg Podziemnej Krainy. Na jakieś sto metrów w głąb lądu ciągnęły się poszarpane skały i czarny piasek wulkaniczny, a dalej wznosił się wysoki kamienny mur, biegnący w obie strony w nieskończoność. Z niedaleka, z zielonkawego mroku dobiegł nas głos, odbijający się echem od kamieni - wycie wielkiego zwierzęcia.

-Stary Trzygłowy jest głodny - powiedział Charon, szczerząc zęby w upiornej poświacie. - Macie pecha, heroski.

Dno łodzi uderzyło w czarny piach. Zmarli zaczęli wysiadać. Kobieta trzymała za rękę małą dziewczynkę. Stary mężczyzna kuśtykał u boku staruszki. Chłopak niewiele starszy ode mnie w milczeniu powłóczył nogami pod szarą szatą.

- śczyłbym ci szczęścia, chłopcze, gdyby nie to, że ono tu nie działa. I nie zapomnij wspomnieć o mojej podwyżce.

Wrzucił nasze monety do kieszeni i chwycił ponownie swą żerdź. Zanucił coś, co brzmiało jak melodia Roda Stewarta, i popchnął pustą barkę z powrotem na wodę.

My zaś ruszyliśmy wydeptaną ścieżką za duchami.

Nie wiem właściwie, czego się spodziewałem: napisu „Porzućcie wszelką nadzieję”, wielkiego czarnego mostu zwodzonego czy czegoś w tym stylu. W każdym razie brama do Podziemia wyglądała jak skrzyżowanie punktu kontrolnego na lotnisku z bramką na autostradzie.

Były tam trzy osobne wejścia połączone jednym wielkim łukiem, na którym widniał napis WITAJCIE W EREBIE. W każdym z przejść ustawiono wykrywacz metalu z umieszczoną na górze kamerą przemysłową. Za bramką stały budki, w których zasiadały ubrane na czarno upiory podobne do Charona.

Wycie głodnego zwierzęcia robiło się coraz głośniejsze, ale nie wiedziałem, skąd dochodziło. Trzygłowy Cerber, pies pilnujący ponoć bram królestwa Hadesa, nie pokazywał się.

Zmarli ustawiali się w trzech kolejkach. Dwie oznaczone były napisami DYŚURNY DORADCA, trzecia - ZEJŚCIE BEZPOŚREDNIE. Ta ostatnia szła bardzo szybko, pozostałe dwie się ślimaczyły.

- Co o tym sądzisz? - spytałem Annabeth.

- Przejście ekspresowe musi prowadzić prosto na Łąki Asfodelowe - odpowiedziała. - Nie mam wątpliwości. Nie chcą ryzykować wyroku sądu, ponieważ może być skazujący.

- Tu jest sąd dla zmarłych?

- Owszem. Trzech sędziów. Zmieniają się co jakiś czas. Król Minos, Thomas Jefferson, Szekspir... różni tacy. Czasem uznają, że czyjeś życie zasługuje na specjalną nagrodę - Pola Elizejskie. Czasem wyznaczają karę. Ale większość ludzi po prostu

żyje, jak umie. Nic szczególnego, żadnych wybitnych zasług czy złych czynów. Ci idą na Łąki Asfodelowe.

-I co tam robią?

- Wyobraź sobie, że stoisz na polu pszenicy w Kansas. Przez całą wieczność.

- Mało zachęcające - powiedziałem.

- Ale bardziej niż to - mruknął Grover. - Patrz.

Dwa upiory w czarnych szatach odciągnęły na bok duszę i zaczęły rewizję osobistą. Twarz zmarłego była jakby znajoma.

- To ten kaznodzieja, o którym było w telewizji, pamiętasz? - odpowiedział mi Grover.

- Ach, tak. - Rzeczywiście, przypomniałem sobie. Oglądaliśmy go kilka razy w sypialni w Yancy. Potwornie irytujący teleewangelista, który zbierał miliony dolarów na ubogich, a potem okazało się, że większość kasy wydał na luksusy we własnym domu, w rodzaju złoconych sedesów i pola do mini-golfa. Zginął, uciekając przed policją, kiedy jego limuzyna „Na Chwałę Bożą” spadła w przepaść.

- Co oni mu robią? - spytałem.

- To pewnie specjalna kara wyznaczona przez Hadesa - powiedział Grover. - Ci naprawdę źli dostają się pod jego osobistą kuratelę zaraz po przybyciu. Ery... Łaskawe postarają się o jakieś wieczne tortury dla niego.

Wzdrygnąłem się na samą myśl o Eryniach. Uświadomiłem sobie, że znaleźliśmy się na ich terenie. Stara pani Dodds pewnie już się oblizuje.

- Ale skoro on jest kaznodzieją - powiedziałem - to przecież wierzy w inne piekło...

Grover wzruszył ramionami.

- Skąd wiesz, że dla niego to miejsce wygląda tak samo jak dla nas? Ludzie widzą to, co chcą widzieć. Jesteście pod tym względem okropnie tępi... uparci, chciałem powiedzieć.

Zbliżyliśmy się do bram. Wycie było teraz tak głośne, że ziemia trzęsła się pod naszymi stopami, ale wciąż nie byłem w stanie wypatrzeć psa.

Nagle jakieś piętnaście metrów przed nami zielona mgła zadrżała. W miejscu, gdzie ścieżka rozgałęziała się na trzy odnogi, siedział ogromny potwór z cienia.

Nie dostrzegłem go wcześniej, ponieważ był półprzezroczysty jak zmarli. Dopóki się nie poruszył, stapał się z tłem. Tylko jego oczy i zęby wyglądały na cielesne. Na dodatek bydlak wpatrywał się prosto we mnie.

Opadła mi szczeka.

- To jest rottweiler. - Na nic więcej nie było mnie stać. Zawsze wyobrażałem sobie Cerbera jako wielkiego czarnego

mastiffa. On jednak był najwyraźniej rasowym rottweilerem z tą jedynie różnicą, że miał rozmiar dwóch mamutów włochatych, był w połowie niewidzialny, no i posiadał trzy łby.

Zmarli podchodzili do niego bez lęku. Dusze kierujące się do DYŚURNYCH DORADCÓW mijały go po obu stronach, a te od ZEJŚCIA BEZPOŚREDNIEGO przechodziły między przednimi łapami i pod brzuchem bestii, nie musząc się nawet pochylać.

- Widzę go coraz lepiej - wymamrotałem. - Dlaczego?

- Myślę... - Annabeth zwilżyła wargi. - Obawiam się, że to dlatego, że stajemy się coraz bardziej martwi.

Środkowa głowa psa nachyliła się ku nam. Obwąchała powietrze i zawarczała.

- On wyczuwa żywych - powiedziałem.

- Nic nie szkodzi - odrzekł tuż koło mnie Grover drżącym głosem. - Mamy przecież plan.

- Owszem - potaknęła Annabeth. Nigdy nie słyszałem tyle niepewności w jej głosie. - Plan.

Ruszyliśmy w kierunku potwora.

Środkowa głowa warknęła ponownie, po czym zaszczekała tak głośno, że oczyomal nie wypadły mi z orbit.

- Rozumiesz go? - spytałem Grovera.

- Pewnie - odpowiedział. - Rozumiem.

- No więc co mówi?

- Nie sądzę, żeby w ludzkim języku istniało aż tak brzydkie słowo.

Wyjąłem z plecaka kij - a dokładniej nogę od łóżka, oderwaną od modelu Safari Deluxe w sklepie Prota Kruczka. Uniosłem ją, starając się przesłać do mózgu Cerbera myśli o psim szczęściu: reklamy najlepszej karmy, słodkie małe szczeniaczki, kapie aż proszące się o to, żeby je pogryźć. Usiłowałem się uśmiechać, jakby wcale nie groziła mi śmierć.

- Hej, olbrzymie - zawołałem. - Założę się, że nikt się z tobą nie bawi.

- WRRRRRRRRRRR!

- Dobry piesek - powiedziałem słabym głosem. Pomachałem kijkiem. Środkowa głowa psa powędrowała za

moją ręką. Pozostałe dwie utkwily we mnie wzrok, całkowicie olewając dusze. Skupiłem na sobie całą uwagę Cerbera. Nie byłem pewny, czy to taki dobry pomysł.

- Aport! - Rzuciłem patyk w ciemność, starając się, żeby poleciał jak najdalej.

Usłyszałem plusk styksowej wody.

Cerber, nieporuszony, rzucił mi pogardliwe spojrzenie. Oczy płonęły mu złowrogim, zimnym ogniem. Na tyle zdał się nasz plan.

Bestia zaczęła teraz wydawać z głębi swoich trzech gardzieli zupełnie inny rodzaj warkotu.

- Ekhem - odezwał się Grover. - Percy? -Mhm?

- Pewnie cię to zainteresuje. -Mhm?

- Cerber mówi, że mamy dziesięć sekund na modlitwę do wybranego boga. A potem... no wiesz... on jest głodny.

- Czekaj! - krzyknęła Annabeth i zaczęła grzebać w plecaku. Ojoj, pomyślałem.

- Pięć sekund - przypomniał Grover. - Wiejemy? Annabeth wyciągnęła czerwoną gumową piłkę wielkości

grejpfruta. Widniał na niej napis WODNA KRAINA, DENVER, SA. Zanim zdołałem ją powstrzymać, uniosła piłkę w górę i pomaszerowała prosto do Cerbera.

- Piłeczka, widzisz? - zawołała. - Chcesz piłkę, Cerberku? Siad! Cerber wyglądał na równie zaskoczonego jak my. Wszystkie trzy głowy przechyliły się na bok.

Wszystkie

sześć nozdrzy zaczęło węszyć.

- Siad! - powtórzyła Annabeth.

Byłem przekonany, że jeszcze moment i zostanie największym psim przysmakiem świata.

Cerber tymczasem oblizwał wszystkie sześć warg, poruszył tylnymi łapami i usiadł na zadzie, zgniatając parędziesiąt dusz, przechodzących akurat pod jego brzuchem do odprawy zejściem bezpośrednim. Dusze rozproszyły się, wydając stłumiony syk, zupełnie jak dętka, z której uchodzi powietrze.

- Dobry piesek! - powiedziała Annabeth. Rzuciła Cerberowi piłkę.

Złapał ją środkową paszczą. Pozostałe dwie głowy rzuciły się, usiłując odebrać jej nową zabawkę, która zresztą była trochę za mała jak na dobry gryzak.

- Daj! - rozkazała Annabeth.

Głowy Cerbera przestały walczyć i spojrzały na nią. Piłka tkwiła między dwoma zębami niczym mały kawałek gumy do żucia. Pies wydał głośny, przerażający

skowyt, po czym wypuścił piłkę, oślinioną i prawie przegryzioną na pół. Upadła u stóp Annabeth.

- Dobry piesek. - Annabeth podniosła zabawkę, nie zwracając uwagi na pokrywającą ją ślinę bestii.

Obróciła się do nas.

- Idźcie. Zejściem bezpośrednim będzie najszybciej.

- Ale... - zaprotestowałem.

- Już! - Powiedziała to tym samym tonem, jakim wydawała rozkazy psu.

Grover i ja zrobiliśmy niepewny krok do przodu. Cerber zaczął powarkiwac.

- Waruj, zostań! - rozkazała potworowi Annabeth. - Chcesz piłkę? To waruj!

Cerber zaskowitał, ale nie ruszył się z miejsca.

- A co z tobą? - zapytałem Annabeth, kiedy ją mijaliśmy.

- Wiem, co robię, Percy - mruknęła. - W każdym razie jestem prawie pewna...

Grover i ja przeszliśmy między nogami potwora. Proszę, Annabeth, błagałem. Nie każ mu teraz siadać z powrotem.

Udało nam się. Cerber wcale nie wyglądał mniej przerażająco od tyłu.

- Dobry pies! - pochwaliła go Annabeth.

Uniosła podartą czerwoną piłkę i chyba doszła do tego samego wniosku co ja - jeśli nagrodzi teraz Cerbera, to nie zostanie jej już nic.

Mimo to rzuciła piłkę. Lewa paszcza potwora natychmiast chwyciła zabawkę i została zaatakowana przez środkową, podczas gdy prawa wyła na znak protestu.

Wykorzystując rozkojarzenie psa, Annabeth przebiegła pod jego brzuchem i dołączyła do nas przy wykrywaczu metalu.

- Jak ci się to udało? - spytałem z podziwem.

- Znam się trochę na tresurze - odpowiedziała, dysząc. Z zaskoczeniem ujrzałem w jej oczach łzy. - Kiedy byłam mała i mieszkałam z tatą, mieliśmy dobermana...

- Nie teraz. - Grover pociągnął mnie za koszulkę. - Chodźmy! Już mieliśmy przemknąć zejściem bezpośrednim, kiedy

wszystkie trzy paszcze Cerbera zawyły żałośnie. Annabeth zatrzymała się.

Odwróciła się do psa, który przechylił ku nam jedną z głów. Cerber dyszał wyczekująco, a kawałki czerwonej piłki leżały przed nim w kałuży śliny.

- Dobry piesek - powiedziała Annabeth, ale jej głos brzmiał teraz melancholijnie i niepewnie.

Głowy potwora kołysały się na boki, jakby Cerber martwił się o nią.

- Przyniosę ci niedługo nową piłkę - obiecała Annabeth słabym głosem. - Chcesz?

Potwór zaskomlał. Nie trzeba było znać psiego języka, żeby wiedzieć, że czeka na zabawkę.

- Dobry pies. Odwiedzę cię niedługo. Obiecuję. - Annabeth odwróciła się do nas. - Chodźmy.

Grover i ja wcisnęliśmy się do bramki z wykrywaczem metali, która natychmiast zawyła i rozbłysła czerwonymi światełkami.

- Niedozwolone przedmioty! Wykryto magię! Cerber zaczął szczekać.

Przebiegliśmy przez bramkę zejścia bezpośredniego, która rozbrzmiała jazgotem kolejnych alarmów, i pognaliśmy w stronę Podziemnej Krainy.

Parę minut później ukryliśmy się w spróchniałym pniu ogromnego czarnego drzewa, dysząc ciężko i patrząc, jak trzech upiornych ochroniarzy pędzi koło nas, wzywając na pomoc Erynie.

- Dobra, Percy, czego się dziś nauczyliśmy? - wymamrotał Grover.

- Ze trzygłowe psy wolą gumowe piłeczki od patyków?

- Nie - odpowiedział satyr. - Przekonaliśmy się, że twoje pomysły nadają się psu na budę.

Nie byłem tego taki pewny. Pomyślałem, że może oboje, Annabeth i ja, mieliśmy dobry pomysł. Nawet tu, w Podziemnym Królestwie, każdy - włącznie z potworami - potrzebuje czasem odrobiny uwagi.

Myślałem o tym, kiedy czekaliśmy, aż upiory znikną w oddali. Udawałem, że nie widzę, jak Annabeth ociera łzę z policzka, słuchając przejmującego, posępnego skowytu Cerbera, który tęsknił za swoją nową przyjaciółką.

## ROZDZIAŁ XIX

zł

### W PEWNYM SENSIE DOWIADUJEMY SIĘ PRAWDY

Wyobraźcie sobie największy tłum na koncercie, jaki kiedykolwiek widzieliście, stadion wypakowany szczelnie milionem fanów.

A teraz wyobraźcie sobie teren milion razy większy, wypakowany ludźmi, na dodatek pozbawiony elektryczności, w związku z czym nie ma dźwięków, nie ma światła i nie ma wymachiwania czym popadnie nad głowami. Coś okropnego wydarzyło się za kulisami. Szepczące do siebie tłumy ludzi po prostu kręcą się w ciemności, czekając na koncert, którego nie będzie.

Jeśli potraficie sobie to wyobrazić, to macie niezły obraz Łąk Asfodelowych. Czarna trawa jest podeptana przez miliardy zmarłych stóp. Ciepła, wilgotna bryza zawiewa jak bagienny oddech. Czarne drzewa (topole, jak poinformował nas Grover) rosną w rozrzuconych tu i tam małych zagajnikach.

Strop jest tak wysoko, że mógłbym go uznać za wał burzowych chmur, gdyby nie zwieszające się z niego stalaktyty. Połyskujące jaśniejszą szarością i paskudnie ostre na końcach. Usiłowałem nie myśleć o tym, że mogłyby w pewnym momencie na nas spaść, ale przeszkadzały mi w tym nieco te, które już spadły i tkwiły teraz wbite w czarną trawę. Myślę, że umarli nie muszą przejmować się takimi niedogodnościami jak wbite w pierś stalaktyt rozmiarów oszczepu.

Annabeth, Grover i ja usiłowaliśmy wtopić się w tłum, unikając wzroku upiornych strażników. Nie potrafiłem oprzeć się chęci poszukiwania znajomych twarzy wśród asfodeli, ale na umarłych ciężko się patrzy. Ich twarze migoczą. Wszyscy wyglądają na nieco zagniewanych i zakłopotanych. Podchodzą i usiłują rozmawiać, ale ich głos brzmi jak biały szum, jak piski nietoperzy. A kiedy orientują się, że ich nie rozumiesz, marszczą czoła i odchodzą.

Umarli nie są straszni. Są przygnębiający.

Posuwaliśmy się do przodu za grupą nowo przybyłych, wylewających się z głównej bramy w kierunku wielkiego czarnego namiotu, nad którym widniał transparent z napisem:

BIURO DO SPRAW KARY I NAGRODY WIECZNEJ  
*Witamy Drogich Zmarłych*

Z tyłu namiotu wydobywały się dwa znacznie mniejsze strumienie dusz.

Po lewej duchy w towarzystwie upiorów bezpieczeństwa maszerowały kamienną ścieżką ku Równinie Kar, błyskającej i dymiącej w oddali. Była to wielka, spękana pustynia poprzecinana rzekami lawy, polami minowymi i płotami z drutu kolczastego oddzielającymi poszczególne miejsca tortur. Nawet z daleka widać było dusze ścigane przez piekielne ogary, palone na stosach, zmuszone do bieganina nago przez pola kaktusów lub do słuchania opery. Dostrzegłem niewielki pagórek i maleńką postać Syzyfa usiłującego wtoczyć swój głaz na szczyt. Widziałem też gorsze tortury... Takie, których nie mam nawet ochoty opisywać.

Dusze, które wychodziły na prawo od namiotu sądu, miały się dużo lepiej. Ich ścieżka prowadziła do niewielkiej doliny otoczonej murem: zamkniętego osiedla, które wyglądało jak jedyna Chwytał się podłoża, ale nie znalazł niczego na tyle dużego, żeby zdołać wyhamować swój pęd.

W tunelu robiło się coraz ciemniej i zimniej. Czułem, że włos mi się jeży. Tu, na dole, czuć było złem. W mojej głowie krążyły obrazy, których nie powinienem nawet znać: krew rozlana na starym, kamiennym ołtarzu, cuchnący oddech mordercy.

Nagle zobaczyłem, co czeka przed nami, i stanąłem jak zamurowany.

Tunel rozszerzał się w wielką, ciemną grootę, a na jej środku otwierała się przepaść rozmiarów miejskiej alei. Grover pędził prosto ku jej krawędzi.

- Szybciej, Percy! - krzyknęła Annabeth, ciągnąc mnie za rękę.

- Ale to jest...

- Wiem! - zawołała. - Miejsce z twoich snów! Ale Grover tam wpadnie, jeśli go nie złapiemy.

Oczywiście, miała rację. Rozpaczliwe położenie Grovera wyrwało mnie z bezruchu.

Satyr wrzeszczał, chwytał się podłoża, ale skrzydlate buty ciągnęły go w stronę otchłani i nie wyglądało na to, żebyśmy mieli dogonić go na czas.

Uratowały go kopyta.

Latające tenisówki obluzowały się już nieco na jego stopach i kiedy Grover uderzył w wielki głaz, lewy but spadł i poszybował dalej sam. Prawy ciągnął go dalej, ale już nie tak szybko. Satyr zdołał wyhamować, chwytając kamień rękami i wykorzystując go jako kotwicę.

Był już o trzy metry od brzegu przepaści, kiedy chwyciliśmy go i pociągnęliśmy z powrotem w górę zbocza. Druga skrzydlata tenisówka uwolniła się z kopyta, okrążyła nas gniewnie i kopnęła po głowach, zanim odleciała w przepaść, by połączyć się ze swą parą.

Upadliśmy wszyscy troje, skrajnie wyczerpani, na obsydianowy żwir. Miałem wrażenie, że całe moje ciało jest z ołowiu. Nawet plecak wydawał się cięższy, jakby ktoś naładował do niego kamieni.

Grover był nieźle poobijany. Dłonie mu krwawiły. Źrenice zmieniły się w kozie szparki, jak zawsze, kiedy był przerażony.

- Nie wiem, jak to... - wy dyszał. - Ja nie...

- Czekaj - powiedziałem. - Słuchaj.

Coś słyszałem... głęboki szept w ciemności. Po kilku sekundach odezwała się Annabeth.

- Percy, to miejsce...

- Ciii. - Wstałem.

Dźwięk stawał się coraz głośniejszy: pomruk strasznego głosu rozlegający się daleko, daleko pod nami. Wydobywający się z czeluści.

Grover usiadł.

- Co... co to za hałas?

Teraz usłyszała również Annabeth. Dostrzegłem to w jej oczach.

- Tartar. To jest wejście do Tartaru. Odetkałem Anaklismosa.

Spizowy miecz wysunął się, połyskując w ciemności, a straszyły głos jakby się zawahał na moment, zanim znów podjął swe zawołanie.

Niemal słyszałem słowa, stare, bardzo stare słowa, starsze niż greka. Jakby...

- Magia - powiedziałem.

- Uciekamy - oznajmiła Annabeth.

Wspólnymi siłami postawiliśmy Grovera na kopyta i ruszyliśmy z powrotem w górę tunelu. Moje nogi nie chciały się dość szybko ruszać. Plecak ciągnął mnie w dół. Głos za nami stawał się coraz potężniejszy i nabrzmiewał gniewem, przyspieszyliśmy więc do biegu.

W ostatniej chwili.

Powiew lodowatego wiatru pociągnął nas za plecy, jakby cała otchłań wzięła głęboki wdech. Przez jeden przerażający moment straciłem grunt pod nogami, stopy pośliznęły mi się na żwirze. Gdybyśmy byli choć trochę bliżej, zostalibyśmy wessani.

Brnęliśmy przed siebie i w końcu dotarliśmy do wylotu tunelu, a przed nami otworzyły się znów Łąki Asfodelowe. Wiatr ustał. Z głębi tunelu dobiegło nas gniewne zawołanie. Coś było niezadowolone, że się wydostaliśmy.

- Co to było? - spytał Grover, łapiąc powietrze, kiedy padliśmy na ziemię we względnie bezpiecznym miejscu, czyli topolowym zagajniku. - Któryś z ulubieńców Hadesa?

Annabeth i ja wymieniliśmy spojrzenia. Wiedziałem, że ona coś przeczuwa, zapewne to samo co w taksówce do Los Angeles, ale jest zbyt przerażona, żeby się tym z nami podzielić. A to napawało mnie koszmarnym lękiem.

Zatkałem miecz i włożyłem długopis do kieszeni.

- Chodźmy. - Spojrzałem na Grovera. - Jesteś w stanie iść? Przełknął ślinę.

- Tak, jasne. I tak nie przepadałem za tymi butami. Usiłował być dzielny, ale dygotał tak samo jak Annabeth i ja.

Cokolwiek siedziało w tej czeluści, nie było niczym ulubieńcem. Było to niewyobrażalnie stare i potężne. Nawet Echidna nie budziła we mnie takich uczuć. Prawie mi ulżyło, kiedy odwróciłem się plecami do tunelu i skierowałem ku pałacowi Hadesa. Prawie.

Wysoko w mroku nad blankami krążyły Erynie. Zewnętrzny mur fortecy lśnił czernią, a wysoka na dwa piętra spiżowa brama stała otworem.

Kiedy podeszliśmy bliżej, dostrzegłem, że bramę ozdabiały płaskorzeźby związane ze śmiercią. Niektóre całkiem nowoczesne: wybuch bomby atomowej nad miastem, okopy pełne żołnierzy w maskach gazowych, szeregi ofiar głodu w Afryce, stojących z pustymi miseczkami w rękach - a jednak wszystkie wyglądały tak, jakby wryto je w spiżu tysiące lat temu. Zastanawiałem się, czy spoglądam na proroctwa, które się urzeczywistniły.

Wewnątrz, na dziedzińcu, ujrzałem najdziwaczniejszy ogród świata. Wielobarwne grzyby, trujące krzewy i dziwaczne fosforyzujące rośliny żyły tu bez światła słonecznego. Zamiast kwiatów kolorowe kamienie: rubiny wielkości mojej pięści, kiście nieobrobionych diamentów. Tu i ówdzie stały ogrodowe posągi Meduzy, przypominające skamieniałych gości na przyjęciu. Dzieci, satyrowie i centaury - wszyscy się uśmiechali się groteskowo.

W samym środku ogrodu znajdował się zagajnik granatów, których jasnoczerwone kwiaty lśniły niczym neony w ciemności.

- Ogród Persefony - powiedziała Annabeth. - Chodźmy stąd.

Zrozumiałem, dlaczego nie chciała się zatrzymywać. Cierpki zapach granatów był przytłaczający. Poczulem nagłą ochotę na owoce, ale przypomniałem sobie historię Persefony. Jeden kęs podziemnego jedzenia i nigdy się stąd nie wydostaniemy. Odciągnąłem Grovera, który gotów był sięgnąć po wielki soczysty owoc.

Wspięliśmy się na schody pałacu pomiędzy czarne kolumny, przeszliśmy przez portyk z czarnego marmuru i znaleźliśmy się w domu Hadesa. Posadzka w holu wejściowym była z polerowanego spiżu, który zdawał się wrzeć w odbijającym się świetle pochodni. Za dach służyło gdzieś wysoko w górze skaliste sklepienie grotu. Chyba nie musieli się tu przejmować deszczem.

Przy wszystkich drzwiach stały wojskowo ubrane szkielety. Niektóre miały greckie zbroje, inne czerwone brytyjskie mundury, jeszcze inne panterki i podarte amerykańskie flagi na ramionach. W rękach trzymały włócznie, muszkiety lub uzi. Śaden nas nie zaczepił, ale ich puste oczodoły powiodły za nami wzrokiem, kiedy ruszyliśmy korytarzem ku wielkim drzwiom na jego drugim końcu.

Tych drzwi pilnowali komandosi. Wyszczерzyli do nas zęby, zaciskając dłonie na przewieszonych przez piersi granatnikach przeciwpancernych.

- Wiecie co - odezwał się pod nosem Grover - założę się, że Hades nie musi się przejmować akwizytorami.

Mój plecak ważył teraz tonę. Nie miałem pojęcia dlaczego. Miałem ochotę go otworzyć, żeby się przekonać, czy przypadkiem nie zaplątały mi się tam kule do kręgli, ale nie miałem na to czasu.

- Dobra - powiedziałem. - Chyba powinniśmy... zapukać? Przez korytarz przeleciał gorący powiew i drzwi się otworzyły.

Strażnicy odsunęli się na bok.

- Myślę, że to oznacza zaproszenie do środka - powiedziała Annabeth.

Sala za drzwiami wyglądała jak ta w moim śnie, tyle że tym razem tron Hadesa nie był pusty.

Był on trzecim bogiem, którego spotykałem, ale pierwszym, który naprawdę wyglądał na boga.

Musiał mieć ze trzy metry wzrostu, to po pierwsze, a poza tym miał na sobie szatę z czarnego jedwabiu i koronę ze złotego filigranu. Jego skóra była biała jak u albinosa, a długie do ramion włosy czarne jak smoła. Nie był tak potężnie zbudowany jak Ares, a mimo to promieniował potęgą. Siedział w swobodnej pozie na swoim tronie z ludzkich kości i wydawał się gibki, pełny gracji i niebezpieczny jak pantera.

Natychmiast poczułem, że wykonałbym jego rozkazy. Ma ogromną wiedzę. Powinien być moim panem. Ale, zaraz powiedziałem sobie, że muszę się z tego poczucia wyzwolić.

Wpływała na mnie aura Hadesa, zupełnie jak wcześniej Aresa. Pan Umarłych miał we wzroku coś, co przypominało mi widziane niegdyś portrety Napoleona, Hitlera i tych przywódców-terrorystów, którzy nakazują innym wysadzić się w powietrze. Hades miał tak samo świdrujące spojrzenie, ten sam rodzaj straszliwej, magnetycznej charyzmy.

- Odważyłeś się tu przyjść, synu Posejdona - odezwał się głębokim głosem. - Po tym, co mi zrobiłeś, to naprawdę wielka odwaga. A może jesteś po prostu głupcem.

Poczułem ogarniającą mnie senność: miałem ochotę położyć się u stóp Hadesa i przespać. Zwinąć się na tej posadzce i zasnąć na wieki.

Walcząc z tym uczuciem, zrobiłem krok do przodu. Wiedziałem, co mam powiedzieć.

- Panie i Wuju, mam do ciebie dwie prośby.

Hades uniósł brew. Kiedy wychylił się na swym tronie, w fałdach jego szat pojawiły się cienie twarzy, udręczonych twarzy, jakby ten ubiór został uszyty z dusz uwiecznionych na Równinie, wyrrywających się na wolność. Moja nadpobudliwa cząstka zastanawiała się, całkiem na marginesie zadania, czy wszystkie jego ubrania

były z takiej samej materii. Jakich potworności trzeba było się dopuścić w życiu, żeby stać się częścią bielizny Hadesa?

- Tylko dwie prośby? - spytał Hades. - Cóż za arogancja, dziecko. Po tym, co zrobiłeś, jeszcze ci mało? Mów zatem. Mogę jeszcze przez chwilę dać ci pożyc.

Nabrałem powietrza w płuca. Zapowiadało się mniej więcej tak dobrze, jak się obawiałem.

Zerknąłem na pusty, mniejszy tron stojący obok Hadesa. Miał kształt czarnego kwiatu ze złoceniami. śałowalem, że nie ma królowej Persefony. Jak przez mgłę przypominałem sobie z mitów, że zdarza jej się łagodzić humory małżonka. Ale było lato. Persefona przebywała oczywiście w słonecznym świecie wraz ze swoją matką, boginią plonów Demeter. To jej obecność, a nie obrót planety, wpływa na pory roku.

Annabeth odchrząknęła i dźgnęła mnie palcem w plecy.

- Panie Hadesie - powiedziałem. - Proszę, zrozum, że nie może dojść do wojny między bogami. To by było... niedobrze.

- Bardzo niedobrze - dodał gorliwie Grover.

- Oddaj mi piorun Zeusa - mówiłem dalej. - Proszę, panie. Pozwól mi odnieść go na Olimp.

Oczy Hadesa zapłonęły niebezpiecznie.

- Śmiesz podtrzymywać te kłamstwa po tym, co zrobiłeś? Zerknąłem na przyjaciół. Wyglądali na równie zmieszanych jak ja.

- Ekhem... Wuju - powiedziałem. - Powtarzasz: „po tym, co zrobiłeś”. A co ja takiego właściwie zrobiłem?

Salą tronową wstrząsnęło takie drżenie, że zapewne odczuli je tam na górze, w Los Angeles. Z sufitu posypały się kamyki. W ścianach dookoła otwierały się drzwi, z których wylewali się szkieletowi wojownicy - setki żołnierzy ze wszystkich epok i ludów Zachodu. Ustawili się w szereg, blokując wszystkie wyjścia.

- Myślisz, że ja *chcę* wojny, herosie? - ryknął Hades. Miałem ochotę powiedzieć, że otaczający nas goście nie

wyglądają na pacyfistów, ale uznałem, że to może nie być właściwa odpowiedź.

- Jesteś Władcą Umarłych - powiedziałem ostrożnie. - Wojna powiększyłaby szeregi twojego królestwa, nieprawdaż?

- Typowy tok myślenia moich braci! Naprawdę myślisz, że potrzebuję więcej poddanych? Nie widziałeś tłumów na Łąkach Asfodelowych?

- No...

- Masz pojęcie, jak poszerzyło się moje królestwo tylko w ostatnim stuleciu, jak wiele nowych oddziałów musiałem otworzyć?

Otworzyłem usta, żeby odpowiedzieć, ale Hades już się nakręcił.

- Coraz więcej upiorów, żeby dbać o bezpieczeństwo -zawył żałośnie. - Kłopoty z ruchem w namiocie sądu. Większość personelu pracuje na dwa etaty. Ja byłem kiedyś bogaty, Percy Jacksonie. Mam kontrolę nad wszystkimi podziemnymi zasobami. Ale moje wydatki!

- Charon żąda podwyżki - wymknęło mi się, ponieważ właśnie sobie o tym przypomniałem. I natychmiast pożałowałem, że nie zaszyłem sobie ust.

- Ty mi tu nie wyjeżdżaj z Charonem! - ryknął Hades. -Odkąd odkrył włoskie garnitury, stał się nie do zniesienia. Wszędzie same problemy, a ja muszę się wszystkim osobiście zajmować. Już sam czas, który zajmuje mi przejście od pałacu do bramy, doprowadza mnie do szaleństwa. A umarli nic, tylko przybywają. Me, herosie, ja nie potrzebuję nowych poddanych! *Ja* nie chcę tej wojny.

- Ale zabrałeś Zeusowi piorun piorunów.

- Kłamstwo! - Kolejne drżenie. Hades wstał z tronu. Był wyższy niż bramka do piłki nożnej. - Twój ojciec zdołał może oszukać Zeusa, chłopcze, ale ja nie jestem głupcem. Przejrzałem jego plan.

- Jego plan?

- To *ty* byłeś tym złodziejem w zimowe przesilenie - oznajmił. - Twój ojciec zamierzał utrzymać twoje istnienie w sekrecie. Zaprowadził cię do sali tronowej na Olimpie. Zabrałeś piorun piorunów i mój hełm. Gdybym nie wysłał Erynni, żeby znalazła cię w Yancy, Posejdonowi może udałoby się nie ujawnić swego planu rozpętania wojny. Ale zdołałem wyciągnąć cię na światło dzienne. Zostaniesz zdemaskowany jako złodziej Posejdona, a ja odzyskam mój hełm!

- Ale... - To odezwała się Annabeth. Wiedziałem, że jej myśli pędzą z prędkością miliona kilometrów na godzinę. - Twój hełm mroku też zaginął, Panie Hadesie?

- Nie udawaj niewiniątka, dziewczyno. Ty i ten satyr pomagaliście temu herosowi... żeby mógł tu przybyć i zastraszyć mnie w imieniu Posejdona, i... w co nie wątpię... postawić mi ultimatum. Czyżby Posejdon myślał, że może kupić moje wsparcie?

- Nie! - krzyknąłem. - Posejdon nie... Ja nie...

- Nie mówiłem nikomu o zaginięciu hełmu - warknął Hades - ponieważ nie łudziłem się, że ktokolwiek na Olimpie okazałby mi choćby odrobinę sprawiedliwości, choćby cię pomocy. Nie mogę sobie pozwolić na to, żeby rozniosła się pogłoska, że moja najpotężniejsza broń strachu zginęła. Szukałem cię więc na własną rękę, a kiedy stało się jasne, że zmierzasz do mnie, żeby przekazać groźby, nie próbowałem cię powstrzymać.

- Nie próbowałeś nas powstrzymać? Przecież...

- Oddawaj mi hełm albo powstrzymam śmierć - powiedział złowieszczo Hades. - Oto moja kontrpropozycja. Otworzę ziemię i wypuszczę zmarłych. Zmienię wasze krainy w koszmar. I to *twój* szkielet, Percy Jacksonie, poprowadzi moje zastępy z Hadesu.

Szkieletowi żołnierze zrobili krok do przodu, gotując broń.

W tym momencie chyba powinienem się przestraszyć. Najdziwniejsze jednak było to, że czułem się urażony. Nic nie wkurza mnie bardziej niż oskarżenie o coś, czego nie zrobiłem. Miałem w tym mnóstwo doświadczenia.

- Jesteś taki sam jak Zeus - powiedziałem. - Myślisz, że cię okradłem? Dlatego wysłałeś za mną Erynie?

- Oczywiście - odrzekł Hades.

- A pozostałe potwory? Hades skrzywił się.

- Nie miałem z nimi nic wspólnego. Nie pragnąłem dla ciebie szybkiej śmierci... Chciałem, żeby przywleczono cię do mnie żywego, żebyś mógł zakosztować wszystkich tortur na Równinie. Jak myślisz, dlaczego tak łatwo udało ci się wejść do mojego królestwa?

- Łatwo?

- Oddawaj moją własność!

- Ale ja nie mam twojego hełmu. Przyszedłem po piorun piorunów.

- Który już masz! - krzyknął Hades. - Przyniosłeś go tu, mały głupcze, żeby mnie nim zastraszyć!

- Nieprawda!

- W takim razie otwieraj plecak.

Ogarnęło mnie straszliwe przeczucie. Ten ciężar w moim plecaku, jakbym niósł kulę do kręgli. To nie może być...

Zdjąłem plecak z ramienia i otwarłem klapę. W środku znajdowała się długa na ponad pół metra metalowa tuba o spiczastych zakończeniach, bucząca od uwiecznionej w środku energii.

- Percy - odezwała się Annabeth. - Jak...

- N-nie wiem. Nie rozumiem.

- Zawsze te same kłopoty z wami, herosi - powiedział Hades. - Duma czyni z was głupców, którym wydaje się, że mogą przyjść do mnie z taką bronią. Nie pytałem o piorun piorunów Zeusa, ale skoro już tu jest, oddasz mi go. Jestem pewien, że nieźle się przyda w negocjacjach. A teraz... mój hełm. Gdzie on jest?

Zatkało mnie. Nie miałem żadnego hełmu. Nie miałem pojęcia, jak piorun piorunów znalazł się w moim plecaku. Chciałem wierzyć, że to Hades zrobił mi kawał. To przecież Hades jest zły. Ale nagle poczułem, że świat wywraca się do góry nogami. Uświadomiłem sobie, że ktoś tu ze mną pogrywa. Ktoś inny sprawił, że Zeus, Posejdon i Hades skoczyli sobie do gardeł. Piorun piorunów był w plecaku, a ja dostałem ten plecak od...

- Panie Hadesie - powiedziałem. - Proszę zaczekać. Chyba zaszła pomyłka.

- Pomyłka? - ryknął Hades.

Szkielety wycelowały w nas broń. W górze rozległ się trzepot skórzastych skrzydeł: trzy Erynie sfrunęły na dół i przycupnęły na oparciu tronu swojego pana. Ta z twarzą pani Dodds uśmiechnęła się do mnie promiennie i potrząsnęła biczem.

- Nie ma żadnych pomyłek - powiedział Hades. - Wiem, po co przyszedłeś... znam *prawdziwy* powód, dla którego przyniosłeś piorun. Chcesz się targować o *nią*.

Hades wypuścił z dłoni złotą ognistą kulę, która wybuchnęła na stopniach tronu naprzeciwko mnie... i oto przede mną stała moja mama, zatrzymana w złotej mgle, zupełnie jak wtedy, kiedy Minotaur zaczął ścisnąć jej gardło.

Nie byłem w stanie wydusić ze siebie słowa. Wyciągnąłem rękę, żeby jej dotknąć, ale światło było gorące jak ogień w kominku.

- Tak - oznajmił Hades bardzo z siebie zadowolony. - Porwałem ją. Wiedziałem, Percy Jacksonie, że w końcu będziesz chciał ubić ze mną interes. Zwróć mi mój hełm, a może pozwolę jej odejść. Ona nie jest martwa, rozumiesz? Jeszcze nie. Jeśli mnie zawiedziesz, to się zmieni.

Pomyślałem o perłach, które miałem w kieszeni. Może one pozwolą mi się z tego wywinąć. Gdybym tylko dał radę uwolnić mamę...

- Ach, perły - powiedział Hades, mroząc mi krew w żyłach. - Tak, mój brat i jego sztuczki. Wyjmij je, Percy Jacksonie.

Ręka poruszyła się wbrew mojej woli i wyciągnęła perły.

- Tylko trzy - powiedział Hades. - Co za szkoda. Wiesz zapewne, że każda z nich chroni jedną osobę. Spróbuj więc odebrać swoją matkę, mały herosie. A które z przyjaciół zostawisz, żeby spędziło ze mną wieczność? Dalej. Wybieraj. Albo też od dawaj plecak i przyjmij moje warunki.

Spojrzałem na Annabeth i Grovera. Mieli posępne miny.

- Ktoś nas wykiwał - powiedziałem do nich. - Wystawił do wiatru.

- Tak, ale dlaczego? - spytała Annabeth. - A ten głos w otchłani...

- Nie wiem jeszcze - odpowiedziałem. - Ale zamierzam zapytać.

- Decyduj się, chłopcze! - krzyknął Hades.

- Percy. - Grover położył mi rękę na ramieniu. - Nie możesz oddać mu pioruna.

- Wiem.

- Zostaw mnie tutaj - powiedział. - Użyj trzeciej perły dla mamy.

- Nie!

- Jestem satyrem - odparł Grover. - My nie mamy dusz takich jak ludzie. On może mnie torturować do śmierci, ale nie zatrzyma mnie tu na wieczność. Po prostu odrodzę się jako kwiatek albo coś innego. Tak będzie najlepiej.

- Nie. - Annabeth wyciągnęła swój brązowy nóż. - Wy dwoje odchodźcie. Grover, ty masz się opiekować Percym. Musisz zdobyć licencję poszukiwacza i rozpocząć poszukiwanie Pana. Wydostańcie stąd jego mamę. Ja będę was kryć. Nie zamierzam poddać się bez walki.

- Nie ma mowy - odpowiedział jej Grover. - To ja zostaję.

- Przemyśl to, kozłonogu - powiedziała Annabeth.

- Przestańcie oboje! - Moje serce było rozdarte. Tyle razem przeszliśmy. Przypomniałem sobie, jak Grover pikował na Meduzę w ogrodzie posągów, jak Annabeth ocaliła nas przed Cerberem i jak wydostaliśmy się z sieci Hefajstosa. Pomyślałem o Bramie Zachodu i kasynie Lotos. Przebyłem tysiące kilometrów w obawie przed zdradą przyjaciela, ale ta dwójka nigdy by tego nie uczyniła. Oni bez przerwy wyciągali mnie z tarapatów, a teraz chcieli poświęcić swoje życie dla mojej mamy.

- Wiem, co zrobić - powiedziałem. - Weźcie to. Podałem każdemu z nich po perle.

- Ale, Percy... - zaczęła Annabeth.

Odwróciłem się twarzą do mamy. Bardzo pragnąłem poświęcić siebie samego i użyć ostatniej perły dla niej, ale wiedziałem, co by powiedziała. Nigdy by na to nie pozwoliła. Musiałem zanieść piorun na Olimp i powiedzieć Zeusowi prawdę. Musiałem powstrzymać wojnę. Nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym zamiast tego uratował jej życie. Pomyślałem o przepowiedni, którą usłyszałem na Wzgórzu Herosów, i miałem wrażenie, że to było milion lat temu. *Tego, co najważniejsze, ocalić nie zdołasz.*

- Przepraszam - powiedziałem do niej. - Wrócę tu jeszcze. Coś wymyślę.

Wyraz samozadowolenia znikł z twarzy Hadesa.

- Herosie...? - powiedział.

- Znajdę twój hełm, Wuju - odrzekłem. - Oddam ci go. Tylko nie zapomnij o podwyżce dla Charona.

- Nie prowokuj mnie...

- Nie zaszkodzi też pobawić się czasem z Cerberem. On lubi czerwone gumowe piłki.

- Percy Jacksonie, nie zamierzasz...

- Już! - wrzasnąłem.

Rozgnietliśmy perły stopami. Przez jedną straszną chwilę nic się nie wydarzyło.

- Zniszczyć ich! - ryknął Hades.

Armia szkieletów ruszyła naprzód, wyciągając miecze i odbezpieczając karabiny. Erynie zapikowały, potrząsając płomienistymi biczami.

Dokładnie w chwili, gdy szkielety otworzyły ogień, roztrzaskana perła pod moimi stopami eksplodowała zielonym światłem i uderzeniem świeżego, pachnącego morzem powietrza. Znalazłem się we wnętrzu mlecznobiałej kuli, która uniosła się nad ziemię.

Annabeth i Grover byli tuż za mną. Włócznie i pociski odbijały się od powierzchni perłowych kul, nawet ich nie zarysowując, a my tymczasem wznosiliśmy się do góry. Hades ryczał z taką wściekłością, że cała forteca trzęsła się w posadach. Wiedziałem, że ta noc w Los Angeles nie będzie spokojna.

- Spójrzcie w górę! - wrzasnął nagle Grover. - Roztrzaskamy się!

Zmierzaliśmy istotnie prosto na stalaktyty, które wyglądały tak, jakby miały przebić nasze skorupki i nadziać nas na rożen.

- Jak się tym kieruje? - krzyknęła Annabeth.

- Obawiam się, że się nie kieruje! - odkrzyknąłem. Wrzeszczeliśmy, kiedy perłowe balony uderzyły w sklepienie groty i wtedy... Ciemność.

Czyżbyśmy umarli?

Nie, bo miałem nadal wrażenie, że się wznosimy do góry. Przedzieraliśmy się przez litą skałę tak łatwo jak bąbelek powietrza przez wodę. Uświadomiłem sobie, na czym polega magia pereł: *to, co należy do morza, zawsze do morza powraca.*

Przez dłuższą chwilę nie widziałem nic przez gładkie ściany mojej skorupki, a potem perła przebiła się przez dno morskie. Dwie pozostałe mleczne kule, niosące Annabeth i Grovera, zrównały się ze mną i popłynęliśmy w górę. *Plusk!*

Wyskoczyliśmy z pereł na powierzchnię na środku zatoki Santa Monica, strącając z deski surfera i krzycząc z oburzeniem „Z drogi!”.

Chwyciłem Grovera i doholowałem go do boi, po czym zaciągnąłem tam również Annabeth. Ciekawski rekin krążył wokół nas - wielkie białe bydlę długości ponad trzech metrów.

- Spadaj - powiedziałem.

Rekin odwrócił się i pomknął w głąb oceanu. Surfer krzyknął coś o nadmiarze grzybków, po czym wiosłując rękami, oddalił się od nas, jak najszybciej zdołał.

Jakiś dodatkowy zmysł podpowiadał mi, że jest wczesny ranek dwudziestego pierwszego czerwca, dzień letniego przesilenia.

W oddali Los Angeles płonęło: pióropusze dymu unosiły się nad wszystkimi dzielnicami miasta. W nocy rzeczywiście było trzęsienie ziemi, i to wszystko wina Hadesa. Teraz pewnie wysyłał za mną armię umarłych.

W tym momencie jednak Podziemna Kraina była najmniejszym z moich zmartwień.

Musiałem dostać się na brzeg. Musiałem odnieść piorun Zeusa z powrotem na Olimp. A przede wszystkim musiałem odbyć poważną rozmowę z bogiem, który mnie wrobił.

## **ROZDZIAŁ XX POJEDYNEK Z**

### **RĄBNIĘTYM KUZYNEM**

Patrol Straży Przybrzeżnej zabrał nas, ale byli zbyt zajęci, żeby nas długo przetrzymywać albo zastanawiać się, co trójka dzieciaków w zwykłych ubraniach robi na środku zatoki. Mieli na głowie katastrofę. Ich krótkofalówki były pełne pilnych wezwań.

Wysadzili nas na molo w Santa Monica z ręcznikami owiniętymi wokół karków i butelkami z wodą, na których było napisane MŁODY RATOWNIK WODNY, po czym popędzili do kolejnych ofiar.

Nasze ciuchy były całkiem przemoknięte, nawet moje. Kiedy pojawiła się motorówka straży, modliłem się cichutko, żeby nie wyciągnęli mnie z wody całkiem suchego, ponieważ mogłoby to wzbudzić podejrzenia. Chciałem być mokry. I na szczęście opuściła mnie wodoodporność. Miałem również gołe stopy, ponieważ oddałem buty Groverowi. Lepiej, żeby straż zastanawiała się, dlaczego jeden z nas jest na bosaka, niż dlaczego drugi ma kopyta.

Kiedy już dotarliśmy do lądu, powlekliśmy się plażą, wpatrując się w płonące miasto na tle pięknego wschodu słońca. Czułem się, jakbym właśnie powstał z martwych -co nie było wcale tak odległe od prawdy. W moim plecaku tkwił ciężki piorun Zeusa, ale jeszcze ciężiej było mi na sercu z powodu spotkania z mamą.

- Nie wierzę - powiedziała Annabeth. - Wszystko, co przeszliśmy...

- Zostaliśmy wykiwani - przerwałem jej. - Strategia godna Ateny.

- Ej. - Pogroziła mi palcem ostrzegawczo.

- Rozumiesz, nie?

Spuściła oczy, gniew już ją opuszczał.

- Tak, rozumiem.

- A ja nie! - odezwał się żałośnie Grover. - Czy ktoś...

- Percy... - powiedziała Annabeth. - Tak mi przykro z powodu twojej mamy. Tak mi przykro...

Udawałem, że jej nie słyszę. Gdybym zaczął rozmawiać o mamie, rozbeczałbym się jak małe dziecko.

- Wyrocznia powiedziała prawdę - zmieniłem temat. - „Na zachód idź, ku bogu, który się odwrócił”. Tylko że nie chodziło o Hadesa. Hades nie chciał wojny między Wielką Trójką. Ktoś inny stoi za tą kradzieżą. Ktoś ukradł piorun piorunów Zeusa i hełm Hadesa, a następnie wrobił mnie, bo jestem synem Posejdona. Dzięki temu obie strony miały oskarżać Pana Mórza. Dziś o zachodzie słońca rozpętałyby się trójstronna wojna. A wszystko przeze mnie.

Grover potrząsnął głową w zamyśleniu.

- Ale kto miałby za tym stać? Kto mógłby tak bardzo pragnąć wojny?

Zatrzymałem się w miejscu i wbiłem wzrok w piasek.

- Oj, niech no pomyślę.

I oto był przed nami, w swoim czarnym skórzanym płaszczu i ciemnych okularach; na ramieniu miał kij bejsbolowy z aluminium. Obok niego stał motocykl z ryczącym silnikiem i reflektorami zmieniającymi kolor piasku na czerwony.

- Cześć, chłopcze - powiedział Ares, jakby naprawdę się ucieszył na mój widok. - Miałeś przecież umrzeć.

- Oszukałeś mnie - odparłem. - To *ty* ukradłeś hełm i piorun piorunów.

Ares uśmiechnął się.

- Osobiście to ich nie ukradłem. Bogowie zabierający sobie wzajemnie symbole potęgi - co to, to nie. Ale nie jesteś jedynym herosem na świecie, którego można wykorzystać.

- Kim się posłużyłeś? Clarisse? Ona też była na Olimpie w zimowe przesilenie.

Ten pomysł najwyraźniej go rozbawił.

- Nieważne. Problem w tym, dziecko, że przeszkadzasz w działaniach wojennych. Bo widzisz, miałeś umrzeć w tym Podziemiu. Stary Wodorost wściekłby się na Hadesa za to, że cię zabił. Trupi Dech miałby piorun piorunów, co doprowadziłoby Zeusa do szału. A Hades wciąż szuka tego...

Wyjął z kieszeni kominiarkę - taką, jaką noszą przestępcy napadający na banki - i położył ją na kierownicy swojego motocykla. Czapka natychmiast zmieniła się w wymyślny spiszowy hełm.

- Hełm mroku - szepnął Grover.

- Zgadza się - powiedział Ares. - O czym to mówiłem? Aha, Hades będzie wściekły zarówno na Zeusa, jak i Posejdona, ponieważ nie wie, kto to ukradł. I wkrótce będziemy mieli piękną trójstronną wymianę ciosów.

- Przecież to twoja rodzina! - wykrzyknęła ze zgrozą Annabeth. Ares wzruszył ramionami.

- To najlepsza wojna. Najkrwawsza. Zawsze powtarzam, że nie ma to jak naparżający się krewni.

- Dałeś mi w Denver ten plecak - powiedziałem. - W którym przez cały czas był piorun piorunów.

-I tak, i nie - odparł Ares. - Obawiam się, że to zbyt skomplikowane, żeby pojął to twój śmiertelny mózdzek, ale plecak to po prostu osłona pioruna piorunów, tylko nieco zmodyfikowana.

Piorun jest z nią połączony, trochę tak jak ten twój miecz, dziecko. Zawsze wraca do kieszeni, nie?

Nie byłem pewny, skąd Ares o tym wie, ale uznałem, że bóg wojny powinien znać się na broni.

- W każdym razie - ciągnął Ares - pobawiłem się trochę magią, żeby piorun wrócił do swojego opakowania dopiero wtedy, kiedy znajdziesz się w Podziemiu. Zbliżysz się do Hadesa... trzask, przesyłka dla ciebie. Gdybyś zginął gdzieś po drodze - mała strata. Ja wciąż miałem broń.

- A czemu nie chciałeś zatrzymać pioruna dla siebie? - spytałem. - Czemu posłałeś go do Hadesa?

Ares skrzywił się nieznacznie. Przez moment miałem wrażenie, jakby wsłuchiwał się w inny głos odzywający się w głębi jego głowy.

- Dlaczego... no, właśnie... taka broń... Ten trans trwał sekundę... dwie... Wymieniłem nerwowe spojrzenia z Annabeth. Twarz Aresa wróciła do normy.

- Nie chciałem kłopotów. Lepiej, żeby to ciebie przyłapali z tą bronią.

- Kłamiesz - powiedziałem. - Odsyłanie pioruna do Podziemia nie było twoim pomysłem, prawda?

- Oczywiście, że było! - Zza ciemnych szkieł jego okularów uniósł się dym, jakby miały zapłonąć.

- To nie ty wymyśliłeś tę kradzież - domyśliłem się. - Ktoś inny wysłał herosa, żeby zwinął te dwa przedmioty. A kiedy Zeus wysłał cię na poszukiwania, złapałeś złodzieja. Ale nie oddałeś go Zeusowi. Coś przekonało cię, żeby go wypuścić. Za trzymałeś przedmioty, czekając, aż pojawi się następny heros, który zrealizuje przesyłkę. To coś w otchłani wydaje ci rozkazy.

- Jestem bogiem wojny! Nie słucham niczyich rozkazów! Nie mam snów!

Zawahałem się.

- A kto mówił cokolwiek o snach?

Ares był wzburzony, ale usiłował pokryć zmieszanie szyderczym uśmieszkiem.

- Wracajmy do rzeczywistych problemów, chłopcze. śyjesz. Nie mogę pozwolić na to, żebyś zaniósł piorun na Olimp. Mogłoby ci się udać przekonać tych upartych idiotów, żeby cię posłuchali. Muszę cię więc zabić. Nie bierz tego do siebie.

Pstryknął palcami. Piasek u jego stóp eksplodował i wyskoczył z niego ogromny dzik, jeszcze większy i brzydszy od tego, którego łeb wisi nad domkiem numer pięć w Obozie Herosów. Bestia grzebała racicą w piasku, wpatrując się we mnie świdrującymi oczkami, po czym spuściła łeb i przygotowała ostre szable do ataku.

Zrobiłem krok w kierunku wody, stając w miejscu, gdzie fale zalewały brzeg.

- Walcz ze mną osobiście, Aresie.

Roześmiał się, ale wyczułem w tym śmiechu cień... niepewności.

- Masz jeden talent, dziecko. Umiesz uciekać. Uciekłeś przed Chimera. Uciekłeś z Podziemia. Naprawdę nie masz ikry.

- Boisz się?

- Chciałbyś. - Szkła okularów zaczęły się topić w żarze jego oczu. - Nie będę się angażować bezpośrednio. Wybacz, chłopcze. Nie ten poziom.

- Uciekaj, Percy! - krzyknęła Annabeth. Ogromny dzik zaszarżował.

Ja jednak miałem dość uciekania przed potworami. Przed Hadesem, Aresem czy kimkolwiek innym.

Kiedy dzik zaatakował, odetkałem długopis i uskokczyłem na bok. W mojej dłoni pojawił się Anaklysmos. Machnąłem nim w górę. Odcięty prawy kieł dzika upadł mi do stóp, a zdezorientowana bestia popędziła w głąb morza.

- Fala! - krzyknąłem.

Natychmiast ze spokojnego morza podniósł się wielki bałwan i pochłonał dzika, jakby otaczając go pierzyną. Potwór kwiknął ze strachu. I zniknął w odmętach.

Odwróciłem się ponownie do Aresa.

- Będiesz ze mną walczył? - spytałem. - Czy też zamierzasz kryć się za kolejną świnią?

Twarz Aresa była purpurowa z wściekłości.

- Uważaj, dziecko. Mogę cię zmienić w...

- Karalucha - powiedziałem. - Albo tasiemca. Jasne. To zaoszczędzi ci lania po twoim boskim tyłku, co?

Na krawędzi oprawek okularów tańczyły płomyki.

- Ej, chłopcze, naprawdę prosisz się o to, żeby zrobić z ciebie mokrą plamę.

- Jeśli przegram, zmienisz mnie, w co tylko zechcesz. I zabierzesz piorun. Jeśli wygram, zabieram hełm i piorun, a *ty* się wynosisz.

Ares parsknął pogardliwie. Zdjął kij bejsbolowy z ramienia.

- Jak mam cię rozgnieść: tradycyjnie czy nowocześnie? Pokazałem mu miecz.

- Doskonale, trupku - powiedział. - A zatem tradycyjnie. - Kij bejsbolowy zmienił się w ogromny miecz oburęczny. Na głowicy miał wielką srebrną czaszkę z rubinem w zębach.

- Percy - odezwała się Annabeth. - Nie rób tego. On jest bogiem.

- Jest tchórzem - odrzekłem. Wstrzymała oddech.

- Weź przynajmniej to. Na szczęście.

Zdjęła swój naszyjnik z paciorkami z pięciu lat w obozie i pierścieniem od ojca i zawiązała mi go na szyi.

- To na zgodę - powiedziała. - Atena i Posejdon w jednym szeregu.

Poczułem, że się lekko rumienię, ale udało mi się uśmiechnąć.

- Dziękuję.

- Weź też to - powiedział Grover, podając mi zgniecioną puszkę, którą na pewno trzymał w kieszeni przez tysiąc kilometrów. - Satyrowie są po twojej stronie.

- Grover... nie wiem, co powiedzieć.

Poklepał mnie po ramieniu. Wsunąłem puszkę do tylnej kieszeni spodni.

- Skończyłeś już z pożegnaniem? - Ares podszedł do mnie, powiewając czarnym płaszczem, z mieczem połyskującym w świetle poranka niczym ogniem. - Walka jest moim żywiołem od zawsze. Mam nieograniczoną siłę i nie mogę zginąć. A co ty masz?

Mniej rozdęte ego, pomyślałem, ale nie powiedziałem tego na głos. Pamiętałem, żeby stać w wodzie, cofnąłem się więc tak, by fale sięgały mi do kostek. Przypomniało mi się, co Annabeth powiedziała w Denver: *Ares ma siłę. I to wszystko. A nawet siła musi czasem ustąpić przed rozumem.*

Ciął w dół, prosto w moją głowę, ale mnie już tam nie było.

Ciało myślało za mnie. Woda jakby wypchnęła mnie w powietrze i przeskoczyłem nad Aresem, tnąc w locie. Ale on był równie szybki. Obrócił się i cios, który powinien uderzyć go prosto w kręgosłup, odbił się od jelca jego miecza.

Uśmiechnął się.

- Nieźle, nieźle.

Uderzył ponownie, zmuszając mnie do przeskoczenia na suchy ląd. Usiłowałem zrobić unik i wrócić do wody, ale Ares najwyraźniej domyślił się, o co mi chodzi. Wyminął mnie i tak naciskał, że musiałem skupić się na tym, żeby nie dać się pokroić na kawałki. Zmuszał mnie do cofania się coraz dalej od morza. Nie byłem w stanie znaleźć słabszego punktu, żeby zaatakować. Jego miecz był sporo dłuższy od Anaklymosa.

*Podchodź blisko,* powiedział mi kiedyś Luke podczas lekcji szermierki. *Jeśli masz krótszy miecz, musisz podejść bliżej.*

Podskoczyłem z pchnięciem, ale Ares tylko na to czekał. Wytrącił mi miecz z ręki i kopnął mnie w klatkę piersiową. Wyleciałem w powietrze - na jakieś dziesięć metrów. Byłbym złamał kark, gdybym nie spadł na miękki piasek.

- Percy! - rozległ się krzyk Annabeth. - Gliny! Widziałem podwójnie. Mostek bolał mnie tak, jakbym właśnie oberwał taranem, ale udało mi się podnieść na nogi.

Nie mogłem oderwać wzroku od Aresa, nie ryzykując rozcięcia na pół, ale kątem oka widziałem czerwone i niebieskie światła na bulwarze nadbrzeżnym. Słyszałem trzaskanie drzwiczek samochodów.

- Tam, panie władzo! - ktoś zawołał. - Widzi pan?

- Wygląda jak ten chłopak z telewizji - odparł szorstki głos. - Co u diabła...

- Ten facet jest uzbrojony - powiedział drugi gliniarz. - Wezwij posiłki.

Przetoczyłem się na bok i miecz Aresa uderzył w piasek.

Pobiegłem po miecz, chwyciłem go i zamachnąłem się w kierunku twarzy Aresa, tylko po to, żeby znów uderzyć w rękojeść.

Ares najwyraźniej znał moje zamiary na ułamek sekundy przed tym, jak wykonałem ruch.

Cofnąłem się w kierunku wody, zmuszając go do pójścia za mną.

- Przyznaj to, dziecko - powiedział Ares. - Nie masz żadnych szans. Ja się tylko z tobą bawię.

Moje zmysły pracowały na przyspieszonych obrotach. Zrozumiałem teraz, co miała na myśli Annabeth, mówiąc, że ADHD może uratować życie w walce. Byłem całkiem przytomny, mojej uwadze nie umykał najdrobniejszy szczegół.

Widziałem, jak napinają się mięśnie Aresa. Mogłem zgadywać, z której strony nadejdzie cios. Równocześnie byłem świadomy tego, że Annabeth i Grover znajdują się jakieś dziesięć metrów ode mnie, po lewej. Dostrzegłem drugi radiowóz podjeżdżający na sygnale. Zaczynał się zbierać tłum gapiów, głównie ludzie, którzy włączyli się po ulicach z powodu trzęsienia ziemi. Wydało mi się, że dostrzegam wśród nich kilka osób poruszających się tym dziwnym, podobnym do kłusa krokiem satyrów w przebraniu. Gdzieś tam pojawiały się też migotliwe kształty duchów, jakby umarli powstali z Hadesu, żeby przyglądać się walce. Usłyszałem gdzieś nad głową szelest skórzastych skrzydeł.

Kolejne syreny.

Wszedłem głębiej do wody, ale Ares był szybki. Czubek jego ostrza rozdarł mój rękaw i zadrasnął mnie w rękę.

- Przerwać ogień! - rozległ się głos policjanta przez megafon. - Połóżcie broń na ziemi. Już!

Ogień?

Spojrzałem na broń Aresa: miałem wrażenie, że migocze. Czasem wyglądała jak karabin, czasem jak dwuręczny miecz. Nie miałem pojęcia, co widzieli w moim ręku ludzie, ale byłem pewny, że cokolwiek to było, nie zwiększało ich sympatii do mnie.

Ares odwrócił się, żeby zerknąć gniewnie na gapiów, co dało mi moment wytchnienia. Na bulwarze stało już pięć policyjnych wozów, za którymi klęczał szereg policjantów z wymierzonymi w nas pistoletami.

- To prywatna sprawa! - ryknął Ares. - Wynoście się! Machnął ręką i po samochodach przetoczyła się fala ognia.

Policjanci ledwie zdążyli uskoczyć w bezpieczne miejsce, kiedy radiowozy eksplodowały. Ludzie stojący za nimi zaczęli się rozbiegać z krzykiem.

Ares wybuchnął śmiechem.

- A teraz, herosku, wrzucimy cię na grilla.

Ciął. Odbiłem cięcie. Byłem na tyle blisko, że mogłem uderzyć, spróbowałem więc wywieść go w pole fintą, ale on odparował mój cios. Na plecach czułem teraz uderzenia fal. Ares wszedł po kolana do wody, brodząc za mną.

Czułem rytm morza, wzbierających fal przyływu, i nagle przyszło mi coś do głowy. *Drobne fale*, pomyślałem. A woda za mną jakby się cofnęła. Siłą woli powstrzymałem przyływ, ale za plecami czułem rosnące napięcie, jakby bąbelki napierały na korek szampana.

Ares wciąż nacierał z zadowolonym uśmiechem na twarzy. Opuściłem głównię, jakbym był zbyt wyczerpany, żeby kontynuować walkę. *Zaczekaj*, powiedziałem do morza. Ciśnienie niemal mnie przewracało. Ares uniósł miecz. Wyzwolilem wodę i skoczyłem, przejeżdżając nad nim na grzbiecie fali.

Wysoka na dwa metry ściana wody uderzyła go w twarz. Stał tam, klnąc i plując wodorostami, podczas gdy ja wylądowałem za nim z pluskiem i sfingowałem uderzenie w głowę, jak robiłem to już kilka razy wcześniej. Obrócił się wystarczająco szybko, żeby unieść miecz, ale tym razem dezorientacja nie pozwoliła mu przewidzieć finty. Zmieniłem kierunek uderzenia, uskokczyłem w bok i ciąłem Orkanem w głąb wody, mierzając czubkiem ostrza w piętę boga.

Trzęsienie ziemi wywołane przez Hadesa było pestką w porównaniu z rykiem, który się teraz rozległ. Morze cofnęło się od Aresa, pozostawiając za sobą krąg mokrego piachu o średnicy piętnastu metrów.

Ichor, złota krew bogów, wypływała z dziury w bucie boga wojny. Nienawisć to mało, żeby opisać wyraz jego twarzy. Był tam też ból, szok i absolutne niedowierzanie, że został zraniony.

Pokuśtykał w moją stronę, mamrocząc pod nosem staro-greckie przekleństwa.

Coś go zatrzymało.

Było to tak, jakby chmura przesłoniła słońce, tylko gorzej. Światło zgasło. Dźwięki przycichły, a kolory zbladły. Nad plażą przemknęło coś zimnego i posępnego, zwalniając czas i mroząc temperaturę. Poczulem, że życie nie ma sensu, a walka jest beznadziejna.

Ciemność znikła.

Ares wyglądał na oszołomionego.

Za nami płonęły policyjne samochody. Tłum gapiów rozpierchł się. Annabeth i Grover stali na plaży w osłupieniu, patrząc jak woda oblewa na powrót stopy Aresa, a lśniący złoty ichor rozplywa się wśród fal.

Ares opuścił miecz.

- Zrobiłeś sobie wroga, herosku - powiedział. - Przypieczętowałeś swój los. Ilekroć wzniesiesz miecz w walce, ilekroć będziesz liczył na zwycięstwo, odczujesz moją klątwę. Strzeż się, Percy Jacksonie. Strzeż się.

Jego ciało zaczęło świecić.

- Percy! - zawołała Annabeth. - Nie patrz!

Odwróciłem się, kiedy bóg Ares ukazał swą prawdziwą nieśmiertelną postać. Coś podpowiadało mi, że gdybym patrzył, moje ciało spłonęłoby na popiół.

Światło zgasło.

Otworzyłem oczy. Aresa nie było. Cofająca się fala ukazała leżący na piasku spiżowy hełm mroku Hadesa. Podniosłem go i ruszyłem w kierunku przyjaciół.

Ale zanim do nich doszedłem, usłyszałem nad sobą trzepot skórzastych skrzydeł. Trzy potworne babcie w koronkowych kapeluszach i z płomiennymi biczami w rękach spadły z nieba i wylądowały przede mną.

Środkowa Erynia, ta, która była niegdyś panią Dodds, wystąpiła do przodu. Wyszczrzyła kły, ale tym razem nie po to, żeby mnie przestraszyć. Wyglądała raczej na zaskoczoną, jakby zamierzała schrupać mnie na kolację, ale uznała, że mogę przy -  
prawić ją o niestrawność.

- Widziałyśmy wszystko - syknęła. - A więc... to naprawdę nie ty?

Rzuciłem jej hełm, który złapała ze zdumieniem.

- *Zwróć* to Panu Hadesowi - powiedziałem. - Opowiedz mu prawdę. Powiedz, żeby powstrzymał wojnę.

Zawahała się, po czym przesunęła rozdwojonym językiem po swoich grubych zielonkawych wargach.

- Bądź zdrow, Percy Jacksonie. Stań się prawdziwym herosem. Bo jeśli nie, to jak znów dostanę cię w swoje łapy...

Zarechotała, smakując tę wizję. Następnie ona i jej siostry uniosły się na nietoperzych skrzydłach, wzbily się w zasnuwane dymem niebo i zniknęły.

Dołączyłem do Grovera i Annabeth, którzy wpatrywali się we mnie z podziwem.

- Percy... - powiedział Grover. - To było niewiarygodnie...

- Przeróżające - dokończyła Annabeth.

- Wspaniałe! - poprawił ją Grover.

Wcale nie czułem się przerażony. A na pewno nie czułem się wspaniałe. Byłem zmęczony, wszystko mnie bolało, no i całkowicie uszła ze mnie energia.

- Czuliście to... cokolwiek to było? - spytałem. Oboje potaknęli niepewnie.

- To na pewno przez te latające Erynny - powiedział Grover. Ale ja wcale nie byłem tego pewny. Coś powstrzymało Aresa

przed zabiciem mnie, a cokolwiek to uczyniło, musiało być znacznie potężniejsze od Erynii.

Spojrzałem na Annabeth i między nami przebiegło jakieś porozumienie. Wiedziałem już, co czai się w tamtej czeluści, co przemawia w bramie Tartaru.

Wziąłem od Grovera mój plecak i zajrzałem do środka. Piorun piorunów wciąż tam był. Taki drobiazg, a omal nie wywołał trzeciej wojny światowej.

- Musimy wrócić do Nowego Jorku - powiedziałem. - Przed wieczorem.

- To niemożliwe - odparła Annabeth. - Chyba że...

- Polecimy - zgodziłem się. Wbiła we mnie wzrok.

- Masz na myśli „polecimy samolotem”, czyli coś, czego nie powinienes robić, żeby Zeus nie stracił cię z nieba, i *na dodatek* z bronią o większej sile rażenia od bomby atomowej?

- Aha - potaknąłem. - Coś w ten deseń. Chodźmy.

## ROZDZIAŁ XXI

### WYRÓWNUJĘ RACHUNKI

Zabawne, do jakiego stopnia ludzie potrafią sobie coś ubzdurać i następnie naginać wszystko do swojej wersji wydarzeń. Chejron powiedział mi to dawno temu. A ja jak zwykle długo nie doceniałem jego mądrości.

Wedle informacji w mediach eksplozję na plaży w Santa Monica spowodował szalony porywacz, który strzelił do radiowozu z karabinu. I przez przypadek trafił w rurę gazową, która pękła podczas trzęsienia ziemi.

Ten szalony porywacz (czyli Ares) okazał się tym samym człowiekiem, który uprowadził mnie i jeszcze dwoje nastolatków z Nowego Jorku i przez dziesięć dni włókł przez całe Stany w koszmarną podróż.

Okazało się, że biedny mały Percy Jackson wcale nie jest straszliwym przestępcą. Spowodował zamieszanie w autobusie n New Jersey, ponieważ usiłował uciec porywaczowi (świadkowie zarzekali się później, że widzieli ubranego w skórę mężczyznę w autobusie - „Nie wiem, czemu nie przypomniałem sobie o tym wcześniej”). Ten sam szaleniec spowodował wybuch w St. Louis, bo przecież żadne dziecko nie byłoby w stanie tego dokonać. Bardzo przejęta kelnerka z Denver opowiadała, jak to widziała mężczyznę grożącego dzieciom pod jej barem, poprosiła kumpla, żeby zrobił zdjęcie, i powiadomiła policję. W końcu dzielny Percy Jackson (zaczynałem lubić tego chłopaka) ukradł swojemu prześladowcy broń w Los Angeles i strzelał się z nim na plaży. Policja przybyła na czas, ale pięć radiowozów wyleciało

w powietrze w spektakularnym wybuchu, a porywacz uciekł. Nie było żadnych ofiar śmiertelnych. Percy Jackson wraz z dwójką przyjaciół jest już bezpieczny pod opieką policji.

Reporterzy podali nam taką wersję historii. A my potakiwaliśmy, udając przerażonych i wyczerpanych (co akurat nie było trudne), i odgrywaliśmy na antenie skrzywdzone dzieci.

- Chcę tylko - powiedziałem, przełykając łzy - zobaczyć znów mojego ukochanego ojczyma. Ale raz widziałem w telewizji, jak mówi, że jestem skłonny do przemocy smarkaczem, wiedziałem... jakoś... że wszystko się ułoży. Jestem pewny, że on będzie chciał nagrodzić wszystkich mieszkańców Los Angeles darmowym prezentem z ofert swojego sklepu. Oto numer telefonu.

Policja i dziennikarze byli tak wzruszeni, że zorganizowali zbiórkę na trzy bilety na najbliższy lot do Nowego Jorku.

Wiedziałem, że nie mamy wyboru w kwestii środka transportu. Miałem nadzieję, że Zeus mi odpuści, zważywszy na okoliczności. Ale i tak z ciężkim sercem wsiadałem do samolotu.

Start był koszmarem. Każde najdrobniejsze drżenie wprawiało mnie w większe przerażenie niż greckie potwory. Dłonie zaciśnięte na podłokietnikach rozluźniłem dopiero, gdy wylądowaliśmy bezpiecznie na La Guardia. Za bramką czekali na nas miejscowi dziennikarze, ale udało nam się ich ominąć dzięki Annabeth, która w bejsbolówce- niewidce zwabiła ich w okolice kiosku z mrożonym jogurtem („Są tam! Szybko!"), po czym dołączyła do nas przy odbiorze bagażu.

Rozdzieliliśmy się na postoju taksówek. Poleciałem Annabeth i Groverowi, żeby jak najszybciej udali się na Wzgórze Herosów i opowiedzieli o wszystkim Chejronowi. Nie chcieli się zgodzić, a poza tym nie łatwo było nam się rozstać po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy, ale wiedziałem, że ostatnia część misji to już moja sprawa. Jeśli coś pójdzie nie tak, jeśli bogowie mi nie uwierzą... Chciałem, żeby Annabeth i Grover przeżyli i opowiedzieli Chejronowi prawdę.

Wskoczyłem do taksówki i ruszyłem na Manhattan.

Pół godziny później wmaszerowałem do holu Empire State Building.

Musiałem wyglądać jak mały włóczęga w podartych ubraniach i z podrapaną twarzą. Nie spałem od co najmniej doby.

Podszedłem do strażnika siedzącego za biurkiem.

- Piętro sześćsetne - powiedziałem.

Czytał wielką księgę z obrazkiem czarodzieja na okładce. Nie przepadam za fantasty, ale książka musiała być dobra, ponieważ zajęło mu chwilę, zanim się oderwał.

- Nie ma takiego, chłopcze.

- Muszę porozmawiać z Zeusem.

Uśmiechnął się do mnie z nieobecnym wzrokiem.

- Słucham?

- To, co pan słyszał.

Już miałem uznać, że ten facet jest zwykłym śmiertelnikiem i może lepiej będzie uciekać, zanim wezwą tu karetkę z psychiatryka, kiedy odezwał się ponownie.

- Nie jesteś umówiony, więc nie będzie audyencji, chłopcze. Pan Zeus nie spotyka się z nikim bez uprzedniego umówienia.

- Och, myślę, że tym razem zrobi wyjątek. - Zdjąłem z ramienia plecak i otworzyłem klapę.

Strażnik spojrział na znajdującą się w środku metalową tubę, nie łapiąc z początku, co to jest. Nagle pobladł.

- To chyba nie jest...

- Owszem, jest - odparłem. - Chce pan, żebym to wyjął i...

- Nie! Nie! - Wskoczył zza biurka, szukał przez chwilę karty, po czym podał mi ją. - Włóż to w szczelinę czytnika. W windzie nie może być nikogo poza tobą.

Zrobiłem jak kazał. Gdy tylko drzwi windy się zamknęły, wsunąłem kartę w otwór. Znikła, a na konsoli pojawił się nowy przycisk - czerwony z napisem 600.

Nacisnąłem, a potem czekałem, czekałem i czekałem. Z

głośników sączyła się łagodna muzyczka.

Wreszcie *bim!* Drzwi się otworzyły. Wyszedłem z kabiny i omal nie padłem na atak serca.

Stałem na wąskim kamiennym chodniku zawieszonym w powietrzu. Poda mną rozciągał się Manhattan, widoczny jak z okien samolotu. Przede mną białe marmurowe schody ciągnęły się po chmurach prosto w niebo. Powiodłem wzrokiem ku szczytowi schodów, ale mój mózg po prostu nie chciał się pogodzić z tym, co widział.

Popatrzcie jeszcze raz, mówił mózg.

Ależ patrzmy, upierały się oczy. To tam naprawdę jest.

Nad chmurami wznosił się zawieszony w powietrzu górski szczyt, pokryty śniegiem na samym wierzchołku. Do zbocza góry przykleiły się dziesiątki wielopoziomowych pałaców - całe miasto eleganckich rezydencji - wszystkie otoczone portykami, złożonymi tarasami i brązowymi trójnogami, na których płonął ogień. Między nimi szaleńczo wiły się ścieżki, prowadząc na sam szczyt, gdzie na tle śniegu pysznił się największy pałac. W wiszących ogrodach rosły oliwki i krzewy rózańe. Wypatrzyłem też agorę z kolorowymi namiotami kramów, kamienny teatr oparty o zbocze góry, hipodrom i amfiteatr. To było starożytne miasto z tą różnicą, że nie leżało w ruinie. Było nowe, czyste i kolorowe - zapewne podobnie wyglądały Ateny dwadzieścia pięć wieków temu.

To jest niemożliwe, powtarzałem sobie. Góra zawieszona nad Nowym Jorkiem jak ważąca miliard ton asteroida? Jak można coś takiego przyczepić do Empire State Building na oczach milionów ludzi i pozostać niezauważonym?

Ale to tam było. A ja stałem tuż przed nim.

Wędrowałem po Olimpie jak we śnie. Minąłem grupkę rozchichotanych driad, które rzuciły we mnie oliwkami ze swojego sadu. Sprzedawcy na agorze zachęcali do kupna ambrozji na patyku, nowej tarczy oraz kopii złotego runa przetykanej nitkami z prawdziwego złota, dokładnie takiej jak w reklamie w telewizji Wulkan. Muzy stroiły instrumenty, przygotowując się do koncertu w parku, a wokół nich gromadził się tłumek: satyrowie, najady i sporo pięknych i przystojnych nastolatków obojga płci, którzy byli zapewne pomniejszych bóstwami. Najwyraźniej nikt nie przejmował się zagrożeniem wojną domową. Wręcz przeciwnie, wydawało się, że wszyscy właśnie świętowali. Kilka osób odwróciło się do mnie i wymieniło szeptem jakieś uwagi.

Ruszyłem główną ulicą, wiodącą do wielkiego pałacu na szczycie. Stanowił on dokładną odwrotność siedziby władcy Podziemia. Tam wszystko było z czarnego kamienia i spiżu. Tu wszystko lśniło bielą i srebrem.

uświadomiłem sobie, że Hades musiał wybudować swoją twierdzę na wzór tej budowli. Nie był mile widziany na Olimpie poza zimowym przesileniem, więc

zbudował sobie pod ziemią własny Olimp. Mimo nie najlepszych doświadczeń miałem dla Hadesa sporą dozę współczucia. Wygnanie z tego miejsca naprawdę było niesprawiedliwe. Każdy czułby się rozgoryczony.

Wszedłem po stopniach na główny dziedziniec. A stamtąd do sali tronowej.

*Sala* to trochę mało powiedziane. Przy tym pomieszczeniu dworzec Grand Central wyglądał jak schowek na szczotki. Potężne kolumny podtrzymywały sklepiony strop ozdobiony ruchomymi gwiazdozbiorami.

Dwanaście tronów mogących pomieścić postacie rozmiarów Hadesa ustawiono w kształt litery U, zupełnie jak domki w Obozie Herosów. Na znajdującym się pośrodku palenisku trzaskał ogień. Trony - z wyjątkiem dwóch na samym końcu - były puste. Zajęty był tylko środkowy i ten po jego lewej. Nie musiałem zgadywać, kim byli dwaj bogowie siedzący na tych tronach, czekający aż się zbliżę. Podeszedłem do nich na uginających się nogach.

Podobnie jak Hades byli w swej potężnej ludzkiej postaci, ale patrząc na nich, czułem rodzaj mrowienia, jakby moje ciało zaczynało płonąć. Zeus, Król Bogów, miał na sobie ciemnogrnatowy garnitur w delikatne prążki. Siedział na prostym tronie z platyny. Miał doskonale utrzymaną brodę, czarną z ciemnoszarymi pasmami, niczym chmura gradowa. Jego przystojna twarz była dumna i posepna, oczy szare jak deszcz. Kiedy się zbliżyłem, w powietrzu coś trzasnęło i rozszedł się zapach ozonu.

Bóg siedzący obok to jego brat, niewątpliwie, ale ubrany był całkiem inaczej. Przypominał mi plażowicza z Karaibów. Miał na sobie skórzaste sandały, bermudy w kolorze khaki oraz wzorzystą koszulę z krótkim rękawem, wymalowaną w palmy kokosowe i papugi. Jego skóra była opalona, a dłonie pokryte szramami jak u starego rybaka. Włosy miał czarne jak ja, a na twarzy ten sam wyraz zadumy, który tyle razy zyskiwał mi etykietkę buntownika. Niemniej jego oczy, w kolorze morskiej zieleni jak moje, otaczały kurze łapki, świadczące o tym, że często się uśmiechał.

Jego tron przypominał krzesło wędkarza: obrotowe, z siedziskiem z czarnej skóry i uchwytem na wędki. Zamiast wędki miał jednak spizowy trójząb, połyskujący zielonym światłem na ostrzach.

Bogowie nie poruszali się ani nie odzywali, ale w powietrzu wyczuwało się napięcie, jakby właśnie przerwali kłótnię.

Podeszedłem do morskiego tronu i ukląknęłam u jego stóp. -

Ojczy.

Nie odważyłem się podnieść wzroku. Serce biło mi jak oszalałe. Czułem energię promieniującą od obu bogów. Gdybym powiedział jedno niewłaściwe słowo, niewątpliwie spaliłby mnie na popiół.

Z lewej usłyszałem głos Zeusa.

- Nie powinieneś najpierw przywitać się z panem domu, chłopcze?

Czekałem, nie podnosząc głowy.

- Spokojnie, bracie - odezwał się w końcu Posejdon. Jego głos wywołał we mnie najwcześniejsze wspomnienia: ciepłą poświatę, którą zapamiętałem z niemowlęctwa, wspomnienie dotyku dłoni tego boga na moim czole. - Chłopak okazuje szacunek ojcu. To bardzo dobry znak.

- A zatem nadal się do niego przyznajesz? - spytał Zeus złowieszczym tonem. - Uznajesz to dziecko, które spłodziłeś wbrew naszej świętej przysiędze.

- Przyznałem się do nadużycia - odpowiedział Posejdon. - A teraz chcę wysłuchać mojego syna.

Nadużycie.

Miałem ściśnięte gardło. A więc tym byłem? Wybrykiem? Efektem wykroczenia popełnionego przez boga?

- Już raz go oszczędziłem - mruknął z niezadowoleniem Zeus. - Odważył się lecieć przez moje królestwo... pyk! Powinieneś być strącić go z nieba za tę zuchwałość.

- I ryzykować zniszczenie twojego własnego pioruna piorunów? - spytał spokojnie Posejdon. - Wysłuchamy go, bracie.

Zeus pogderał przez chwilę pod nosem.

- Wysłucham go - powiedział w końcu. - A następnie podejmę decyzję, czy zrzucić tego chłopaka z Olimpu, czy też nie.

- Perseuszu - zwrócił się do mnie Posejdon. - Spójrz na mnie.

Spojrzałem i nie byłem pewny, co zobaczyłem w jego twarzy. Nie było w niej wyraźnego znaku miłości czy aprobaty. śadnej zachęty. Czułem się tak, jakbym patrzył w głąb oceanu: czasami da się powiedzieć, w jakim jest nastroju, ale zazwyczaj jest nieodgadniony, tajemniczy.

Czułem, że Posejdon naprawdę nie wie, co o mnie myśleć. Nie jest pewny, czy powinien być dumny z takiego syna jak ja, czy nie. Może to dziwne, ale odpowiadało mi, że zachowywał się z taką rezerwą. Gdyby usiłował przeproszać, powiedział mi, że mnie kocha, albo chociaż się uśmiechnął, byłaby w tym jakaś sztuczność. Jak u tych ziemskich ojców, którzy wymyślają kiepskie wymówki dla swojej wiecznej nieobecności. Jakoś to przeżyję. Poza tym nie byłem jeszcze pewny swoich uczuć do niego.

- Opowiedz wszystko Panu Zeusowi, chłopcze - powiedział do mnie Posejdon. - Całą twoją historię.

Opowiedziałem więc Zeusowi o wszystkim, co się wydarzyło. Po czym wyciągnąłem metalową tubę, która zaczęła sypać iskrami w obecności Króla Bogów, i złożyłem ją u jego stóp.

Nastąpiła długa chwila ciszy, przerywana jedynie trzaskami ognia na palenisku.

Zeus otworzył dłoń. Piorun wskoczył mu do ręki. Kiedy bóg zacisnął na nim palce, metalowe zatyczki rozbłysły energią elektryczną i chwilę później w ręku Zeusa widniała klasyczna błyskawica: długa na sześć metrów włócznia z wyginającą się, syczącą energią, która podnosiła mi włosy na głowie.

- Czuję, że chłopak mówi prawdę - mruknął Zeus. - Ale żeby Ares zrobił coś takiego... To nie w jego stylu.

- Jest dumny i porywczy - odparł Posejdon. - To rodzinne.

- Mój panie? - wtrąciłem się.

- Tak? - odpowiedzieli obaj równocześnie.

- Ares nie działał na własną rękę. Ktoś inny... coś innego... poddało mu ten pomysł.

Opowiedziałem o moich snach i o tym, co poczułem na plaży, o tym strasliwym powiewie, który zatrzymał na moment świat i powstrzymał Aresa od zabicia mnie.

- W moich snach - mówiłem - ten głos kazał mi przynieść piorun do Podziemia. Ares też wspominał coś o snach. Myślę, że został wykorzystany tak samo jak ja, żeby wywołać wojnę.

- A więc jednak oskarżasz Hadesa? - spytał Zeus.

- Nie - odpowiedziałem. - To znaczy, Panie Zeusie, przebywałem w obecności Hadesa. To, co poczułem na plaży, było czymś innym. To samo czułem wtedy, kiedy

zbliżyłem się do otchłani. To było wejście do Tartaru, prawda? Tam na dole przebudziło się coś potężnego i straszliwego... Coś starszego nawet od bogów.

Posejdon i Zeus wymienili spojrzenia. Następnie przeprowadzili szybką, pełną napięcia rozmowę po starogrecku. Udało mi się zrozumieć jedno słowo. *Ojciec*.

Posejdon ewidentnie coś zasugerował, ale Zeus przerwał mu ostro. Posejdon usiłował się kłócić. Zeus uniósł gniewnie rękę.

- Nie będziemy o tym więcej rozmawiać - powiedział Zeus. - Muszę osobiście udać się do Lemnos, żeby w tamtejszej wodzie oczyścić piorun z dotyku ludzkiej ręki.

Wstał i spojrzał na mnie. Wyraz jego twarzy minimalnie złagodniał.

- Oddałeś mi przysługę, chłopcze. Niewielu herosów osiągnęło tak wiele.

- Miałem pomocników, panie - powiedziałem. - Grovera Underwooda i Annabeth Chase...

- W wyrazie wdzięczności daruję ci życie. Nie ufam ci, Perseuszu Jacksonie. Nie podoba mi się to, co twoje przybycie oznacza dla przyszłości Olimpu. Jednak ze względu na zgodę w rodzinie pozwolę ci żyć.

- Yyy... dziękuję, panie.

-I nie wyobrażaj sobie, że wolno ci latać. Nie chcę cię tu widzieć, kiedy wrócę. Chyba że masz ochotę ujrzeć z bliska, jak działa ten piorun. Ale byłaby to ostatnia rzecz, jaką byś zobaczył.

Pałacem wstrząsnął grzmot. Zeus zniknął w oślepiającym rozbłysku światła.

Zostałem w Sali tronowej sam na sam z moim ojcem.

- Twój wujek - westchnął Posejdon - zawsze lubował się w dramatycznych gestach. Myślę, że dobrze by się sprawdził jako bóg teatru.

Zapadło niezręczne milczenie.

- Co siedzi w tej otchłani, ojczy? - spytałem w końcu.

Posejdon spojrzał na mnie.

- Nie zgadłeś?

- Kronos - powiedziałem. - Król tytanów.

Na dźwięk tego imienia pociemniało nawet w sali tronowej Olimpu, tak odległej od Tartaru. Płomień paleniska za moimi plecami nagle wydał się mniej ciepły niż przed chwilą.

Posejdon chwycił trójzab.

- W Pierwszej Wojnie, Percy, Zeus pociął ciało naszego ojca, Kronosa, na tysiąc kawałków, tak samo jak wcześniej Kronos swojego ojca, Uranosa. Zeus wrzucił następnie szczątki Kronosa w najgłębszą czeluść Tartaru. Armia tytanów rozpadła się, a ich górską forteca na Etnie została zniszczona. Tylko że tytani, podobnie jak bogowie, nie umierają. Cokolwiek pozostało z Kronosa, żyje wciąż w jakiś przerażający sposób, świadome swego wiecznego cierpienia, wciąż łaknąc władzy.

- Jego ciało się leczy - powiedziałem. - On chce powrócić.

Posejdon potrząsnął głową.

- Od tysiącleci Kronos budzi się co jakiś czas. Nawiedza koszmary ludzi, podsuwa im potworne myśli. Budzi niespokojne potwory. Ale sugestia, że mógłby powstać z otchłani, to zupełnie inna sprawa.

- On tego pragnie, ojczu. Tak właśnie powiedział.

Posejdon milczał przez dłuższą chwilę.

- Pan Zeus zamknął wszelką dyskusję na ten temat. Nie pozwoli wspominać Kronosa. Twoja misja skończona, chłopcze. To wszystko, co miałeś do zrobienia.

- Ale... - urwałem. Kłótnia nic nie da. Może wręcz rozgniewać jedyne boga, który mi sprzyja. - Zrobię, jak zechcesz, ojczu.

Na jego ustach pojawił się słaby uśmiech.

- Posłuszeństwo nie jest twoją mocną stroną, prawda?

- Nie... ojczu.

- Chyba jestem temu po części winny. Morze nie lubi więzów. - Wstał, prezentując swą pełną postać, i chwycił trójzab. Następnie zamigotał, skurczył się do rozmiarów zwykłego człowieka, i stanął naprzeciwko mnie. - Musisz już iść, dziecko. Ale powinieneś wiedzieć, że twoja matka wróciła.

Wpatrywałem się w niego całkowicie oszołomiony.

- Moja mama?

- Znajdziesz ją w domu. Hades odesłał ją, kiedy oddałeś mu jego hełm. Nawet Władca Umarłych płaci swoje długi.

Serce waliło mi jak młotem. Nie wierzyłem własnym uszom.

- Czy... czy mógłbyś, ojcze...

Chciałem poprosić Posejdona, żeby pojechał do niej ze mną, ale uświadomiłem sobie, że byłoby to śmieszne. Wyobraziłem sobie, jak pakuję Pana Mórza do taksówki i wiozę go na Upper East Side. Gdyby w ciągu wszystkich tych lat miał ochotę zobaczyć się z moją mamą, zrobiłby to. Poza tym był jeszcze Śmierdziel Gabe.

W oczach Posejdona pojawił się cień smutku.

- Kiedy powrócisz do domu, Percy, musisz podjąć ważną decyzję. W pokoju znajdziesz przesyłkę.

- Przesyłkę?

- Zrozumiesz, kiedy ją zobaczysz. Nikt nie może wybrać za ciebie drogi, Percy. Musisz sam podjąć decyzję.

Przytaknąłem, aczkolwiek nie miałem pojęcia, o czym mowa.

- Twoja matka to królowa wśród ludzi - powiedział z żalem Posejdon. - Nie spotkałem takiej śmiertelniczki od tysiącleci. A mimo to... żałuję, że się urodziłeś, chłopcze. Dałem ci los herosa, a los herosa nigdy nie jest szczęśliwy. Zawsze jest tragiczny.

Starałem się nie czuć urazy. Oto mój własny tato wolałby, żebym się nie urodził.

- Ja nie żałuję, ojcze.

- Może na razie - powiedział. - Może jeszcze nie. Mimo wszystko to był niewyobrażalny błąd z mojej strony.

- Odejdę w takim razie. - Ukłoniłem się niezgrabnie. - I... nie będę ci więcej zawracał głowy.

Zrobiłem pięć kroków, kiedy usłyszałem jego głos.

- Perseuszu.

Odwróciłem się.

W jego oczach znalazłem inne światło, coś jakby płomień dumy.

- Doskonale się spisałeś, Perseuszu. Nie zrozum mnie źle. Cokolwiek będziesz robił, pamiętaj, że należysz do mnie. Jesteś prawdziwym synem Pana Mórz.

Kiedy wracałem na dół przez miasto bogów, rozmowy wokół mnie cichły. Muzy przerwały koncert. Ludzie, satyrowie i najady zwracali się wszyscy w moim kierunku, a na ich twarzach malował się szacunek i wdzięczność. Kiedy ich mijałem, przyklękali, jakbym naprawdę był jakimś bohaterem.

Piętnaście minut później znalazłem się na Manhattanie i nadal byłem jak zahipnotyzowany.

Wsiadłem w taksówkę i pojechałem do mieszkania mamy, zadzwoniłem do drzwi - i zobaczyłem ją, moją śliczną mamę, pachnącą miętą i marcepanem. W chwili, gdy mnie zobaczyła, zmęczenie i niepokój znikły z jej twarzy.

- Percy! Och, bogom niech będą dzięki! Moje dziecko.

Omam mnie nie udusiła. Staliśmy w przedpokoju, a ona, płacząc, gładziła mnie po włosach.

Przyznam się: ja też miałem wilgotne oczy. I czułem taką ulgę na jej widok, że ledwie się trzymałem na nogach.

Powiedziała mi, że właśnie tego ranka zjawiała się w mieszkaniu, co niemal śmiertelnie wystraszyło Gabe'a. Nie pamiętała nic od spotkania z Minotaurem i nie mogła uwierzyć, kiedy Gabe powiedział jej, że jestem ściganym przestępcą, podróżującym po całym kraju i rozwalającym zabytki. Zamartwiała się przez cały dzień, ponieważ nie знаła najnowszych wiadomości, jako że Gabe zmusił ją do pójścia do pracy. Powiedział, że ma do nadrobienia miesięczną pensję i powinna od razu zacząć.

Stłumiłem w sobie gniew i opowiedziałem jej o moich przygodach. Starłem się, żeby opowieść brzmiała jak najmniej przerażająco, ale nie było to łatwe. Właśnie dochodziłem do pojedynku z Aresem, kiedy z pokoju rozległ się głos Gabe'a.

- Ej, Sally! Gdzie te steki?

Zamknęła oczy.

- Ojczym nie ucieszy się na twój widok, Percy. Miał dziś chyba milion telefonów w sklepie, wszystkie z Los Angeles... w sprawie jakichś prezentów.

- Aha. Jeśli o to chodzi...

Na jej twarzy zagościł cień uśmiechu.

- Postaraj się nie rozgniewać go jeszcze bardziej, dobrze? Chodź.

Przez miesiąc mojej nieobecności mieszkanie zmieniło się w Gabeland. Na dywanie zalegała gruba po kostki warstwa śmieci. Kanapa zyskała nową tapicerkę z puszek po piwie. Na lampach wisiały brudne skarpetki i gacie.

Przy stole siedział Gabe z trzema wielkimi, durnymi koleśkami i rznął w pokera.

Na mój widok Gabe wypuścił cygaro spomiędzy zębów. Jego twarz przybrała kolor czerwiejszy niż lawa.

- Śmiesz się tu pojawiać, gnojku? Myślałem, że policja...

- Okazało się, że Percy nie jest jednak przestępca - wtrąciła się mama. - Czy to nie wspaniale, Gabe?

Gabe wodził wzrokiem od niej do mnie. Nie wyglądał na zachwyconego moim powrotem do domu.

- Wystarczy, że musiałem zwrócić twoją polisę na życie, Sally - burknął. - Dawaj telefon. Dzwonię po policję.

- Nie, Gabe!

Uniósł brwi.

- Czy ja właśnie usłyszałem „nie”? Myślisz, że zamierzam godzić się dalej z tym gnojkiem? Mogę go wciąż oskarżyć o zniszczenie mojego samochodu.

- Ale...

Uniósł rękę i mama się skuliła.

Po raz pierwszy sobie coś uświadomiłem. Gabe bił moją matkę. Nie wiedziałem, kiedy ani jak bardzo. Ale jestem pewny, że to się zdarzało. Może trwało przez wiele lat, kiedy tylko nie było mnie w pobliżu.

W mojej piersi wzbierał gniew niczym pompowany balon. Podszedłem do Gabe'a, odruchowo wyciągając z kieszeni długopis.

Wybuchnął śmiechem.

- Czego, śmieciu? Chcesz coś na mnie napisać? Spróbuj mnie dotknąć, a wylądujesz na wieki za kratkami, rozumiesz?

- Ej, Gabe - wtrącił się jego kumpel Eddie. - To tylko dzieciak.

Gabe popatrzył na niego wściekły i powtórzył piskliwym głosem:

- *Tylko dzieciak.*

Pozostali kumple zarechotali jak kretyni.

- Znaj moje dobre serce, gnojku. - Gabe wyszczerzył żółte od tytoniu zęby. - Daje ci pięć minut na pozbieranie swoich gratów i wynocha. Za pięć minut dzwonię po policję.

- Gabe! - krzyknęła błagalnie mama.

- Chłopak uciekł - odpowiedział jej Gabe. - Niech nie wraca.

Miałem straszną ochotę odetkać Orkana, ale nawet gdybym to zrobił, miecz nie działałby nic przeciwko śmiertelnikom. Śmiertelnikom Gabe był człowiekiem w każdym calu.

Mama ujęła mnie za rękę.

- Chodź, Percy, proszę. Chodźmy do twojego pokoju.

Pozwoliłem jej się poprowadzić, choć ręce wciąż trzęsły mi się z wściekłości.

Mój pokój był całkowicie zawałony śmieciami Gabe'a. Były tam zużyte akumulatory samochodowe i zwiędnięty bukiet kwiatów przysłanych wraz z karteczką od kogoś, kto oglądał wywiad przeprowadzony przez Barbarę Walters.

- Gabe jest po prostu zdenerwowany, kochanie - powiedziała do mnie mama. - Porozmawiam z nim później. Jestem pewna, że wszystko się dobrze ułoży.

- Mamo, to się nigdy nie ułoży. Nie z nim.

Wykręciła nerwowo palce.

- Możesz... mogę cię zatrudnić u mnie w sklepie na resztę lata. A jesienią... może znajdzie się jeszcze jedna szkoła z internatem...

- Mamo.

Spuściła wzrok.

- Staram się, Percy. Tylko... potrzebuję nieco czasu.

Na moim łóżku pojawiła się paczka. A w każdym razie mógłbym przysiąc, że chwilę wcześniej jej tam nie było.

Było to pocięte kartonowe pudło wielkości mniej więcej piłki do kosza. Adres napisany był moją własną ręką:

*Bogowie  
Olimp  
. Piętro600  
Nowy Jork*

*Z*

*PERCY JACKSON*

Powyżej grubym czarnym pisakiem, czytelnymi, dorosłymi literami dopisano adres naszego mieszkania z adnotacją ZWROT DO NADAWCY.

Nagle zrozumiałem, o czym mówił Posejdon na Olimpie.

Przesyłka. Decyzja.

*Cokolwiek będziesz robił, pamiętaj, że należysz do mnie. Jesteś prawdziwym synem Pana Mórz.*

Spojrzałem na mamę.

- Mamo, czy chciałabyś, żeby Gabe zniknął?

- To nie takie proste, Percy. Wiesz...

- Mamo, wystarczy, że powiesz. Ten drań cię bije. Chcesz, żeby zniknął, czy nie?

Zawahała się, po czym niemal niezauważalnie kiwnęła głową.

- Tak, Percy. Chcę. I usiłuję zebrać się na odwagę, żeby mu o tym powiedzieć. Ale ty nie możesz tego za mnie zrobić. Nie możesz rozwiązać mojego problemu.

Spojrzałem na pudełko.

*Mogłem* rozwiązać jej problem. Miałem ochotę otworzyć tę paczkę, wyrzucić jej zawartość na stolik pokerowy i pokazać siedzącym dookoła facetom. Zapoczątkować kolekcję rzeźb ogrodowych w naszym własnym salonie.

Tak właśnie postąpiłby grecki heros w mitach, pomyślałem. A Gabe sobie na to zasłużył.

Ale opowieści o herosach zawsze kończą się tragicznie. Tak mi powiedział Posejdon.

Przypomniało mi się Podziemie. Pomyślałem o duchu Gabe'a unoszących się przez wieczność po Łąkach Asfodelowych albo też skazanym na jakieś potworne tortury na Równinie Kar - proponowałbym siedzenie po pas we wrzącym oleju przy niekończącej się partyjce pokera i dźwiękach opery. Czy miałem prawo kogokolwiek tam posyłać? Nawet Gabe'a?

Jeszcze miesiąc temu nie zawahałbym się ani przez chwilę.

A teraz...

- Mogę to zrobić - powiedziałem mamie. - Wystarczy jedno spojrzenie na zawartość tego pudełka i on nigdy już nie sprawi kłopotu.

Zerknęła na paczkę i najwyraźniej zrozumiała, o czym mówiłem.

- Nie, Percy - powiedziała, cofając się o krok. - Nie możesz.

- Posejdon nazwał cię królową - odparłem. - Powiedział, że od tysięcy lat nie spotkał takiej kobiety.

Zarumieniła się.

- Percy...

- Zasłużyłaś na coś lepszego niż to, mamó. Powinnaś pójść na studia, zrobić dyplom. Napiszesz książkę, może uda ci się nawet spotkać jakiegoś porządnego faceta i zamieszkać w ładnym domku. Nie musisz już mnie chronić, żyjąc z Gabe'm. pozwól, żebym się go pozbył.

Otarła łzę z policzka.

- Mówisz jak twój ojciec - powiedziała. - Zaproponował mi kiedyś, że dla mnie zatrzyma przyływ. Chciał mi zbudować pałac na dnie morza. Wydawało mu się, że potrafi rozwiązać wszystkie moje problemy jednym ruchem ręki.

- A co w tym złego?

Spojrzenie jej mieniących się barwami oczu niemal wwiercało się we mnie.

- Myślę, że wiesz, Percy. Myślę, że jesteś na tyle do mnie podobny, żeby zrozumieć. Jeśli moje życie ma mieć jakiegokolwiek znaczenie, to muszę je przeżyć sama. Nie mogę pozwolić, żeby bóg zajął się mną... albo moim synem. Muszę... sama znaleźć w sobie odwagę. Twoja misja przypomniała mi o tym.

Wysłuchiwaliśmy się w dochodzące z salonu dźwięki pokerowych żetonów, przekleństw i kanału rozrywkowego w tle.

- Zostawię ci pudełko - powiedziałem. - Jeśli on kiedykolwiek będzie chciał cię skrzywdzić...

Pobladła, ale potaknęła.

- A ty dokąd pójdziesz, Percy?

- Na Wzgórzu Herosów.

- Na lato... czy na zawsze?

- To zależy.

Spojrzeliliśmy sobie prosto w oczy i wyczułem, że zawarliśmy porozumienie. Zobaczymy, jak będą się rzeczy miały, kiedy skończą się wakacje.

Pocałowała mnie w czoło.

- Zostaniesz herosem, Percy. Największym ze wszystkich.

Rozejrzałem się po raz ostatni po mojej sypialni. Miałem przeczucie, że nigdy więcej jej nie zobaczę. Następnie poszedłem razem z mamą do drzwi wejściowych.

- Uciekasz, śmieciu? - zawołał za mną Gabe. - Nareszcie.

Znów poczułem wątpliwości. Jak mogę odrzucić tak wspaniałą okazję do zemsty? Oto odchodziłem, nie uratowawszy mamy.

- Ej, Sally! - wrzasnął Gabe. - Gdzie te steki, co?

W oczach mamy zobaczyłem gniewny błysk i pomyślałem, że może jednak zostawiłem ją w dobrych rękach. Jej własnych.

- Zaraz będzie stek, kochanie - odpowiedziała. - Z niespodzianką.

Popatrzyła na mnie i mrugnęła porozumiewawczo.

Ostatnim obrazem, jaki widziałem zza zamykających się drzwi, była moja mama wpatrująca się w Gabe'a, jakby rozważała, w jakiej pozie będzie najlepiej wyglądał jako ogrodowy gnom.

## ROZDZIAŁ XXII WYPEŁNIENIE

### PRZEPOWIEDNI

Byliśmy pierwszymi herosami, którzy powrócili żywi na Wzgórze od czasów Luke'a, więc oczywiście wszyscy traktowali nas tak, jakbyśmy zwyciężyli w teleturnieju. Zgodnie z tradycją obozu wydano na naszą cześć wielką ucztę, podczas której mieliśmy na głowach wieńce laurowe, a następnie poprowadziliśmy procesję do ogniska, gdzie spaliliśmy całuny przygotowane podczas naszej nieobecności przez nasze domki.

Całun Annabeth był bardzo piękny - z popielatego jedwabiu haftowanego w sowy. Naprawdę powinna żałować, że nie zostanie w nim pochowana. Kiedy jej to powiedziałem, strzeliła mnie w twarz i kazała się zamknąć.

Jako syn Posejdona nie miałem żadnych współmieszkańców, toteż całun uszyli na ochotnika ci z domku Aresa. Wzięli stare prześcieradło i wymalowali na nim wzdłuż brzegu zezowate słoneczka oraz wielki napis CIENIAS biegnący przez sam środek.

Miałem ubaw, pałac to paskudztwo.

Kiedy domek Apollina zainicjował pieśni i zaczął rozdawać kiełbaski, otoczyli mnie dawni kumple z domku Hermesa, rodzeństwo Annabeth z domku Ateny i satyrowie - pobratymcy Grovera. Ci ostatni głównie podziwiali jego nowiutką odznakę poszukiwacza, którą właśnie otrzymał od Rady Starszych Kopytnych. Rada określiła dokonania Grovera podczas misji jako „Odwagę do granic niestrawności. Przewyższającą wszystko, co dotychczas widzieliśmy, o całą głowę, licząc z bródką i rogami”.

i”.

Jedynymi osobami nie w humorze podczas tej imprezy była Clarisse i jej rodzeństwo, których jadownicze spojrzenia mówiły, że nie wybaczą mi nigdy poniżenia ich taty.

Nie przejmowałem się tym.

Nawet powitalna mowa Dionizosa mnie nie zdołowała.

- Tak, tak, nasz mały bachorek nie dał się zabić i teraz dodatkowo wbije się w dumę. Wszystkiego najlepszego, a co mi tam. A jeśli chodzi o inne ogłoszenia, to w najbliższą sobotę *nie* będzie wyścigu kajaków...

Wróciłem do domku numer trzy, ale nie czułem się już taki samotny. Miałem przyjaciół, z którymi mogłem ćwiczyć w ciągu dnia. A nocą leżałem wsłuchany w szum morza, wiedząc, że gdzieś tam jest mój ojciec. Może jeszcze nie jest pewny

swoich uczuć do mnie, może nawet nie chciał, żebym się urodził, ale czuwa nade mną. I jak dotąd jest dumny z moich uczynków.

Jeśli chodzi o mamę, to dostała drugą szansę. Jej list przyszedł tydzień po moim powrocie do obozu. Napisała, że Gabe znikł w tajemniczych okolicznościach -zupełnie jakby zapadł się pod ziemię. Zgłosiła oczywiście zaginięcie na policję, ale miała dziwne przeczucie, że nigdy go nie znajdą.

A przy okazji napomknęła, że udało jej się sprzedać swoją pierwszą betonową rzeźbę naturalnej wielkości, zatytułowaną *Pokerzysta*, pewnemu kolekcjonerowi za pośrednictwem galerii sztuki w Soho. Dostała za nią tyle pieniędzy, że odłożyła pewną sumę na nowe mieszkanie i zapłaciła za pierwszy semestr studiów na uniwersytecie. Galeria domagała się więcej dzieł, które określiła „wielkim krokiem naprzód w dziedzinie hiperturpistycznego neorealizmu”.

*Ale nie martw się - napisała mama - skończyłam z rzeźbiarstwem i pozbyłam się tej skryzynki z narzędziami, którą mi zostawiłeś. Czas zająć się pisaniem.*

Na samym dole znajdował się dopisek: *PS. Percy, znalazłam dobrą prywatną szkołę w mieście. Zapłaciłam kaucję, żeby zatrzymać dla ciebie miejsce, na wypadek, gdybyś chciał zapisać się do siódmej klasy. Mógłbyś zamieszkać w domu. Ale jeśli będziesz wolał zostać na cały rok na Wzgórzu Herosów, zrozumiem to.*

Ostrożnie złożyłem list i zostawiłem go na szafce nocnej. Czytałem go co wieczór przed zaśnięciem, usiłując wymyślić, co powinienem jej odpisać.

Czwartego lipca cały obóz zgromadził się na plaży, żeby oglądać pokaz ogni sztucznych zorganizowany przez domek numer dziewięć. Dzieci Hefajstosa nie zadowolili się jakimiś tam zwykłymi czerwono- biało- niebieskimi światełkami. Zakotwiczyli łódź niedaleko od brzegu i załadowali do niej petardy wielkie jak rakiety balistyczne. Annabeth, która oglądała już wcześniej ich pokazy, powiedziała mi, że wybuchy miały być ustawione w ten sposób, żeby stworzyć klatki filmu animowanego na niebie. W wielkim finale mieli się pojawić wysocy na trzydzieści metrów spartańscy hoplici, ożyć nad oceanem, stoczyć bitwę i rozpaść się na milion kolorów.

Kiedy Annabeth i ja rozkładaliśmy koc piknikowy, pojawił się Grover, żeby się pożegnać. Był ubrany w swoje zwykłe dżinsy i podkoszulek oraz tenisówki, ale przez ostatnie tygodnie jakby dojrzał - do tego stopnia, że wyglądał na licealistę. Jego bródka zgęstniała. Przybrał na wadze. Różki urosły mu co najmniej o trzy centymetry, tak że teraz musiał przez cały czas nosić czapkę, jeśli chciał uchodzić za człowieka.

- Wyjeżdżam - powiedział. - Przyszedłem, żeby... no wiecie.

Usiłowałem cieszyć się razem z nim. W końcu niecodziennie jakiś satyr dostaje pozwolenie na rozpoczęcie poszukiwań wielkiego boga Pana. Pożegnanie jednak nie było łatwe. Znałem Grovera zaledwie od roku, a mimo to był moim najdawniejszym kumplem.

Annabeth uścisnęła go. Powiedziała, żeby pamiętać o sztucznych stopach.

Zapytałem, dokąd udaje się najpierw w swoich poszukiwaniach.

- To w zasadzie sekret - odpowiedział z zakłopotaniem. - Bardzo chciałbym, żebyście ze mną poszli, ale wiecie, ludzie i Pan...

- Rozumiemy - potaknęła Annabeth. - Zabrałeś dobry zapas puszek na podróż?

- Mhm.

- Nie zapomniałeś piscołek?

- Przestań, Annabeth - burknął. - Zachowujesz się jak stara kozia ciotka.

Ale wcale nie sprawiał wrażenia poirytowanego.

Chwycił swój kij podróżny i zarzucił plecak na ramię. Wyglądał jak autostopowicz, jakich wielu spotyka się na amerykańskich drogach - to już nie był ten chuderlawy chłopak, którego broniłem przed osiłkami w Yancy Academy.

- No - powiedział - trzymajcie kciuki.

Uściskał ponownie Annabeth, poklepał mnie po ramieniu i ruszył przez wydmy.

Nad naszymi głowami wystrzeliły fajerwerki: Herakles duszący lwa nemejskiego, Artemida na polowaniu, Jerzy Waszyngton (skądinąd syn Ateny) przepływający łodzią przez rzekę Delaware.

- Hej, Grover! - zawołałem. Odwrócił się jeszcze przed brzegiem lasu.

- Gdziekolwiek idziesz... mam nadzieję, że robią tam dobre tortille.

Satyr uśmiechnął się promiennie, po czym odszedł, a las zamknął się wokół niego.

- Spotkamy się z nim jeszcze - powiedziała Annabeth.

Usiłowałem w to uwierzyć. Ale przecież od dwóch tysięcy lat nie powrócił żaden poszukiwacz... Postanowiłem nie myśleć o tym. Grover będzie pierwszy. Musi być.

Minął lipiec.

Spędzałem dni na obmyślaniu nowych strategii zdobywania sztandaru i zawiązywania sojuszków z innymi domkami, byle nie dopuścić do przejęcia trofeum przez dzieci Aresa. I udało mi się po raz pierwszy dotrzeć na szczyt ścianki wspinaczkowej bez poparzeń.

Od czasu do czasu przechodziłem obok Wielkiego Domu, spoglądałem w okna strychu i myślałem o Wyroczni. Usiłowałem sobie wmówić, że jej przepowiednia już się spełniła.

*Na zachód idź, ku bogu, który się odwrócił.*

Poszedłem, zwyciężyłem - tylko że zdrajcą okazał się nie Hades, ale Ares.

*Odnajdziesz, co skradziono, i należnie zwrócisz.*

Można odfajkować. Piorun piorunów, sztuk jedna, zwrócony. Hełm mroku, sztuk jedna, z powrotem na lśniących włosach Hadesa.

*Zdrady doświadczysz tego, co cię druhem woła.*

Ten wers wciąż mnie nękał. Ares udawał przyjaciela, a potem mnie zdradził. To jego musiała mieć na myśli Wyrocznia...

*Tego, co najważniejsze, ocalić nie zdołasz.*

Nie udało mi się ocalić mamy, ale tylko dlatego, że pozwoliłem jej wziąć sprawy w swoje ręce, i wiedziałem, że tak powinienem zrobić.

Dlaczego więc wciąż czułem niepokój?

Ostatni dzień lata nadszedł zbyt szybko.

Obozowicze jedli ostatni wspólny posiłek. Spaliliśmy po kawałku obiadu na cześć bogów. Podczas wieczornego ogniska grupowi rozdawali paciorki na koniec turnusu.

Dostałem własny rzemyk, a kiedy zobaczyłem paciorek mojego pierwszego roku, ucieszyłem się, że w świetle ognia nie było widać, jak się rumienię. Koralek był czarny, a na jego środku błyszczał zielony jak morska woda trójząb.

- Wybór był jednogłówny - oznajmił Luke. - Ten paciorek upamiętnia pierwszego syna Pana Mórz na tym obozie oraz zadanie, którego się podjął, udając się w najciemniejsze zakątki Podziemnej Krainy, żeby powstrzymać wojnę!

Wszyscy powstali, wiwatując. Nawet mieszkańcy domku Aresa nie mieli wyboru. Rodzeństwo Annabeth wypchnęło ją na środek, żeby mogła odebrać swoją porcję oklasków.

Chyba nigdy w życiu nie czułem się tak szczęśliwy, a zarazem tak smutny, jak w tej chwili. W końcu odnalazłem rodzinę, ludzi, którzy troszczyli się o mnie i uważali, że potrafię zrobić coś dobrze. A rano większość z nich wyjedzie na cały rok.

Następnego ranka znalazłem na szafce nocnej urzędowe pismo.

Byłem pewny, że musiał wypełniać je Dionizos, ponieważ z uporem godnym lepszej sprawy przekreślił moje imię i nazwisko.

*Drogi Peterze Johnsonie!*

*Jeśli zamierzasz pozostać w Obozie Herosów przez cały rok, musisz do południa dnia dzisiejszego powiadomić o tym Wielki Dom. Jeśli nie przedstawiś swoich*

*planów, uznamy, że albo opuściłeś swój domek, albo poniosłeś okropną śmierć.  
Harpie sprzątające rozpoczynają pracę o zachodzie słońca.*

*Mają uprawnienia do zjadania niezarej estrow anych obozowiczów. Wszelkie  
przedmioty osobiste pozostawione w opuszczonym domku zostaną spalone w  
szczelinie z lawą.*

*Milego dnia!*

*Pan D. (Dionizos)*

*Dyrektor Obozu, nr 12 w Radzie Olimpijskiej*

Kolejny problem z ADHD. Terminy nie istnieją, dopóki nie stanie się z nimi twarzą w twarz. Lato minęło, a ja nadal nie odpowiedziałem mojej mamie ani władzom obozu w kwestii planów na nadchodzący rok. A teraz zostało mi zaledwie kilka godzin na podjęcie decyzji.

Wybór powinien być łatwy. Po raz pierwszy miałem okazję przeżyć cały rok z mamą bez Gabe'a. Szansę na mieszkanie w domu i włączenie się po mieście w wolnym czasie. Przypomniało mi się, co Annabeth powiedziała wieki temu, na początku naszej misji: *Prawdziwy świat jest tam, gdzie są potwory. Dopiero tam przekonujesz się, ile jesteś wart.*

Pomyślałem o losie, jaki spotkał Thalię, córkę Zeusa. Zastanawiałem się, ile potworów mnie zaatakują, kiedy opuszczę Wzgórze Herosów. Jeśli zostanę w jednym miejscu przez cały rok szkolny, bez Chejrona i przyjaciół spieszących mi z pomocą, to czy mama i ja zdołamy przeżyć do następnego lata? I to przy założeniu, że nie zabiją mnie wcześniej dyktanda i wypracowania na pięć akapitów. Postanowiłem udać się na arenę i poćwiczyć szermierkę.

Teren obozu już prawie opustoszał, łąka połyskiwała w sierpniowym świetle. Wszyscy obozowicze pakowali się w swoich domkach albo też biegali z miotłami i ścierkami, przygotowując się na końcowy obchód. Argus pomagał kilkorgu dzieciom Afrodyty dźwigać ich walizki od Gucciego i kosmetyczki na wzgórze, skąd obozobus miał zabrać ich na lotnisko.

Nie myśl o wyjeździe, powiedziałem sobie. Trenuj.

Doszedłem do areny szermierczej i zobaczyłem, że Lukę wpadł na ten sam pomysł. Jego torba sportowa leżała na skraju areny. Ćwiczył samotnie, wyzywając się na manekinach mieczem, którego nigdy wcześniej nie widziałem. Musiała to być zwyczajna stalowa broń, ponieważ bez trudu rozcinał głowy kukieł i przebijał ich wypchane słomą torsy. Pomarańczowa koszulka grupowego była przepocona. Lukę miał tak napięty wyraz twarzy, jakby jego życie było naprawdę w niebezpieczeństwie. Patrzyłem zafascynowany, jak wypruwał flaki z kolejnych manekinów, odcinał im ręce i nogi i przemieniał w sterty słomy i zbroi.

Były to tylko manekiny, ale i tak byłem zachwycony umiejętnościami Luke'a. Ten chłopak był niewiarygodny. Zastanawiałem się po raz nie wiem który, jak mogła mu się nie powieść misja.

W końcu mnie zauważył i zatrzymał się w półobrocie.

- Percy.

- Yyy, przepraszam - powiedziałem, nieco speszony. - Ja tylko...

- W porządku - powiedział, opuszczając miecz. - To tylko takie ostatnie ćwiczenia.

- Te manekiny już nikogo nie skrzywdzą. Lukę wzruszył ramionami.

- Co roku stawiamy nowe.

Teraz, kiedy jego miecz był nieruchomy, zauważyłem, że jest w nim coś dziwnego. Ostrze było z dwóch metali - po jednej stronie brązowe, po drugiej stalowe.

Lukę zauważył, że się przyglądam.

- Ach, to? Nowa zabawka. To

Szerszeń.

-Tak?

Luke obrócił ostrze, które zalsniło złowrogo w słońcu.

- Z jednej strony niebiański spisz, z drugiej hartowana stal. Działa na śmiertelników i nieśmiertelnych.

Pomyślałem o czymś, co Chejron mi powiedział, tuż zanim wyruszyłem na misję: że herosom nie wolno krzywdzić śmiertelników, chyba że w ostateczności.

- Nie wiedziałem, że robi się taką broń.

- Zapewne się *nie* robi - przytaknął Luke. - To jedyny egzemplarz.

Uśmiechnął się do mnie nieznacznie i wsunął miecz do pochwy.

- Słuchaj, właśnie miałem iść po ciebie. Co powiesz na to, żebyśmy przeszli się jeszcze raz do lasu, poszukać czegoś, z czym można by powalczyć?

Nie wiem, dlaczego się wahałem. Powinienem czuć ulgę, że Luke zachowuje się tak po przyjacielsku. Odkąd wróciłem z misji, trzymał się nieco na uboczu. Obawiałem się, że ma do mnie pretensje o to, ile poświęcano mi uwagi.

- Myślisz, że to dobry pomysł? - spytałem. - Znaczący...

- No, chodź. - Pogrzebał w torbie i wyciągnął sześciopak coli. - Stawiam.

Wpatrywałem się w colę, zastanawiając się, skąd ją wytrzasnął. W magazynie obozowym nie było zwykłych śmiertelniczych napojów. No i nie dało się ich przemycić, chyba że się dogadało z jakimś satyrem.

Oczywiście magiczne puchary przy kolacji napełniały się, czym się tylko zechciało, ale i tak to nie smakowało tak samo jak prawdziwa cola prosto z puszki.

Cukier i kofeina. Czuję, że moja wola słabnie.

- Dobra - uznałem. - Czemu nie?

Ruszyliśmy do lasu, rozglądając się za jakimś potworem, z którym można by powalczyć, ale było zbyt gorąco. Wszystkie potwory, które miały choćby resztki rozsądku, z pewnością oddawały się drzemce w swoich chłodnych grotach.

Znaleźliśmy cieniste miejsce nad potokiem, tam, gdzie złamałem włócznię Clarisse podczas mojej pierwszej gry w zdobywanie sztandaru. Siedliśmy na wielkim głazie, piliśmy colę i przyglądaliśmy się plamom słońca między drzewami.

- Chciałbyś być dalej na misji? - spytał po chwili Luke.

- Z potworami atakującymi mnie na każdym kroku? Chyba zwariowałeś.

Luke uniósł brwi.

- Owszem, chciałbym - przyznałem. - A ty? Po jego twarzy przemknął cień.

Przywykłem już, że dziewczyny wdychały, jaki to przystojny jest Luke, ale w tej chwili wyglądał przede wszystkim na bardzo zmęczonego i bardzo zagniewanego - i wcale nie przystojnego. Jasne włosy poszarzały w świetle słonecznym. Pilzna na twarzy była jakby głębsza niż zwykle. Wyobraziłem go sobie jako starego człowieka.

- Odkąd skończyłem czternaście lat, mieszkam bez przerwy na Wzgórzu - powiedział. - Kiedy Thalia... zresztą wiesz. Ćwiczyłem, ćwiczyłem i ćwiczyłem. Nigdy nie byłem zwykłym nastolatkiem, nigdy nie żyłem w zwyczajnym świecie. Potem dali mi zadanie, a kiedy wróciłem, usłyszałem coś w rodzaju „Koniec wycieczki, miłego życia”.

Zgniół swoją puszkę i wrzucił ją do strumyka, co mnie zaszokowało. Jedno z pierwszych przykazań, jakich uczy się w Obozie Herosów, brzmi: „Nie wolno śmiecić”. Słyszysz się to bez przerwy od nimf i najad. Na dodatek one się mszczą. Włazi człowiek w nocy do łóżka, a tam tłumy stonóg i masa błota.

- Do diabła z wieńcami laurowymi - mówił dalej Luke. - Nie zamierzam skończyć jako kolejne zakurzone trofeum na strychu Wielkiego Domu.

- Mówisz, jakbyś zamierzał odejść. Uśmiechnął się do mnie krzywo.

- No więc, ja odchodzę, zgadza się, Percy. Przyprowadziłem cię tutaj, żeby się pożegnać.

Pstryknął palcami. Niewielki płomyk wypalił dziurę w ziemi pod moimi stopami. Z dziury wypełzło coś czarnego i błyszczącego, mniej więcej wielkości mojej dłoni. Skorpion.

Sięgnąłem po długopis.

- Nie radzę - ostrzegł mnie Luke. - Skorpion z otchłani potrafi skakać w górę na pięć metrów. Jego kolec jadowy może przebić twoje ubranie. Umrzesz w ciągu minuty.

- Luke, o co... Nagle zrozumiałem.

*Zdrady doświadczysz tego, co cię druhem woła.*

- To ty - powiedziałem.

Wstał ze spokojem i strzepnął ziemię z dżinsów.

Skorpion nie zwracał na niego uwagi. Nie spuszczał czarnych paciorkowatych oczu ze mnie, poruszając szczypcami podczas wspinaczki na mój but.

- Dużo widziałem na świecie, Percy - powiedział Luke. - Nie czułeś tej wzbierającej ciemności, potworów, które rosną w siłę? Nie zdałeś sobie sprawy, jak bez sensu jest to wszystko? Całe to bohaterstwo - jesteśmy pionkami bogów. Oni powinni byli zostać obaleni tysiące lat temu, ale trzymają się nieźle - dzięki nam, dzieciom półkrwi.

Nie wierzyłem własnym uszom.

- Luke... ty mówisz o naszych rodzicach - powiedziałem. Roześmiał się.

- Mam ich za to kochać? Ich drogocenna „cywilizacja zachodnia” to choroba, Percy. Ona zabija świat. Można to powstrzymać tylko w jeden sposób: zniszczyć ją całkowicie i od zera zbudować coś bardziej uczciwego.

- Jesteś równie szalony jak Ares. Jego oczy zapłonęły.

- Ares jest głupcem. Jeszcze nie zorientował się, komu naprawdę służy. Gdybym miał czas, Percy, wytłumaczyłbym ci wszystko. Ale obawiam się, że twój czas się kończy.

Skorpion wpełzł na nogawkę moich dżinsów. Musiało istnieć jakieś wyjście. Potrzebowałem tylko czasu do namysłu.

- Kronos - powiedziałem. - Oto, komu służysz. Powietrze pochłodziło.

- Powinieneś być ostrożniejszy z imionami - ostrzegł mnie Luke.

- To Kronos kazał ci ukraść piorun piorunów i hełm mroku. To on przemawiał do ciebie w twoich snach.

Luke zmrużył oczy.

- Do ciebie też przemawiał, Percy. Trzeba było słuchać uważniej.

- On robi ci pranie mózgu, Luke.

- Mylisz się. On mi pokazał, że moje talenty się marnują. Wiesz, że byłem na misji dwa lata temu, Percy? Mój ojciec, Hermes, chciał, żebym ukradł złote jabłko z ogrodu

Hesperyd i przyniósł je na Olimp. Po całym treningu, który przeszedłem, wymyślił dla mnie tylko *takie* zadanie.

- To wcale nie jest łatwe zadanie - powiedziałem. - Udało się Heraklesowi.

- Właśnie - odparł Luke. - Co komu z małpowania tego, co zrobili inni? Bogowie umieją jedynie powtarzać swoją przeszłość. Nie miałem serca do tego zadania. Smok strzegący ogrodu zostawił mi tę pamiątkę - wskazał ze złością na bliznę na policzku - a kiedy wróciłem, wszyscy tylko użalali się nade mną. Miałem wtedy ochotę rozwalić Olimp na kawałki, ale zwlekałem z zemstą. I wtedy zaczął mi się śnić Kronos. Prze konał mnie do kradzieży czegoś wartościowego, czego nigdy nie odważył się zabrać żaden heros. Kiedy więc pojechaliśmy na tę wycieczkę w przesilenie zimowe, zakradłem się do sali tronowej, gdy wszyscy inni spali, i zabrałem Zeusowi piorun piorunów spod samego tronu. Ukradłem też hełm mroku Ha-desy. Nie uwierzysz, jaka to była łatwizna. Olimpijczycy są strasznie pyszni: nigdy nie przyszło im do głowy, że ktoś śmiałyby ich okraść. Nie mają żadnych zabezpieczeń. Byłem już daleko w New Jersey, kiedy usłyszałem nadciągającą burzę, co oznaczało, że zauważyli kradzież.

Skorpion siedział już na moim kolanie, wpatrując się we mnie błyszczącymi oczkami. Starłem się mówić jak najspokojniej.

- No, to dlaczego nie zaniósłeś tych przedmiotów Kronosowi? Uśmiech na twarzy Luke'a zbladł.

- Trochę... się przeliczyłem. Zeus wysłał na poszukiwania pioruna swoje dzieci: Artemidę, Apollina i mojego ojca, Hermesa. Ale to Ares mnie złapał. Choć mogłem go pokonać, nie byłem dość ostrożny. Rozbroił mnie, zabrał przedmioty mocy i zagroził, że odniesie je na Olimp, a mnie spali żywcem. Wtedy nagle usłyszałem głos Kronosa, który powiedział mi, jak przemówić do Aresa. Sprzedałem mu więc ten pomysł z wielką wojną bogów. Wmówiłem mu, że wystarczy ukryć na chwilę te przedmioty i przyglądać się, jak inni walczą. Aresowi zapaliły się złowrogo oczy. Wiedziałem, że połknął haczyk. Wypuścił mnie, a ja wróciłem na Olimp, zanim ktokolwiek zauważył moją nieobecność. - Luke wyciągnął swój nowy miecz. Przebiegł palcem po głównej, jakby zauroczony jej pięknem. - A potem Król Tytanów... u-ukarał mnie koszmarami. Przysiągłem więc, że już nigdy nie poniosę porażki. Kiedy wróciłem do Obozu, dowiedziałem się w snach, że przybędzie drugi heros, którego da się zrobić w przeniesienie pioruna i hełmu... od Aresa do Tartaru.

- To *ty* wezwałeś piekielnego ogara tamtej nocy w lesie.

- Musieliśmy przekonać Chejrona, że obóz nie jest dla ciebie bezpiecznym miejscem i żeby cię wysłał na misję. Musieliśmy też go utwierdzić w przekonaniu, że to Hades cię ściga. Udało się.

- Latające buty były zaklęte - powiedziałem. - Miały mnie zawlec razem z plecakiem do Tartaru.

-I tak by się stało, gdybyś miał je na nogach, ale ty dałeś je satyrowi, co nie należało do planu. Grover psuje wszystko, czego się dotknie. Zepsuł nawet kłótnię.

Luke spojrzał na skorpiona, który wypełził już na moje udo.

- Powinieneś być zginąć w Tartarze, Percy. Ale nie martw się. Zostawię cię z moim małym przyjacielem, który załatwi to za mnie.

- Thalia oddała życie, żeby cię ratować - powiedziałem z zaciśniętymi zębami. - Tak się jej odpłacasz?

- Nie wspominaj o Thalii! - krzyknął. - Bogowie *pozwolili* jej umrzeć! To jedna z rzeczy, za które muszą zapłacić.

- Zostałeś wykorzystany, Luke. Ty i Ares tak samo. Nie słuchaj Kronosa.

- *Ja* zostałem wykorzystany? - Głos Luke'a brzmiał ostro. - Spójrz na siebie. Co zrobił dla ciebie twój ojciec? Kronos powstanie. Ty jedynie opóźniłeś jego plan. Wrzuci Olimpijczyków do Tartaru i zapędzi ludzi z powrotem do jaskiń. Zostaną najsilniejsi - jego słudzy.

- Odwołaj tego robala - powiedziałem. - Skoro jesteś taki silny, to walcz ze mną.

Luke uśmiechnął się.

- Próżny wysiłek, Percy. Ja nie jestem Aresem. Nie złapię przynęty. Mój pan czeka i ma dla mnie mnóstwo zadań.

- Luke...

- *śegnaj*, Percy. Nadchodzi nowy Złoty Wiek. Ty już nie będziesz jego częścią.

Zamachnął się mieczem i zniknął w chmurze ciemności.

Skorpion skoczył.

Pacnąłem go ręką i odetkałem miecz. Stwór skoczył znów na mnie, a ja rozciąłem go na pół w powietrzu.

Już miałem sobie pogratulować sukcesu, kiedy spojrzałem na moją dłoń. Widniała na niej wielka czerwona pręga, z której wylewała się parująca żółta ciecz. Skorpion jednak mnie ukąsił.

Dudniło mi w uszach. Wzrok mi się zamglił. Woda, pomyślałem. Woda mnie kiedyś uleczyła.

Słaniając się, pokuśtykałem w stronę strumienia i zanurzyłem rękę, ale nic się nie wydarzyło. Jad był zbyt mocny. Robiło mi się ciemno przed oczami. Ledwie trzymałem się na nogach. Luke powiedział, że będę miał minutę życia. Musiałem dostać się z powrotem do obozu. Jeśli zemdleję w tym miejscu, jakiś potwór pożre mnie na obiad. Nikt nigdy się nie dowie, co się stało.

Nogi miałem ciężkie jak z ołowiu. Czoło mi płonęło. Wlokłem się w kierunku obozu i zobaczyłem wychodzące

z drzew nimfy.

- Pomocy - wycharczałem. - Proszę...

Dwie z nich chwyciły mnie pod ramiona i pociągnęły. Pamiętam, że dotarliśmy do polany, słyszałem grupowego wołającego o pomoc i centaura dmącego w konchę.

Potem była już tylko ciemność.

Obudziłem się z rurką w ustach. Płynęło z niej coś, co smakowało jak płynne ciasteczka czekoladowe. Nektar. Otwarłem oczy.

Leżałem na łóżku w Wielkim Domu, a zabandażowana prawa ręka wyglądała jak maczuga. W kącie Argus trzymał wartę. Annabeth siedziała obok mnie, trzymając szklankę z nektarem i ocierając mi czoło chusteczką.

- Znów się tu spotykamy - powiedziałem.

- Ty głupku - odparła, informując mnie tym samym o swojej radości z tego, że odzyskałem przytomność. - Byłeś zielony i właśnie robiłeś się szary, kiedy cię znaleźliśmy. Gdyby nie sztuka lecznicza Chejrona...

- Dobrze już, dobrze - rozległ się głos Chejrona. - Wytrzymałość Percy'ego też zrobiła swoje.

Siedział w nogach mojego łóżka w swojej ludzkiej postaci i dlatego wcześniej go nie zauważyłem. Dolna część jego ciała była magicznie wciśnięta w wózek inwalidzki, a górna ubrana w marynarkę i krawat. Uśmiechał się, ale jego twarz była blada i zmęczona, tak jak wtedy, kiedy nie spał przez całą noc, poprawiając klasówki z łaciny.

- Jak się czujesz? - spytał.

- Jakby moje wnętrze zostały zamrożone, a następnie odgrzane w mikrofalówce.

- Trafny opis, zważywszy, że miałeś do czynienia z jadem skorpiona z otchłani. A teraz powiedz mi, jeśli dasz radę, co się właściwie stało.

Opowiedziałem mu o wszystkim, przerywając opowieść łykami nektaru.

Przez chwilę w pokoju panowała cisza.

- Nie mogę uwierzyć, że Luke... - głos Annabeth się załamał. Na jej twarzy gniew mieszał się ze smutkiem. - Tak. Tak, *mogę* w to uwierzyć. Niech bogowie go przeklną... Nie był już sobą po tej swojej misji.

- Musimy zawiadomić Olimp - mruknął Chejron. - Jadę tam natychmiast.

- Luke jest na wolności - powiedziałem. - Muszę go dopaść. Chejron pokręcił przecząco głową.

- Nie, Percy. Bogowie...

- Nie chcą nawet *wspominać* o Kronosie - palnąłem. - Zeus uznał sprawę za zamkniętą!

- Wiem, że jest ci ciężko, Percy. Ale nie rzucaj się pochopnie do zemsty. Nie jesteś jeszcze gotowy.

Nie podobało mi się to, ale jakaś część mnie była przekonana, że Chejron ma rację. Wystarczyło jedno spojrzenie na moją rękę, żeby mieć pewność, że nie będę szybko zdolny do trzymania miecza.

- Chejronie... ta przepowiednia Wyroczni... ona dotyczyła Kronosa, prawda? Czy mnie też? I Annabeth?

Chejron podniósł nerwowo oczy na sufit.

- Percy, to nie moje zadanie...

- Zabronili panu o tym ze mną rozmawiać, prawda? W jego oczach pojawiło się współczucie i smutek.

- Zostaniesz wielkim herosem, dziecko. Zrobię wszystko, co w mojej mocy, żeby cię do tego przygotować. Ale jeśli się nie mylę co do twojej drogi...

Nad nami rozległ się grzmot, wstrząsając oknami.

- Już dobrze! - krzyknął Chejron. - Niech będzie! Westchnął z rezygnacją.

- Bogowie mają swoje powody, Percy. Zbyt wielka wiedza o przyszłości nigdy nie wychodzi na dobre.

- Nie możemy siedzieć z założonymi rękami i nic nie robić - zaprotestowałem.

- Ależ my *nie będziemy* siedzieć z założonymi rękami - obiecał mi Chejron. - Ale ty musisz zachować ostrożność. Kronos chce uczynić cię bezbronnym. Chce zniszczyć twoje życie, zatruć ci myśli strachem i gniewem. Nie dawaj mu tego, czego chce. Ćwicz cierpliwie. Twój czas nadejdzie.

- Zakładając, że tego dożyję. Chejron położył mi rękę na dłoni.

- Będziesz musiał mi zaufać, Percy. Przeżyjesz. Najpierw jednak musisz zdecydować, co będziesz robił w tym roku. Nie mogę ci podpowiadać, jak będzie lepiej... - Odniosłem wrażenie, że miał na ten temat wyrobione zdanie i kosztowało go wiele wysiłku woli, żeby nie udzielić mi rady. - To ty musisz zdecydować, czy zostaniesz na cały rok na Wzgórzu Herosów, czy też powrócisz do świata śmiertelników, pójdiesz do siódmej klasy i przyjedziesz tu na lato. Pomyśl o tym. Kiedy wrócę z Olimpu, powiesz mi, co wybrałeś.

Chciałem zaprotestować. Chciałem zadać mu dodatkowe pytania, ale wyraz jego twarzy mówił mi, że nie będzie więcej rozmów: powiedział mi tyle, ile mógł.

- Wróć, jak najszybciej zdołam - obiecał Chejron. - Argus będzie miał na was oko.

Spojrzał na Annabeth.

- Aha, moja droga... oni już przyjechali, więc jak tylko będziesz gotowa...

- Kto przyjechał? - spytałem. Nikt mi nie odpowiedział.

Chejron wytoczył się z pokoju. Słyszałem, jak kółka jego wózka stukają ostrożnie po frontowych schodach.

Annabeth wpatrywała się w kostki lodu w mojej szklance.

- Co się stało? - zapytałem.

- Nic. - Postawiła szklankę na stoliku. - Wiesz... ja posłuchałam twojej rady w pewnej kwestii. Czy... no... może czegoś potrzebujesz?

- Owszem. Pomóż mi wstać. Chcę wyjść na zewnątrz.

- To nie jest dobry pomysł, Percy.

Zsunąłem nogi z łóżka. Annabeth złapała mnie, zanim rąbnąłem o podłogę. Zakręciło mi się w głowie.

- Mówiłam... - powiedziała Annabeth.

- Nic mi nie jest - upierałem się. Nie miałem ochoty wylegiwać się w łóżku, podczas gdy Luke knuł gdzieś w ukryciu zagładę Zachodu.

Udało mi się zrobić krok. Potem następny, choć wciąż opierałem się mocno o ramię Annabeth. Argus wyszedł za nami przed dom, ale trzymał się z daleka.

Zanim dotarliśmy na werandę, moja twarz ociekała potem. Było mi niedobrze, ale udało mi się podejść do balustrady.

Zmierzchało się już. Obóz wyglądał na całkowicie opuszczony. Okna domków były ciemne, na boisku do siatkówki nie było żywej duszy. Po stawie nie pływały kajaki. Za lasem i polami truskawek iskrzyła się w ostatnich promieniach słońca zatoka Long Island.

- Co zamierzasz zrobić? - spytała Annabeth.

- Nie wiem.

Powiedziałem jej, że mam wrażenie, iż Chejron chciałby mnie tu zatrzymać na cały rok, żeby móc dać mi więcej indywidualnych lekcji, ale ja nie byłem pewny, czy mam na to ochotę. Przyznałem też, że czułem się nieswojo na myśl o tym, że miałbym ją tu zostawić samą, z Clarisse za jedyną towarzyszkę...

Annabeth zacisnęła usta.

- Ja wracam do domu na rok szkolny, Percy - powiedziała cicho.

Wbiłem w nią zdumiony wzrok.

- To znaczy do twojego taty?

Wskazała na szczyt Wzgórza Herosów. Tuż obok sosny Thalii, przy samej magicznej granicy obozu, dostrzegłem sylwetki ludzi: dwójka małych dzieci, kobieta i wysoki jasnowłosy mężczyzna. Najwyraźniej na coś czekali. Mężczyzna trzymał w ręce plecak, który wyglądał zupełnie jak ten, który Annabeth zabrała z Wodnej Krainy w Denver.

- Wysłałam do niego list po powrocie - powiedziała Annabeth. - Tak jak mi podpowiedziałeś. Napisałam mu... że go przepraszam. że chętnie przyjadę do domu na rok szkolny, jeśli on wciąż tego pragnie. Odpisał natychmiast. Postanowiliśmy... spróbować jeszcze raz.

- To wymagało sporej odwagi. Zacisnęła znów usta.

- Nie zrobisz nic głupiego w ciągu roku, prawda? A w każdym razie... dałbyś mi znać przez iryfon?

Udało mi się uśmiechnąć.

- Nie muszę szukać kłopotów. One zazwyczaj same mnie znajdują.

- Jak wrócę w lecie - powiedziała - dorwiemy Luke'a. Poprosimy o przyznanie nam misji, a jeśli nie dostaniemy zgody, to i tak się wymkniemy. Umowa stoi?

- Brzmi jak plan godny Ateny. Wyciągnęła do mnie rękę. Uścisnąłem jej dłoń.

- Uważaj na siebie, Głonomóźdzku - powiedziała mi Annabeth. - Miej oczy szeroko otwarte.

- Ty też, Mądralińska.

Patrzyłem za nią, jak wspięła się na wzgórze i dołączyła do swojej rodziny. Niezgrabnie uścisnęła ojca i po raz ostatni obrzuciła spojrzeniem dolinę. Dotknęła sosny Thalii i dała się poprowadzić w dół, do świata śmiertelników.

Po raz pierwszy, odkąd przybyłem do obozu, poczułem się naprawdę samotny. Spojrzałem na zatokę i przypomniałem sobie, co powiedział mi ojciec: *Morze nie lubi więzów.*

Podjąłem decyzję.

Zastanawiałem się, czy Posejdon mnie obserwuje, a jeśli tak, to czy jest zadowolony z tego wyboru.

- Wrócę znów w lecie - powiedziałem do niego. - Przeżyję do tego czasu. Przecież jestem twoim synem.

Poprosiłem Argusa, żeby zaprowadził mnie do domku numer trzy i pomógł mi spakować się na podróż do domu.